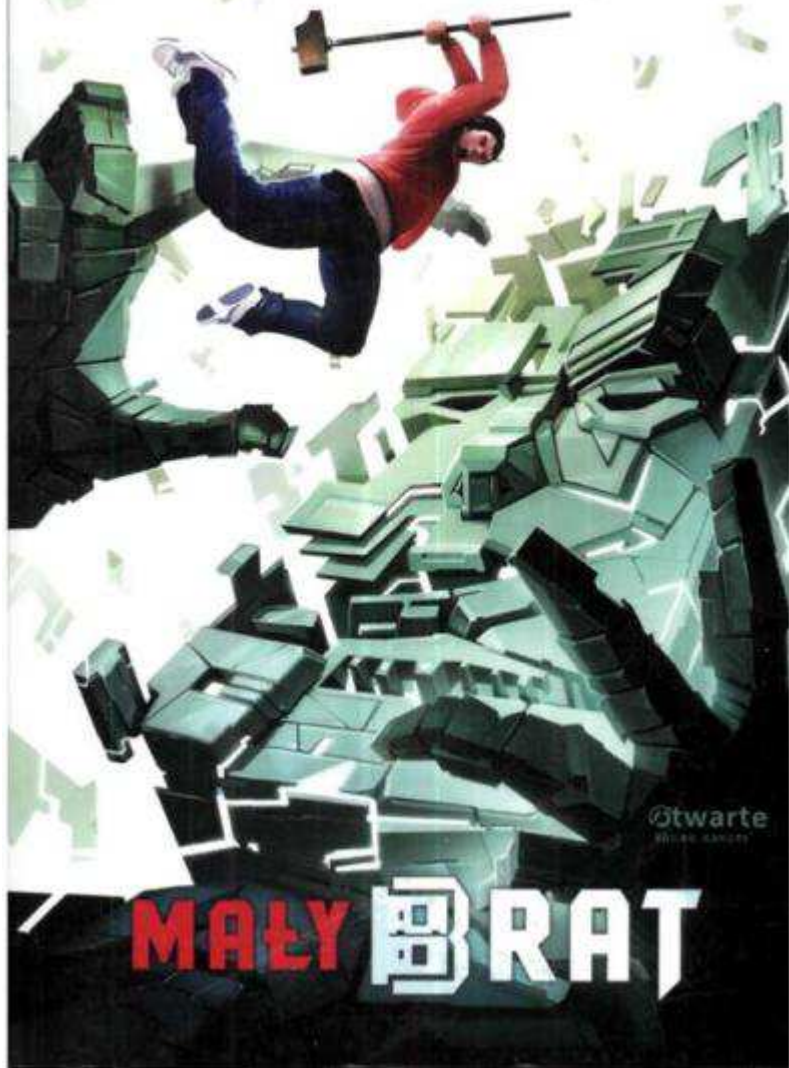


CORY DOCTOROW



Stwarte  
WYDAWNICTWO

**MALY BRAT**

## MAŁY BRAT PATRZY!

Zamach bombowy w San Francisco wywraca spokojny świat Marcusa do góry nogami. Aresztowany wraz z grupą przyjaciół przez Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego trafia do tajnego więzienia. Gdy w końcu zostaje wypuszczony, odkrywa, że teraz żyje w państwie policyjnym, a każdy obywatel traktowany jest jak potencjalny terrorysta. Odtąd pragnie tylko jednego – zniszczyć DBW i odnaleźć zaginionego przyjaciela.

*Mały Brat* to porywająca powieść o walce z opresyjnym systemem w czasach *virtual reality*, cyberprzestrzeni i gier komputerowych. Wielokrotnie nagrodzona (miedzy innymi Nagrodą Campbella dla najlepszej powieści 2009 roku) i okrzyknięta fenomenem w Stanach Zjednoczonych.

Po przeczytaniu tej książki dobrze się zastanowisz, zanim znów naciśniesz enter.

**Najlepsza rzecz, jaką czytałem w tym roku.**

**Neil Gaiman**

**Cory Doctorow** (ur. 1971) – kanadyjski pisarz i dziennikarz. Zastąpił jako autor wizjonerskich powieści, poruszających tematykę egzystencji, tożsamości i praw człowieka w świecie pełnym nowoczesnych technologii. Laureat prestiżowych nagród literackich: dwukrotnie Campbella oraz kilkakrotnie Locusa. Niezwykła postać współczesnego rynku wydawniczego, wdrażająca oryginalne modele sprzedaży własnych książek. Wspiera organizację Creative Commons walczącą o elastyczne zasady prawa autorskiego.

Cena detol. 32,90 zł

ISBN 978-83-7515-092-6



9 788375 150926

[www.otwarte.eu](http://www.otwarte.eu)

**POLITYKA**

WYDAWCA KULTURY POPULARNEJ  
**esensja**  
[HTTP://WWW.ESENSJA.PL](http://www.esensja.pl)



**POLTERGEIST**  
POLTER.PL



# MAŁY **B**RAT

MAŁY BRAT TO KSIĄŻKA DLA DZIECI, KTÓRE UMIĘJĄ WYKONYWAĆ TRUCIELE

CORY DOCTOROW

tłumaczenie Barbara Komorowska

WYDAWNICTWO  
**otwarte**

Kraków 2011

Tytuł oryginału: *Little Brother*

Copyright © 2008 by Cory Doctorow

Copyright © for the translation by Barbara Komorowska

Projekt okładki:

Jakub Jabłoński

Redakcja:

Mateusz Tobiczek

Opracowanie typograficzne książki:

Daniel Malak

Adiustacja:

Anastazja Oleśkiewicz / KS & zespół

Korekta:

Kamila Cieślik / KS & zespół,

Paulina Lenar / KS & zespół

Łamanie:

Irena Jagocha / KS & zespół

ISBN 978-83-7515-092-6

WYDAWNICTWO

otwarte

[www.otwarte.eu](http://www.otwarte.eu)

Zamówienia:

Dział Handlowy,

ul. Kościuszki 37,

30-105 Kraków,

tel. (12)61 99569

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak, w której  
można kupić książki Wydawnictwa Otwartego: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

*Książkę tę dedykuję Alice,  
która mnie uzdrowiła*

## ROZDZIAŁ 1

Jestem uczniem ostatniej klasy szkoły średniej imienia Cesara Chaveza w San Francisco, położonej w słonecznej dzielnicy Mission, co czyni mnie jednym z najbardziej inwigilowanych ludzi na świecie. Nazywam się Marcus Yallow, ale kiedy rozpoczynała się ta historia, nosiłem pseudonim w1n5ton. Wymawiany jako „Winston”.

Nikt nie mówił „wu-jeden-en-pięć-te-zero-en” - może z wyjątkiem zacofanych urzędasów, którzy internet nadal nazywali infostradą.

Ja sam znam takiego ciemniaka, ma na imię Fred Benson i jest jednym z trzech wicedyrektorów w mojej szkole. To istny wrzód na tyłku. Ale jeśli już jesteście skazani na strażnika więziennego, to lepszy głupek niż taki, który coś kuma.

- Marcus Yallow - w pewien piątkowy poranek usłyszałem dochodzący przez radiowęzeł głos. Dźwięk głośników to nie najlepszy pomysł na rozpoczęcie dnia, a gdy dodatkowo połączycie go z charakterystycznym bełkotem Bensona, to otrzymacie coś, co bardziej przypomina odgłosy żołądka trawiącego kiepskie burrito niż szkolny komunikat. Ale ludzie są nieźli w wyłapywaniu swoich imion z kaskadnicznego zgiełku - to cecha umożliwiająca przetrwanie.

Chwyciłem swoją torbę, przymknąłem laptop - nie do końca, bo nie chciałem przerwać ładowania danych z serwera - i przygotowałem się na to, co nieuniknione.

- Masz się stawić u dyrektora Bensona, natychmiast.

Moja nauczycielka WOS-u pani Galvez spojrzała na mnie, przewracając oczami. Zrobiłem to samo. Ten człowiek zawsze się mnie czepiał, i to tylko dlatego że umiałem prześlizgnąć się przez szkolne zabezpieczenia niczym mokra chusteczka higieniczna. Robiłem w konia oprogramowanie rozpoznające sposób chodzenia i podkradałem czipy, którymi nas szpiegowali. Pani Galvez była w porządku, nigdy nie miała mi tego za złe (zwłaszcza że pomagałem jej przy wysyłaniu maili, za których pośrednictwem mogła porozmawiać ze swoim bratem stacjonującym w Iraku).

Gdy przechodziłem obok mojego kumpla Darryla, ten walnął mnie w tyłek. Darryla znałem, odkąd obaj nosiliśmy pieluchy i uciekaliśmy z przedszkola. Cały czas pakowałem go w tarapaty lub go z nich wyciągałem. Uniosłem ręce ponad głowę niczym zawodowy bokser i wyszedłem z lekcji WOS-u, aby rozpocząć swój marsz skazańca do pokoju dyrektora.

Byłem w połowie drogi, kiedy odezwał się mój telefon. To kolejna rzecz, której nie powinno się tutaj robić - telefony są *muuy prohibido*\* w mojej szkole - ale dlaczego miałbym się tym przejmować? Dałem nura do łazienki i zamknąłem się w środkowej kabinie (ostatnia kabina jest zawsze najgorsza, bo tam uderza najwięcej osób w nadziei, że ucieknie przed smrodem i poczuciem wstrętu - najbardziej higieniczna i pewna jest zawsze kabina środkowa). Sprawdziłem komórkę - mój domowy pecet przesłał na nią wiadomość z informacją, że w Harajuku Fun Madness, najlepszej z kiedykolwiek wynalezionych gier, szykuje się coś nowego.

\* *Muuy prohibido* (hiszp.) - całkowicie zabronione (wszystkie przypisy pochodzą od tłum.).

Uśmiechnąłem się szeroko. Spędzanie piątków w szkole to kiepski pomysł, dlatego ucieszyłem się, że mam wymówkę, aby z niej uciec.

Resztę drogi do gabinetu Bensona przebyłem spacerowym krokiem, jednak do środka wtargnąłem jak huragan.

- Czy to nie „wu-jeden-en-pięć-te-zero-en”? - zapytał.

Fryderyk Benson - numer dowodu 545-03-2343, data urodzenia 15 sierpnia 1962 roku, nazwisko panięskie matki Di Bona, miejsce urodzenia Petaluma - jest dużo wyższy ode mnie. Ja mam zaledwie sto siedemdziesiąt centymetrów, podczas gdy on prawie dwa metry. Szkolne czasy, gdy grał w kosza, już dawno minęły i mięśnie na jego klatce piersiowej wyglądają teraz jak obwisłe męskie cycki, których kształty boleśnie prześwitują spod jego koszulki polo kupionej w promocji. Mimo to zawsze wygląda tak, jakby chciał zaraz komuś wsadzić piłkę w tyłek, i podnosi głos, chcąc wywołać dramatyczny efekt. Oba te chwytły zbyt często stosowane przestają jednak być skuteczne.

- Przepraszam, ale nigdy nie słyszałem o tym całym R2D2 - powiedziałem.

- W1n5ton - przeliterował ponownie. Rzucił mi wrogie spojrzenie i czekał, aż zmięknę. No jasne, że to mój nick, i to od lat. To tożsamość, której używałem, dodając posty na forach wspomagających rozwój badań nad ochroną stosowaną. No wiecie, to coś w stylu wychodzenia ukradkiem ze szkoły czy blokowania możliwości śledzenia telefonu. Ale on nie miał pojęcia o moim nicku. Wiedziało o nim tylko kilka osób, którym mogłem bezgranicznie ufać.

- Hm, nic mi to nie mówi - stwierdziłem. Za pomocą tego nicka zrobiłem w szkole kawał dobrej roboty, byłem bardzo dumny z opracowania niszczycieli identyfikatorów, więc gdyby udało mu się połączyć obie moje tożsamości, wpadłbym w niezłe tarapaty. Nikt nigdy nie nazywał mnie w szkole w1n5ton ani nawet Winston. Nawet moi kumple. Byłem Marcusem, nikim innym.



Benson usadowił się za biurkiem i nerwowo stuknął sygnetem o swój dziennik. Robił to zawsze, gdy rzeczy przestawały iść po jego myśli. W pokerze takie zachowanie nosi nazwę „tell” - dzięki niemu wiecie, co dzieje się w głowach innych graczy. Znałem to zachowanie Bensona na wylot.

- Marcusie, mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z powagi sytuacji.

- Zdam sobie z tego sprawę, gdy tylko wyjaśni mi pan, o co chodzi.

Zawsze gdy zadzieram z przedstawicielami władzy, zwracam się do nich *per* pan. Tak już mam.

Potrząsnął głową i spojrział w dół. To zupełnie w jego stylu. Zaraz zacznie na mnie wrzeszczeć.

- Słuchaj, chłopcze! Czas, abyś pogodził się z tym, że wiemy, czym się zajmujesz, i że nie zamierzamy temu pობłażać. Będziesz miał szczęście, jeśli nie wylecisz z tej szkoły, zanim to spotkanie dobiegnie końca. Czy chcesz otrzymać świadectwo?

- Proszę pana, nadal mi pan nie wyjaśnił, w czym leży problem...

Walnął ręką o biurko, po czym wskazał na mnie palcem.

- **P r o b l e m** tkwi w tym, panie Yallow, że uczestniczył pan w kryminalnej konspiracji, aby zniszczyć szkolny system ochrony, i wyposażył pan swoich kolegów w narzędzia służące do łamania tego systemu. Czy pan wie, że w zeszłym tygodniu wydaliśmy ze szkoły Gradelle Uriarte za używanie jednego z tych urządzeń?

Miała strasznego pecha. Kupiła zagłuszacz fal radiowych w sklepie obok stacji metra na 16th Street i uruchomiła alarm na szkolnym korytarzu. To nie moja wina, lecz i tak jej współczułem.

- I myśli pan, że jestem w to zamieszany?

- Mamy wiarygodne informacje, które wskazują na to, że to ty jesteś winston - przeliterował ponownie. Zacząłem się zastanawiać, czy mu nie zaświtało, że i to I, a 5 to S.

- Wiemy, że osoba zwana winston jest odpowiedzialna za zeszłoroczną kradzież testów szkolnych.

Właściwie to nie byłem ja, ale to takie urocze włamanie, że fakt, iż przypisywali je mnie, był w pewnym sensie pochlebstwem.

- I dlatego jeśli nie będziesz ze mną współpracował, odpowiesz za to, spędzając kilka lat w więzieniu.

- Ma pan wiarygodne informacje? Chciałbym je usłyszeć.

Spojrzał na mnie gniewnie.

- Taka postawa wcale ci nie pomoże.

- Jeśli istnieją dowody, to powinien pan powiadomić policję i je im przekazać. Wygląda na to, że to bardzo poważna sprawa, i nie chciałbym stawać na drodze właściwemu śledztwu prowadzonemu przez pełnoprawnie powołane do tego władze.

- Chcesz, żebym wezwał policję?

- I moich rodziców. Myślę, że tak byłoby najlepiej.

Gapiliśmy się na siebie ponad biurkiem. Wyraźnie oczekiwał, że odpuszczę w momencie, gdy zrzuci na mnie kolejną bombę. Ale ja się nie poddaję. Umiem gapić się na ludzi takich jak Benson. Spoglądam trochę na lewo od ich głowy, w myślach powtarzając słowa starych irlandzkich pieśni ludowych, tych, co to mają po trzysta wersów. Dzięki temu wyglądam na całkowicie opanowanego i niezmartwionego.

„A piórko było na ptaszku, a ptaszek był na jajku, a jajko było w gniazdku, a gniazdko było na liściu, a liść był na gałązce, a gałązka była na gałęzi, a gałąź była na konarze, a konar był na drzewie, a drzewo było na torfowisku, a torfowisko w dolinie - hou! Haj-hou na torfowisku, torfowisku w dolinie -hou...”

- Możesz już wrócić do klasy - powiedział. - Zawolałam cię, gdy tylko policja będzie gotowa, żeby z tobą porozmawiać.

- Czy zamierza pan do nich teraz zadzwonić?

- Procedura dzwonienia na policję jest skomplikowana. Miałem nadzieję, że załatwimy to sprawnie i szybko, ale skoro nalegasz...

- Mogę zaczekać, aż pan po nich zadzwoni - odparłem. - Mnie jest wszystko jedno.

Ponownie stuknął sygnetem, a ja przygotowałem się na wybuch.

- Wyjdź! - ryknął. - Wynoś się z mojego gabinetu, smarkaczu...

Wyszedłem, zachowując neutralny wyraz twarzy. Wcale nie zamierzałem wezwać policji. Gdyby miał wystarczające dowody, już wcześniej zadzwoniłby po gliny. Szczerze mnie nienawidził. Domyśliłem się, że usłyszał jakąś niesprawdzoną plotkę i miał nadzieję, że ją potwierdzą, jeśli mnie postraszy.

Szedłem korytarzem lekko i dziarsko, utrzymując równy, miarowy krok odpowiedni dla kamer rozpoznających sposób chodzenia. Zainstalowano je przed rokiem, a ja je uwielbiałem za ich czysty idiotyzm. Wcześniej mieliśmy kamery rozpoznające twarze, ale sąd uznał to za niezgodne z konstytucją. Benson wraz z wieloma innymi paranoicznymi administratorami szkoły wydali więc pieniądze przeznaczone na nasze podręczniki na te idiotyczne kamery, które miały rozróżniać chód poszczególnych ludzi. Po prostu czad.

Wróciłem do klasy i usiadłem, pani Galvez powitała mnie ciepło. Rozpakowałem przydzielony laptop i zaraz byłem na bieżąco z tym, co jest na lekcji. Najbardziej szpiegującą technologią były schoolbooki. Zapamiętywały każde przyciśnięcie klawisza, obserwowały cały ruch w sieci, czyhając na podejrzone hasła, licząc każde kliknięcie, śledząc każdą czmychającą myśl wyprowadzaną z netu. Korzystaliśmy z nich w młodszych klasach i wystarczyło zaledwie parę lat, żeby ich „połysk” zmatowiał. Gdy tylko ludzie odkryli, że te darmowe laptopy są na usługach Bensona - i wyświetlają niekończącą się defiladę upierdliwych reklam - nagle poczuli na sobie ogromny ciężar.

Scrackowanie schoolbooka było łatwe. Crack znalazł się w sieci już miesiąc po pojawieniu się sprzętu i był całkiem prosty - wystarczyło tylko ściągnąć obraz płyty DVD, wypalić go, wprowadzić do schoolbooka i załadować, przyciskając jednocześnie odpowiednią

kombinację klawiszy. Resztę zadania wykonywało DVD, które instalowało na kompie całą masę ukrytych programów, pozostających w ukryciu nawet podczas przeprowadzanych codziennie przez dyrekcję zdalnych kontroli integralności plików. Co jakiś czas musiałem aktualizować oprogramowanie, żeby obejść najnowsze testy władz szkoły, ale to i tak niska cena za tę odrobinę kontroli nad własnym sprzętem.

Odpaliłem IMParanoida, tajny komunikator, którego używałem, gdy chciałem przeprowadzić prywatną rozmowę w czasie lekcji. Daryl był już zalogowany.

> Coś wisi w powietrzu! U Harajuku Fun Madness szykuje się coś dużego. Uchodzisz w to?

> Nie-ma-mo-wy. Jeśli mnie złapią na wagarach po raz trzeci, wywalą mnie ze szkoły- Stary, wiesz o tym. Pójdziemy po lekcjach.

> Masz długą przerwę i okienko, tak? To dwie godziny. Mnóstwo czasu, żeby wytropić wskazówkę i wrócić, zanim ktoś za nami zatęskni. Zbiorę całą ekipę.

Harajuku Fun Madness to najlepsza ze wszystkich gier. Wiem, że już to mówiłem, ale to trzeba powtarzać. To ARG\*, w której chodzi o to, że gang modnych japońskich nastolatków odkrył cudowny, uzdrawiający klejnot w świątyni w Harajuku, gdzie powstały właściwie wszystkie japońskie subkultury młodzieżowe ostatnich dziesięciu lat. Są tropieni przez złych mnichów, yakuzę (japońską mafię), obcych, inspektorów podatkowych, rodziców i sztuczną inteligencję. Wysyłają graczom wiadomości, które musimy rozkodować i wykorzystać, tak aby wytropić wskazówkę, która zaprowadzi nas do jeszcze bardziej zakodowanych wiadomości i dalszych wskazówek.

\* ARG (ang. Alternate Reality Game) - gra rzeczywistości alternatywnej; świat rzeczywisty jest tu wykorzystywany jako łącznik między wirtualną fabułą a realnymi graczami.

Wyobraźcie sobie, że w cudowny wieczór krążycie po ulicach miast, sprawdzając tych wszystkich dziwnych ludzi, śmieszne ulotki reklamowe, wariatów i sklepy z gadżetami. Dodajcie do tego

śmieciarza, który każe wam analizować jakieś pokręcone stare filmy, piosenki i kulturę młodzieżową z całego świata, ze wszystkich epok i całej przestrzeni. A w dodatku jest to rozgrywka, w której zwycięska czteroosobowa drużyna zdobywa główną nagrodę w postaci dziesięciodniowego pobytu w Tokio, relaks na moście Harajuku, niekończące się rozmowy o komputerach w Akihabarze i możliwość zabrania takiej liczby produktów z Astro Boyem, jaką zdołacie udźwignąć. Tyle że w Japonii nazywa się on „Atom Boy”.

Oto Harajuku Fun Madness. Gdy tylko rozwiążecie jedną lub dwie zagadki, wasze życie zmieni się na zawsze.

> Nie, stary. Po prostu nie. NIE. Nawet nie proś.

> Potrzebuję cię, D. Jesteś najlepszym graczem, jakiego mam. Obiecuję, że tak was przeprowadzę, że nikt się o tym nie dowie, wiesz, że to potrafię, tak?

> Wiem

> Więc wchodzisz w to?

> Nie, do cholery

> No dalej, Darryl. Chyba nie chcesz na łożu śmierci żałować, że spędziłeś tyle czasu w szkole

> Ale nie chcę też na łożu śmierci żałować, że spędziłem tyle czasu, grając w ARG

> Dobra, ale czy nie sądzisz, że mógłbyś na łożu śmierci żałować, że nie spędziłeś więcej czasu z Vanessą Pak?

Van należała do mojej drużyny. Chodziła do prywatnej szkoły dla dziewcząt w dzielnicy East Bay, ale wiedziałem, że zwieje z lekcji, żeby wypełnić ze mną zadanie. Darryl był w niej zadurzony od lat - nawet jeszcze zanim wiek dojrzewania wyposażył ją w wiele obfitych darów. Darryl zakochał się w jej umyśle. Żaloszne.

> Chrzań się

> Idziesz?

Spojrzał na mnie i pokręcił głową. Potem przytaknął. Mrugnąłem do niego i zacząłem łączyć się z resztą mojej ekipy.

Nie zawsze interesowałem się grami ARG. Zdradzę wam ponurą tajemnicę: kiedyś byłem larpowcem. LARP\* to Live Action Role Playing i jest dokładnie tym, na co wskazuje nazwa. To bieganie w przebraniu, mówienie ze śmiesznym akcentem, udawanie, że jest się superszpiegiem, wampirem lub średniowiecznym rycerzem. To jak gra w zdobywanie flagi z domieszką elementów kółka teatralnego. Najlepsze LARP-y były na obozach skautowych obok miasteczka Sonoma i na półwyspie San Francisco. Te trzydniowe rozgrywki były totalnie niebezpieczne, biorąc pod uwagę całodniowe wędrówki, heroiczne bitwy na piankowo-bambusowe miecze, rzucanie czarów za pomocą woreczków pełnych ziaren fasoli z okrzykiem „Ognista kula!” i tak dalej. Kawał dobrej, choć trochę głupkowatej zabawy. Chociaż nie aż tak głupiej jak opowiadanie o planach swojego elfa przy stole pełnym pomalowanych figurek i puszek z dietetyczną colą. No i ta gra wymagała nieco więcej aktywności fizycznej niż popadanie w śpiączkę z myszką w rękę przy kolejnym multiplayerze.

\* LARP - gra terenowa.

W kłopoty wpakowałem się przez minigry w hotelach. Przy każdym zjeździe fanów *science fiction* w mieście jakiś larpowiec namawiał ich do przeprowadzenia z nami kilku sześciogodzinnych gier, z noszeniem na barana na wynajętym przez nich terenie włącznie. Banda rozentuzjasmowanych dzieciaków biegająca w kolorowych kostiumach dodawała całej imprezie kolorytu, a my mieliśmy niezłą radochę, bawiąc się z ludźmi, którzy byli jeszcze większymi wariatami niż my.

Problem z hotelami jest jednak taki, że przebywa w nich również wiele osób, które nie są zaangażowane w grę - i to nie tylko tych z kręgu *science fiction*. Chodzi o normalnych ludzi będących na wakacjach, którzy pochodzą ze stanów o nazwach zaczynających i kończących się samogłoskami.

Czasem ci ludzie błędnie interpretowali naturę tej gry.

I niech tak zostanie, OK?

Lekcja kończyła się za dziesięć minut, więc nie miałem dużo czasu na przygotowania. Najważniejszą sprawą były te nieznosne kamery rozpoznające sposób chodzenia. Jak już powiedziałem, na początku były to kamery rozpoznające twarze, ale uznano je za niezgodne z konstytucją. O ile wiem, żaden sąd jak dotąd nie ustalił, czy kamery rozpoznające chód są bardziej legalne, ale dopóki tego nie rozstrzygnie, jesteśmy na nie skazani.

„Chód” to wymyślne słowo określające sposób poruszania się. Ludzie dość dobrze rozpoznają chód - następnym razem gdy będziecie na obozie, nocą sprawdźcie, jak mruga światło latarki, kiedy z oddali zbliża się do was kumpel. Istnieje szansa, że rozpoznacie jego ruchy po samym świetle, po jego charakterystycznym sposobie pojawiania się i znikania, który informuje nasze małe mózgi, że ktoś się do nas zbliża.

Oprogramowanie rozpoznające sposób chodzenia robi zdjęcia waszych ruchów, próbuje wyodrębnić na fotkach wasze sylwetki, a potem stara się je dopasować do tych w bazie danych, żeby sprawdzić, czy są tam informacje na wasz temat. To taki sam identyfikator biometryczny jak odciski palców czy skany siatkówki, jednak zdarza mu się więcej „kolizji” niż któremukolwiek z pozostałych. „Kolizja” biometryczna przytrafia się, gdy parametry pasują do więcej niż jednej osoby. Nikt nie ma takich odcisków palców jak wy, ale wielu ludzi chodzi w identyczny sposób.

No, może niezupełnie identyczny. Wasz osobisty sposób chodzenia, mierzony centymetr po centymetrze, należy wyłącznie do was. Problem w tym, że wasz chód zmienia się w zależności od tego, czy jesteście zmęczeni, z czego zrobiona jest podłoga, czy naciągnęliście ścięgno, grając w koszykówkę, i czy niedawno zmieniliście buty.

Wielu ludzi chodzi podobnie do was. Ponadto łatwo jest zmienić sposób chodzenia - wystarczy zdjąć jeden but. Oczywiście nawet wtedy będziecie chodzić własnym krokiem, tylko że bez jednego buta, więc kamery w końcu dojdą do tego, że to wy. Dlatego wolę wprowadzać w swoje ataki na kamery trochę przypadkowości. Do każdego

buta wysypuję garść żwiru. Jest to tani i skuteczny sposób, dzięki któremu każdy krok staje się inny od pozostałych. Dodatkowo otrzymuje się wspaniały refleksologiczny masaż stóp (żartuję - refleksologia ma tyle wspólnego z nauką co rozpoznawanie chodu).

Kamery uruchamiały alarm za każdym razem, gdy na teren szkoły wchodził ktoś, kogo nie rozpoznawały.

Nie było szans, żeby to tak działało.

Alarm włączał się co dziesięć minut. Gdy przechodził listonosz. Gdy rodzice wpadali w odwiedzin. Gdy przychodziła ekipa do sprzątania boiska. Gdy pojawił się uczeń w nowych butach.

Teraz kamera próbuje więc śledzić, kto, gdzie i kiedy przebywa. Jeśli ktoś podczas lekcji wychodzi ze szkoły, sprawdzane jest, czy przypadkiem jego chód nie pasuje mniej więcej do kroków któregoś z uczniów, a jeśli tak, to łuuu, łuuu, łuuu, włącza się alarm!

Szkołę Chaveza otaczają żwirowe ścieżki. Lubię trzymać kilka garści kamieni w swojej torbie na ramię, tak na wszelki wypadek. Podałem cicho Darrylowi dziesięć czy piętnaście tych małych szpiczastych drani i obaj naładowaliśmy nimi buty.

Lekcja zbliżała się ku końcowi, gdy zdałem sobie sprawę z tego, że nie sprawdziłem strony Harajuku Fun Madness, żeby zobaczyć, gdzie znajduje się następna wskazówka! Byłem zanadto pochłonięty ucieczką i nie zadałem sobie trudu, żeby ustalić, d o k a d właściwie uciekamy.

Obróciłem się w stronę swojego schoolbooka i uderzyłem w klawiaturę. Wyszukiwarka, której używaliśmy, była zainstalowana w pecetach od początku. To okrojona wersja Internet Explorera, ciągle nawalające badziewie Microsoftu, którego nikt poniżej czterdziestki dobrowolnie nie używał.

W moim zegarku było wbudowane USB, na którym miałem kopię Firefoksa, ale to nie wystarczyło - Schoolbook chodził na Windowsie Vista4Schools, przestarzałym systemie operacyjnym zaprojektowanym tak, aby władze szkoły miały wrażenie, że kontrolują programy, z których korzystają uczniowie.



Vista4Schools jest swoim największym wrogiem. Istnieje wiele programów, których Vista4Schools nie pozwoli wam zamknąć: keyloggery, programy filtrujące - wszystkie pracują w specjalnym trybie sprawiającym, że są niewidoczne dla systemu. Nie możecie ich zamknąć, bo nawet nie wiecie, że one tam są.

Każdy program, którego nazwa zaczyna się od \$SYS\$, jest niewidoczny dla systemu operacyjnego. Nie pojawia się ani w listingu plików twardego dysku, ani w monitorze procesów. Moja kopia Firefoksa nazywała się \$SYS\$Firefox - więc kiedy go włączałem, stawał się niewidoczny dla Windowsa i równie niewidoczny dla sieciowych programów szpiegujących.

Teraz, gdy miałem już niezależną wyszukiwarkę, potrzebowałem jedynie niezależnego połączenia z internetem. Szkolna sieć rejestrowała każde kliknięcie podczas wchodzenia do systemu i wychodzenia z niego, co w sytuacji gdy chciało się wejść na stronę Harajuku Fun Madness, żeby się trochę zabawić podczas lekcji, nie było dobrą wiadomością.

Ten problem można rozwiązać za pomocą pomysłowego narzędzia, które nazywa się TOR (The Onion Router), czyli router cebulowy. Router cebulowy to sieć internetowa zbierająca dane z różnych stron i przekazująca je do innych routerów cebulowych, aż w końcu jeden z nich ostatecznie zdecyduje się przenieść informacje i przekazać je z powrotem poprzez kolejne warstwy cebuli wprost do was. Ruch w kierunku routera cebulowego jest zakodowany, co oznacza, że szkoła nie może zobaczyć waszej aktywności w sieci, a na warstwach cebuli nie pozostaje informacja, kto co robił. Istnieją miliony takich węzłów - program ten został zainstalowany przez Biuro Badań Marynarki Wojennej USA, żeby pomóc własnym pracownikom w obejściu programów filtrujących w takich krajach, jak Syria czy Chiny, co oznacza, że idealnie nadaje się do działania w restrykcyjnych warunkach panujących w przeciętnej amerykańskiej szkole średniej.

TOR działał, ponieważ szkoła posiadała skończoną czarną listę nieprzyzwoitych adresów stron, których mieliśmy nie oglądać,

a adresy węzłów cały czas się zmieniały - szkoła w żaden sposób nie była w stanie śledzić wszystkich. Dzięki Firefoksowi i TOR-owi stałem się niewidzialnym człowiekiem nieczułym na szpiegowskie działania władz szkolnych. Mogłem do woli sprawdzać Harajuku FM i patrzeć, co się dzieje.

Oto ona, nowa wskazówka. Tak jak wszystkie wskazówki z Harajuku Fun Madness składała się z elementów: fizycznego, sieciowego i umysłowego. Element sieciowy to zagadka, której rozwiązanie wymagało znalezienia odpowiedzi na masę niejasnych pytań. Ta partia zawierała grupę pytań dotyczących wątków z *dōjinshi* - komiksów tworzonych przez fanów japońskiej mangi. Bywają tak duże jak oficjalne komiksy, które stanowią dla nich inspirację, lecz są o wiele bardziej niesamowite - można w nich znaleźć krzyżujące się wątki, a czasem naprawdę głupkowate piosenki i fabułę. No i oczywiście jest tam pełno historii miłosnych. W końcu wszyscy lubią oglądać, jak ich ulubione postaci ze sobą kręcą.

Musiałem zostawić te zagadki na później, gdy wrócę do domu. Najłatwiej rozwiązywało się je z całą ekipą, pobierając masę plików z *dōjinshi* i przeglądając je w poszukiwaniu potrzebnych odpowiedzi.

Właśnie skończyłem zapisywać wszystkie wskazówki, gdy rozległ się dzwonek i zaczęliśmy naszą ucieczkę. Ukradkiem wsypałem żwir do butów - a były to australijskie blundstoney, doskonale do biegania i wspinaczki; miałem model bez sznurówek, więc łatwo mogłem w nie wskoczyć, a poza tym były niewykrywalne dla niekończących się, rozmieszczonych praktycznie wszędzie detektorów metalu.

Musielśmy też oczywiście unikać nadzoru fizycznego, ale z każdym nowo dodanym elementem monitoringu stawało się to łatwiejsze - wszystkie te dzwonki i syreny wywoływały w naszych nauczycielach zupełnie fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Surfując przez tłum, przedostaliśmy się na dolny korytarz, udając się w kierunku mojego ulubionego bocznego wyjścia. W połowie drogi Darryl syknął:

- Niech to szlag! Zapomniałem, że w torbie mam książkę z biblioteki.

- Jaja sobie robisz - powiedziałem i wciągnąłem go do najbliższej łazienki.

Książki z biblioteki to zła wiadomość. Każda z nich ma wklejony w oprawę identyfikator RFID\*, dzięki któremu bibliotekarze mogą zdalnie sprawdzać, czy którejś brakuje.

\* RFID (ang. Radio Frequency Identification) - system kontroli przepływu towarów przy wykorzystaniu fal radiowych; odczyt i zapis danych odbywa się dzięki specjalnym układom elektronicznym przytwierdzonym do nadzorowanych przedmiotów. Niekiedy technologia RFID nazywana jest radiowym kodem kreskowym.

Z drugiej jednak strony, dzięki temu szkoła może zawsze sprawdzić, gdzie kto się znajduje. Była to kolejna z luk prawnych: sądy nie pozwoliłyby szkołom śledzić n a s za pomocą identyfikatorów RFID, ale nie mogły zabronić tropienia k s i ą ż e k z b i b l i o t e k i i wykorzystywania dokumentacji szkolnej do sprawdzania, kto miał którąś z nich przy sobie.

W torbie miałem niewielki worek Faradaya - to taki mały portfel wyłożony siatką z miedzianego drutu, która skutecznie blokuje fale radiowe, uciszając RFID. Jednak sakiewki te służyły do neutralizacji kart identyfikacyjnych i płatnych transponderów, a nie książek typu...

- *Wstęp do fizyki?* - jęknąłem. Ta książka była wielkości słownika.

## ROZDZIAŁ 2

- No co! Chcę iść na fizykę, jak się dostanę na Berkeley - powiedział Darryl. Jego ojciec wykładał na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley, co oznaczało, że mógłby studiować za darmo. Co do tego, czy Darryl będzie tam rzeczywiście studiował, nikt w jego rodzinie nigdy nie miał wątpliwości.

- Dobra, a nie możesz poszukać materiałów na ten temat w necie?

- Mój tata powiedział, że powinienem to przeczytać. Poza tym nie planowałem na dzisiaj żadnych przestępstw.

- Ucieczka ze szkoły to nie przestępstwo. To naruszenie przepisów. A to zupełnie co innego.

- Co teraz zrobimy, Marcus?

- Nie mogę tego ukryć, więc muszę to wysadzić.

Uśmiercanie identyfikatorów RFID to ponura sztuka. Żaden sprzedawca nie życzy sobie złośliwych klientów, którzy spacerują po sklepie, pozostawiając za sobą całą masę produktów poddanych lobotomii pozbawiającej je ich „niewidzialnych” kodów kreskowych. Producenci przestali więc stosować ten „zabójczy sygnał radiowy”, który można przesłać do identyfikatora, aby go wyłączyć. RFID można oczywiście przeprogramować na odpowiednim sprzęcie, ale

nie znoszę tego robić książkom z biblioteki. To nie to samo co wyrywanie kartek, ale to wciąż głupi pomysł, ponieważ książka z przeprogramowanym identyfikatorem RFID nie może wrócić na półkę ani nie można jej znaleźć. Staje się po prostu igłą w stogu siana.

Dlatego została mi tylko jedna opcja: gotowanie. Dosłownie. Wystarczy trzydzieści sekund w kuchence mikrofalowej, żeby załatwić każdy dostępny na rynku nadajnik RFID. Gdy Darryl odda książkę do biblioteki, identyfikator nie zadziała, więc wydrukują nowy, przekodują go w katalogu informacyjnym, a czysta i schludna książka wyładuje z powrotem na półce.

Potrzebowałem tylko mikrofali.

- Poczekajmy, za dwie minuty pokój nauczycielski będzie pusty - powiedziałem.

Darryl chwycił książkę i rzucił się do drzwi.

- Zapomnij, nie ma mowy. Idę do klasy.

Złapałem go za łokieć i pociągnąłem z powrotem.

- Daj spokój, Darryl. Będzie dobrze.

- P o k ó j n a u c z y c i e l s k i? Chyba mnie nie usłyszałeś. Jeśli mnie złapią „jeszcze tylko j e d e n r a z”, wywalą mnie. Rozumiesz? Wywalą.

- Nie złapią cię - powiedziałem. Pokój nauczycielski to jedyne miejsce o tej porze, w którym nie ma nauczycieli. - Wejdzmy tyłem.

Po jednej stronie pokoju nauczycielskiego znajdowała się niewielka kuchnia, do której prowadziło osobne wejście dla nauczycieli, gdyby chcieli tam zajrzeć na małą kawę. Mikrofalówka - która zawsze śmierdziała popcornem i rozlaną zupą - stała właśnie tam, na miniaturowej lodówce.

Darryl jęknął. Zacząłem szybko szukać rozwiązania.

- Słuchaj, dzwonek dopiero co zadzwonił. Jeśli teraz pojawisz się na korytarzu, to wpadniesz. Lepiej się tam nie pokazywać. Potrafię prześlizgnąć się przez każde pomieszczenie na terenie szkoły.

D, widziałeś, jak to robiłem. Ze mną będziesz bezpieczny, brachu.

Jęknął ponownie, jak zwykle w podobnych sytuacjach: jego jęczenie oznaczało gotowość do ustępstw.

- Niech się dzieje, co chce - powiedziałem, po czym ruszyliśmy.

To był plan doskonały. Ominęliśmy klasy, tylnymi schodami przedostaliśmy się na parter, a po schodach frontowych wspięliśmy się wprost przed pokój nauczycielski. Zza drzwi nie dobiegał żaden dźwięk, więc po cichu przekręciłem gałkę, wciągnąłem Darryla do środka, po czym bezszelestnie zamknąłem drzwi.

Książka ledwie zmieściła się w mikrofali, która wyglądała jeszcze mniej higienicznie niż ostatnio, kiedy tu zajrzałem, żeby z niej skorzystać. Zanim włożyłem dzieło, starannie owinąłem je w papier.

- Człowieku, nauczyciele to ś w i n i e - syknąłem.

Darryl był spięty, miał bladą twarz, nic nie odpowiedział.

RFID dokonał żywota w prysznicu iskier, co nawet uroczo wyglądało (choć nie aż tak efektownie jak wysadzenie zamrożonego winogrona - jeśli nie wierzycie, spróbujcie sami).

Teraz musieliśmy się jeszcze wydostać poza teren szkoły, zachowując całkowitą anonimowość, i uciec.

Darryl otworzył drzwi i zaczął wychodzić. Ja szedłem tuż za nim. Sekundę później stał już na moich palcach z łokciami zaklinowanymi na mojej klatce piersiowej, próbując wycofać się do kuchni o rozmiarach toalety, którą właśnie opuściliśmy.

- Wracaj - wyszeptał spieszenie. - Szybko, to Charles!

Charles Walker i ja nie przepadaliliśmy za sobą. Chodziliśmy do tej samej klasy i znałem go tak długo jak Darryla, ale na tym kończyło się podobieństwo. Charles od zawsze był duży jak na swój wiek, a teraz, gdy trenował futbol i brał sterydy, stał się jeszcze większy. Miał problemy z kontrolowaniem agresji - w trzeciej klasie straciłem przez niego mleczny ząb, ale odkąd został najbardziej aktywną wtyczką w szkole, wszystko uchodziło mu na sucho.

To kiepskie zestawienie: osiłek, który w dodatku szpieguje i odczuwa wielką przyjemność z donoszenia nauczycielom o każdym

naruszeniu przepisów, na jakie natrafi. Benson u wielbiał Charlesa. Charles udawał, że cierpi na pewne dość nieokreślone problemy z pęcherzem, dzięki czemu miał gotową wymówkę, żeby krążyć po szkolnych korytarzach, szukając ludzi, których mógłby zakapować.

Ostatnim razem, gdy wywlekl jakieś brudy na mój temat, skończyło się na tym, że musiałem porzucić LARP-y. Nie chciałem, żeby mnie znowu złapał.

- Co on robi?

- Co robi? Idzie w naszym kierunku! - odparł Darryl. Cały się trząsał.

- Dobra - powiedziałem. - Dobra, czas sięgnąć po nadzwyczajne środki zaradcze.

Wyjąłem komórkę. Zaplanowałem to sobie już o wiele wcześniej. Charles więcej mnie nie dorwie. Wysłałem maila na mój domowy serwer, a ten uruchomił resztę.

Parę sekund później telefon Charlesa spektakularnie wydał z siebie spazmatyczny dźwięk. W jednej chwili został zbombardowany dziesiątkami tysięcy przypadkowych połączeń telefonicznych i SMS-ów, przez co nieustannie świergotał. Ten atak został przeprowadzony za pomocą botnetu, dlatego nie czułem się z tym najlepiej, jednak tym razem cel był jak najbardziej słuszny.

Botnet to miejsca spoczynku zainfekowanych komputerów. Jeśli złapiecie robaka lub wirusa, wasz komputer wysyła wiadomość do kanału komunikacyjnego w sieci IRC\*. Wiadomość informuje botmastera - osobę, która puściła w obieg robaka - że komputery są gotowe wykonać jego polecenie. Botnety są niezwykle potężne, ponieważ w ich skład mogą wchodzić tysiące, a nawet setki tysięcy komputerów porzucanych po całym internecie, podłączonych do wydajnych, szybkich łączy i szybkich domowych pecetów. Pecety te zwykle działają w imieniu ich właścicieli, ale gdy wzywa je botmaster, powstają niczym zombi, aby wykonać jego polecenie.

\* Sieć IRC (ang. Internet Relay Chat) - jedna z pierwszych usług sieciowych umożliwiająca rozmowę na tematycznych lub towarzyskich czatach, jak również prywatną z inną osobą.

W internecie istnieje tak wiele zainfekowanych komputerów, że cena ich wypożyczenia w botnecie na godzinę bądź dwie spadła na łeb na szyję. Zazwyczaj działają one jako tanie rozproszone spambots, z których korzystają spamery wypełniający wasze skrzynki mailowe reklamami tabletek na wzwód lub nowymi wirusami mogącymi zainfekować wasze komputery i przyłączyć je do botnetu.

Wykupiłem dziesięć sekund na trzech tysiącach pecetów i każdy z nich wysłał wiadomość tekstową lub rozmowę za pomocą protokołów VoIP\* na telefon Charlesa, którego numer spisałem z notatki przyzeczpięnej do biurka Bensona podczas jednej z pamiętnych wizyt w jego gabinecie.

\* Protokół VoIP (ang. Voice over Internet Protocol) - technologia cyfrowa umożliwiająca przesyłanie rozmów za pomocą internetu lub dedykowanych sieci wykorzystujących protokół IP, nazywana często telefonią internetową.

Nie trzeba dodawać, że telefon Charlesa nie był na tyle dobrze wyposażony, żeby to znieść. Na początku jego pamięć wypełniły SMS-y, przez co zaczął się zacinać przy rutynowych operacjach, takich jak dzwonki, wyświetlanie wszystkich fałszywych numerów, z których telefonowano (Czy wiedzieliście, że fałszowanie numeru zwrotnego osoby dzwoniącej jest *n a p r a w d ę* łatwe? Istnieje około pięćdziesięciu sposobów, żeby to zrobić - wystarczy zgooglować: „fałszowanie numeru telefonu osoby dzwoniącej”).

Charles gapił się na swój telefon w osłupieniu i stukał w niego z wściekłością. Jego grube brwi naprężyły się i poruszały, podczas gdy on walczył z demonami, które posiadały jego najbardziej osobiste urządzenie. Plan jak dotąd działał, ale Charles nie robił tego, czego się po nim spodziewałem - oczekiwałem, że usiądzie gdzieś i spróbuje znaleźć odpowiedź, jak przywrócić do normalności swoją komórkę.

Darryl potrząsnął mnie za ramię, a ja oderwałem wzrok od szpary w drzwiach.

- Co on wyprawia? - szepnął.
- Skasowałem mu telefon, ale zamiast się stąd ruszyć, on się na niego gapi.



Nie będzie łatwo ten telefon z powrotem ożywić. Gdy pamięć jest przepełniona, załadowanie kodu potrzebnego do usunięcia fałszywych wiadomości zajmuje sporo czasu - a na tym telefonie nie było opcji usuwania wszystkich niepotrzebnych wiadomości naraz, więc będzie musiał wyczyścić te tysiące SMS-ów pojedynczo.

Darryl wepchnął mnie do środka i wbił wzrok w drzwi. Chwilę później jego ramiona zaczęły się trząść. Przestraszyłem się, myśląc, że panikuje, ale gdy się odwrócił, zobaczyłem, że śmieje się tak mocno, że aż łzy spływają mu po policzkach.

- Galvez totalnie na niego najechała za przebywanie na korytarzu podczas lekcji i za wyjęcie telefonu. Szkoda, że nie widziałeś, jak na niego napadła. Ale miała radochę.

Uroczyście uścisnęliśmy sobie dłonie i ukradkiem wydostaliśmy się z korytarza, zeszliliśmy po schodach, potem tyłem przez drzwi i przez płot, wprost w objęcia wspaniałych popołudniowych promieni słonecznych padających na dzielnicę Mission. Valencia Street nigdy jeszcze nie wyglądała tak dobrze. Spojrzałem na zegarek i krzyknąłem.

- Szybko! Za dwadzieścia minut mamy się spotkać przy tramwaju z resztą ekipy!

Van Spozrzęła nas pierwsza. Wmieszała się w grupę koreańskich turystów, co było jej ulubioną formą kamuflażu podczas wagarów. Od kiedy moblogi ze zdjęciami wagarowiczów stały się popularne, nasz świat wypełnił się wścibskimi sklepikarzami i hipokrytami, którzy robią nam zdjęcia, żeby potem umieścić je w internecie, tak by władze szkolne mogły nas śledzić.

Wyszła z tłumu i energicznie ruszyła w naszą stronę. Darryl kochał się w Van od zawsze, a ona była na tyle urocza, by udawać, że nic o tym nie wie. Uścisnęła mnie, a potem podeszła do Darryla i obdarowała go siostrzanym całusem w policzek, po którym zaczerwienił się aż po czubki uszu.

Tych dwoje tworzyło zabawną parę. Darryl był trochę przy kości, ale to do niego pasowało, miał nieco różową cerę, która czerwieniała się na policzkach, gdy tylko coś wzbudziło jego emocje. Zapuścił brodę już w wieku czternastu lat, ale na szczęście zaczął się golić po krótkim okresie zwanym przez naszą ekipę „latami Lincolna”. Poza tym był wysoki. Bardzo, bardzo wysoki. Jak koszykarz.

Tymczasem Van była o pół głowy niższa ode mnie i chuda, miała proste czarne włosy - zaplatała je w szalone, wymyślne warkocze, których wzory wyszukiwała w sieci. Miała ładną miedzianą skórę i ciemne oczy. Uwielbiała duże kolczyki ze szklanymi wisiorkami wielkości rzodkiewek, które uderzały o siebie w tańcu.

- Gdzie jest Jolu? - zapytała.

- Jak się masz, Van? - zdławionym głosem powiedział Darryl.

W rozmowach z nią zawsze wszystkich wyprzedzał.

- Świetnie, D. A jak się miewa twój mały... brat?

Ech, była bardzo niegrzeczna dziewczynką. Darryl omal nie zemdlał.

Przed społeczną kompromitacją ocalił go Jolu, który właśnie wtedy pojawił się w swojej za dużej skórzanej bejsbolowej kurtce, tenisówkach i czapce z daszkiem z podobizną naszego ulubionego meksykańskiego zamaskowanego zapaśnika El Santo Juniora. Jolu to José Luis Torrez, ostatni członek naszej czwórki. Uczęszczał do potwornie rygorystycznej katolickiej szkoły w dzielnicy Outer Richmond, więc niełatwo było mu się wyrwać. Chociaż zawsze mu się to udawało: nikt tak nie eksfiltrował jak nasz Jolu. Lubił swoją kurtkę, bo była bardzo długa - co jest dość modne w niektórych częściach miasta - i zakrywała te badziewne symbole katolickiej szkoły, które działały jak płachta na byka na tych wścibskich cymbałów, co to mieli moblogi ze zdjęciami wagarowiczów dodane do zakładki w swoich komórkach.

- Gotowi? - zapytałem, gdy już wszyscy się przywitaliśmy. Wyjąłem telefon i pokazałem im mapę, którą ściągnąłem w metrze. -

Z tego, co widzę, jesteście niedaleko. Musimy się wrócić do hotelu Nikko, potem jeden blok dalej na O'Farrell Street, później w lewo aż do Van Ness Avenue. Gdzieś tam powinniśmy znaleźć sygnał sieci bezprzewodowej. Van zrobiła minę.

- To okropna część Tenderloin.

Musiałem przyznać jej rację. To jedna z najbardziej dziwnych części San Francisco - wchodzi się do niej frontowym wejściem hotelu Hilton, gdzie zaczyna się ta cała turystyczna masakra w stylu kolejek linowych i rodzinnych restauracji. Jeśli pójdziecie w drugą stronę, znajdziecie się w 'Loin, miejscu o największym natężeniu prostytutek-transwestytów, najgorszego rodzaju alfonsów, nawołujących sykiem dilerów narkotyków i stukniętych bezdomnych. To, czym handlowali, nie dotyczyło jeszcze osób z naszego rocznika (choć w 'Loin interesy prowadziło wiele prostytutek w naszym wieku).

- Spójrz na to optymistycznie - powiedziałem. - Mamy tam pójść w biały dzień. Żaden z graczy nie dotrze tam przynajmniej do jutra. W branży ARG nazywamy to g i g a n t y c z n ą p r z e w a g ą .

Jolu uśmiechnął się do mnie.

- To brzmi nieźle - powiedział.

- To lepsze niż wcinanie uni - odparłem.

- Zamierzamy gadać czy wygrać? - wtrąciła Van. Była tuż po mnie najlepszym graczem w grupie. Traktowała grę bardzo, bardzo poważnie.

Całą czwórką ruszyliśmy w drogę, żeby rozszyfrować nową wskazówkę, wygrać - i stracić wszystko, na czym nam zależało, na zawsze. Fizycznym elementem dzisiejszej wskazówki był zestaw współrzędnych GPS - istniały współrzędne dla wszystkich głównych miast, w których rozgrywano Harajuku Fun Madness - dzięki nim mieliśmy odnaleźć sygnał sieci bezprzewodowej. Sygnał ten był celowo zagłuszony przez inny, schowany obok nadajnik Wi-Fi, tak żeby nie mogły go odnaleźć konwencjonalne detektory Wi-Fi - małe gadzety informujące was o tym, że znaleźliście się w zasięgu czyjejś sieci, z której możecie za darmo korzystać.

Mieliśmy wytropić lokalizację „ukrytej” bezprzewodówki, mierząc moc sieci „widocznej” i odnajdując miejsce, gdzie w pewien tajemniczy sposób stawała się najślabsza. Tam mieliśmy znaleźć kolejną wskazówkę - ostatnim razem była ukryta w daniu dnia w Anzu, eleganckiej restauracji sushi w hotelu Nikko w Tenderloin. Nikko należał do Japońskich Linii Lotniczych, jednego ze sponsorów Harajuku Fun Madness, więc kiedy w końcu udało nam się wytropić wskazówkę, cały personel skakał wokół nas. Podali nam miseczki z zupą miso, żebyśmy spróbowali uni, czyli sushi zrobionego z jeżowców, o konsystencji bardzo roztopionego sera i zapachu bardzo rzadkich psich odchodów. Ale smakowało naprawdę dobrze. Przynajmniej tak mówił Darryl. Ja nie miałem zamiaru tego próbować.

Za pomocą swojego wbudowanego w telefon detektora Wi-Fi, mniej więcej w odległości trzech przecznic od O'Farrell Street, zaraz przed Hyde Street i naprzeciwko podejrzanego salonu masażu azjatyckiego, w którego oknie migał czerwony napis ZAMKNIĘTE, złapałem sygnał sieci bezprzewodowej. Nazwa sieci brzmiała HarajukuFM, więc wiedzieliśmy, że znaleźliśmy się w dobrym miejscu.

- Jeśli to tutaj, to ja nie idę - rzekł Darryl.

- Czy wszyscy macie swoje detektory Wi-Fi? - zapytałem. Darryl i Van mieli je wbudowane w swoje telefony, ale Jolu, który był zbyt wyluzowany, żeby nosić telefon większy od swojego małego palca, wziął oddzielny kieszonkowy detektor.

- Dobra, rozejdziemy się i zobaczymy, co znajdziemy. Szukacie miejsca, w którym nagle przycichnie sygnał i w miarę jak będziecie się wzdłuż niego poruszać, będzie stawał się coraz słabszy.

Zrobiłem krok do tyłu i stanąłem komuś na palcach. Kobiety głos krzyknął: „Aaa!”, więc odwróciłem się w obawie, że jakaś naćpana prostytutka zadźga mnie za to, że złamałem jej obcasy.

Zamiast tego znalazłem się twarzą w twarz z dziewczyną w moim wieku. Miała gęstą czuprynę jasnoróżowych włosów i twarz o rysach gryzonia, na której tkwiły wielkie okulary przeciwsłoneczne wyglądające

jące praktycznie jak gogle pilota. Ubrana była w pasiaste rajstopy wynurzające się spod czarnej babcinej sukienki, do której przypiętomnośćwo japońskich ozdobnych maskotek - postaci z anime, dawnych światowych przywódców oraz nalepek z zagranicznych napojów gazowanych.

Podniosła aparat i zrobiła nam wszystkim zdjęcie.

- Uśmiech - zawołała. - Jesteście w ukrytej kamerze szpiegującej.

- O, nie - odparłem. - Nie zrobiłabyś...

- Zrobię to - rzekła. - Jeśli wasza czwórka nie zostawi wskazówki w spokoju i nie pozwoli jej wytropić mnie i mojej drużynie, to w ciągu trzydziestu sekund wyślę to zdjęcie do szkolnego ochroniarza. Możecie wrócić za godzinę, wtedy ten teren będzie należał do was. Myślę, że to więcej niż *fair*.

Za jej plecami dostrzegłem trzy inne dziewczyny w podobnych strojach - jedna miała niebieskie włosy, druga zielone, a trzecia fioletowe.

- Kim wy jesteście, drużyną lodów na patyku?

- Jesteśmy ekipą, która skopie wam tyłki w Harajuku Fun Madness - wyrecytowała. - A ja jestem osobą, która za sekundę prześle twoje zdjęcie i wpakuje cię w n i e m a ł e kłopoty.

Poczułem, że stojąca za mną Van rusza do przodu. Szkoła dla dziewcząt, do której chodziła, słynęła z takich klótni, więc byłem pewien, że zaraz rozwalą tym ciziom łby.

Wtedy świat zmienił się na zawsze.

Najpierw to poczuliśmy: to wywołujące mdłości szarpnięcie betonu pod stopami, które każdy Kalifornijczyk rozpoznaje instynktownie - t r z ę s i e n i e ziemi. Na początku miałem ochotę uciekać: „Gdy masz kłopoty i nie pomaga nic, wiew okrężną drogą, wrzeszcz i krzycz”. Ale później zdałem sobie sprawę, że znajdowaliśmy się w najbardziej bezpiecznym z możliwych miejsc, nie byliśmy w budynku, który mógłby się na nas zawalić, ani na środku ulicy, gdzie odłamki gzymsu mogłyby rozbić nam głowy.

Trzęsienia ziemi są niesamowicie ciche - w każdym razie na początku - ale to takie nie było. To był niewiarygodnie głośny huk, najgłośniejszy ze wszystkich, jakie dotychczas słyszałem. Ten dźwięk był tak druzgocący, że powalił mnie na kolana, zresztą nie tylko mnie. Darryl potrząsnął moim ramieniem i wskazał na miejsce ponad budynkami, wtedy to ujrzeliśmy: na północnym wschodzie, od strony zatoki, unosiła się ogromna czarna chmura.

Usłyszeliśmy kolejny huk, a chmura dymu zrobiła się jeszcze większa. Wszyscy znaleźliśmy ten rozpościerający się czarny kształt z filmów, na których się wychowaliśmy. Ktoś musiał wysadzić coś dużego w powietrze.

Rozległy się następne grzmoty i nastąpiły kolejne trzęsienia. W oknach wzdłuż całej ulicy pojawiły się twarze. Wszyscy patrzyliśmy na ten grzyb dymu w milczeniu.

Zawyły syreny.

Słyszałem już takie syreny - włączali je we wtorkowe południa, żeby sprawdzić system obrony cywilnej. Ale takie nieplanowane alarmy znałem jedynie ze starych filmów wojennych i gier wideo, w których ktoś bombarduje z góry kogoś innego. Syreny przeciwlotnicze. Łuuuuuuuu... - ten dźwięk sprawiał, że wszystko zdawało się mniej rzeczywiste.

- Meldować się w schronach.

To brzmiało niczym głos Boga dochodzący ze wszystkich stron naraz. Na słupach elektrycznych umieszczone były głośniki, których dotychczas nigdy nie dostrzegłem. Wszystkie odezwały się jednocześnie.

- Meldować się w schronach.

Schronach? Spojrzeliśmy po sobie zdezorientowani. W jakich schronach? Chmura unosiła się spokojnie, rozpościerając się coraz bardziej. Czy to wybuch atomowy? Czyżby to było nasze ostatnie tchnienie?

Dziewczyna z fioletowymi włosami chwyciła za ręce swoje koleżanki i razem zaczęły uciekać w popłochu w kierunku stacji metra i wzgórz.

- NATYCHMIAST MELDOWAĆ SIĘ W SCHRONACH.

Dookoła było dużo wrzasku i bieganiny. Turyści - zawsze można ich dostrzec, to ci, którzy myślą: KALIFORNIA = CIEPŁO i spędzają wakacje w San Francisco, marząc w swoich krótkich spodenkach i koszulkach - rozpierzchli się we wszystkich kierunkach.

- Powinniśmy iść! - wrzasnął mi do ucha Darryl, ale wśród wycia alarmów, do których dołączyły tradycyjne syreny policyjne, i tak ledwie mogłem go usłyszeć. Dziesiątki radiowozów SFPD\* mijają nas z wrzaskiem.

- NATYCHMIAST MELDOWAĆ SIĘ W SCHRONACH.

- Biegniemy do metra - wrzasnąłem. Wszyscy przytaknęli. Zwarliśmy szeregi i ruszyliśmy w dół ulicy.

\* SFPD (ang. San Francisco Police Department) - Wydział Policji San Francisco.

## ROZDZIAŁ 3

W drodze do stacji Powell Street minęliśmy wielu ludzi. Biegli lub szli, mieli blade twarze, milczeli bądź krzyczeli i panikowali. Obserwujący to wszystko bezdomni kulili się ze strachu w drzwiach, a wysoka czarnoskóra prostytutka-transwestyta z jakiegoś powodu wrzeszczała na dwóch młodych facetów z wąsami.

Im bardziej zbliżaliśmy się do metra, tym większy był ścisk. Przed wejściem na schody prowadzące na peron natrafiliśmy na scenę zbiorową: ogromna masa ludzi starała się sforsować wąskie przejście. Stałem z twarzą wciśniętą w czyjeś plecy, a na moje napierał ktoś inny.

Darryl znajdował się wciąż obok mnie - był dość duży, więc trudno go było popchnąć, a Jolu stał zaraz za nim, prawie wisząc na jego biodrach. Kilka metrów dalej dostrzegłem uwięzioną przez tłum Vanessę.

- Odpieprz się! - usłyszałem za sobą krzyk Van. - Zboczeniec! Trzymaj łapy przy sobie!

Odwrociłem się, stawiając opór tłumowi, i ujrzałem Van patrzącą z odrazą na starszego faceta w porządnym garniturze, który uśmiechał się do niej znacząco. Szperała w torbie i wiedziałem, czego szuka.



- Nie używaj gazu! - krzyknąłem ponad zgiełkiem. - Wszystkich nas udusisz.

Na dźwięk słowa „gaz” facet się wystraszył i przepadł, mimo że tłum wciąż niósł go do przodu. Zauważyłem, że jakaś kobieta w średnim wieku ubrana w hippisowską sukienkę zasłabła i upadła. Krzyzczała. Widziałem, jak wymachuje rękami, starając się wstać, ale nie mogła. Motłoch naciskał zbyt mocno. Zbliżyłem się do niej i nachyliłem, omal się nie przewracając. Skończyłem, stąpając po jej brzuchu, niesiony przez prący przed siebie tłum. Myślę, że wtedy już niczego nie czuła.

Nigdy jeszcze nie byłem tak przerażony. Wszędzie rozlegały się krzyki, na podłodze leżało coraz więcej ciał, a tłum napierał z tyłu nieustępliwie niczym buldożer. Robiłem wszystko, co mogłem, żeby utrzymać się na własnych nogach.

Zostaliśmy wepchnięci do otwartej hali, w której znajdowały się bramki metra. Tutaj wcale nie było lepiej - w tej zamkniętej przestrzeni głośy wokół nas rozbrzmiewały ryczącym, dzwoniącym w gło-wie echem, a zapach i napór tych wszystkich ciał wywołał we mnie poczucie klaustrofobii, o którą nigdy siebie nie podejrzewałem.

Ludzie tłoczyli się wzdłuż schodów, a jeszcze więcej osób przeciskało się przez obrotowe bramki i ruchome schody prowadzące na perony. Wiedziałem już, że to się dobrze nie skończy.

- Chcesz zaryzykować i wydostać się na górę? - zapytałem Darryla.

- Tak, cholera, tak - powiedział. - Ale masakra.

Spojrzałem na Vanesę - w żaden sposób nie mogła mnie usłyszeć. Wyjąłem telefon i wysłałem jej SMS-a.

> Spadamy stąd

Zobaczyłem, że poczuła wibracje telefonu, spojrzała na niego, potem na mnie i przytaknęła energicznie. Tymczasem Darryl dał znać Jolu.

- Jaki masz plan? - Darryl krzyknął mi do ucha.

- Będziemy musieli wrócić! - odkrzyknąłem, wskazując na nieprzebrany tłok ciał.

- To niemożliwe! - powiedział.

- Jeśli będziemy dłużej czekać, stanie się to jeszcze bardziej niemożliwe!

Wzruszył ramionami. Van jakoś się do mnie dopchała i chwyciła mnie za biodra. Ja złapałem Darryla, a Darryl złapał drugą ręką Jolu i tak zaczęliśmy przepychać się na zewnątrz.

To nie było proste. Początkowo poruszaliśmy się około dziesięciu centymetrów na minutę, potem, gdy dostaliśmy się na schody, zwolniliśmy jeszcze bardziej. Ludzie, których mijaliśmy, nie byli zachwyceni, ponieważ spychaliśmy ich z drogi. Kilku nas przekląło, a jeden facet wyglądał tak, jakby strasznie chciał mi przyłożyć, gdyby tylko udało mu się uwolnić ręce. Przeszliśmy po trzech kolejnych zgniecionych, leżących pod nami ciałach, ale w żaden sposób nie mogliśmy im pomóc. Zresztą wtedy nawet nie myślałem o pomaganiu. Wszystkie moje myśli były skupione na tym, żeby wcisnąć się w jakieś puste miejsce z przodu, na Darrylu, który z całej siły ścisnął mi nadgarstek, i na kurczowym uścisku dłoni, za którą trzymałem idącą za mną Van.

Minęła cała wieczność, zanim wystrzeliliśmy na zewnątrz jak korki od szampana, mrużąc oczy w jasnym świetle. Wszędzie unosił się dym. Alarmy przeciwlotnicze nadal wyły, a odgłosy syren wydobywających się z pojazdów uprzywilejowanych gnających po Market Street były jeszcze głośniejsze. Na ulicach nie było już prawie nikogo - tylko ludzie, którzy rozpaczliwie starali się przedostać do metra. Wielu z nich płakało. Zauważyłem kilka pustych ławek - zazwyczaj obleganych przez obdartych pijacków - i wskazałem na nie.

Ruszyliśmy w ich kierunku, kuląc się i garbiąc od dźwięku syren i dymu. Gdy dotarliśmy do ławek, Darryl padł jak długi.

Wszyscy krzyknęliśmy, a Vanessa chwyciła go i odwróciła. Po jednej stronie jego koszulki widniała czerwona, powiększająca się plama.

Van podwinęła ubranie, odsłaniając długą, głęboką ranę na jego pulchnym boku.

- Jakiś wariat dźgnął go w łumie - powiedział Jolu, zaciskając pięści. - Jezu, to okropne.

Darryl jęknął i spojrział na nas, potem na swój bok, potem znowu jęknął, a jego głowa opadła z powrotem na ławkę.

Vanessa zdjęła swoją dżinsową kurtkę i bawełnianą bluzę z kapturem, którą nosiła pod spodem. Złożyła ją i przycisnęła do boku Darryla.

- Złap go za głowę - powiedziała do mnie. - Trzymaj ją uniesioną.

Potem zwróciła się do Jolu:

- Podnieś mu nogi. Zwiń swój płaszcz albo coś innego.

Jolu wziął się szybko do roboty. Matka Vanessy była pielęgniarzką i dlatego co roku na letnich obozach dziewczyna przechodziła kurs ratownictwa. Uwielbiała patrzeć, jak aktorzy w filmach, udzielając pierwszej pomocy, popełniają błędy, i robiła sobie z nich jaja. Tak bardzo się cieszyłem, że teraz była z nami.

Siedzieliśmy tam przez dłuższy czas, przyciskając bluzę do boku Darryla. Uparł się, że nic mu nie jest i że powinniśmy pozwolić mu wstać, a Van wciąż powtarzała, żeby się zamknął i leżał spokojnie, zanim skopie mu tyłek.

- A może zadzwonić po pogotowie? - zaproponował Jolu.

Czułem się jak idiota. Błyskawicznie wyciągnąłem telefon i wystukałem 911. Było zajęte, ale sygnał, który odebrałem, brzmiał niczym skowyt systemu telefonicznego. Taki dźwięk może się pojawić tylko wtedy, gdy trzy miliony ludzi wybiera jednocześnie ten sam numer. Komu potrzebne są botnety, skoro mamy terrorystów?

- A może Wikipedia? - powiedział Jolu.

- Nie mamy telefonu, nie mamy danych - odparłem.

- A oni? - zapytał Darryl, wskazując na ulicę. Podążyłem wzrokiem za jego palcem, myśląc, że zobaczę glinę lub personel medyczny,

ale nikogo tam nie było.

- W porządku, stary, po prostu odpoczywaj - rzekłem.

- Nie, idioto, chodzi o tych gliniarzy w samochodach! O, tam!

Miał rację. Co pięć sekund przemykał obok nas samochód policyjny, karetka lub strażacy. Przecież mogli nam pomóc. Byłem skończonym idiotą.

- Dalej - powiedziałem - zaniemiemy cię tam, żeby mogli cię zauważyć i się zatrzymać.

Vanessie nie spodobał się ten pomysł, ale pomyślałem, że gliniarze nie zatrzymają się dla dzieciaka wymachującego czapką na ulicy, nie dzisiaj. A mogą to zrobić, widząc krwawiącego Darryla. Szybko ją do tego przekonałem, ale to Darryl podjął ostateczną decyzję, podnosząc się i chwiejnym krokiem wlokąc w kierunku Market Street.

Pierwszy z pojazdów, który z wyciem przemknął obok nas - karetka - nawet nie zwolnił. Nie zatrzymał się również radiowóz ani samochód strażacki, ani następne trzy wozy policyjne. Darryl nie był w najlepszej formie - miał bladą twarz i zadyszkę. Bluza Vanessy była przesiąknięta krwią.

Miałem już dosyć przejeżdżających tuż obok mnie samochodów. Gdy kolejny z nich pojawił się na Market Street, wyszedłem wprost na jezdnię, machając rękami nad głową i krzyząc:

- S t a ć !

Pojazd zakołysał się i stanął. Dopiero wtedy zauważyłem, że nie był to samochód policyjny ani strażacki, ani nawet karetka.

Wyglądał jak wojskowy jeep, jak opancerzony hummer, jednak brakowało na nim wojskowych oznaczeń. Zatrzymał się gwałtownie tuż przede mną. Odskokczyłem, straciłem równowagę i upadłem. Czuję, jak obok otwierają się drzwi, a para nóg w ciężkich butach zbliża się do mnie. Podniosłem wzrok i spostrzegłem grupę facetów w kombinizonach, z wielkimi karabinami w dłoniach i w przyciemnianych maskach przeciwgazowych na twarzach. Wyglądali na wojskowych.

Ledwo zdążyłem ich zauważyć, gdy wycelowali we mnie karabiny.

Nigdy wcześniej nie spoglądałem w nabitą lufę, ale wszystko, co słyszeliście na temat tego doświadczenia, jest prawdą. To widok, który sprawia, że zastygacie w miejscu, czas się zatrzymuje, a w uszach rozbrzmiewa dudnienie serca. Otwarłem usta, zamknąłem je, a potem bardzo powoli uniosłem przed siebie ręce.

Stojący nade mną mężczyzna bez twarzy i oczu celował wprost we mnie. Wstrzymałem oddech. Van coś krzyczała, Jolu wrzeszczał i kiedy na sekundę na nich spojrzałem, ktoś włożył mi na głowę chropowaty worek i zacisnął go mocno wokół tchawicy, tak szybko i tak gwałtownie, że zanim zdążyłem nabrać powietrza, był już założony. Ktoś brutalnie, lecz obojętnie uderzył mnie w brzuch, po czym związał mi czymś podwójnie nadgarstki, ściskając je mocno. To musiała być jakaś taśma, bo potwornie wrzynąła się w skórę. Krzyknąłem, lecz mój głos został stłumiony przez worek.

Byłem pogrążony w całkowitej ciemności i wyęczałem słuch, żeby zrozumieć, co się dzieje z moimi przyjaciółmi. Poprzez tłumiące dźwięki płótno słyszałem, jak krzyczą. Potem ktoś, podnosząc mnie za nadgarstki, postawił mnie na nogi, wykręcając ręce za plecami i powodując potworny ból ramion.

Potknąłem się. Jakaś ręka pchnęła moją głowę w dół i znalazłem się w hummerze. Inni również zostali brutalnie wepchnięci do środka, tuż obok mnie.

- Chłopaki? - krzyknąłem i zarobiłem ostry cios w głowę. Usłyszałem odpowiedź Jolu, a potem walnięcie, które tym razem dostało się jemu. W głowie mi dzwoniło, jakby w jej wnętrzu ktoś walił w gong.

- Hej - zwróciłem się do żołnierzy. - Hej, słuchajcie! Jesteśmy tylko licealistami. Chciałem was zatrzymać, bo mój przyjaciel krwawi. Ktoś go dźgnął.

Nie miałem pojęcia, ile z tego, co mówiłem, było słyhać przez ten worek. Ale nie przerwałem.

- Posłuchajcie, to jakieś nieporozumienie. Musimy zawieźć naszego kolegę do szpitala...

Znowu ktoś walnął mnie czymś w głowę. Miałem wrażenie, że używał policyjnej pałki czy czegoś w tym stylu - nigdy w życiu nie dostałem czymś tak twardym. Moje oczy zaczęły tonąć we łzach i z bólu dosłownie nie mogłem oddychać. Sekundę później złapałem oddech, ale niczego już nie powiedziałem. Jedną lekcję miałem za sobą.

Kim byli ci pajace? Nie mieli żadnych odznaczeń. A może to terroryści! Nigdy wcześniej tak naprawdę w nich nie wierzyłem - to znaczy wiedziałem, że gdzieś tam na świecie istnieją jacyś abstrakcyjni terroryści, ale do tej pory nie stanowili dla mnie rzeczywistego zagrożenia. Świat mógł mnie zgładzić na milion różnych sposobów - począwszy od tego, że mógł rozjechać mnie jakiś pijaczyna prująco Valencia Street; to było znacznie bardziej prawdopodobne. Terroryści stanowili o wiele rzadszą przyczynę śmierci niż upadki pod prysznicem czy porażenie prądem elektrycznym. Zamartwianie się nimi wydawało mi się tak bezużyteczne jak myślenie o uderzeniu pioruna.

Siedząc z głową w worku i rękami związanymi za plecami, kołysząc się do przodu i do tyłu na tylnym siedzeniu hummera, podczas gdy guzy puchły na mojej głowie, poczułem, że terroryzm jest o wiele bardziej niebezpieczny.

Samochód zakołysał się w obie strony i przechylił się tak, jakby jechał pod górę. Wydedukowałem, że przejeżdżamy przez Nob Hill, i sądząc po nachyleniu, podążaliśmy jedną z bardziej stromych ulic - to była pewnie Powell Street.

Teraz zjeżdżaliśmy po równie stromym zboczu. Jeśli moja mentalna mapa się nie myliła, zmierzaliśmy w kierunku nabrzeża do dzielnicy Fisherman's Wharf. Stamtąd można się przedostać na łódź i uciec. To by się zgadzało z hipotezą o terroryzmie. Tylko dlaczego, do diabła, terroryści mieliby porywać licealistów?

Samochód zatrząsł się i zatrzymał na zboczu. Silnik zgasł i drzwi się otworzyły. Ktoś wyciągnął mnie za rękę na drogę, potem pchnął. Potykając się, wypadłem na wybrukowaną ulicę. Kilka sekund później potknąłem się o stalowe schody, uderzając się w piszczele. Ktoś, kto

stał za mną, popchnął mnie ponownie. Zacząłem ostrożnie wchodzić po schodach, nie mogąc skorzystać z pomocy własnych rąk. Dotarłem do trzeciego stopnia i już miałem stanąć na czwartym, ale go tam nie było. Znowu o mało nie upadłem, lecz jakaś nowa para rąk chwyciła mnie z przodu, pociągnęła po stalowej podłodze i rzuciła na kolana, przypinając moje dłonie do czegoś, co znajdowało się za mną.

Poczułem jakiś ruch i ciała przykuwane obok mnie. Jęk i stłumione dźwięki. Śmiech. Potem długa, ponadczasowa wieczność w głuchym mroku, odgłos nabieranego powietrza, wsłuchiwanie się we własny rozbrzmiewający w uszach oddech.

Nawet udało mi się zdrzemnąć. Gdy kłęzałem, krew przestała dopływać do moich nóg, a głowa była pogrążona w płóciennym mroku. W ciągu trzydziestu minut moje ciało wstrzyknęło do krwiobiegu całoroczną dawkę adrenaliny. Niestety, zanim ta cudowna substancja wyposaży was w siłę, dzięki której będziecie mogli podnosić samochody przygniatające waszych najbliższych i przeskakiwać przez wysokie budynki, musicie najpierw zapłacić parszywą cenę.

Obudziłem się, gdy ktoś ściągnął worek z mojej głowy. Ten ktoś nie był ani brutalny, ani ostrożny - był po prostu... obojętny jak pracownik McDonald's robiący hamburgery.

Światło w pokoju było tak jasne, że musiałem zamknąć oczy. Powoli zacząłem podnosić powieki, z początku mrużąc je mocno, potem trochę mniej, aż w końcu otworzyłem je całkowicie i rozejrzałem się dookoła.

Wszyscy znajdowaliśmy się na tyłach dużej szesnastokątowej ciężarówki. Widziałem obręcze kół umiejscowione regularnie wzdłuż całej przyczepy, którą przekształcono w pewnego rodzaju ruchome stanowisko dowodzenia albo więzienie. Wzdłuż ścian rozmieszczone były stalowe biurka, a na nich znajdowały się płaskie monitory na wysięgnikach wyglądające jak aureole nad głowami użytkowników. Przy każdym biurku stał wypasiony fotel biurowy z wbudowanym

panelem sterującym, dzięki któremu można było co do milimetra dostosować jego wysokość, kąt nachylenia i tym podobne bajery.

Dalej znajdowała się część więzienna - z przodu ciężarówki, najdalej od drzwi, do ścian pojazdu przyśrubowane były stalowe pręty, do których przykuto więźniów.

Van i Jolu zauważyłem od razu. Darryl mógł znajdować się wśród pozostałych kilkunastu osób przykutych z tyłu, ale niczego nie mogłem stwierdzić na pewno - wielu z nich się osunęło, zasłaniając mi widok. Wszędzie unosił się odór potu i strachu.

Vanessa spojrzała na mnie i przygryzła usta. Była wystraszona. Tak jak ja. I jak Jolu, który obracał oczami jak opętany, błyskając białkami. Byłem przerażony. A poza tym cholernie chciało mi się sikać.

Rozejrzałem się dookoła w poszukiwaniu porywaczy. Do tej pory starałem się unikać, jak ktoś, kto nie spogląda w ciemne wnętrza szafy, w której jego wyobraźnia wyczarowała jakieś straszdyło. Nikt nie chce się przekonać, czy ma rację.

Ale ja musiałem spojrzeć na tych drani, którzy nas porwali. Chciałem sprawdzić, czy to terroryści. Nie wiedziałem, jak wygląda terrorysta, chociaż programy telewizyjne robiły, co mogły, żeby mnie przekonać, że są to ciemnoskórzy Arabowie z długimi brodami, w czapczkach wydzierganych na szydelku i w luźnych bawełnianych sukienkach po kostki.

Nasi porywacze tak nie wyglądali. Mogliby robić na pół etatu za czirliderki w finałowych rozgrywkach amerykańskiej ligi futbolu. W jakiś sposób, którego nie potrafiłem określić, wyglądali po a m e r y - k a n s k u . Szerokie podbródki, krótkie, schludne fryzury, niezupełnie w wojskowym stylu. Byli tam mężczyźni i kobiety, biali i ciemnoskórzy, uśmiechali się swobodnie do siebie, siedząc na drugim końcu ciężarówki, żartując i popijając kawę z jednorazowych kubków. To nie byli Arabowie z Afganistanu - wyglądali niczym turyści z Nebraski.

Spojrzałem na jedną z osób, młodą białą kobietę o brązowych włosach, chyba niewiele starszą ode mnie, która w swoim stroju



*bizneswoman* wyglądała nawet uroczo. Jeśli będziecie patrzeć na kogoś dość długo, ten ktoś w końcu skieruje na was swój wzrok. Spojrzała na mnie, a wyraz jej twarzy uległ natychmiastowej zmianie, stał się obojętny, prawie jak u robota. Uśmiech zniknął w jednej chwili.

- Hej - powiedziałam. - Nie rozumiem, co się tutaj dzieje, ale naprawdę muszę się odlać, kapujesz?

Spojrzała na mnie obojętnie, jakby nie usłyszała moich słów.

- Mówię poważnie, jeśli zaraz nie pójde do kibla, to przydarzy się niemiły wypadek. Tu, z tyłu, zacznie nieźle śmierdzieć.

Odwróciła się do małej trzyosobowej grupki swoich kolegów, z którymi przeprowadziła cichą rozmowę. Nie mogłem jej usłyszeć wśród hałasu wentylatorów dochodzącego z komputerów.

Odwróciła się znowu do mnie.

- Powstrzymaj się jeszcze przez dziesięć minut, potem wszyscy będziecie mogli się odlać.

- Myślę, że nie wytrzymam przez kolejne dziesięć minut - odrzekłem nad wyraz zniecierpliwionym głosem. - Naprawdę, proszę pani, teraz albo nigdy.

Potrząsnęła głową i spojrzała na mnie jak na żalostną ofiarę losu. Wymieniła ze swoimi kumplami jeszcze kilka uwag, po czym jeden z nich podszedł do mnie. Był starszy, miał lekko ponad trzydziestkę i dość szerokie barki, jakby sporo ćwiczył na siłowni. Wyglądał na Chińczyka lub Koreańczyka - nawet Van czasem nie potrafi ich rozróżnić - ale w jakiś bliżej nieokreślony sposób jego zachowanie wskazywało na to, że jest Amerykaninem.

Odchylił połę swojej sportowej kurtki, tak żebym zobaczył przypiętą tam broń. Zanim kurtka opadła z powrotem, rozpoznałem pistolet, paralizator elektryczny i puszkę gazu łzawiącego lub pieprzowego.

- Tylko bez numerów - rzekł.

- Jasne - przytaknąłem.

Dotknął czegoś, co było przymocowane do jego paska, i kajdanki za moimi plecami się otwarły, a moje ręce nagle opadły. Wyglądało to tak, jakby nosił pas Batmana - z bezprzewodowym pilotem do odpinania kajdanek! Pomyślałem, że to mimo wszystko ma sens. Przecież lepiej nie nachylać się nad więźniami z całym tym uzbrojeniem tuż przed ich oczami - mogliby chwycić za broń zębami i pociągnąć za spust językiem lub coś w tym rodzaju.

Ręce miałem nadal związane za plecami plastikową taśmą i teraz, gdy nie podtrzymywały ich kajdanki, poczułem, że od klęczenia wciąż w tej samej pozycji moje nogi zrobiły się jak z waty. Krótko mówiąc, upadłem na twarz, z trudem wierzgając ścierpiętymi nogami i starając się podwinąć je pod siebie, tak żeby móc wstać.

Facet gwałtownym ruchem postawił mnie na nogi. Krokiem klau-na pomaszerowałem na sam tył ciężarówki do małej przenośnej ubikacji. Staralem się wypatrzeć Darryla, ale mogła nim być każda z tych pięciu czy sześciu pochylonych postaci. Lub żadna z nich.

- Właż - powiedział mężczyzna.

Szarpnąłem nadgarstkami.

- Czy mógłby mi pan to zdjąć?

Po godzinnym ucisku plastikowych taśm moje palce wyglądały jak sine parówki.

Mężczyzna się nie poruszył.

- Proszę zrozumieć - powiedziałem, starając się, żeby mój głos nie brzmiał sarkastycznie ani gniewnie (co nie było łatwe). - Proszę zrozumieć. Albo rozwiąże mi pan ręce, albo będzie pan musiał za mnie trafić. Wizyta w toalecie wymaga użycia rąk.

Ktoś w ciężarówce zachichotał. Ten człowiek mnie nie lubił, poznałem to po tym, jak poruszał szczęką. Rany, ależ ci ludzie byli spięci.

Sięgnął w kierunku swojego pasa i podszedł z bardzo przyjemnym zestawem szwajcarskich scyzoryków. Wysunął gwałtownie groźnie wyglądający nóż i przeciął nim plastikową taśmę, kolejny raz uwalniając mi ręce.

- Dziękuję - powiedziałem.

Wepchnął mnie do toalety. Moje dłonie były bezużyteczne niczym bryły gliny przytwierdzone do rąk. Gdy poruszyłem palcami, poczułem w nich mrowienie, które następnie przerodziło się w tak ostre pieczenie, że omal nie krzyknąłem. Opuściłem klapę, zdjąłem spodnie i usiadłem. Nie ufałem swoim nogom na tyle, żeby stać.

Poczułem ulgę tak w pęcherzu, jak i w oczach. Łkałem cicho, kołysząc się do tyłu i do przodu, a łzy i katar ciekły mi po twarzy. Tylko tyle byłem w stanie zrobić, żeby powstrzymać się od szlochów - zakryłem usta, tłumiąc wydobywające się z nich dźwięki. Nie chciałem dać satysfakcji swoim oprawcom.

W końcu się załatwiłem i wyplakałem, a pilnujący mnie mężczyzna zaczął łomotać w drzwi. Wytarłem twarz papierem toaletowym najdokładniej, jak mogłem, upchnąłem to wszystko do kibla i spuściłem wodę. Potem rozejrzałem się w poszukiwaniu zlewu, ale znalazłem tylko butelkę z przemysłowym płynem dezynfekującym do rąk z wypisaną drobnym drukiem listą żyjątek, na które działał. Wtarłem trochę tego płynu w ręce i wyszedłem z toalety.

- Coś ty tam robił? - zapytał mężczyzna.

- Korzystałem z ubikacji - odparłem. Odwrócił mnie, chwycił za rękę i poczułem, jak nowa para plastikowych kajdanek oplata mi dłoń. Moje nadgarstki momentalnie spuchły, ponieważ taśma wgryzła się brutalnie w delikatną skórę dokładnie w tym samym miejscu co poprzednia. Po raz drugi powstrzymałem się od krzyku.

Przykuł mnie z powrotem i chwycił kolejną osobę, którą, jak spostrzegłem, był Jolu. Miał opuchniętą twarz i paskudnego siniaka na policzku.

- Wszystko w porządku? - zapytałem go, lecz mój przyjaciel z pasem Batmana przyłożył mi rękę do czoła i mocno popchnął, uderzając moją głową o metalową ścianę ciężarówki, która wydała dźwięk podobny do zegara wybijającego pierwszą.

- Nie gadać - powiedział, podczas gdy ja próbowałem ponownie skupić wzrok.

Nie przepadałem za tymi ludźmi. Już wtedy postanowiłem, że za to wszystko zapłacą.

Więźniowie, jeden po drugim, szli do toalety i wracali, a kiedy skończyli, mój strażnik poszedł do swoich kumpli, żeby wypić kolejną kawę - zauważyłem, że piją ją z dużego kartonowego kubka ze Starbucksa - i odbyć jakąś niewyraźną rozmowę, przerywaną co jakiś czas gromkimi salwami śmiechu.

Potem drzwi z tyłu ciężarówki się otwarły i poczułem powiew świeżego powietrza, tym razem bez zapachu dymu, lecz z domieszką ozonu. Przez szczelinę w drzwiach, zanim te zupełnie się zamknęły, zauważyłem, że na zewnątrz jest już ciemno i pada deszcz, właściwie to była jedna z tych niby-mżawek, niby-mgieł typowych dla San Francisco.

Mężczyzna, który wszedł do środka, miał na sobie wojskowy mundur. Mundur amerykańskich sił zbrojnych. Zasalutował do ludzi w ciężarówce, a oni odpowiedzieli mu tym samym gestem i wtedy właśnie zrozumiałem, że nie byłem więźniem jakichś tam terrorystów - byłem więźniem Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Na końcu ciężarówki ustawili mały parawan i zaczęli do nas podchodzić, rozkuwając jednego po drugim i prowadząc na tył samochodu. Jak udało mi się mniej więcej obliczyć - odmierzając w głowie sekundy: jeden hipopotam, dwa hipopotamy - każde przesłuchanie trwało około siedmiu minut. Głowa mi pękała z odwodnienia i niedoboru kofeiny.

Byłem trzeci. Prowadziła mnie kobieta z drapieżną fryzurą, która nadawała jej wygląd wrednej suki, prawdziwa Miss Gestapo. Z bliska wyglądała na zmęczoną, miała worki pod oczami i ponure zmarszczki w kącikach ust.

- Dziękuję - powiedziałem automatycznie, kiedy odpięła mnie za pomocą pilota i postawiła na nogi. Nie znosiłem tej swojej automatycznej grzeczności, którą we mnie wpojono.

Nawet nie drgnęła. Poszła za mną na tył ciężarówki i kazała mi wejść za parawan. Stało tam rozkładane krzesło, na którym usiadłem. Dwoje z nich - Miss Gestapo i facet z pasem Batmana - spojrzęło na mnie ze swoich ergonomicznych superfoteli.

Pomiędzy nimi stał stolik, na którym rozrzucona była zawartość mojego portfela i plecaka.

- Cześć, Marcus - powiedziała kobieta. - Mamy do ciebie kilka pytań.

- Czy jestem aresztowany? - zapytałem.

To nie było bezsensowne pytanie. Jeśli nie jesteście aresztowani, istnieją granice, których gliny nie mogą w stosunku do was przekroczyć. Po pierwsze, nie mogą przetrzymywać was bez aresztowania, macie też prawo do wykonania telefonu i rozmowy z adwokatem. O rany, czy ja kiedykolwiek będę mógł porozmawiać z adwokatem?

- Do czego to służy? - zapytała, trzymając mój telefon.

Na ekranie wyświetliła się informacja o błędzie, która pojawia się zawsze, gdy ktoś próbuje dostać się do danych, nie znając prawidłowego hasła. To nie była zbyt grzeczna informacja - animowana ręka wykonująca pewien powszechnie znany gest - chciałem tylko dostosować sprzęt do swoich indywidualnych potrzeb.

- Czy jestem aresztowany? - powtórzyłem. Nie mogą was zmusić do udzielania odpowiedzi, jeśli nie zostaliście aresztowani, a jeśli pytacie, czy zostaliście aresztowani, muszą udzielić wam odpowiedzi. Takie są przepisy.

- Zostałeś zatrzymany przez Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego\* - warknęła kobieta.

- Czy jestem aresztowany?

- Lepiej zacznij z nami współpracować, Marcusie, i to już.

\* Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego (DBW) (ang. Department of Homeland Security, DHS) - agencja bezpieczeństwa wewnętrznego Stanów Zjednoczonych, którą utworzono po zamachach terrorystycznych z u września 2001 roku na World Trade Center i Pentagon. W Polsce odpowiednikiem tego departamentu jest Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji, MSWiA.

Nie dodała: „bo inaczej”, ale to było samo przez się zrozumiałe. Agenci wymienili między sobą spojrzenia.

- Według mnie naprawdę powinienes przemyśleć swoje podejście do tej sytuacji - ciągnęła kobieta. - Sądzę też, że powinienes to zrobić już teraz. Znaleźliśmy przy tobie kilka podejrzanych przedmiotów. A ciebie i twoich współników obok miejsca, w którym wydarzył się najgorszy atak terrorystyczny w historii tego kraju. Jeśli połączysz ze sobą te dwa fakty, to sprawy nie wyglądają dla ciebie najlepiej, Marcusie. I albo zaczniesz z nami współpracować, albo będziesz tego bardzo, bardzo żałował. A teraz, do czego to służy?

- Myślicie, że jestem terrorystą? Mam siedemnaście lat!

- To odpowiedni wiek, Al-Kaida uwielbia rekrutować łatwowierne, idealistyczne dzieciaki. Wiesz, sprawdziliśmy cię w internecie. Umieściłeś sporo brzydkich rzeczy w sieci.

- Chcę rozmawiać z moim adwokatem - odparłem.

Miss Gestapo spojrzała na mnie jak na świra.

- Odnosisz mylne wrażenie, że zostałeś złapany przez policję za popełnienie przestępstwa. Otrząśnij się. Zostałeś zatrzymany przez rząd Stanów Zjednoczonych jako potencjalny wrogi bojownik. Na twoim miejscu bardzo poważnie bym się zastanawiała, jak nas przekonać, że nie jesteś wrogiem bojownikiem. Bardzo poważnie. Ponieważ istnieją czarne dziury, w których wrodzy bojownicy mogą zniknąć. Bardzo czarne, głębokie dziury, dziury, w których możesz się po prostu ulotnić. Na zawsze. Czy ty mnie słuchasz, młody człowieku? Chcę, żebyś odblokował ten telefon i rozszyfrował znajdujące się w jego pamięci pliki. Chcę, żebyś nam wyjaśnił: Dlaczego byłeś na ulicy? Co wiesz na temat tego ataku?

- Nie zamierzam odblokować wam mojego telefonu - rzuciłem oburzoną tonem. W jego pamięci znajdowała się cała masa prywatnych rzeczy: zdjęcia, e-maile, małe zainstalowane przeze mnie przeróbki. - To rzeczy prywatne.

- Co masz do ukrycia?

- Mam prawo do prywatności - odparłem. - I chcę rozmawiać z moim adwokatem.

- To twoja ostatnia szansa, mały. Uczciwi ludzie nie mają niczego do ukrycia.

- Chcę rozmawiać z adwokatem.

Moi rodzice za to zapłacą. Wszystkie strony FAQ\* były co do tego zgodne. Po prostu zabiegajcie o możliwość rozmowy z adwokatem, bez względu na to, co powiedzą lub zrobią. Z rozmowy z glinami bez adwokata nigdy nic dobrego nie wynika. Ale ci dwoje powiedzieli, że nie są glinami, więc jeśli to nie jest areszt, to co?

Z perspektywy czasu myślę, że może powinienem był im wtedy odblokować ten telefon.

\* *Frequently Asked Questions* (ang.) - to zbiory najczęściej zadawanych pytań i odpowiedzi na nie, tworzone głównie w tym celu, aby uniknąć ciągłego odpowiadania na powtarzające się kwestie.

## ROZDZIAŁ 4

Ponownie zakuli mnie w kajdanki, na głowę założyli worek i zostawili. Minęło sporo czasu, zanim ciężarówka ruszyła, tocząc się z górki. Wtedy udało mi się podciągnąć i stanąć. Natychmiast upadłem. Moje nogi były tak zdrętwiałe, że sprawiały wrażenie brył lodu, całe prócz kolan, które po tych kilku godzinach klęczenia stały się opuchnięte i wrażliwe.

Czyjeś ręce chwyciły mnie za ramiona i stopy i podniosły jak worek ziemniaków. Wokół mnie rozlegały się niewyraźne głosy. Ktoś płakał. Ktoś przeklinał.

Przeniesiono mnie nieopodal i przykuto ponownie do kolejnej poręczy. Nie mogłem dłużej utrzymać się na kolanach. Upadłem na twarz, zwijając się w kłębek i naprężając skute łańcuchem ręce.

Ruszyliśmy dalej, lecz tym razem to nie była już jazda ciężarówką. Podłoga pode mną podskakiwała delikatnie, drżąc pod wpływem ciężkich silników Diesla. Zdałem sobie sprawę, że jestem na statku! Czulem, jak mój żołądek zamienia się w lód. Zabrano mnie z wybrzeży Ameryki w jakieś inne miejsce, lecz któż, do diabła, mógł wiedzieć gdzie? Już wcześniej się bałem, ale ta myśl mnie przeraziła. Byłem sparaliżowany i oniemiały ze strachu. Zdałem sobie sprawę, że mogę już nigdy nie zobaczyć swoich rodziców, i poczułem w



gardle piekące wymiociny. Worek na mojej głowie zacisnął się mocniej, tak że ledwo mogłem oddychać, co dodatkowo potęgowała dziwaczna pozycja, w jakiej byłem zwinięty.

Na szczęście długo nie przebywaliśmy na wodzie. Miałem wrażenie, że minęła godzina, ale teraz wiem, że to było zaledwie piętnaście minut. Poczulem, że przybijamy do portu, usłyszałem odgłos kroków i to, jak wszyscy padają na ziemię. Domyśliłem się, że inni więźniowie są rozkuwani i wynoszeni bądź wyprowadzani na zewnątrz. Kiedy strażnicy przyszli po mnie, ponownie spróbowałem wstać, ale nie potrafiłem, więc przenieśli mnie znowu, obojętnie, niedbale.

Gdy zdjęli mi worek z głowy, znajdowałem się w celi.

Była stara, popadała w ruinę i pachniała morskim powietrzem. Wysoko na górze znajdowało się okno, którego strzegły zardzewiałe kraty. Na zewnątrz nadal panował mrok. Na podłodze leżał koc, a do ściany przymocowana była mała metalowa toaleta bez deski klozetowej. Strażnik, który zdjął mi worek z głowy, uśmiechnął się do mnie i zamknął za mną stalowe drzwi.

Masowałem delikatnie nogi, sycząc, w miarę jak krew wracała do moich kończyn. Wreszcie mogłem się podnieść i wykonać krok. Słyszałem, jak inni ludzie rozmawiają, płaczą, krzyczą. Ja też krzyknąłem: Jolu! Darryl! Vanessa! Inne głosy w sąsiednich celach podchwyciły ten okrzyk, wywołując nasze imiona i bluzgając. Odgłosy dochodzące z najbliższych zakątków brzmiały niczym głosy pijaków tracących zmysły na rogu ulicy. Być może mój głos też tak brzmiał.

Strażnicy krzyczeli, żebyśmy się zamknęli, ale to sprawiło, że wszyscy zaczęli się drzeć jeszcze głośniejsze. Ostatecznie wyliśmy, wrzeszczeliśmy wniebogłosy i zdzieraliśmy gardła. Dlaczego nie? Czy mieliśmy coś do stracenia?

Gdy przyszli kolejny raz, żeby mnie przesłuchać, byłem brudny, zmęczony, spragniony i głodny. Miss Gestapo razem z trzema dużymi facetami, którzy obrócili mnie niczym kawałek mięsa, należała

do nowej grupy przeprowadzającej przesłuchanie. Wśród osiłków był czarnoskóry i dwóch białych, chociaż jeden z nich mógł być Latynosem. Wszyscy trzymali broń. Wyglądało to jak reklama Benettona skrzyżowana z grą Counter-Strike.

Zabrali mnie z celi i skuli kajdanami nadgarstki oraz kostki. Gdy mnie prowadzili, patrzyłem uważnie na otoczenie. Słyszałem dochodzący z zewnątrz chłupot wody i pomyślałem, że być może jesteśmy w Alcatraz - to w końcu więzienie, chociaż od pokoleń służy za turystyczną atrakcję - w miejscu, w którym Al Capone i współcześni mu gangsterzy odsiadywali wyroki. Alcatraz zwiedzałem ze szkolną wycieczką. Było stare i pokryte rdzą, prawie średniowieczne. Miałem wrażenie, jakby to miejsce pochodziło z okresu drugiej wojny światowej, a nie z czasów kolonialnych.

Na naklejkach umieszczonych na drzwiach cel widniały kody kreskowe i numery, lecz mimo to w żaden sposób nie można było stwierdzić, kto lub co się za nimi kryje.

Pokój przesłuchań wyglądał nowocześnie, był wyposażony w lampy fluorescencyjne, dużą drewnianą tablicę, jaką zwykle można znaleźć w salach posiedzeń, i ergonomiczne fotele, które nie były jednak przeznaczone dla mnie. Ja dostałem składane plastikowe krzesło ogrodowe. Na jednej ze ścian wisiało lustro, zupełnie jak w programach kryminalnych, i pomyślałem, że ktoś musi nas zza niego obserwować. Miss Gestapo i jej kumple raczyli się kawą z ekspresu stojącego na bocznym stoliku (mógłbym rozszarpać jej gardło zębami i wyrwać jej tę kawę), a potem postawili obok mnie styropianowe kubki z wodą - nie uwolnili mi jednak rąk zza pleców, więc nie mogłem ich chwycić. Bardzo śmieszne, ha, ha.

- Cześć, Marcus - przywitała mnie. - Jak się dzisiaj masz?

Nic nie odpowiedziałem.

- Wcale nie jest tak źle, jak mogłoby być - dodała. - Jednak na twoje nieszczęście, nawet jeśli powiesz nam to, co chcemy wiedzieć, nawet jeśli przekonasz nas, że byłeś po prostu w niewłaściwym

miejscu o niewłaściwej porze, będziesz już człowiekiem napiętnowanym. Będziemy cię obserwować, dokądkolwiek pójdziesz i cokolwiek zrobisz. Zachowywałeś się tak, jakbyś chciał coś ukryć, a my tego nie lubimy.

To żalosne, ale mój mózg potrafił myśleć jedynie o tej wypowiedzi: „Przekonaj nas, że byłeś po prostu w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze”. To była najgorsza z rzeczy, jakie kiedykolwiek mi się przydarzyły. Nigdy wcześniej nie czułem się tak źle ani nie byłem tak przestraszony. Te słowa: „w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze”, te sześć słów brzmiało jak ostania deska ratunku, której trzymałem się kurczowo, żeby nie opaść na dno.

- Hej, Marcus? - pstryknęła palcami tuż przed moją twarzą. - Hej, tutaj!

Na jej twarzy widniał lekki uśmiech. Nienawidziłem siebie za to, że pozwoliłem, aby zobaczyła mój strach.

- Marcus, może być o wiele gorzej niż teraz. Są jeszcze gorsze miejsca, do których możemy cię wsadzić, o wiele gorsze.

Sięgnęła pod stół i wyciągnęła spod niego teczkę, którą otworzyła z trzaskiem. Wyciągnęła z niej mój telefon, kloner RFID, detektor Wi-Fi i moje *pendrive'y*. Położyła je, jeden po drugim, na stole.

- Oto, czego od ciebie chcemy. Odblokujesz nam dzisiaj swój telefon. Jeśli to uczynisz, będziesz mógł iść pod prysznic i przejść się po spacerniaku. Jutro przyprowadzimy cię z powrotem i poprosimy o rozkodowanie danych z tych kart pamięci. Jeżeli to zrobisz, będziesz mógł jeść w stołówce. Kolejnego dnia poprosimy cię o twoje hasło do poczty i wtedy uzyskasz przywilej korzystania z biblioteki.

Słowo „nie” cisnęło się na moje usta niczym beknięcie, które bezskutecznie próbuje wydostać się na zewnątrz. Zamiast tego rozległo się:

- Dlaczego?  
- Chcemy się upewnić, że jesteś tym, kim się wydajesz. Chodzi o twoje bezpieczeństwo, Marcusie. Powiedzmy, że jesteś niewinny.

Jednak dlaczego niewinny człowiek miałby zachowywać się jak ktoś, kto ma tyle do ukrycia. Ale powiedzmy, że jesteś niewinny. Mogłeś znajdować się na tym moście podczas wybuchu. Twoi rodzice też. I twoi przyjaciele. Czy nie chcesz, żebyśmy schwytali ludzi, którzy zaatakowali twój dom?

To śmieszne, lecz mówiąc o tych moich „przywilejach”, zastraszyła mnie i skłoniła do uległości. Czuję się tak, jakbym zrobił coś, czym zasłużyłem sobie na to, by skończyć właśnie tutaj. Tak jakby to była moja wina. Jakbym mógł zrobić coś, żeby to zmienić.

Ale z chwilą gdy zaczęła wygadywać te brednie o „bezpieczeństwie”, odzyskałem odwagę.

- Laluniu - powiedziałem - mówisz o ataku na mój dom, ale, o ile mi wiadomo, jesteś jedyną osobą, która mnie w ostatnim czasie zaatakowała. Myślałem, że mieszkam w kraju, w którym obowiązuje konstytucja. Myślałem, że mieszkam w kraju, w którym przysługują mi prawa. Mówisz o obronie mojej wolności, szargając jednocześnie Kartę Praw Stanów Zjednoczonych Ameryki\*.

\* Karta Praw Stanów Zjednoczonych Ameryki (ang. United States Bill of Rights) - termin określający pierwsze dziesięć poprawek do Konstytucji Stanów Zjednoczonych, które weszły w życie 15 grudnia 1791 roku. Gwarantowały prawo do własności prywatnej, ochrony oskarżonego w procesie karnym, wolności wyznania i sumienia oraz prasy, prawo do swobodnego gromadzenia się. Nie zapewniały jednak równości wobec prawa, co było spowodowane legalnym niewolnictwem, które utrzymało się w Stanach Zjednoczonych do drugiej połowy dziewiętnastego wieku.

Przez jej twarz przemknął grymas irytacji, a potem zniknął.

- To takie melodramatyczne, Marcusie. Nikt cię nie zaatakował. Zostałeś zatrzymany przez rząd twojego kraju podczas śledztwa w sprawie najgorszego ataku terrorystycznego, jaki miał miejsce na naszej ziemi. Chcesz zachować Kartę Praw Stanów Zjednoczonych Ameryki? Pomóż nam zatrzymać ludzi, którzy chcą wysadzić twoje miasto w powietrze. A teraz masz dokładnie trzydzieści sekund, żeby odblokować telefon, zanim odeślę cię do celi. Musimy dzisiaj przesłuchać jeszcze wielu ludzi.

Spojrzała na zegarek. Potrząsnąłem nadgarstkami i łańcuchem, który uniemożliwiał mi wzięcie telefonu i odblokowanie go. Tak, zamierzałem to zrobić. Wskazała mi ścieżkę, która miała doprowadzić mnie do wolności - do świata, do rodziców - i to napełniło mnie nadzieją. Teraz groziła, że odeśle mnie z powrotem, że zabierze mnie z tej ścieżki. Straciłem nadzieję i jedyne, o czym mogłem myśleć, to jak wrócić na tę drogę.

Potrząsnąłem więc nadgarstkami, starając się dosięgnąć telefonu i go odblokować, a ona tylko patrzyła na mnie zimnym wzrokiem, zerkając na zegarek.

- Hasło - powiedziałem, załapując w końcu, czego ode mnie chce. Chciała, żebym wypowiedział je głośno, tutaj, tak żeby mogła je nagrać i żeby słyszeli jej kumple. Nie chodziło o zwykłe odblokowanie telefonu. Chciała, żebym się jej podporządkował. Żeby mogła przejąć nade mną kontrolę. Żebym wyjawiał jej wszystkie swoje sekrety, całą swoją prywatność. - Hasło - powtórzyłem, po czym je wypowiedziałem. Boże, dopomóż, poddałem się jej woli.

Na twarzy tej królowej śniegu pojawił się sztuczny uśmiech - rodzaj jej triumfalnego tańca. Zaraz potem zostałem wyprowadzony przez strażników. Gdy zamykały się drzwi, zobaczyłem, jak nachyla się nad moim telefonem i wpisuje hasło.

Żałuję, że wcześniej nie przewidziałem takiej sytuacji i nie stworzyłem fałszywego hasła dostępu do zupełnie nieszkodliwej partycji w moim telefonie, jednak nie byłem aż takim paranoikiem / bystrzakiem.

Być może zastanawiacie się teraz, jakie to ciemne sekrety ukryłem w swoim telefonie, e-mailach i na kartach pamięci. W końcu jestem jeszcze dzieciakiem.

Prawdę mówiąc, do ukrycia miałem wszystko i nic. Z informacji zawartych na moich kartach pamięci można było się dowiedzieć, kim są moi kumple, co o nich sędzę i co głupkowatego razem zrobiliśmy. Można było przeczytać zapisy kłótni, które przeprowadziliśmy drogą elektroniczną, oraz porozumień, jakie osiągnęliśmy.

Bo ja nie kasuję wiadomości. Dlaczego miałbym to robić? Ich przechowywanie jest tanie i nigdy nie wiadomo, kiedy dana wiadomość okaże się znowu potrzebna. Zwłaszcza ta głupia. Znacie to uczucie, kiedy siedząc w metrze, nie macie się do kogo odezwać i nagle przypominacie sobie jakiś fragment ostrej wymiany zdań, którą kiedyś przeprowadziliście, jakieś okropne, wypowiedziane kiedyś słowa. Cóż, zazwyczaj nie są one aż tak straszne, jak się nam wydaje. Możliwość powrócenia do nich i ich ponownego przeczytania utwierdza nas w przekonaniu, że nie jesteśmy aż tak okropni, jak myślimy. Położyłem się z Darrylem w ten sposób więcej razy, niż jestem w stanie zliczyć.

Zresztą nawet nie o to chodzi. To jest mój prywatny telefon. Karty pamięci też są prywatne. Wszystko dzięki kryptografii - szyfrowaniu wiadomości. W kryptografii stosuje się dobre i solidne działania matematyczne i każdy z nas ma dostęp do tych samych szyfrów, które wykorzystywane są przez banki i Agencję Bezpieczeństwa Narodowego\*. Tylko jeden rodzaj szyfrów jest w zasięgu wszystkich - to szyfry publiczne, otwarte i każdy może je stosować. Stąd wiadomo, że działają.

\* Agencja Bezpieczeństwa Narodowego (ang. National Security Agency) - amerykańska wewnętrzna agencja wywiadowcza koordynująca między innymi zadania wywiadu elektronicznego, powstała w 1952 roku. Służba wywiadu NSA specjalizuje się w przechwytywaniu informacji za pomocą środków technicznych, głównie z wykorzystaniem narzędzi telekomunikacji, oraz ich ewaluacją za pomocą systemów komputerowych.

Poczucie, że jakiś skrawek waszego życia należy tylko do was i że nikt poza wami nie może go zobaczyć, jest naprawdę bardzo wyzwalające. Jest niczym nagość lub uczucie lekkości po wypróżnieniu. Każdy z nas raz na jakiś czas się obnaża. Każdy musi przycupnąć na sedesie. Nie ma w tym nic wstydliwego, zboczonego czy dziwnego. Lecz co by było, gdybym zarządził, że od dzisiaj każdy, kto chce pozbyć się ze swojego organizmu dużej ilości odchodów, musi udać się do szklanego pomieszczenia umieszczonego pośrodku Times Square i całkowicie się tam obnażyć?

Nawet jeśli macie zupełnie ładne i normalne ciała - a ile osób może tak o sobie powiedzieć? - musielibyście być dość dziwni, żeby spodobał się wam taki pomysł. Większość z nas uciekłaby z krzykiem. Większość z nas wstrzymywałaby się do czasu, aż eksplodowałyby nam jelita.

Nie chodzi tu o robienie czegoś wstydliwego. Chodzi o robienie czegoś prywatnego. Chodzi o to, że ta sfera życia należy tylko do nas.

Wyciągali to ze mnie, kawałek po kawałku. Po powrocie do celi oparowało mnie znowu uczucie, że sobie na to zasłużyłem. Przez całe życie łamałem reguły i w zasadzie zawsze mi to uchodziło na sucho. Być może to była sprawiedliwość. Być może upomniała się o mnie przeszłość. W końcu znalazłem się tu, gdzie się znalazłem, bo poszedłem na wagary.

Pozwolili mi wziąć prysznic. Potem musiałem chodzić w kółko po spacerniaku. Nade mną widniał skrawek nieba, a w powietrzu unosił się zapach portu. Mimo to nie miałem pojęcia, gdzie mnie trzymali. Spacerowałem sam. Inni więźniowie mi nie towarzyszyli, więc szybko znudziło mi się to ciągle chodzenie w kółko. Wyteżałem słuch w poszukiwaniu jakiegoś odgłosu, który pomógłby mi zrozumieć, gdzie się znajduję, ale wszystko, co udało mi się usłyszeć, to przejeżdżające czasem samochody, jakieś odległe rozmowy i samolot lądujący gdzieś w pobliżu.

Zaprowadzili mnie z powrotem do celi i nakarmili, dostałem porcję pizzy z pepperoni z dobrze mi znanej pizzerii Goat Hill Pizza znajdującej się w dzielnicy Potrero Hill. Pudełko ze znajomym logo i numerem telefonu 415 przypomniały mi tylko, że jeszcze wczoraj byłem wolnym człowiekiem w wolnym kraju, a teraz jestem więźniem. Wciąż martwiłem się o Darryla i o pozostałych przyjaciół. A może oni byli bardziej otwarci na współpracę i zostali zwolnieni? Może zawiadomili moich rodziców, którzy teraz rozpaczliwie wydzwaniają po wszystkich dookoła?

A może nie.

Cela była niewiarygodnie skąpo wyposażona i pusta, podobnie jak moja dusza. Wyobraziłem sobie, że na ścianie naprzeciwko mojej pryczy znajduje się ekran, że mogę włamać się do systemów komputerowych i otworzyć drzwi celi. Wyobraziłem sobie, że jestem przy swoim stole warsztatowym i realizuję na nim własne projekty - stare puszki zmieniam w sprzęt stereo, konstruuje aparat do robienia zdjęć latawcowych i składam swojego laptopa domowej roboty.

Chciałem się stamtąd wydostać. Chciałem wrócić do domu i odzyskać swoich przyjaciół, rodziców, szkołę i swoje życie. Chciałem znów móc chodzić tam, gdzie zechcę, a nie tkwić w więzieniu, drepcząc bezustannie tam i z powrotem po celi.

Później wydobyli ze mnie hasła do *pendrive'ów*. Te zawierały kilka interesujących wiadomości, które zgrałem z różnych internetowych grup dyskusyjnych, jakieś zapisy czatów, w których ludzie pomagali mi w rozwiązywaniu problemów napotkanych podczas wykonywania przeze mnie projektów. Naturalnie nie było tam nic, czego by nie można znaleźć w Google, ale nie sądzę, żeby ten argument działał na moją korzyść.

Po południu poszedłem na kolejny spacer. Tym razem na dziedzińcu znajdowali się też inni więźniowie, czterej faceci i dwie kobiety, w różnym wieku i o różnych kolorach skóry. Podejrzewam, że wiele osób robiło rozmaite rzeczy, aby zasłużyć na „przywileje”.

Dano mi pół godziny, starałem się nawiązać rozmowę z jednym z więźniów, który wyglądał najnormalniej, czarnoskórym gościem mniej więcej w moim wieku, z krótką fryzurą afro. Lecz kiedy się przedstawiłem i wyciągnąłem do niego dłoń, zwrócił oczy w kierunku kamer wiszących złowrogo w narożnikach dziedzińca i pomaszzerował dalej, wciąż zachowując ten sam wyraz twarzy.

Nagle, chwilę przed tym jak wywołali moje imię i odprowadzili mnie z powrotem do budynku, otworzyły się drzwi, w których ukazała



się... Vanessa! Nigdy wcześniej nie cieszyłem się tak na widok czyjejś twarzy. Van wyglądała na zmęczoną i naburmuszoną, ale nie ranną. Kiedy mnie zobaczyła, krzyknęła moje imię i podbiegła do mnie. Uścisnęliśmy się mocno i wtedy zdałem sobie sprawę, że cały drzę. Potem uświadomiłem sobie, że ona też dygocze.

- Wszystko w porządku? - zapytała, trzymając mnie w ramionach.

- Tak, w porządku - odparłem. - Powiedzieli mi, że mnie wypuszczą, jeśli ujawnię im swoje hasła.

- Cały czas pytają mnie o ciebie i o Darryla.

Z głośników rozległ się krzyk nakazujący, żebyśmy przestali rozmawiać i maszerowali dalej, ale to zignorowaliśmy.

- Odpowiadaj im - powiedziałem natychmiast. - Mów wszystko, o co zapytają. Jeśli dzięki temu dasz radę się stąd wydostać.

- A co z Darrylem i Jolu?

- Nie widziałem ich.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i wytoczyło się z nich czterech dużych strażników. Dwóch z nich chwyciło mnie, a dwóch pozostałych Vanesę. Położyli mnie na ziemi, odwracając moją głowę tak, żebym nie widział Van. Słyszałem, że z nią robią to samo. Na moje dłonie założyli plastikowe kajdanki, gwałtownym szarpnięciem postawili mnie do pionu i odprowadzili do celi.

Tego wieczoru nie dostałem kolacji. A następnego dnia śniadania. Nikt po mnie nie przyszedł ani nie zabrał do pokoju przesłuchań, żeby wyciągnąć ze mnie kolejne sekrety. Nie mogłem się pozbyć tych plastikowych kajdanek. Ramiona piekły mnie przeraźliwie, potem zaczęły boleć, następnie zdrętwiały i znowu zaczęły piec. Całkowicie straciłem czucie w rękach.

Chciało mi się sikać. Nie mogłem rozpiąć spodni. Naprawdę mi się chciało.

Zsikałem się.

Przyszli po mnie z chwilą, gdy ciepły mocz już ostygł i stał się lepki, sprawiając, że moje i tak już brudne dżinsy przykleiły się do nóg. Przyszli po mnie i poprowadzili przez długi korytarz, wzdłuż którego

znajdowały się drzwi. Wszystkie miały swój indywidualny kod kreskowy, a do każdego z nich był przypisany więzień taki jak ja. Przeprowadzili mnie przez korytarz i doprowadzili do pokoju przesłuchań. Gdy do niego wszedłem, wydawało mi się, że znalazłem się na innej planecie, w świecie, gdzie wszystko było normalne i nie śmierdziało uryną. Czułem się potwornie brudny i zawstydzony, znowu ogarnęło mnie uczucie, że sobie na to zasłużyłem.

W środku siedziała Miss Gestapo. Wyglądała perfekcyjnie. Miała starannie ułożoną fryzurę i delikatny makijaż. Poczulem zapach środków do pielęgnacji włosów. Na mój widok zmarszczyła nos. Stopniowo zaczął rosnać we mnie wstyd.

- Cóż, byłeś bardzo niegrzecznym chłopcem, nieprawdaż? Czy nie jesteś obrzydliwy?

Wstyd. Spojrzałem w dół, na stół. Nie potrafiłem podnieść wzroku. Chciałem wyjawic jej hasło do swojej poczty elektronicznej i sobie pójść.

- O czym rozmawiałeś ze swoją przyjaciółką na dziedzińcu?

Parsknąłem śmiechem.

- Powiedziałem jej, żeby odpowiadała na wasze pytania. Powiedziałem, żeby z wami współpracowała.

- Czyli wydajesz polecenia?

Poczulem, jak w uszach pulsuje mi krew.

- To nie tak - powiedziałem. - Uczestniczymy razem w g r z e, nazywa się Harajuku Fun Madness. Jestem k a p i t a n e m drużyny. Nie jesteśmy terrorystami, jesteśmy licealistami. Nie wydaję jej rozkazów. Powiedziałem, że musimy być z w a m i s z c z e r z y , żeby rozwiać wszelkie podejrzenia i się stąd wydostać.

Przez chwilę milczała.

- Co z Darrylem? - zapytałem.

- Z kim?

- Z Darrylem. Złapaliście nas razem. To mój przyjaciel. Ktoś dźgnął go nożem na stacji Powell Street. Dlatego wydostaliśmy się na ulicę. Żeby mu pomóc.

- W takim razie jestem pewna, że wszystko z nim w porządku - odparła.

Ścisnęło mnie w żołądku i omal nie zwymiotowałem.

- To wy niczego nie wiecie? Nie zabraliście go tu?

- To, kogo tu mamy, a kogo nie, to nie są sprawy, o których będziemy z tobą rozmawiać. Tego się nigdy nie dowiesz. Marcusie, widziałeś, co się dzieje, gdy przestajesz z nami współpracować. Widziałeś, co się dzieje, gdy nie słuchasz naszych rozkazów. Zaczęłeś z nami współpracować i dzięki temu omal nie znalazłeś się znowu na wolności. Jeśli chcesz, aby ta możliwość stała się rzeczywistością, musisz odpowiadać na moje pytania.

Nic nie odparłem.

- Uczysz się, to dobrze. A teraz proszę o twoje hasło do skrzynki elektronicznej.

Byłem na to przygotowany. Dałem im wszystko: adres serwera, login, hasło. To nie miało znaczenia. Na serwerze i tak nie było żadnego maila. Wszystkie znajdowały się w moim komputerze, który co sześćdziesiąt sekund zgrywał i usuwał moją pocztę. Niczego nie dostaną - wszystko zostało wyczyszczone i jest przechowywane w domowym laptopie.

Znalazłem się z powrotem w celi, a ponieważ rozcięli plastikowe kajdanki, miałem wolne ręce i mogłem skorzystać z prysznica. Otrzymałem też parę pomarańczowych więziennych spodni. Były na mnie za duże i zwisały mi z bioder jak meksykańskiemu dzieciakowi z gangu w Mission. Wiecie, skąd pochodzi moda na zwisające z dupy workowate spodnie? Z więzienia. I wiecie co? Z chwilą gdy nie jest to już kwestia mody, przestaje być zabawne.

Zabrali mi džinsy, a ja spędziłem kolejny dzień w celi. Na ścianach spod odrapanego cementu prześwitywała stalowa siatka. Łatwo można ją było dostrzec, ponieważ stal rdzewiała pod wpływem słonego powietrza, a ciemnopomarańczowe linie siatki przebłyskiwały spod zielonej farby. Gdzieś tam, na zewnątrz, za oknem, znajdowali się moi rodzice.

Następnego dnia oprawcy znowu po mnie przyszli.

- Od wczoraj czytamy twoje maile. Zmieniliśmy hasło, żeby twój domowy komputer nie mógł ich ściągnąć.

Cóż, pewnie, że to zrobili. Zrobiłbym tak samo, ale dopiero teraz o tym pomyślałem.

- Mamy już na ciebie na tyle dużo, że możemy zamknąć cię na bardzo długi czas, Marcusie. Twoje rzeczy - gestem wskazała na moje małe gadżety - dane, które odtworzyliśmy z twojego telefonu i kart pamięci, oraz te wywrotowe materiały, jakie z pewnością znaleźlibyśmy, gdybyśmy tylko przeszukali twój dom i zarekwirowali komputer. Za to wszystko siedziałbyś do późnej starości. Rozumiesz?

Nie wierzyłem w to ani przez sekundę. Sędzia w żaden sposób nie mógłby orzec, że te wszystkie rzeczy świadczą o jakimkolwiek przestępstwie. Przecież obowiązuje jeszcze wolność słowa, a to było tylko eksperymentowanie z techniką. To nie przestępstwo.

Ale kto powiedział, że ci ludzie postawią mnie kiedykolwiek przed sądem.

- Wiemy, gdzie mieszkasz, wiemy, kim są twoi przyjaciele. Wiemy, jak działał i jak myślisz.

Wtedy to do mnie dotarło. Zamierzali mnie wypuścić. W pokoju jakby pojaśniało. Usłyszałem własny oddech, krótkie, płytkie łyki powietrza.

- Chcemy dowiedzieć się tylko jednego: w jaki sposób materiały wybuchowe zostały dostarczone na most?

Wstrzymałem oddech. W pokoju znowu pociemniało.

- Co?

- Na moście znajdowało się dziesięć ładunków, były rozłożone wzdłuż całej jego długości. Nie schowano ich w bagażnikach samochodów. Były zamontowane na moście. Kto je tam umieścił i jak się tam dostał?

- Co? - zapytałem ponownie.

- To twoja ostatnia szansa, Marcusie - powiedziała. Wyglądała na smutną. - Tak dobrze ci szło do tej pory. Jeśli nam to powiesz, będziesz mógł pójść do domu. Możesz zatrudnić adwokata i bronić

się przed sądem. Istnieją niewątpliwe okoliczności łagodzące, które możesz wykorzystać w celu wyjaśnienia swoich działań. Powiedz nam tylko tę jedną rzecz, a będziesz wolny.

- Nie wiem, o czym mówicie! - krzychałem, nie dbając o nic. Łkając i szlochając. - Nie mam pojęcia, o czym mówicie!

Potrząsnęła głową.

- Proszę cię, Marcusie. Pozwól nam sobie pomóc. Zdążyłeś już zauważyć, że zawsze dostajemy to, czego chcemy.

Z tyłu mojej głowy pojawił się jakiś bełkotliwy dźwięk. Oni byli o b ł a k a n i . Wziąłem się w garść, starając się z całych sił powstrzymać od płaczu.

- Niech pani posłucha, to istne szaleństwo. Dostaliście się do mojego sprzętu, przejrzeście całą jego zawartość. Jestem siedemnaścieletnim licealistą, a nie terrorystą! Chyba nie myślicie poważnie...

- Marcusie, czy jeszcze nie zauważyłeś, że jesteśmy zupełnie poważni? - Potrząsnęła głową. - Masz nawet dobre oceny. Myślałam, że jesteś mądrzejszy. - Pstryknęła palcami, po czym strażnicy chwycili mnie pod pachy.

Znowu znalazłem się w celi, a w mojej głowie pojawiły się setki odpowiedzi. Francuzi mówią na to *esprit d'escalier* - duch schodów: to seria trafnych argumentów, które przychodzą do głowy zaraz po wyjściu z pokoju, gdy wymykacie się chyłkiem po schodach. Wyobrażałem sobie, że stoję przed Miss Gestapo i wygłaszam przemówienie, twierdząc, że jestem obywatelem kochającym swoją wolność, która uczyniła ze mnie patriotę, a z niej zdrajczynię. Wyobrażałem sobie, że wywołuję w niej poczucie wstydu, bo zamieniła mój kraj w obóz wojskowy. Wyobrażałem sobie, że jestem elokwentny i błyskotliwy i że doprowadzam ją do łez.

Ale wiecie co? Następnego dnia, kiedy po raz kolejny mnie wyciągnęli, żadne z tych wspaniałych słów nie przyszło mi do głowy. Wszystko, o czym teraz myślałem, to wolność... i moi rodzice.

- Witaj, Marcusie - powiedziała Miss Gestapo. - Jak się czujesz?

Spojrzałem na stół. Przed nią leżał schludny stos dokumentów, a obok znajdował się ten wszechobecny kubek Starbucksa. Był dla mnie pewnym pocieszeniem, przypomnieniem, że gdzieś tam, na zewnątrz, za kratami, istnieje realny świat.

- Na chwilę obecną zakończyliśmy przesłuchanie - zawiesiła głos w powietrzu. Być może oznaczało to, że pozwoli mi iść. A może, że zamierza mnie wrzucić do rowu i zapomnieć o moim istnieniu.

- I? - zapytałem w końcu.

- I chcę, żebyś sobie ponownie uświadomił, że jesteśmy jak najbardziej poważni w tej kwestii. Nasz kraj doświadczył najgorszego ataku terrorystycznego, jaki kiedykolwiek wydarzył się na tej ziemi. Ile jeszcze ataków jak z jedenastego września mamy wycierpieć, zanim najdzie cię ochota, żeby z nami współpracować? Szczegóły naszego śledztwa są tajne. Nie ustaniemy w wysiłkach, aby oddać sprawców tych ohydnych zbrodni w ręce sprawiedliwości, i nic nie jest w stanie nam w tym przeszkodzić. Rozumiesz?

- Tak - wymamrotałem.

- Zamierzamy odesłać cię dzisiaj do domu, ale jako człowieka napiętnowanego. Nie ma dowodów, że jesteś poza podejrzeniami. Puszczamy cię tylko dlatego, że w tej chwili zakończyliśmy przesłuchanie. Ale od teraz n a l e ż y s z do nas. Będziemy cię obserwować. Będziemy czekać, aż popełnisz błąd. Czy zdajesz sobie sprawę, że możemy mieć cię na oku przez cały czas?

- Tak - wydusiłem z siebie.

- Dobrze. Nie wolno ci nikomu opowiadać o tym, co tutaj zaszło, nigdy. To kwestia bezpieczeństwa narodowego. Czy wiesz, że w czasie wojny za zdradę nadal karze się śmiercią?

- Tak - wybelkotałem.

- Grzeczny chłopiec - powiedziała miłym głosem. - Mamy tu dla ciebie do podpisania kilka dokumentów.

Popchnęła w moim kierunku stos druczków leżących na stole. Porzyczepiano do nich samoprzylepne kartki z wydrukowanym napisem TUTAJ PODPISAC. Strażnik rozpiął mi kajdanki.

Przekartkowałem dokumenty, z oczu zaczęły mi płynąć łzy i dostałem zawrotów głowy. Nie mogłem niczego zrozumieć. Próbowiałem odszyfrować ten prawniczy żargon. Wyglądało na to, że miałem podpisać deklarację zaświadczącą o tym, że przetrzymywano mnie tutaj i przesłuchiowano z mojej własnej, nieprzymuszanej woli.

- Co się stanie, jeśli tego nie podpiszę? - zapytałem.

Wyrwała mi z ręki dokumenty i pstryknęła palcami. Strażnicy szarpnęli mną, stawiając mnie na nogi.

- Poczekajcie! - zawołałem. - Proszę! Podpiszę to!

Dowlekli mnie do drzwi. Wszystko, co wtedy widziałem, to te drzwi, wszystko, o czym mogłem pomyśleć, to że zamykają się za mną.

Straciłem rozum. Płakałem. Błagałem, żeby pozwolili mi podpisać papiery. Być tak blisko wolności i dać ją sobie wyrwać! Byłem gotowy zrobić wszystko. Nie jestem w stanie powiedzieć, ile razy słyszałem, jak ktoś stwierdzał: „Och, wolałbym umrzeć, niż zrobić to czy tamto”. Sam od czasu do czasu tak mówiłem. Ale po raz pierwszy zrozumiałem, co to tak naprawdę znaczy. Wolałbym umrzeć, niż wrócić do celi.

Błagałem, podczas gdy oni wynosili mnie na korytarz. Powiedziałem im, że podpiszę wszystko.

Krzyknęła na strażników. Zatrzymali się. Wprowadzili mnie z powrotem do środka i posadzili. Jeden z nich wcisnął mi do ręki długopis.

Naturalnie złożyłem swój podpis, i kolejny, i jeszcze jeden.

Moje dżinsy i koszulka czekały na mnie w celi uprane i złożone. Pachniały detergentami. Włożyłem je, umyłem twarz, usiadłem na pryczy i spojrzałem na ścianę. Odebrali mi wszystko. Po cząwszy od prywatności, na godności skończywszy. Byłem gotów podpisać cokolwiek. Podpisałbym nawet zeznanie, że dokonałem zamachu na Abrahama Lincolna.

Próbowałem płakać, lecz moje oczy były suche, bez łez.

Znowu mnie dorwali. Strażnik zbliżył się do mnie z kapturem podobnym do tego, jaki założyli mi na głowę zaraz po uprowadzeniu, sam już nie wiem, kiedy to było, kilka dni, a może tygodni temu.

Kapturem opadł na moją głowę i zacisnął się na szyi. Znalazłem się w zupełnej ciemności, a powietrze było duszne i stęchłe. Postawiono mnie na nogi i poprowadzono przez korytarze, w górę po schodach i po żwirze. Wprowadzono mnie na trap, a stamtąd na stalowy pokład statku. Ręce przykuto do barierki za plecami. Klęknąłem na pokładzie, wsłuchując się w dudnienie silników Diesla.

Statek ruszył. Pod mój kapturem przedostała się odrobina słonego powietrza. Mżyło, a moje ubrania były ciężkie od wody. Znajdowałem się na zewnątrz, mimo że moja głowa tkwiła w worku. Byłem na zewnątrz, a od wolności dzieliło mnie zaledwie parę chwil.

Przyszli po mnie i sprowadzili ze statku wprost na nierówną powierzchnię. Trzy stopnie w górę. Z nadgarstków zdjęto mi kajdanki. Z głowy usunięto worek.

Znowu znalazłem się w ciężarówce. Miss Gestapo siedziała przy małym biurku, tak jak poprzednio. Miała ze sobą torbę na suwak, w której znajdował się mój telefon i inne małe przedmioty, takie jak portfel czy drobniaki z moich kieszeni. Wręczyła mi je bez słowa.

Wypełniłem nimi kieszenie. To dziwne uczucie mieć wszystko z powrotem na swoim miejscu, nosić własne ciuchy. Zza tylnych drzwi ciężarówki dobiegły mnie znajome dźwięki dobrze znanego mi miasta.

Strażnik podał mi mój plecak. Kobieta otworzyła drzwi. Wyciągnęła do mnie rękę. Tylko na nią spojrzałem. Opuściła ją, a na jej twarzy pojawił się cierpki uśmiech. Potem pokazała na migi, że mam trzymać głowę na kłódkę, i otworzyła drzwi.

Na zewnątrz był dzień, szary i dżdżysty. Spojrzałem na samochody, tiry i rowery mknące po ulicy. Stałem sparaliżowany na najwyższym stopniu ciężarówki, gapiąc się na wolność.



Trzęsły mi się kolana. Wiedziałem już, że znowu się ze mną bawią. Za chwilę po raz kolejny chwycą mnie strażnicy i wciągną z powrotem do środka, narzucają mi worek na głowę, zaprowadzą na statek i ponownie wyślą do więzienia, gdzie zostanę poddany serii niekończących się pytań bez odpowiedzi. Ledwie się powstrzymałem, żeby nie wepchnąć sobie całej pięści do ust.

Zmusiłem się do zejścia na niższy stopień. Na kolejny. I na ostatni. Moje trampki zachręściły na śmieciach rozrzuconych na ulicy, na potłuczonym szkle, lekarskiej igle i żwirze. Wykonałem krok. Kolejny. Dotarłem do końca drogi i wszedłem na chodnik.

Nikt mnie nie chwycił.

Byłem wolny.

Wtedy oplotły mnie czyjeś silne ręce. Krzyknąłem.

## ROZDZIAŁ 5

To była Van, która płakała i obejmowała mnie tak mocno, że nie mogłem oddychać. Miałem to gdzieś. Też ją przytuliłem, a moja twarz utonęła w jej włosach.

- Jesteś cały? - zapytała.
- Tak - odparłem z trudem.

W końcu mnie puściła, lecz opłotła mnie kolejna para rąk. To Jolu! Byli tam oboje.

- Jesteś bezpieczny, bracie - szepnął mi do ucha i uścisnął mnie jeszcze mocniej niż Vanessa.

Kiedy mnie puścił, rozejrzałem się dookoła.

- Gdzie jest Darryl? - zapytałem.

Spojrzeni po sobie.

- Może nadal jest w ciężarówce - zasugerował Jolu.

Odwróciliśmy się i spojrzeliśmy na samochód stojący na końcu ulicy. To był zwyczajny osiemnastokółowiec. Małe składane schodki zostały już wciągnięte do środka. Z tyłu zapaliły się czerwone światła i ciężarówka potoczyła się wstecz wprost ku nam, wydając miarowe bip, bip, bip.

- Zaczekajcie! - krzyknąłem, gdy przyspieszyła. - Zaczekajcie! A Darryl!?

Ciężarówka była coraz bliżej. Nie przestawałem krzyczeć:

- Co z Darrylem!?

Jolu i Vanessa złapali mnie za ręce i ściągnęli z jezdni. Próbowałem im się wyrwać, wciąż krzycząc. Samochód wycofał się z bocznej alejki na główną ulicę i odjechał. Próbowałem za nim biec, ale Van i Jolu nie chcieli mnie puścić.

Usiadłem na chodniku, objąłem kolana rękami i się rozpląkałem. Płakałem, płakałem i płakałem, to było głośne szlochanie, jakim nie zanosilem się od czasów wczesnego dzieciństwa. Nie potrafiłem się powstrzymać. Nie mogłem przestać się trząść.

Vanessa i Jolu podnieśli mnie i powiedli w górę ulicy. Znajdował się tam przystanek autobusowy z ławką, na której mnie posadzili. Oni też płakali. Na chwilę wszyscy się objęliśmy. Wiedziałem, że płacemy z powodu Darryla, którego nie spodziewaliśmy się już kiedykolwiek zobaczyć.

Znajdowaliśmy się na północ od Chinatown, w miejscu gdzie zaczyna się północna plaża, w dzielnicy znanej z klubów ze striptizem i legendarnej księgarni specjalizującej się w literaturze kontrkulturowej, gdzie w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku narodził się ruch beatników\*.

\* Beatnicy - nieformalny awangardowy ruch społeczno-literacki, negujący tradycyjny styl życia oraz propagujący anarchistyczny indywidualizm, nonkonformizm i swobodę twórczą.

Dobrze znałem tę część miasta. Mieściła się tutaj ulubiona włoska restauracja moich rodziców, dokąd nieraz zabierali mnie na duże linguine oraz ogromne porcje piętrzących się lodów włoskich z kandyzowanymi figami, które popijaliśmy zabójczą małą espresso.

Teraz to było zupełnie inne miejsce - miejsce, gdzie po raz pierwszy smakowałem wolności w chwili, która zdawała się wiecznością.

Sprawdziliśmy portfele i znaleźliśmy dość pieniędzy, żeby móc usiąść pod markizą jednej z włoskich restauracji. Ładna kelnerka zapalniczką do grilla podpałała piecyk gazowy, zebrała zamówienia i poszła do środka. Poczucie, że mogłem wydawać polecenia, kontrolować własny los, należało do najbardziej niesamowitych przeżyć, jakich kiedykolwiek doświadczyłem.

- Jak długo tam byliśmy? - zapytałem.

- Sześć dni - odparła Vanessa.

- Ja naliczyłem pięć - wtrącił Jolu.

- Ja nie liczyłem.

- Co z tobą robili? - zapytała Vanessa. Nie chciałem o tym rozmawiać, ale oboje na mnie patrzyli. Gdy już zacząłem, to nie mogłem przestać. Powiedziałem im o wszystkim, nawet o tym, że musiałem na siebie nasikać, a oni słuchali w milczeniu. Przerwałem, gdy kelnerka przyniosła nam wodę, i poczekałem, aż oddali się na tyle, żeby mnie nie słyszeć. Wtedy dokończyłem. Podczas opowiadania wszystko się zatarło. Gdy skończyłem, nie wiedziałem, czy koloryzowałem prawdę, czy może przedstawiłem wszystko tak, aby nie brzmiało aż t a k ź l e . Moje wspomnienia były niczym ryby, które próbowałem schwytać i które czasem wyślizgiwały się z mojego uścisku.

Jolu pokręcił głową.

- Ostro cię potraktowali, stary - przyznał.

Opowiedział nam o swoim pobycie w tym miejscu. Przesłuchiwali go, pytając głównie o mnie, a on cały czas mówił prawdę, trzymając się faktów dotyczących tego dnia i naszej przyjaźni. Kazali mu to na okrągło powtarzać, ale nie bawili się z jego głową tak jak z moją. Posiłki jadł w stołówce z grupą innych ludzi, a nawet pozwolili mu spędzić trochę czasu w sali telewizyjnej, gdzie na wideo puszczały tego-roczone hity kinowe.

Historia Vanessy niewiele się różniła. Po tym jak ich wkurzyła, rozmawiając ze mną, zabrali jej ubrania i kazali włożyć pomarańczowy więzienny kombinezon. Musiała spędzić w celi dwa dni, nie kontaktując się z nikim, ale posiłki otrzymywała regularnie.

W większości jednak było tak samo jak z Jolu. Te same pytania powtarzane w kółko i na okrągło.

- Naprawdę cię nienawidzą - przyznał Jolu. - Naprawdę coś do ciebie mają. Dlaczego?

Nie miałem pojęcia dlaczego. Potem sobie przypomniałem. „Albo zaczniesz z nami współpracować, albo będziesz tego bardzo, bardzo żałował”.

- Tego pierwszego wieczoru nie chciałem im odblokować mojego telefonu. Dlatego mnie wybrali.

Nie mogłem w to uwierzyć, ale nie znajdowałem innego wyjaśnienia. To była zwykła mściwość. Na myśl o tym zakreśliło mi się w głowie. Robili to wszystko w ramach kary za to, że przeciwstawiłem się ich autorytetowi.

Wtedy byłem przerażony. Teraz byłem wściekły.

- Dranie - powiedziałem łagodnie - wyżywali się na mnie za to, że im pyskowałem.

Jolu zaklął, a Vanessa ulżyła sobie po koreańsku, co robiła tylko wtedy, gdy była naprawdę, naprawdę zła.

- Dorwę ich - wyszeptalem, gapiąc się w swoją wodę. - Dorwę ich.

Jolu potrząsnął głową.

- Wiesz, że nie możesz. Z nimi nie można walczyć.

Nikt z nas nie chciał wtedy rozmawiać o zemście. Zamiast tego zastanawialiśmy się, co teraz zrobić. Musieliśmy iść do domu. Nasze telefony były rozładowane, a automatów telefonicznych nie było w tej dzielnicy już od lat. Po prostu musieliśmy iść do domu. Nawet myślałem o taksówce, ale nie było nas na nią stać.

Poszliśmy więc na piechotę. Na rogu wepchnęliśmy kilka drobników do automatu z gazetą „San Francisco Chronicle” i zaczęliśmy czytać. Od wybuchu bomb minęło już pięć dni, ale temat wciąż nie schodził z pierwszych stron gazet.

Miss Gestapo mówiła o wysadzeniu „mostu”. Zakładałem, że chodziło jej o most Golden Gate, ale się myliłem. Terrorysty wysadzili Bay Bridge.

- Po co, do diabła, mieliby wysadzać Bay Bridge? - zapytałem. - Na wszystkich pocztówkach jest przecież Golden Gate.

Nawet jeśli ktoś nigdy nie był w San Francisco, istnieje duża szansa, że wie, jak wygląda Golden Gate. To ten duży pomarańczowy most wiszący, który rozpościera się pomiędzy starą bazą wojskową Presidio a Sausalito, gdzie znajdują się te wszystkie pretensjonalne sklepiki ze świeczkami zapachowymi oraz galerie sztuki. Wygląda piekielnie malowniczo i stanowi praktycznie symbol Kalifornii. Tuż za bramą kalifornijskiego Disneylandu można zobaczyć jego replikę, po której jeździ pociąg.

Założyłem więc naturalnie, że jeśli ktoś miałby wysadzać most w San Francisco, to wybrałby właśnie ten.

- Prawdopodobnie wystraszyli się tych wszystkich kamer i tego typu sprzętu - stwierdził Jolu. - Gwardia Narodowa zawsze sprawdza samochody przy wjeździe po obu stronach mostu, no i jest na nim pełno tych barierek i zabezpieczeń, które mają utrudnić zadanie samobójcom.

Ludzie zaczęli skakać z Golden Gate zaraz po jego otwarciu w 1937 roku - przestano ich liczyć, gdy w 1995 roku ich liczba dobiła do tysiąca.

- No tak - westchnęła Vanessa. - Poza tym Bay Bridge dokądś prowadzi.

Most ten wiedzie od centrum San Francisco do Oakland, a potem do Berkeley - miast leżących na wschodnim brzegu zatoki, zamieszkiwanych przez ludzi, z których wielu pracuje w San Francisco. To jedna z nielicznych części miasta nad zatoką, gdzie normalna osoba może sobie pozwolić na dom tak duży, by móc się w nim rozprostować. Znajduje się tam też uniwersytet oraz kilka zakładów z przemysłem lekkim. Pod zatoką biegnie linia metra łącząca te dwa miasta, ale i tak największy ruch odbywa się przez Bay Bridge. Golden Gate,

ze względu na swój ozdobny charakter, może spodobać się turyście bądź bogatemu emerytowi mieszkającemu w pobliżu winnic. Bay Bridge natomiast jest - był - koniem pociągowym San Francisco.

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę.

- Macie rację - powiedziałem. - Ale myślę, że to nie wszystko. Wydaje nam się, że terroryści atakują ważne obiekty, bo ich nienawidzą. Terroryści nie czują nienawiści do budynków, mostów czy samolotów. Chcą po prostu coś wysadzić i wystraszyć ludzi. Siąc przerażenie. Naturalne, że wybrali Bay Bridge, bo na Golden Gate zamontowane są te wszystkie kamery, a w samolotach wykrywacze metalu i rentgeny.

Zacząłem się nad tym zastanawiać, patrząc beznamyślnie na samochody toczące się po ulicy, ludzi idących po chodnikach, na miasto rozpościerające się wokół mnie.

- Terroryści nie czują nienawiści do samolotów i mostów. Uwielbiają siąc terror.

To było tak oczywiste, że nie mogłem uwierzyć, iż nigdy wcześniej o tym nie pomyślałem. Sądzę, że te kilka dni, kiedy byłem traktowany jak terrorysta, rozjaśniło mi umysł.

Oboje się na mnie gapili.

- Mam rację, prawda? Całe to badziewie, te wszystkie rentgeny, systemy kontroli tożsamości są bezużyteczne?

Przytaknęli powoli.

- Nawet więcej niż bezużyteczne - dodałem podniesionym i łamiącym się głosem - bo skończyło się na tym, że nas aresztowali, a Darryl...

Nie myślałem o Darrylu, odkąd usiedliśmy, i teraz wszystko do mnie wróciło. Mój przyjaciel zaginął, przepadł. Przestałem mówić i zazgrzytałem zębami.

- Musimy powiedzieć naszym rodzicom - stwierdził Jolu.

- Powinniśmy postarać się o adwokata - dodała Vanessa.

Myślałem o tym, żeby opowiedzieć swoją historię. Opowiedzieć światu, co się ze mną stało. O filmach wideo, które z pewnością by

się ukazały, o płaczu i o tym, jak musiałem płaszczyć się przed oprawcami jak zwierzę.

- Nie możemy nic powiedzieć rodzicom - rzuciłem bez namysłu.

- Co masz na myśli? - zapytała Vanessa.

- Nie możemy im nic powiedzieć - powtórzyłem. - Słyszałeś ją.

Jeśli komuś powiemy, wrócą po nas. Zrobią z nami to, co z Darrylem.

- Chyba żartujesz - odparł Jolu. - Chcesz, żebyśmy...

- Chcę, żebyśmy im za to odpłacili - powiedziałem. - Chcę pozostać na wolności, żebym mógł się zemścić. Jeśli zaczniemy o tym paplać, powiedzą, że jesteśmy tylko dzieciakami zmyślającymi różne historie. Nie wiemy nawet, gdzie nas trzymali! Nikt nam nie uwierzy. A potem, któregoś dnia, przyjdą po nas. Powiem moim rodzicom, że byłem w jednym z tych obozów po drugiej stronie zatoki. Że poszedłem tam, by się z wami spotkać, i że tam utknęliśmy i wydostaliśmy się dopiero dzisiaj. W gazetach piszą, że ludzie nadal wracają stamtąd do domu.

- Nie mogę tego zrobić - oświadczyła Vanessa. - Jak możesz w ogóle o tym myśleć, po tym co ci zrobili?

- To mnie się to przydarzyło, w tym cała rzecz. To walka między mną a nimi. Pokonam ich, odnajdę Darryła. Nie zamierzam tego tak zostawić. Ale kiedy wmieszamy w to naszych starych, to będzie koniec. Nikt nam nie uwierzy i nikt się tym nie przejmie. Jeśli zrobimy tak, jak mówię, ludzie zaczną się przejmować.

- Co masz na myśli? - zapytał Jolu. - Jaki masz plan?

- Jeszcze nie wiem - przyznałem. - Dajcie mi czas do jutra, chociaż do rana.

Wiedziałem, że jeśli uda im się zachować tajemnicę do jutra, to zachowają ją już na zawsze. Starzy będą jeszcze bardziej sceptyczni, jeśli nagle „przypomnimy” sobie, że nie siedzieliśmy jednak w obozie dla uchodźców, lecz w tajnym więzieniu.

Van i Jolu spojrzeli po sobie.



- Proszę, żebyście dali mi szansę - dodałem. - Po drodze dopracujemy całą historię, wygładzimy ją. Dajcie mi jeden dzień, tylko jeden dzień.

Oboje posępnie przytaknęli głowami i znowu ruszyliśmy w dół ulicy, kierując się w stronę domów. Mieszkałem w Potrero Hill, Vanessa w North Mission, a Jolu w Noe Valley - to były trzy zupełnie różne dzielnice, które dzieliło od siebie tylko kilka minut marszu.

Skreśliśmy w Market Street i zatrzymaliśmy się. Ulica była zabarykadowana, z bocznych uliczek zrobiono jednokierunkowe, a wzdłuż całej jezdni stały zaparkowane osiemnastokołowe ciężarówki, bardzo podobne do tych, w których wciśnięto nam worki na głowy i zabrano gdzieś z dala od portu, w kierunku Chinatown.

Każda z nich miała z tyłu trzy stalowe schodki, po których żołnierskim krokiem wciąż wchodzili i schodzili ludzie w garniturach i gliny. Wrzało jak w ulu. Ci w garniturach mieli przypięte do klap małe odznaki, a żołnierze obserwowali, jak poruszają się tam i z powrotem - to były identyfikatory do bezprzewodowej autoryzacji. Przechodząc obok jednej z takich ciężarówek, zerknąłem do środka i ujrzałem znajome logo: Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Jeden z żołnierzy zauważył, że na nie patrzę, i zaczął mi się uważnie przyglądać.

Zrozumiałem, co chciał mi w ten sposób przekazać, więc poszedłem dalej. Z przyjaciółmi rozstałem się na Van Ness Avenue. Objęliśmy się, płacząc i obiecując, że zadzwonimy do siebie.

Do Potrero Hill prowadzą dwie drogi - łatwa i trudna. Ta druga wiedzie przez najbardziej strome wzgórza w mieście, podobne do tych, które pokazują w filmach akcji, gdzie podczas pościgu samochody wzbijają się w powietrze, unosząc się nad zenitem. Idąc do domu, zawsze wybierałem tę drogę. To teren mieszkalny, stoją tu domy wiktoriańskie zwane rusalkami - ze względu na te jarmarczne misterne malowidła i frontowe ogrody z pachnącymi kwiatami i wysokimi trawnikami. Leżące na płotach koty gapią się na przechodniów i prawie nie ma tu bezdomnych.

Na tych ulicach było tak spokojnie, że niemal zacząłem żałować, iż nie wybrałem tej drugiej trasy, prowadzącej przez dzielnicę Mission, która jest... hałaśliwa - to chyba najlepsze określenie. Głośna i tętniąca życiem. Roi się tam od awanturujących się pijaczynów, agresywnych kokainistów i nieprzytomnych ćpunów, ale jest też wiele rodzin z wózkami, starszych pań plotkujących na schodach, gości w lowriderach z podkreconymi na maksa głośnikami, z których na całą okolicę rozbrzmiewa umc-umc-umc. Można tam spotkać hipsterów oraz przygnębionych studentów szkół artystycznych preferujących styl emo, a nawet kilku oldschoolowych punków, starszych facetów z bańdziochami wypychającymi koszulki z Dead Kennedys. Są tu też transwestyci, wściekle młodociane gangi, grafficiarze i oszołomieni, drżący o własne życie dorobkiewiczze, którzy zainwestowali w odrestaurowanie tutejszych nieruchomości.

Poszedłem w górę Goat Hill, minąłem pizzerię Goat Hill Pizza, co przywiodło mi na myśl więzienie, gdzie mnie przetrzymywano, i musiałem usiąść na ławce przed knajpą, żeby poczekać, aż przestanę się trząść. Wtedy na wzgórzu przed sobą dostrzegłem osiemnastokółowca z trzema metalowymi schodkami opuszczonymi z tyłu. Wstałem i ruszyłem dalej. Czulem, że ze wszystkich stron obserwują mnie czyjeś oczy.

Resztę drogi do domu przebyłem w wielkim pośpiechu. Nie patrzyłem już na „ruszałki” ani na ogródki czy koty. Wzrok miałem wbity w ziemię.

Był środek dnia, lecz mimo to oba samochody moich rodziców stały na podjeździe. To oczywiste. Tata pracował po wschodniej stronie zatoki, więc był zmuszony siedzieć w domu, dopóki nie naprawią mostu. Mama - cóż, kto mógł to wiedzieć, dlaczego mama była w domu.

Siedzieli w domu z mojego powodu.

Jeszcze zanim zdążyłem przekręcić klucz w drzwiach, ktoś wyszarpnął mi je z ręki i otworzył szeroko. Ujrzałem rodziców, wyglądali szaro i mizernie, mieli podkrążone oczy i wpatrywali się we mnie.

Przez chwilę stali jak wryci, lecz potem ruszyli w moim kierunku i wciągnęli mnie do domu, omal nie przewracając mnie przy tym. Oboje mówili tak głośno i szybko, że słyszałem tylko niezrozumiałe, ryżący bełkot. Przytulili mnie i wybuchli płaczem, ja również szlochalem. Staliśmy tak we trójkę w małym przedpokoju, płacząc i wypowiadając te niby-słowa, aż opadliśmy z sił i udaliśmy się do kuchni.

Zrobiłem to, co zwykle po przyjeździe do domu. Nalałem sobie szklanek przefiltrowanej wody z lodówki i wygrzebałem kilka ciastek z pojemnika na herbatniki, który siostra mamy przysłała nam z Anglii. Normalność tych czynności sprawiła, że serce przestało mi walić jak młot, jego rytm dogonił pracę mózgu i wkrótce wszyscy siedzieliśmy przy stole.

- Gdzie się podziewałeś? - zapytali oboje prawie jednocześnie.

W drodze do domu obmyśliłem odpowiedź.

- Zatrzymali mnie - odparłem. - W Oakland. Byłem tam z kolegami, robiliśmy projekt i poddali nas wszystkim kwarantannie.

- Przez pięć dni?

- Tak - powiedziałem. - Tak. To było naprawdę straszne.

Czytałem o kwarantannach w gazecie i zacząłem bezwstydnie rzucać opublikowanymi tam cytatami:

- Tak. Wszystkich, którzy wpadli w tę chmurę dymu. Myśleli, że zaatakował nas jakiś nadzwyczajny wirus, i zapakowali nas do kontenerów w porcie, jak sardynki. Tam było naprawdę gorąco i duszno. Dawali nam też niewiele do jedzenia.

- O rany - skomentował tata, zaciskając pięść na stole. Przez trzy dni w tygodniu tata uczył w Berkeley, pracując z kilkoma studentami nad naukowym programem bibliotecznym. Przez resztę czasu udzielał konsultacji klientom w mieście i na półwyspie San Francisco, tym trzeciorzędnym firmom internetowym, które robią różne rzeczy związane z archiwami. Z zawodu był łagodnie usposobionym bibliotekarzem, ale w latach sześćdziesiątych stał się prawdziwym radykałem, a w szkole średniej trochę ćwiczył zapasy. Widziałem, jak czasami się

wściekał, nieraz sam wyprowadzałem go z równowagi. Podczas takiego napadu złości potrafiło go naprawdę ponieść. Kiedyś rzucił huśtawką z Ikei, tak że przeleciała nad trawnikiem dziadka i rozpadła się na części: piętnasty raz od momentu, gdy zaczął ją składać.

- Barbarzyńcy - powiedziała mama. Przeprowadziła się do USA, kiedy była nastolatką, lecz gdy mówiła o amerykańskich gliniarzach, opiece zdrowotnej, kontroli na lotniskach czy problemie bezdomności, wracała cała jej brytyjskość. Wtedy używała słowa „barbarzyńcy”, wymawiając je ze swoim starym mocnym akcentem. W Londynie byliśmy dwukrotnie, żeby zobaczyć się z jej rodziną, i nie wydaje mi się, że jest to miasto bardziej cywilizowane niż San Francisco, może tylko bardziej zatłoczone.

- Jesteś ranny? - zapytała. - Głodny?

- Chce ci się spać?

- Wszystko po trochu i w dodatku śmierdzą mi skarpetki - odparłem przekornie.

Oboje uśmiechnęli się lekko, lecz ich oczy były nadal wilgotne. Miałem z powodu rodziców wyrzuty sumienia. Musieli przecież odchodzić od zmysłów ze zmartwienia. Ucieszyłem się, że mogę zmienić temat.

- Ale bym coś zjadł.

- Zamówię pizzę z Goat Hill - zaproponował tata.

- Nie, tylko nie to - odparłem. Spojrzeli na mnie oboje, jakby wyrosły mi czułki. Normalnie mam słabość do tej pizzerii, gdy tam jesteśmy, zazwyczaj wcinam jak złota rybka karmę, wpycham w siebie jedzenie dopóty, dopóki wszystko nie zniknie z talerza albo nie zaczną pękać. Wysiłem się na uśmiech.

- Po prostu nie mam ochoty na pizzę - powiedziałem bez przekonania. - Zamówmy jakieś curry, dobrze?

Na szczęście San Francisco to istne eldorado, jeśli chodzi o żarcie na wynos.

Mama podeszła do szuflady z ulotkami (kolejna normalna czynność, która działała kojąco niczym szklanka wody na suche, bolące

gardło) i przejrzała je. Na kilka minut zapomnieliśmy o wszystkim, czytając ulotkę tradycyjnej pakistańskiej restauracji na Valencia Street. Zdecydowałem się na miks z grilla tandoori oraz zupę krem ze szpinaku z serem farmerskim, napój lassi z mango (o wiele lepszy, niż się wydaje), a także małe smażone ciasteczka w syropie z cukru.

Gdy już zamówiliśmy jedzenie, posypały się kolejne pytania. Rodzice byli w kontakcie z rodzinami Van, Jolu i Darryla (naturalnie) i próbowali zgłosić nasze zaginięcie. Policja zanotowała nasze nazwiska, lecz „przemieszczonych osób” było tak wiele, że nie chcieli rozpoczynać śledztwa przed upływem siedmiu dni.

Tymczasem w sieci pojawiły się miliony stron z ogłoszeniami o zaginionych. Kilka z nich to stare klony MySpace, których właściciele wypukali się z grosza i liczyli na wskrzeszenie, ściągając w ten sposób na siebie uwagę. W końcu w okolicy zatoki zaginęły też rodziny kapitalistów. Być może, gdyby je odnaleziono, strona przyciągnęłaby nowych inwestorów. Chwyciłem laptop taty i zacząłem je przeglądać. Oczywiście były pełne reklam oraz zdjęć zaginionych osób, w większości fotografii ślubnych, z zakończenia roku i tym podobnych. Wyglądało to dość makabrycznie.

Znalazłem swoją fotkę i zauważyłem, że jest dołączona do zdjęć Jolu, Van i Darryla. Widniały tam też niewielkie formularze - w jednym zaznaczano osoby odnalezione, a w drugim umieszczano opisy zaginionych. Zazaczyłem pola obok mnie, Jolu i Van, a obok Darryla pozostawiłem puste miejsce.

- Zapomniałeś o Darrylu - powiedział tata. Nie przepadał za Darrylem, odkąd odkrył, że w jednej z butelek w naszym barku ubył kilka centymetrów alkoholu, a ja ku mojej wiecznej hańbie zwałem winę na kolegę. Tak naprawdę obaj byliśmy nieco winni, po prostu się wygłupialiśmy, próbując trochę wódki z colą podczas całonocnej sesji gier komputerowych.

- Jego z nami nie było - powiedziałem. W ustach poczułem gorzki smak kłamstwa.

- O mój Boże - jęknęła mama. Ścisnęła mocno ręce. - Gdy wróciłeś do domu, zakładaliśmy, że byliście tam wszyscy razem.

- Nie - odparłem, brnąc dalej w kłamstwo. - Darryl miał się z nami spotkać, ale się nie pojawił. Prawdopodobnie utknął w Berkeley. Miał dojechać metrem.

Mama jęknęła. Tata potrząsnął głową i przymknął oczy.

- Nie słyszałeś o metrze? - zapytał.

Kiwnąłem przecząco głową. Wiedziałem, do czego zmierza. Poczuliem się tak, jakby ziemia się przede mną rozstąpiła.

- Wyszadzili je - powiedział tata. - Ci bandyci wysadzili je w tym samym czasie co most.

Tego nie było na pierwszej stronie gazety. Eksplozja metra nie była tak malownicza jak zdjęcia mostu zwisającego w strzępach i skrawkach nad zatoką. Tunel metra prowadzący z Embarcadero w San Francisco do stacji West Oakland znajdował się pod wodą.

Pochyliłem się ponownie nad komputerem taty i przejrzałem nagłówki gazet. Nikt nie był pewien, ale ofiary śmiertelne liczono w tysiącach. Wśród nich byli ludzie uwięzieni w samochodach, w których z wysokości sześćdziesięciu kilku metrów spadli do morza, i ci, którzy utonęli podczas podróży pociągiem - ich liczba stale rosła. Jeden z reporterów twierdził, że przeprowadził wywiad z „falszerzem tożsamości”, który pomógł „dziesiątkom” ludzi uciec od ich dotychczasowego życia. Gdy otrzymali nowe dowody tożsamości, po ataku najzwyczajniej zniknęli, umykając przed nieudanymi związkami małżeńskimi, długami i smutnym życiem.

Tata miał łzy w oczach, a mama otwarcie płakała. Oboje mnie przytulili, poklepując tak, jakby chcieli się upewnić, że naprawdę tu jestem. Wciąż powtarzali, że mnie kochają. Powiedziałem, że ja ich też.

Obiad zjedliśmy w łzawej atmosferze. Mama z tatą wypili kilka lampek wina, dość dużo jak na nich. Oznajmiłem im, że jestem śpiący, co było prawdą, i poczłapałem do swojego pokoju. Jednak nie zamierzałem się położyć. Musiałem dostać się do sieci i sprawdzić,

co się dzieje. Musiałem pogadać z Jolu i Vanessa. Musiałem zabrać się do szukania Darryla.

Dowlokłem się do pokoju i otworzyłem drzwi. Wydawało mi się, że nie widziałem swojego łóżka od wieków. Położyłem się na nim i sięgnąłem po laptop stojący obok na szafce. Musiałem go źle podłączyć do gniazdka - wtyczkę trzeba odpowiednio wsadzić - więc rozładował się podczas mojej nieobecności. Poprawiłem ją i czekałem minutę lub dwie, żeby się trochę naładował przed ponowną próbą uruchomienia. W tym czasie rozebrałem się i wrzuciłem ubrania do śmieci - nie miałem ochoty już nigdy więcej ich oglądać - włożyłem czyste bokserki i czystą koszulkę. Świeżo uprane ciuchy, wprost z szuflady, wydawały się znajome i przyjazne niczym uściski rodziców.

Odpaliłem laptop i podłożyłem sobie pod plecy stertę poduszek. Otworzyłem komputer i umieściłem go sobie na kolanach. Wciąż się jeszcze ładował i... o rany, te wszystkie ikonki pelzające po ekranie wyglądały tak dobrze. Po włączeniu pojawiły się kolejne ostrzeżenia o słabej baterii. Ponownie sprawdziłem kabel zasilający i poruszyłem nim, aż w końcu znikły. Ten przewód ledwie dyszał.

W rzeczywistości było z nim tak kiepsko, że nie mogłem właściwie nic zrobić. Za każdym razem, gdy go puszczałem, traciłem połączenie, a komputer żalił się na niski poziom baterii. Postanowiłem przyjrzeć się temu dokładniej.

Cała obudowa mojego laptopa była trochę wykrzywiona, szpara między jej dolną i górną częścią rozchodziła się pod kątem - z przodu była wąska i rozszerzała się ku tyłowi.

Czasem człowiek patrzy na swój sprzęt i zastanawia się: „Czy to zawsze tak wyglądało? Być może po prostu nigdy tego nie dostrzegłem?”.

Ale w przypadku mojego laptopa to było niemożliwe. Bo to ja go zbudowałem. Odkąd szkoła przekazała nam schoolbooki, rodzice w żadnym wypadku nie zamierzali mi kupić własnego komputera, mimo że formalnie Schoolbook nie należał do mnie, a ja nie powinienem

instalować na nim żadnego oprogramowania ani go modyfikować.

Miałem odłożone trochę pieniędzy - z dorywczej pracy, ze świąt Bożego Narodzenia i urodzin oraz z kilku przemyślanych transakcji na eBayu. W sumie uzbierałem dość grosza, żeby kupić totalnie bzdziwny pięcioletni komputer.

Zamiast tego jednak skonstruowaliśmy z Darrylem własny sprzęt. Obudowę laptopa, tak jak zwykłych pecetów, można kupić, chociaż te pierwsze są trochę bardziej zaawansowane od zwykłych starych komputerów osobistych. W ciągu ostatnich kilku lat zbudowałem z Darrylem kilka kompów, wygrzebując stare części na aukcjach internetowych, pchlich targach i zamawiając sprzęt u naprawdę tanich tajwańskich sprzedawców znalezionych w necie. Doszedłem do wniosku, że zbudowanie laptopa to najlepszy sposób na zdobycie władzy, której pragnąłem, za cenę, na którą mogłem sobie pozwolić.

Aby zbudować własnego laptopa, należy zacząć od zamówienia „kadłubka” - kompa złożonego z małej liczby elementów, który ma jednak wszystkie odpowiednie wejścia. Dobrą wiadomością było to, że skonstruowany przeze mnie komp był o prawie pięć kilo lżejszy i kosztował trzy razy mniej niż dell, którego miałem na oku, a poza tym chodził od niego szybciej. Była też zła wiadomość - składanie laptopa przypomina budowanie modelu statku w butelce. To żmudna praca, która wymaga użycia pęset i szkieł powiększających, żeby dopasować to wszystko do siebie i wcisnąć w małą obudowę. W przeciwieństwie do pecetów - które składają się głównie z powietrza - w laptopie każdy milimetr sześcienny przestrzeni jest wypełniony. Za każdym razem gdy myślałem, że wszystko gotowe, i zabierałem się do skręcania obudowy, okazywało się, że coś uniemożliwia mi jej zamknięcie i że muszę zacząć pracę od początku.

Dlatego d o k ł a d n i e wiedziałem, jak powinno wyglądać łączenie obudowy mojego laptopa po jego zamknięciu i że w c a l e nie powinno wyglądać tak jak teraz.



Cały czas potrząsałem kablem, ale to było beznadziejne. Nie miałem innego wyjścia. Nie mogłem naładować komputera, nie rozbierając go na części. Jęknąłem i położyłem go obok łóżka. Postanowiłem zająć się tym rano.

Przynajmniej teoretycznie. Dwie godziny później wciąż wpatrywałem się w sufit, odtwarzając w pamięci niedawne wydarzenia. To, co ze mną robili, to, co ja powinienem był zrobić, wszystkie żale i *esprit d'escalier*.

Wstałem z łóżka. Minęła północ. Słyszałem, że rodzice położyli się o jedenastej. Wziąłem laptop, zrobiłem miejsce na biurku, przypiąłem małe lampki diodowe do oprawek moich okularów z soczewkami powiększającymi i wyjąłem zestaw śrubokrętów do precyzyjnej roboty. Chwilę później obudowa była już otwarta, klawiatura usunięta, a ja zacząłem grzebać we wnętrznościach komputera. Wyjąłem puszkę skompresowanego powietrza, zdmuchnąłem kurz, który został wciągnięty przez wentylator, i zacząłem przyglądać się poszczególnym elementom.

Coś mi tu nie grało, ale nie wiedziałem co. Nie zdejmowałem obudowy od miesiący. Na szczęście gdy po raz trzeci ją otworzyłem i z trudem próbowałem ponownie zamknąć, olśniło mnie - kiedyś zrobiłem zdjęcie wnętrza komputera ze wszystkimi elementami ułożonymi na swoim miejscu. Jednak zabrakło mi trochę sprytu: najpierw zstawiłem to zdjęcie na twardym dysku i po rozebraniu laptopa na części oczywiście nie mogłem się do niego dostać, ale w końcu kiedyś je wydrukowałem i wepchnąłem do szuflady pełnej papierów, tego cmentarzyska kart gwarancyjnych i schematów układów scalonych. Zacząłem je przerzucać - panował tu większy bałagan, niż się spodziewałem - i wyjąłem zdjęcie. Położyłem je obok komputera i skupiłem wzrok, starając się odnaleźć elementy, które wydawały się nie na miejscu.

Nagle to dostrzegłem. Przewód taśmowy, który łączył klawiaturę z płytą główną, był nieprawidłowo podłączony. To dziwne. W tym miejscu

nic się nie obracało, nie było tam niczego, co mogłoby spowodować przesunięcie pasa podczas normalnych działań. Gdy spróbowałem go z powrotem docisnąć, odkryłem, że wtyczka była nie tylko źle zamontowana - między nią a płytą coś się znajdowało. Wyjąłem to coś i skierowałem na to strumień światła.

W mojej klawiaturze znajdowało się coś nowego. Element o grubości zaledwie półtora milimetra, bez żadnych oznaczeń. Był podłączony zarówno do klawiatury, jak i do płyty głównej. Innymi słowy, było to idealne miejsce, żeby przechwycić wszystkie uderzenia w klawisze podczas pisania na komputerze.

To była pluskwa.

Serce waliło mi jak młot. W domu panowały mrok i cisza, jednak nie był to pocieszający mrok. Tkwiły w nim oczy i uszy, które mnie obserwowały i podsłuchiwały. Inwigilowały. Inwigilacja, której doświadczyłem w szkole, dotarła za mną do domu, ale tym razem nie tylko dyrektor zaglądał mi przez ramię. Dołączył do niego Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Już miałem wyjąć tę pluskwę, kiedy zorientowałem się, że ktokolwiek ją tam włożył, dowie się, że już jej nie ma. Zostawiłem ją na swoim miejscu. Zrobiło mi się niedobrze.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu kolejnych pułapek. Nie mogłem ich znaleźć, ale czy to oznaczało, że nie było ich więcej? Ktoś włamał się do mojego pokoju i zainstalował to urządzenie - rozmontował mój laptop i złożył go ponownie. Istniało wiele innych sposobów na założenie podsłuchu w komputerze. Nigdy nie będę w stanie ich wszystkich znaleźć.

Zdrętwiałymi rękami złożyłem laptop z powrotem. I tym razem obudowa nie zamknęła się poprawnie, ale kabel został w środku. Uruchomiłem komputer i położyłem ręce na klawiaturze. Pomyślałem, że przeprowadzę diagnozę i zobaczę, co jest grane.

Ale nie mogłem tego zrobić.

Do diabła, a może mój pokój jest na podsłuchu. Być może szpieguje mnie teraz jakaś kamera.

Po powrocie do domu wpadłem w paranoję. Teraz o mało nie wyszedłem ze skóry. Czuję się tak, jakbym był z powrotem w więzieniu, z powrotem w pokoju przesłuchań, śledzony przez istoty, które miały nade mną całkowitą władzę. Zachciało mi się płakać.

Był na to tylko jeden sposób.

Poszedłem do łazienki, zdjąłem rolkę papieru toaletowego i wymieniałem ją na nową. Na szczęście stara była prawie zużyta. Odwinąłem resztkę papieru, poszperałem w skrzynce z częściami elektronicznymi i znalazłem małą plastikową kopertę pełną ultrajasných białych diod, które wyjąłem z wypalanej lampy rowerowej. Odchodzące od nich kabelki przepchnąłem ostrożnie przez tekturową rurkę, w której szpilką przebiłem dziurki, następnie wyjąłem jakiś drut i połączyłem je wszystkie szeregowo małymi metalowymi spinaczami. Z drutów skręciłem przewody i podłączyłem do dziewięciowoltowej baterii. Miałem teraz rurkę otoczoną ultrajasnými diodami kierunkowymi, którą mogłem przyłożyć do oczu i przez nią patrzeć.

Zbudowałem już taką w tym roku w ramach projektu naukowego, z którego zostałem wyeliminowany, ponieważ pokazałem, że w połowie klas w mojej szkole ukryte są kamery. Kamery wideo wielkości łąbka od szpilki kosztują w dzisiejszych czasach mniej niż obiad w dobrej restauracji, więc pojawiają się wszędzie. Przebiegli sprzedawcy umieszczają je w szatniach bądź w solariach, a potem podniecają się przy filmikach, na których zostali zarejestrowani ich klienci - czasem wrzucają je do sieci. Umiejętność przekształcenia rolki papieru toaletowego i wartego trzy dolce sprzętu w wykrywacz kamer to po prostu kwestia zdrowego rozsądku.

To najprostszy sposób na wykrycie kamer szpiegujących. Mają one wbudowane malutkie, świetnie odbijające światło soczewki. Ta metoda najlepiej sprawdza się w ciemnych pomieszczeniach. Trzeba spojrzeć przez rurkę i powoli obserwować wszystkie ściany i inne miejsca, w które ktoś mógł wetknąć kamerę, aż dostrzeże się błysk

odbitego światła. Jeśli obracacie się dookoła, a to odbicie się nie porusza, chodzi o soczewkę.

W moim pokoju nie było kamery - przynajmniej takiej, którą mógłbym wykryć. Oczywiście mogły się tu znajdować podsłuchy. Lub lepsze kamery. Albo w ogóle nic. Czy można mnie winić za to, że wpadłem w paranoję?

Uwielbiałem tego laptopa. Nazwałem go Salmagundi\*, co oznacza to wszystko, co jest zrobione z odpadów.

\* Salmagundi - rodzaj sałatki z siekanego mięsa, owoców morza, jajek i warzyw, popularnej w USA. Nazwa salmagundi używana jest także w języku angielskim jako określenie mieszaniny różnorodnych składników.

Jeśli nadajesz swojemu laptopowi imię, to wiesz, że łączą cię z nim głębokie relacje. Jednak teraz mimo wszystko czułem, że nie chcę go już więcej dotykać. Miałem ochotę wyrzucić go przez okno. Kto wie, co jeszcze z nim zrobili? Kto wie, w jaki sposób założyli w nim podsłuch?

Włożyłem go do szuflady i spojrzałem na sufit. Było późno i powinienem być już w łóżku. Ale w ogóle nie mogłem zasnąć. Byłem podsłuchiwany. Każdy mógł być podsłuchiwany. Świat zmienił się na zawsze.

- Znajdę sposób, żeby ich dopaść - powiedziałem. To była przysięga. Zrozumiałem to z chwilą, gdy ją wypowiedziałem, mimo że nigdy dotąd nie składałem przysięgi.

Nie mogłem zasnąć. Poza tym wpadłem na pomysł.

Gdzieś w mojej szafie leżało ciasno owinięte pudełko zawierające nietkniętą jeszcze paczkę z Xboksem Universal. Wszystkie Xboksy sprzedawano po zaniżonych cenach - Microsoft zarabia głównie na procentach, jakie pobiera od firm sprzedających gry komputerowe, w które można grać tylko na jego konsolach - ale Universal był pierwszym Xboksem rozdawanym zupełnie za darmo.

W zeszłe święta Bożego Narodzenia na każdym rogu stały jakieś ofiary losu przebrane za wojowników z serii Halo, które rozdawały torebki z konsolami do gier tak szybko, jak się tylko dało. Myślę, że to podziało - wszyscy mówili, że sprzedawało się mnóstwo gier na te

konsole. Oczywiście zrobiono wszystko, żeby ludzie grali tylko w gry tych firm, które w celu ich wyprodukowania wykupiły licencje od Microsoftu.

Hakerzy mają na to swoje sposoby. Do Xboksa włamał się jakiś student z MIT\*, który napisał o nim bestseller, po czym popularność wersji 360 spadła. Później odpadł jeszcze ledwo wydany Xbox Portable (którego nazywaliśmy „klocem” - ważył półtora kilo!). Spodziewano się, że Universal będzie całkowicie odporny na ataki. Licealiści, którzy się do niego włamali, byli brazylijskimi hakerami Linuksa i mieszkali w fawelach - takich slumsach.

\* MIT (ang. Massachusetts Institute of Technology) - uczelnia techniczna, jedna z najbardziej prestiżowych na świecie.

Nigdy nie należy lekceważyć determinacji dzieciaka mającego dużo czasu i mało kasy.

Kiedy Brazylijczycy opublikowali swojego cracka, wszyscy zbikowaliśmy na tym punkcie. Wkrótce pojawiły się dziesiątki alternatywnych systemów operacyjnych do Xboksa Universal. Moim ulubionym był ParanoidXbox, posmak ParanoidLinuksa. ParanoidLinux to system operacyjny, który zakłada, że jego użytkownik jest atakowany przez rząd (był przeznaczony dla chińskich i syryjskich dysydentów), i robi wszystko, co w jego mocy, żeby zataić rozmowy i dokumenty użytkownika. Potrafi nawet wyrzucić na wierzch „fałszywe” rozmowy, aby zakamuflować fakt, że użytkownik ma do ukrycia jakąś tajemnicę. Czyli na przykład za każdym razem, gdy otrzymuje on wiadomości dotyczące polityki, ParanoidLinux udaje, że surfuje po sieci, wypełnia ankiety i flirtuje na czatach. Tymczasem jeden na pięćset znaków, które otrzymuje użytkownik, jest prawdziwą wiadomością. To jak igła w ogromnym stogu siana.

Wypaliłem płytkę DVD z ParanoidXboksem, gdy tylko się pojawił, ale nigdy nie zabrałem się do rozpakowania Xboksa leżącego w mojej szafie czy znalezienia telewizora, żeby go do niego podłączyć, i tak dalej. W moim pokoju jest już i tak za wiele gratów, więc nie mogę

pozwolić, żeby jakieś badziewie Microsoftu zabrało mi tak cenną przestrzeń do pracy.

Dzisiejszej nocy miałem się poświęcić. Rozpakowanie i uruchomienie Xboksa zajęło mi około dwudziestu minut. Najgorsze było to, że nie posiadam telewizora, ale w końcu przypomniałem sobie, że mam mały rzutnik LCD, który z tyłu ma standardowe gniazda telewizyjne. Ustawiłem go za drzwiami, podłączyłem do niego Xboksa, włączyłem i zainstalowałem ParanoidXboksa.

Gdy już wszystko działało, ParanoidXbox zaczął wyszukiwać inne Xboksy Universal, z którymi mógłby się skomunikować. Każdy z nich ma wbudowaną obsługę sieci bezprzewodowej, dzięki czemu w grze może uczestniczyć wiele osób. Można połączyć się z sąsiadami przez Xboksy lub przez internet, jeśli ma się dostęp do sieci Wi-Fi. W swoim zasięgu znalazłem trzech aktywnych sąsiadów. Dwóch z nich podłączyło swoje Xboksy do internetu. Dla ParanoidXboksa była to idealna konfiguracja: mógł podkraść niektóre z połączeń internetowych moich sąsiadów, po czym wykorzystywał je, żeby łączyć się online przez gry sieciowe. Sąsiedzi niczego nie tracili - i tak płacili abonament za internet, a o drugiej w nocy za wiele nie surfowali.

Najlepsze w tym wszystkim było p o c z u c i e kontroli. Ta technologia działała dla mnie, służyła mi, chroniła mnie. Nie szpiegowała. Dlatego ją uwielbiałem. Jeśli ją odpowiednio wykorzystacie, może dać wam władzę i prywatność.

Teraz mój mózg naprawdę pracował, pędził jak szalony. Istniało wiele powodów, dla których warto było korzystać z ParanoidXboksa - najważniejszy to ten, że każdy mógł napisać pod niego nową grę. Stworzono już program MAME, Multiple Arcade Machine Emulator (emulator automatów do gier), więc można było grać praktycznie we wszystkie gry, jakie zostały dotychczas napisane, od Ponga - gry dla Apple, poprzez gry na ColecoVision, NES oraz Dreamcast i tak dalej.

Jeszcze lepsze były gry multiplayer pisane specjalnie pod ParanoidXboksa - całkowicie darmowe, tworzone hobbystycznie,

z których każdy mógł korzystać. Gdy się to wszystko razem połączyło, otrzymywało się darmową konsolę pełną darmowych gier, zapewniającą bezpłatny dostęp do internetu.

A najlepsze w tym wszystkim było to - przynajmniej jeśli o mnie chodzi - że ParanoidXbox był p a r a n o i c z n y . Każdy wypuszczany w eter bit był bardzo dokładnie kodowany. Można było je wszystkie podsłuchać, ale nigdy nie było wiadomo, kto, z kim i o czym rozmawiał. Anonimowa sieć, poczta elektroniczna i komunikator. Wszystko, czego potrzebowałem.

Musiałem tylko przekonać wszystkich, że wiem, jak z tego korzystać.

## ROZDZIAŁ 6

Możecie w to wierzyć lub nie, ale następnego dnia rodzice kazali mi iść do szkoły. Dopiero o trzeciej w nocy zapadłem w gorączkowy sen, a o siódmej rano tata stał już przy moim łóżku, grożąc, że wyciągnie mnie za nogi. Udało mi się wstać - czułem się tak, jakby coś zdechło mi w ustach - i pójść do łazienki.

Mama wmusiła we mnie tosta i banana, a ja modliłem się gorąco, żeby rodzice pozwolili mi wypić kawę w domu. Mogłem wpaść na jedną w drodze do szkoły, ale patrzenie, jak popijają swoje czarne złoto, podczas gdy ja obijałem się po pokojach, ubierając się i wkładając książki do torby - było okropne.

Szedłem do szkoły tysiące razy, ale dzisiaj było inaczej. Przeszedłem przez wzgórze i dotarłem do Mission, gdzie stało całe mnóstwo ciężarówek. Dostrzegłem nowe czujniki i kamery uliczne zainstalowane na wielu znakach stopu. Ktoś miał sporo sprzętu wywiadowczego i tylko czekał na pierwszą lepszą okazję, żeby go wykorzystać. Atak na Bay Bridge był dokładnie tym, czego potrzebował.

Przez to wszystko miasto zdawało się jakieś przygaszone, jakby zatrzaśnięte w windzie, skrzepowane dokładną inwigilacją sąsiadów i wszechobecnością kamer.



W tureckiej kawiarni czynnej przez całą dobę kupiłem kawę na wynos, która postawiła mnie na nogi. W zasadzie turecka kawa to błoto udające kawę. Jest na tyle gęsta, że można postawić w niej łyżeczkę, i ma o wiele więcej kofeiny niż takie napoje dla dzieciaków jak red bull. Możecie być tego pewni, bo mówi wam to ktoś, kto przeczytał o tym w Wikipedii: oto, jak zdobyto Imperium Osmańskie - rozwścieczeni jeźdźcy napędzani zabójczym, czarnym jak smoła kawowym błotem.

Wyjąłem kartę debetową, żeby zapłacić za kawę, ale sprzedawca zrobił dziwną minę.

- Nie przyjmujemy już kart debetowych - powiedział.
- Że co? Dlaczego nie?

Od lat płaciłem u Turka kartą za swój kawowy nawyk. Ten facet wciąż się ze mną handryczył, mówiąc, że jestem zbyt młody na kawę, i nigdy w trakcie lekcji nie chciał mnie obsłużyć przekonany, że jestem na wagarach. Ale przez te lata nawiązało się między nami pewne szorstkie porozumienie.

Potrząsnął smutno głową.

- Nie zrozumiesz tego. Idź do szkoły, chłopcze.

Nie ma pewniejszego sposobu na wzbudzenie mojego zainteresowania, niż powiedzieć mi, że czegoś nie zrozumiem. Nakłoniłem go, żeby mi to wyjaśnił. Wyglądał tak, jakby chciał mnie wyrzucić za drzwi, ale kiedy go zapytałem, czy myśli, że nie jestem dość dobry, aby u niego kupować, odpuścił.

- Bezpieczeństwo - odparł, rozglądając się po swojej małej kawiarni z pudełkami suszonej fasoli i nasion, z półkami pełnymi tureckich artykułów spożywczych. - Rząd. Cały czas nas monitorują, pisali o tym w gazetach. Druga ustawa Patriot Act została wczoraj przyjęta przez Kongres. Teraz mogą cię monitorować za każdym razem, gdy użyjesz karty. Jestem temu przeciwny. Nie będę im pomagał w szpiegowaniu moich klientów.

Szczęka mi opadła.

- Uważasz, że to nic wielkiego? Że nic złego nie ma w tym, że rząd wie, kiedy kupujesz kawę? To dzięki temu dowiadują się, gdzie

jesteś, gdzie byłeś. Myślisz, że dlaczego wyjechałem z Turcji? Tam, gdzie rząd ciągle szpieguje ludzi, nie jest dobrze. Przyjechałem tu dwadzieścia lat temu po wolność i nie pomogę im odebrać tej wolności.

- Ale stracisz przez to wielu klientów - wyrwało mi się. Chciałem mu powiedzieć, że jest bohaterem, i uścisnąć mu dłoń, ale oto, co z tego wyszło. - Każdy korzysta z kart debetowych.

- Może teraz już nie każdy. Może moi klienci wrócą tu, bo zobaczą, że ja też kocham wolność. Powieszę znak w oknie. Może inne sklepy też tak zrobią. Słyszałem, że ACLU\* pozwie ich za to do sądu.

- Odtąd będę twoim stałym klientem - oświadczyłem. Naprawdę tak myślałem. Sięgnąłem po portfel. - Hm, ale nie mam gotówki.

Zacisnął wargi i skinął głową.

- Wielu ludzi mówi to samo. W porządku. Lepiej oddaj te pieniądze na ACLU.

\* ACLU (ang. American Civil Liberties Union) - Amerykańska Unia Swobód Obywatelskich.

W ciągu tych dwóch minut zamieniłem z Turkiem więcej słów niż przez cały ten czas, gdy przychodziłem do jego baru. Nie miałem pojęcia, że ma takie poglądy. Traktowałem go jak przyjaznego dostawcę kofeiny z sąsiedztwa. Teraz uścisnąłem mu dłoń i gdy opuściłem kawiarnię, czułem, jakbym dołączył do pewnej grupy. Tajnej grupy.

Nie było mnie w szkole przez kilka dni, ale zdawało się, że nie opuściłem wielu lekcji. Na jeden z tych dni szkołę zamknięto, podczas gdy miasto starało się dojść do siebie. Zdaje się, że następny dzień został poświęcony żałobie po tych, którzy zaginęli lub prawdopodobnie zginęli. W gazetach opublikowano biogramy zaginionych, osobiste wspomnienia. W sieci roilo się od tysięcy nekrologów.

Ku mojemu zakłopotaniu byłem jednym z tych ludzi. Nie wiedząc o tym, wszedłem na szkolny dziedziniec - rozległ się krzyk, a chwilę później wokół mnie stała już setka osób klepiących mnie po plecach i ściskających mi rękę. Kilka dziewczyn, których nawet nie znałem, pocałowało mnie, i nie były to tylko przyjacielskie pocałunki. Czuję się jak gwiazda rocka.

Moi nauczyciele byli bardziej powściągliwi, ale tylko trochę. Pani Galvez płakała tak jak moja matka i zanim pozwoliła mi odejść i usiąść w ławce, uściskała mnie trzykrotnie. Z przodu klasy znajdowało się coś nowego. Kamera. Pani Galvez przyłapała mnie, jak się na nią gapiłem, i wręczyła mi umazaną kserówkę jakiegoś dokumentu z pieczętą szkoły.

Kuratorium oświaty okręgu San Francisco w ciągu weekendu zwołało nadzwyczajne posiedzenie, na którym jednogłośnie zdecydowano, żeby zapytać rodziców każdego dziecka w mieście o pozwolenie na zainstalowanie kamer monitorujących w szkole. Prawo mówiło, że nie można nas zmusić do chodzenia do szkoły naszpikowanej kamerami, ale nie wspominało nigdzie o tym, że nie możemy dobrowolnie zrzec się naszych praw konstytucyjnych. W piśmie tym kuratorium wyrażało przekonanie, że uzyska zgodę wszystkich rodziców, lecz mimo to podejmie działania, aby w oddzielnych „niestrzeżonych” klasach zorganizować lekcje dla dzieci, których rodzice wyrażą sprzeciw.

Dlaczego w naszych klasach były teraz kamery? Terroryci. To oczywiste. Ponieważ wysadzając most, terroryci dali do zrozumienia, że następne będą szkoły. W każdym razie do takiego wniosku doszło kuratorium.

Przeczytałem pismo trzy razy, a potem podniosłem rękę.

- Tak, Marcusie?
- Proszę pani, chodzi o ten list.
- Tak, Marcusie.
- Czy celem terrorystów nie jest nas zastraszyć? Dlatego nazywają się t e r r o r y s t a m i , prawda?
- Tak sądzę.

Wszyscy w klasie gapili się na mnie. Nie byłem najlepszym uczniem w szkole, ale dobrze wypadłem w dyskusjach. Czekali, co powiem.

- Więc czy nie zachowujemy się zgodnie z wolą terrorystów? Czy nie zwyciężą, jeśli wszyscy będziemy przerażeni i wstawimy do klas kamery i cały ten sprzęt?

Rozległ się nerwowy chichot. Ktoś podniósł rękę. To był Charles. Pani Galvez udzieliła mu głosu.

- Kamery są tutaj po to, żeby nas chronić, dzięki nim mniej się boimy.

- Chronić przed czym? - zapytałem, nie czekając na pozwolenie.

- Przed terroryzmem - odparł Charles. Inni przytaknęli głowami.

- Jak miałyby to zrobić? Gdyby wpadł tutaj zamachowiec-samobójca i nas wszystkich wysadził...

- Proszę pani, Marcus narusza regulamin szkoły. Nie powinniśmy robić sobie żartów z ataków terrorystycznych...

- A kto sobie żartuje?

- Dziękuję wam obu - powiedziała pani Galvez. Wyglądała na naprawdę nieszczęśliwą. Czulem się źle z myślą, że zająłem jej czas lekcyjny. - Moim zdaniem jest to bardzo interesująca dyskusja, ale chciałabym ją przełożyć na następną lekcję. Myślę, że dzisiaj możecie podchodzić do tych spraw zbyt emocjonalnie. A teraz wróćmy do sufrażystek, dobrze?

I tak spędziliśmy resztę lekcji, dyskutując o sufrażystkach i o nowych strategiach lobbingsowych, które wymyślono po to, aby do kancelarii każdego samca z Kongresu wprowadzić cztery kobiety, żeby na niego naciskały, dając mu do zrozumienia, co stanie się z jego karierą polityczną, jeśli wciąż będzie odmawiał kobietom prawa do głosu. Normalnie lubiłem takie tematy - maluczcy, którzy sprowadzają dużych i silnych na drogę ucziwości. Ale dzisiaj nie mogłem się skoncentrować. Prawdopodobnie z powodu nieobecności Darryla. Obaj lubiliśmy WOS, pewnie trzymalibyśmy schoolbooki na wierzchu,

prowadząc równoległą dyskusję na czacie na temat tej lekcji.

Poprzedniej nocy wypaliłem dwadzieścia płyt z ParanoidXboksem i miałem je wszystkie w torbie. Wręczyłem je ludziom, którzy, o ile się orientowałem, lubili sobie pograć. Wszyscy oni od roku lub dwóch mieli jeden bądź dwa Xboksy Universal, lecz większość z nich przestała ich używać. Gry na te konsole były cholernie drogie i niezbyt zabawne. Wyciągałem je na przerwach, w stołówce lub w trakcie okienek, wyśpiewując pod niebiosa pieśni pochwalne ku czci ParanoidXboksa. Darmowe i zabawne - uzależniające gry społeczne, którym oddawało się wielu fajnych ludzi z całego świata.

Dawanie jednej rzeczy w celu sprzedania innej to coś, co nazywa się biznesem żyletkowym - firmy typu Gillette wręczają wam darmowe maszynki do golenia, a potem każą wam zapłacić za wymienne ostrza. Najgorsze są tonery do drukarek - nawet najdroższy szampan na świecie jest tani w porównaniu z atramentem do drukarek, którego litr w hurtowej sprzedaży kosztuje fortunę.

Biznes żyletkowy polega na tym, że nie można kupić „żyletek” od nikogo innego. Swoją drogą, jeśli Gillette zarabia dziewięć dolców na wartych dziesięć dolarów wymiennych ostrzach, dlaczego nie stworzyć konkurencji, która zarabiałaby tylko cztery dolce na sprzedaży identycznych żyletek. Osiemdziesięcioprocentowy zysk to rzecz, na której widok przeciętny biznesmen zacznie się ślinić i zrobi wielkie oczy.

Dlatego firmy żyletkowe typu Microsoft wkładają wiele wysiłku, żeby konkurowanie z nimi na żyletkowym rynku stało się trudne i / lub nielegalne. W przypadku Microsoftu w każdym Xboksie znajdowało się coś, co powstrzymywało przed używaniem oprogramowania wypuszczonego przez ludzi, którzy nie zapłacili Microsoftowi haraczu za prawo do sprzedaży programów pod Xboksa.

Ludzie, z jakimi się spotykałem, niewiele o tych sprawach myśleli. Ożywili się, gdy im powiedziałem, że te gry nie są monitorowane.

W dzisiejszych czasach we wszystkich grach sieciowych roi się od podejrzanych typów. Pierwsi to zbrojeńcy, którzy starają się ściągnąć was do jakiegoś odległego miejsca, żeby wypróbować na was swoje perwersyjne fantazje, a po wszystkim odgryźć wam język. Kolejni to gliniarze, którzy udają łatwowierne dzieciaki, żeby dopaść tych zbrojeńców. Jednak najgorsi są szpicle spędzający cały swój czas na szpiegowaniu naszych dyskusji i kablowaniu na nas za pogwałcenie zasad użytkowania, według których nie wolno flirtować ani przeklinać, ani mówić niczego „wprost lub używając zamaskowanego języka obraźliwie nawiązującego do jakiegokolwiek aspektu orientacji seksualnej czy seksualności w ogóle”.

Nie jestem jakimś kolesiem, który chodzi napalony dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu, lecz zwykłym siedemnastolatkiem. Seks pojawia się więc od czasu do czasu w moich rozmowach. Ale nie daj Boże, żebym wspomniał o nim w gadkach prowadzonych podczas gry. To naprawdę psuło zabawę. Gier na ParanoiaXbox nikt nie monitorował, ponieważ nie używała ich żadna firma. Były po prostu grami napisanymi przez hakerów dla jaj.

Dlatego fanom gier bardzo spodobała się ta historia. Łapczywie wzięli płyty i obiecali wypalić ich kopie dla wszystkich swoich przyjaciół - ostatecznie gry sprawiają najwięcej przyjemności, gdy się w nie gra z kumplami.

Po dotarciu do domu przeczytałem, że grupa rodziców pozwała władze szkoły za rozmieszczenie kamer w naszych klasach, ale ich wniosek został od razu odrzucony.

Nie wiem, kto wymyślił nazwę Xnet, ale się przyjęła. Ludzie rozmawiali o tym w autobusach i tramwajach. Zadzwoniła do mnie Van, żeby zapytać, czy o tym słyszałem, i o mało się nie zadławiłem, gdy zrozumiałem, o czym ona mówi. Płyty, które zacząłem rozprowadzać w zeszłym tygodniu, zostały w ciągu kilku dni przemycone do internetu i skopiowane stąd aż po Oakland. Spojrzałem przez ramię

- czułem się tak, jakbym złamał zasady, jakby Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego miał zaraz wpaść i zabrać mnie na zawsze.

To były trudne tygodnie. Za bilety do metra nie można było płacić gotówką, którą zastąpiono „bezdotykovymi” kartami zaopatrzonymi w etykiety RFID. Żeby przedostać się na peron, trzeba było nimi pomachać nad bramkami. Były fajne i wygodne, ale za każdym razem, gdy ich używałem, myślałem o tym, że jestem śledzony. Ktoś wysłał w Xnecie link do raportu Fundacji Elektronicznego Pogranicza\*, gdzie opisano sposoby wykorzystywania takiego sprzętu do śledzenia ludzi oraz krótkie historie dotyczące grupek osób protestujących na stacjach metra.

\* Fundacja Elektronicznego Pogranicza (ang. Electronic Frontier Foundation - EFF) - organizacja pozarządowa założona w 1990 roku w USA, której celem jest walka o wolności obywatelskie (na przykład prawo do anonimowości, prywatności i wolności słowa) w elektronicznym świecie.

Xnet wykorzystywałem już prawie do wszystkiego. Założyłem sobie fałszywy adres poczty elektronicznej dzięki pomocy Partii Piratów, szwedzkiej partii politycznej sprzeciwiającej się inwigilacji w internecie i obiecującej, że zachowa w tajemnicy wszystkie konta mailowe, włącznie z tymi, które należały do gliniarzy. Mogłem z niego korzystać jedynie w Xnecie, skacząc po kolejnych połączeniach internetowych moich sąsiadów, zachowując anonimowość - taką miałem nadzieję - i docierając aż do Szwecji. Nie używałem już nicka Winston. Jeśli rozszyfrował go Benson, każdy mógłby to zrobić. Mój nowy nick, który nadałem sobie pod wpływem chwili, brzmiał M1k3y. Otrzymywałem wiele maili od ludzi, którzy dowiedzieli się na czatach i forach, że mogę im pomóc w rozwiązaniu problemów związanych z konfiguracją i połączeniami w ich Xnecie.

Tęskniłem za Harajuku Fun Madness. Firma zawiesiła grę do odwołania. Powiedzieli, że „ze względów bezpieczeństwa” ukrywanie różnych rzeczy i namawianie ludzi, żeby ich potem szukali, nie byłoby najlepszym pomysłem. A jeśli ktoś pomyśli, że to bomba? A jeśli ktoś

w tym samym miejscu rzeczywiście podłoży bombę?

A jeśli podczas spaceru pod parasolem uderzy mnie piorun? Powinniśmy zdelegalizować parasole! Walczyć z piorunami!

Nadal używałem swojego laptopa, chociaż przyprawiało mnie to o dreszcze. Ktoś, kto zainstalował w nim pluskwę, zastanawiałby się, dlaczego z niego nie korzystam. A tak codziennie trochę sobie na nim surfowałem, z każdym dniem coraz krócej, tak żeby ten ktoś zobaczył, że powoli zmieniam swoje przyzwyczajenia. Czytałem głównie te przyprawiające o gęsią skórę nekrologi tysięcy martwych przyjaciół i sąsiadów leżących na dnie zatoki.

Prawdę mówiąc, z każdym dniem od r a b i a ł e m coraz mniej prac domowych. Miałem ciągle coś do zrobienia. Codziennie wypalałem stos kolejnych ParanoidXboksów, pięćdziesiąt bądź sześćdziesiąt, i roznosiłem je po mieście, rozdając ludziom, którzy z tego, co słyszałem, byli skłonni wypalić kolejne sześćdziesiąt i wręczyć je swoim znajomym.

Nie obawiałem się za bardzo, że zostaną złapany, ponieważ miałem po swojej stronie dobrą kryptografię. Kryptografia to sekretne pismo znane już od czasów starożytnych Rzymian (dosłownie: cesarz Oktawian August był wielkim fanem kryptografii i lubił wymyślać nowe kody, a niektórych z nich używamy do dziś, szyfrując puenty w kawałach przesyłanych e-mailami).

Kryptografia to matematyka. Nie będę wchodził w szczegóły, bo matmy za bardzo nie rozumiem - ale jeśli bardzo chcecie się czegoś na ten temat dowiedzieć, zajrzyjcie do Wikipedii.

Oto, co pisze się na ten temat w szkolnych brykach: Pewnego rodzaju funkcje matematyczne są naprawdę łatwe do przeprowadzenia w jedną stronę i naprawdę trudne w drugą. Łatwo jest pomnożyć dwie duże liczby pierwsze i uzyskać olbrzymią liczbę. Jednak naprawdę trudno jest określić, które liczby pierwsze należy przez siebie pomnożyć, żeby otrzymać tę gigantyczną liczbę.

Oznacza to, że jeśli wpadliście na pomysł, jak zakodować coś, opierając się na mnożeniu dużych liczb pierwszych, to rozkodowanie



tego bez znajomości tych liczb będzie trudne. Potwornie trudne. Nawet jeśli wszystkie dotychczas wynalezione komputery będą nad tym pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę przez trylion lat, nie będą w stanie tego rozwiązać.

Zaszyfrowana wiadomość składa się z czterech części: wiadomości oryginalnej zwanej tekstem jawnym; wiadomości zakodowanej zwanej tekstem zaszyfrowanym; systemu kodowania nazywanego szyfrem; i w końcu z klucza - sekretnego elementu, który wkłada się do szyfru razem z tekstem jawnym w celu stworzenia tekstu zaszyfrowanego.

Kiedyś kryptografowie chcieli to wszystko zachować w tajemnicy. Każda agencja i rząd miały własne szyfry oraz swoje klucze. Naziści nie chcieli, żeby alianci dowiedzieli się, w jaki sposób szyfrują wiadomości, a tym bardziej jakich kluczy używają do ich odszyfrowywania, i *vice versa*. Wygląda na to, że to dobry pomysł, prawda?

Wcale nie.

Kiedy po raz pierwszy ktoś powiedział mi o tych całych liczbach pierwszych, od razu stwierdziłem:

- Nie ma mowy, to na pewno bzdura. To znaczy, na pewno trudno jest wykonać to całe rozkładanie liczb na liczby pierwsze, bez względu na to, co to jest. Ale kiedyś niemożliwy był lot na Księżyc lub choćby zdobycie twardego dysku o pojemności większej niż kilka kilobajtów. Ktoś musiał znaleźć sposób na odszyfrowywanie wiadomości.

Przed moimi oczami pojawiła się dolina pełna matematyków z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, którzy chichotali, czytając maile z całego świata.

W rzeczywistości to mniej więcej wydarzyło się podczas drugiej wojny światowej. Dlatego świat nie wygląda tak jak w grze Castle Wolfenstein, przy której spędziłem mnóstwo dni, tropiąc nazistów.

Chodzi o to, że szyfry trudno jest utrzymać w tajemnicy. Do ich stworzenia potrzeba wielu działań matematycznych, a jeśli są one powszechnie używane, wtedy każdy, kto z nich korzysta, musi

również traktować je jako poufne; że jeśli ktoś przejdzie na drugą stronę, trzeba znaleźć nowy szyfr.

Naziści stosowali szyfr Enigmy, a do szyfrowania i rozszyfrowywania wiadomości używali małego komputera mechanicznego zwanego maszyną szyfrującą Enigma. Na pokładzie każdego okrętu podwodnego, łodzi lub w bazie wojskowej musiał znajdować się jeden egzemplarz tej maszyny, więc nieuniknione było, że w końcu dostanie się ona w ręce wroga.

Kiedy alianci już ją przejęli, zaczęli ją rozpracowywać. Operację nadzorował mój osobisty bohater wszech czasów, facet, który nazywał się Alan Turing\* i który w zasadzie wynalazł komputer podobny do tych dzisiejszych. Niestety - dla niego - był gejem, więc po zakończeniu wojny głupi rząd brytyjski skierował go na serię zastrzyków z męskimi hormonami, żeby „wyleczyć” go z homoseksualizmu, a on popełnił samobójstwo. Darryl dał mi biografię Turinga na czternaste urodziny - opakowaną w dwadzieścia warstw papieru oraz w recyklingowany dziecięcy samochód Batmana. Właśnie tak podchodził do prezentów - od tamtej pory jestem fanem Turinga.

\* Po raz pierwszy szyfrogramy zakodowane za pomocą Enigmy udało się złamać polskim kryptologom: Marianowi Rejewskiemu, Jerzemu Różyckiemu i Henrykowi Zygalskiemu w roku 1932. Dopiero potem w Wielkiej Brytanii w ośrodku dekrzytażu w Bletchley Park pod kierunkiem Alana Turinga na podstawie polskich materiałów, rozpoczęto prace nad dekrzytażem Enigmy.

Gdy alianci mieli już Enigmę, mogli przechwycić wiele informacji radiowych przesyłanych przez nazistów. Ale do ich rozszyfrowania potrzebny był klucz (każdy kapitan niemieckiego okrętu miał własny klucz). Ponieważ alianci nie mieli tych kluczy, maszyna niewiele mogła im pomóc.

Oto, jak sekret działa na niekorzyść kryptografii. Z szyfrem Enigmy było coś nie tak. Turing przemyślał to dokładnie i odkrył, że nazistowscy kryptografowie popełnili błąd matematyczny. Gdy położył rękę na ich maszynie szyfrującej, doszedł do tego, jak scrackować k a ż d ą przesłaną przez nazistów wiadomość, bez względu na stosowany przez nich klucz.

Przez to Niemcy przegrali wojnę. Nie zrozumcie mnie źle. To dobra wiadomość. W końcu mówi to weteran gry Castle Wolfenstein. Nie chcielibyście, żeby waszym krajem rządili naziści.

Po wojnie kryptografowie spędzili mnóstwo czasu, rozważając tę kwestię. Problem polegał na tym, że Turing był sprytniejszy niż gość, który wymyślił Enigmę. Z każdym szyfrem wiąże się ryzyko, że zostanie złamany przez kogoś sprytniejszego.

A im więcej o tym myśleli, tym bardziej sobie uświadamiali, że k a ż d y może stworzyć taki system bezpieczeństwa, którego nie będzie potrafił złamać. Jednak n i k t nie jest w stanie przewidzieć, co może zrobić bystrzejsza osoba.

Żeby sprawdzić, czy szyfr działa, trzeba go opublikować. O sposobie jego działania należy poinformować możliwie j a k n a j w i ę c e j osób, żeby bombardowały go, czym tylko mogą, sprawdzając jego bezpieczeństwo. Im dłużej nikt nie znajdzie błędu, tym szyfr jest bezpieczniejszy.

Tak to już dzisiaj jest. Jeśli chcecie być bezpieczni, nie używajcie szyfrów, które jakiś geniusz wymyślił przed tygodniem. Stosujcie te, które są wykorzystywane od jak najdłuższego czasu i których nikomu nie udało się jeszcze złamać. Nieważne: bank, terrorysta, rząd czy nastolatek - i tak wszyscy używamy tych samych szyfrów.

Jeśli próbujecie korzystać z własnego szyfru, istnieje ryzyko, że gdzieś ktoś znalazł w nim błąd i bawi się teraz za waszymi plecami w Turinga, rozszyfrowując wszystkie wasze sekretne wiadomości i chociaż z waszych głupich plotek, transakcji finansowych i tajemnic wojskowych.

Wiedziałem, że kryptografia ochroni mnie przed podsłuchiwcami, jednak nie byłem jeszcze gotowy, żeby poradzić sobie z histogramami.

Wysiadłem z metra, przesunąłem kartę nad bramką i wyszedłem na stację przy 24th Street. Jak zwykle kręciło się po niej wielu dziwaków, pijaków, nawiedzonych wyznawców Jezusa, Meksykanów

gapiących się w skupieniu na ziemię i kilkoro dzieciaków z gangu. Omijając ich wzrokiem, wskoczyłem na schody i wybiegłem na ulicę. Miałem pustą torbę, z której nie sterczały już rozprawdane przeze mnie płyty z ParanoidXboksem, co ulżyło moim ramionom i pozwoliło przyspieszyć kroku. Kaznodzieje nadal nawoływali po hiszpańsku lub angielsku do wysłuchania słów Jezusa i tym podobnych rzeczy.

Sprzedawcy podrabianych okularów przeciwsłonecznych już się zmyli, ale zastąpili ich kolesie sprzedający automatyczne psy, które wyszczekiwały hymn narodowy i podnosiły łapy na widok zdjęcia z Osama bin Ladenem. W ich małych głowach prawdopodobnie działa się niesamowite rzeczy i zanotowałem sobie w pamięci, żeby wziąć kilka z tych psów, aby móc je potem rozebrać na części. Możliwość rozpoznawania twarzy była dość nową opcją w zabawkach; dopiero niedawno przeniesiono ją z baz wojskowych do kasyn, żeby znaleźć oszustów, w imię prawa.

Ruszyłem 24th Street w kierunku Potrero Hill i domu, wymachując ramionami, chłonąc woń burrito dochodzącą z restauracji i myśląc o obiedzie.

Nie wiem dlaczego, ale obejrzałem się przez ramię. Być może było to coś w rodzaju podświadomego szóstego zmysłu. Wiedziałem, że ktoś mnie śledzi.

Byli to dwaj napakowani goście z małymi wąsami, więc pomyślałem, że są to albo gliniarze, albo geje rowerzyści, którzy jeździli tam i z powrotem po Castro Street, lecz geje rowerzyści mieli lepsze fryzury. Ci byli ubrani w niebieskie dżinsy i wiatrówki koloru starego cementu, które zakrywały im paski. Pomyślałem o tych wszystkich rzeczach, które gliniarze mogą nosić na pasku, takim jakiego używali kolesie z Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego w ciężarówce. Obaj mieli w uszach słuchawki Bluetooth.

Szedłem dalej. Serce waliło mi w piersi. Spodziewałem się tego od samego początku. Spodziewałem się, że DBW dojdzie do tego, co robię. Podjąłem wszelkie środki ostrożności, ale Miss Gestapo

ostrzegła mnie, że będą mnie obserwować. Powiedziała, że jestem człowiekiem napiętnowanym. Zdałem sobie sprawę, że tylko czekałem, aż znowu złapią i wsadzą z powrotem do więzienia. Dlaczego nie? Dlaczego Darryl ma tkwić w więzieniu, a ja nie? Czym sobie na to zasłużyłem? Dlaczego miałbym być lepszy? Nawet nie miałem odwagi powiedzieć swoim - lub jego - rodzicom, co naprawdę nam się przytrafiło.

Przyspieszyłem kroku, a w myślach przeprowadziłem inwentaryzację. W mojej torbie nie było niczego obciążającego. Przynajmniej nie za bardzo. W schoolbooku miałem wgranego cracka, dzięki czemu mogłem czatować i robić tym podobne rzeczy, ale to dotyczyło połowy osób w szkole. Zmieniłem szyfr w swoim telefonie - teraz naprawdę miałem fałszywą partycję, którą za pomocą jednego hasła mogłem z powrotem zamienić w tekst jawny, ale cała reszta była ukryta i żeby się do niej dostać, trzeba było znać inne hasło. Ta ukryta część wyglądała zupełnie jak zwykle śmieci - zaszyfrowanych danych nie można odróżnić od przypadkowego szumu - i nikt się nawet nie dowie, że kiedykolwiek tam była. W torbie nie miałem żadnych płyt. W moim laptopie nie było obciążających dowodów. Oczywiście gdyby chcieli się poważnie przyjrzeć mojemu Xboksowi, nastąpiłby koniec gry. Że tak powiem.

Nagle przystanąłem. Robiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby się ukryć. Nadszedł jednak, czas, by zmierzyć się z przeznaczeniem. Wszedłem do najbliższego baru z burrito i zamówiłem jedno z mięsem - siekaną wieprzowiną - i z dodatkową salsą. Równie dobrze mogłem przecież iść do pudła z pełnym żołądkiem. Wziąłem jeszcze kubek orszady, lodowatego napoju z ryżu, który smakuje jak wodnisty półśladki pudding ryżowy (naprawdę smakuje lepiej, niż to brzmi).

Usiadłem, żeby to zjeść, i ogarnął mnie głęboki spokój. Cóż, albo mnie wsadzą do pierdła za te moje „zbrodnie”, albo nie. Odkąd mnie zamknęli, moja wolność i tak była tylko chwilowymi wakacjami. Mój

kraj nie był już moim przyjacielem. Byliśmy teraz po przeciwnych stronach barykady i wiedziałem, że mogę przegrać.

Gdy skończyłem burrito i poszedłem zamówić niejaki churro - smażone w głębokim oleju ciastko posypane cukrem cynamonowym - na deser, ci dwaj goście weszli do restauracji. Myślę, że czekali na zewnątrz i zmęczyli się moim guzdraniem.

Stanęli przy ladzie tuż za mną, ograniczając mi swobodę ruchu. Wziąłem swoje churro od milej babci i zapłaciłem jej. Zanim się odwróciłem, ugryzłem jeszcze kilka kęsów ciastka. Chciałem zjeść choć trochę deseru. Być może nie będę mógł takiego skosztować przez następne iks lat.

Odwróciłem się. Obaj stali tak blisko mnie, że widziałem nawet pryszcz na policzku jednego z nich, tego, który stał po lewej, i glut wystający z nosa tego drugiego.

- Sorki - powiedziałem, próbując się przez nich przedrzeć.

Ten z glutem zagroził mi drogę.

- Proszę pana - zagadnął - czy może pan udać się z nami? - Wskazał na drzwi restauracji.

- Przepraszam, ale jem - odparłem i ruszyłem ponownie. Tym razem położył rękę na mojej klatce piersiowej. Oddychał szybko przez nos, wprawiając glut w ruch. Myślę, że ja też oddychałem ciężko, ale trudno to było stwierdzić ze względu na łomotanie mojego serca.

Ten drugi odsłonił klapę swojej wiatrówki, pokazując odznakę Wydziału Policji San Francisco.

- Policja - rzekł. - Pójdzie pan z nami.

- Pozwólcie mi chociaż zabrać moje rzeczy - poprosiłem.

- Zaopiekujemy się nimi - odparł. Ten z glutem zbliżył się do mnie, stawiając stopę między moje nogi. To krok znany w różnych sztukach walki. Dzięki niemu można wyczuć, czy przeciwnik przestępuje z nogi na nogę, przygotowując się do ruchu.

Ja jednak nie zamierzałem uciekać. Wiedziałem, że nie mogę oszukać losu.

## ROZDZIAŁ 7

Wyprowadzili mnie na zewnątrz i zaciągnęli za róg, gdzie stał nieoznakowany radiowóz policyjny, chociaż nikt w tej dzielnicy nie miałby najmniejszych trudności z rozpoznaniem, że należy do gliniarzy. Tylko policja jeździ fordem crown victoria na gaz, który kosztuje prawie dwa dolce za litr. Poza tym tylko gliny mogą parkować na drugiego na samym środku Van Ness Avenue, nie narażając się na odholowanie przez którąś z pazernych firm krążących bezustannie po okolicy, gotowych wygzekwować niezrozumiałe przepisy dotyczące parkowania obowiązujące w San Francisco i odebrać nagrodę za porwanie samochodu.

Glut wydmuchał nos. Obaj siedzieliśmy na tylnym siedzeniu. Jego kumpel usadowił się z przodu i pisał jednym palcem na starym, odpornym na drgania i wstrząsy laptopie, który wyglądał tak, jakby jego pierwotnym właścicielem był Fred Flintstone.

Glut uważnie przejrzał notatki na mój temat.

- Chcemy ci tylko zadać kilka rutynowych pytań.
- Czy mogę zobaczyć wasze odznaki? - zapytałem. Ci kolesie na pewno byli glinami, ale nie szkodziło dać im do zrozumienia, że znam swoje prawa.

Glut błysnął swoją odznaką, jednak zbyt daleko, bym mógł się jej dokładnie przyjrzeć, za to Prysycz pozwolił mi dłużej spojrzeć na swoją. Dojrzałem numery ich wydziału i zapamiętałem czterocyfrowy numer odznaki. Był prosty: 1337, posługują się nim również hakerzy, pisząc „leet” lub „elite”.

Obaj byli bardzo uprzejmi i żaden z nich nie starał się mnie zastraszyć, tak jak ci z DB W, gdy mnie aresztowali.

- Czy jestem aresztowany?

- Zostałeś chwilowo zatrzymany w trosce o twoje bezpieczeństwo, jak i bezpieczeństwo publiczne - wyrecytował Glut.

Dałem mu swoje prawo jazdy. Podał je Prysyczowi, który powoli wklepał dane do komputera. Zauważyłem, że popełnił błąd, i omal nie zwróciłem mu uwagi, ale doszedłem do wniosku, że lepiej trzymać język za zębami.

- Czy jest coś, o czym chciałbyś mi powiedzieć, Marcusie? Mówią na ciebie Marc?

- Niech będzie Marcus - powiedziałem. Glut wyglądał na miłego faceta. Oczywiście pomijając fakt, że mnie przesłuchiwał.

- Marcusie. Czy chcesz mi o czymś powiedzieć?

- Na przykład o czym? Czy jestem aresztowany?

- Jeszcze nie jesteś - odparł. - A chciałbyś być?

- Nie - odparłem.

- Dobrze. Obserwujemy cię, odkąd wysiadłeś z metra. Twój bilet wskazuje na to, że ostatnio jeździłeś do wielu dziwnych miejsc, o wielu dziwnych godzinach.

Czułem, jak kamień spada mi z serca. Nie chodziło wcale o Xnet, przynajmniej niezupełnie. Obserwowali, jak korzystam z metra, i chcieli wiedzieć, dlaczego ostatnio poruszam się nim tak dziwnie. Co za totalna głupota.

- Czyli śledzicie każdego, kto wysiada z metra i ma na swoim koncie dziwne podróże? Musicie być bardzo zajęci.

- Nie każdego, Marcusie. Jesteśmy powiadamiani, kiedy ktoś z nietypowym profilem przejazdów wychodzi z metra, i wtedy oceniamy, czy chcemy go sprawdzić. Ciebie zatrzymaliśmy, bo chcieliśmy



się przekonać, dlaczego tak błyskotliwie wyglądający chłopak jak ty ma taki dziwny profil przejazdów.

Teraz, gdy już wiedziałem, że nie zamierzają mnie wsadzić do kicia, zacząłem się wkurzać. Ci koleś nie powinni mnie śledzić - o rany, metro nie powinno pomagać im mnie śledzić. Moja sieciówka musiała z perwersyjną przyjemnością zakapować mnie gdzieś z powodu „niestandardowego profilu przejazdów”, tylko gdzie?

- Myślę, że chciałbym, żebyście mnie teraz aresztowali - oznajmiłem.

Glut opadł na siedzenie i podniósł brwi.

- Jesteś pewny? Pod jakim zarzutem?

- Ach, to znaczy, że poruszanie się środkami transportu publicznego w nietypowy sposób nie jest przestępstwem?

Pryszcz zamknął oczy i potarł powieki palcami. Glut westchnął westchnieniem udęczonego.

- Zrozum, Marcusie, jesteśmy po twojej stronie. Korzystamy z tego systemu, żeby łapać przestępców. Żeby łapać terrorystów i dilerów. A może ty jesteś dilerem? To dość dobry powód, żeby jeździć po całym mieście na sieciówkę. Anonimowo.

- A co jest złego w byciu anonimowym? Thomasowi Jeffersonowi to nie przeszkadzało. A przy okazji, czy jestem aresztowany?

- Zabierzmy go do domu - powiedział Pryszcz. - Możemy porozmawiać z jego rodzicami.

- Myślę, że to świetny pomysł - odparłem. - Jestem pewien, że moi rodzice nie ucieszą się, gdy się dowiedzą, jak marnuje się pieniądze z ich podatków...

Posunąłem się za daleko. Glut już miał chwycić za klamkę, ale odwrócił się gwałtownie w moim kierunku, rozsadyła go taka złość, że aż krew kipiała mu w żyłach.

- Zamknij się natychmiast, póki masz jeszcze wybór. Po tym, co stało się w ciągu ostatnich dwóch tygodni, współpraca z nami cię nie zabije. Wiesz co, może p o w i n n i ś m y cię aresztować. Spędzisz

dzień lub dwa w więzieniu, zanim znajdzie cię twój adwokat. W tym czasie wiele się może wydarzyć. W i e l e. Co ty na to?

Nic nie odpowiedziałem. Wcześniej byłem zły i skołowany. Teraz byłem śmiertelnie przerażony.

- Przepraszam - wydukałem z trudem i znowu zniecierzyłem siebie za wypowiedziane słowa.

Glut usiadł na przednim siedzeniu, a Pyszczyk ruszył, krążąc wolno po 24th Street i wokół Potrero Hill. Znali mój adres z dokumentów.

Nacisnęli dzwonek. Mama uchyliła drzwi, zostawiając założony łańcuch antywłamaniowy. Rzuciła wzrokiem przez szparę, a gdy mnie ujrzała, powiedziała:

- Marcusie? Kim są ci panowie?

- Policja - odparł Glut. Pokazał jej swoją odznakę, pozwalając, by dobrze się jej przyjrzała, nie zabrał jej tak szybko sprzed nosa jak mnie. - Możemy wejść?

Mama zamknęła drzwi, zdjęła łańcuch i nas wpuściła. Wprowadzili mnie do środka, a mama rzuciła nam swoje specyficzne spojrzenie.

- O co chodzi?

Glut wskazał na mnie.

- Chcieliśmy zadać pani synowi kilka rutynowych pytań na temat tego, jak porusza się po mieście, ale odmówił nam odpowiedzi. Uznaliśmy, że najlepiej będzie, gdy przyprowadzimy go tutaj.

- Czy on jest aresztowany? - Mama zaczęła mówić z mocnym akcentem. Dobra stara mama.

- Czy pani jest obywatelką Stanów Zjednoczonych? - zapytał Pyszczyk.

Spojrzała na nich wzrokiem, który mógłby zedrzeć farbę ze ściany.

- No pewnie, że jestem - powiedziała ze swoim silnym południowym akcentem. - Czy jestem aresztowana?

Gliniarze wymienili spojrzenia.

Pryszcz przejął pałeczkę.

- Zdaje się, że zaczęliśmy ze złej strony. W ramach nowego programu aktywizacji organów ścigania ustaliliśmy, że pani syn w nietypowy sposób korzysta ze środków transportu publicznego. Gdy dostrzeżemy ludzi, którzy w niekonwencjonalny sposób poruszają się po mieście lub pasują do podejrzanego profilu, przeprowadzamy na ich temat śledztwo.

- Czekajcie - rzekła mama. - Skąd wiecie, w jaki sposób mój syn podróżuje środkami transportu miejskiego?

- Z jego sieciówki - odparł. - Są na niej zarejestrowane przejazdy.

- Rozumiem - powiedziała mama, krzyżując ręce na piersiach.

To nie był dobry znak. Już sam fakt, że nie poczęstowała ich herbatą, był dość niepokojący - w Mamolandii było to prawie równoznaczne z rozmową przez dziurkę od klucza - ale z chwilą gdy skrzyżowała ręce, wiedziałem już, że to się dla nich dobrze nie skończy. W tym momencie miałem ochotę pójść i kupić jej duży bukiet kwiatów.

- Marcus nie chciał nam powiedzieć, dlaczego jego przejazdy były takie, a nie inne.

- Chcecie powiedzieć, że doszliście do wniosku, że mój syn jest terrorystą, po tym jak jeździ metrem?

- W ten sposób łapiemy nie tylko terrorystów - odparł Pryszcz. - Łapiemy też dilerów i dzieciaki należące do gangów. Nawet złodziei, którzy są na tyle sprytni, że za każdym razem okradają sklepy w innej dzielnicy.

- Myślicie, że mój syn handluje narkotykami?

- Tego nie powiedzieliśmy... - zaczął Pryszcz, ale zamknął się, gdy mama klasnęła w ręce.

- Marcusie, daj mi, proszę, swój plecak.

Tak też zrobiłem.

Mama rozsunęła go i zajrzała do środka, najpierw jednak odwróciła się do nas tyłem.

- Panowie, teraz mogę potwierdzić, że w torbie mojego syna nie ma żadnych narkotyków, ładunków wybuchowych ani skradzionych błyskotek. Myślę, że na tym skończymy. Proszę, żeby przed odejściem podali mi panowie numery swoich odznak.

Glut uśmiechnął się do niej szyderczo.

- ACLU pozwała już do sądu trzystu policjantów z Wydziału Policji San Francisco, będzie pani musiała ustawić się w kolejce.

Mama zrobiła mi herbatą i zmyła głowę za to, że zjadłem obiad na mieście, podczas gdy ona przyrządziła falafel. Tata wrócił do domu, gdy jeszcze siedzieliśmy przy stole, i zaczęliśmy mu z mamą na zmianę opowiadać całą historię. Pokręcił głową.

- Lillian, oni po prostu wykonywali swoją pracę.

Wciąż miał na sobie niebieską marynarkę i spodnie w kolorze khaki. Nosił je w dni, kiedy udzielał konsultacji w Dolinie Krzemowej.

- Świat nie jest już taki jak tydzień temu.

Mama odstawiła szklanę.

- Drew, jesteś śmieszny. Twój syn nie jest terrorystą. To, w jaki sposób korzysta z transportu publicznego, nie jest powodem, dla którego należy wszczynać dochodzenie policyjne.

Tata zdjął marynarkę.

- W naszej pracy ciągle to robimy. W ten sposób można wykorzystać komputery do wyszukiwania wszelkiego rodzaju błędów i nieprawidłowości. Prosisz komputer, żeby stworzył profil przeciętnego rekordu w bazie danych, a potem każesz mu, żeby znalazł tam rekordy, które najbardziej odbiegają od normy. Nazywa się to analiza Bayesa i jest znana od wieków. Bez niej nie moglibyśmy filtrować spamu...

- Więc twoim zdaniem policja powinna zasysać wszystko tak jak mój filtr spamu? - wtrąciłem.

Tata nigdy nie złościł się na mnie za to, że z nim polemizowałem, ale dzisiaj wieczorem widziałem, jak podnosi mu się ciśnienie. Mimo

to nie mogłem się powstrzymać. Mój własny ojciec staje po stronie policji!

- Chcę tylko powiedzieć, że to całkowicie logiczne, że policja rozpoczyna śledztwo od wydobywania danych, a dopiero później przechodzi do rutynowej pracy, którą wykonuje człowiek, żeby sprawdzić, dlaczego doszło do nieprawidłowości. Myślę, że komputer nie powinien dostarczać policji informacji, kogo ma aresztować, a jedynie pomóc w przeszukaniu stogu siana w celu znalezienia igły.

- Ale zbierając wszystkie te dane z systemu transportu miejskiego, sam stworzysz ten stóg - dodałem. - To ogromna góra danych i z policyjnego punktu widzenia nie warto im się w ogóle przyglądać. Są zupełnie nieprzydatne.

- Rozumiem, że ten system przysporzył ci trochę kłopotu, Marcusie. Kto jak kto, ale ty powinieneś zrozumieć powagę sytuacji. Nikomu nie stała się krzywda, prawda? Nawet podwieźli cię do domu.

Grozili, że wsadzą mnie do więzienia, pomyślałem, ale zdałem sobie sprawę, że nie ma sensu o tym wspominać.

- Poza tym jeszcze nam nie powiedziałeś, gdzie ty, do diabła, byłeś, że udało ci się stworzyć aż tak nietypowy profil przejazdów.

To mnie przywołało do porządku.

- Myślałem, że polegasz na mojej ocenie sytuacji, że nie chcesz mnie szpiegować. - Wystarczająco często to powtarzał. - Czy naprawdę chcesz, żebym ci się tłumaczył z każdej przejażdżki metrem?

Gdy tylko znalazłem się w swoim pokoju, odpaliłem Xboksa. Na suficie zamontowałem projektor, tak żeby świecił na ścianę tuż nad moim łóżkiem (musiałem zdjąć swój fantastyczny mural z punkowymi ulotkami reklamowymi, które pozrywałem ze słupów telegraficznych i przykleiłem na dużych kartkach białego papieru).

Patrzyłem, jak obraz pojawia się na ekranie. Chciałem wysłać ma-  
ila do Van i Jolu, żeby im powiedzieć o problemach z glinami, ale gdy  
tylko położyłem palce na klawiaturze, przerwałem.

Ogarnęło mnie dziwne przeczucie podobne do tego, które pojawiło  
się z chwilą, gdy zdałem sobie sprawę, że pocziwego Salmagundi  
zamienili w szpiega. Tym razem czułem, że mój ukochany Xnet może  
przekazywać DB W informacje o lokalizacji każdego z użytkowników.

Właśnie o tym mówił mój tata: „Tworzysz profil przeciętnego re-  
kordu w bazie danych, a potem szukasz tam rekordów, które najbar-  
dziej odbiegają od normy”.

Xnet był bezpieczny, bo jego użytkownicy nie byli bezpośrednio  
podłączeni do internetu. Przeskakiwali z Xboksa do Xboksa dotąd, aż  
znaleźli taki, który był podłączony do sieci, a później wprowadzali  
swoją materiał pod postacią niemożliwych do rozszyfrowania, zako-  
dowanych danych. Nikt nie był w stanie stwierdzić, które z pakietów  
są związane z Xnetem, a które są po prostu zwykłymi jawnymi trans-  
akcjami bankowymi i handlowymi starego typu czy innymi zaszyfro-  
wanymi wiadomościami. Nie można było rozpoznać, kto był podpięty  
do Xnetu, a tym bardziej - kto z niego korzystał.

Ale co ze statystyką Bayesa, o której wspominał tata? Miałem już  
trochę do czynienia z matmą Bayesa. Kiedyś razem z Darrylem pró-  
bowaliśmy napisać własny lepszy filtr spamu, a kiedy filtruje się  
spam, nie da rady bez znajomości metody Bayesa. Thomas Bayes był  
osiemnastowiecznym matematykiem brytyjskim, którym nikt się nie  
interesował, aż dwieście lat po jego śmierci informatycy zorientowali  
się, że jego technika analizy statystycznej całych gór danych mogłaby  
być superprzydatna we współczesnych Himalajach informacji.

Oto, jak działa statystyka Bayesa. Powiedzmy, że macie stosy  
spamów. Bieriecie każde słowo ze spamu i liczycie, ile razy się pojawia.  
To się nazywa histogram częstotliwości słów, który mówi nam, jakie  
jest prawdopodobieństwo, że dana grupa słów jest spamem. A teraz

weźcie tonę maili, które nie są spamem - w świecie biznesu nazywają je ham\* - i zróbcie to samo.

\* *Ham* (ang.) - szynka.

Poczekajcie, aż przyjdzie nowy mail, i policzcie słowa, które się w nim pojawiają. Następnie zastosujcie histogram częstotliwości słów do jednej wybranej wiadomości, żeby obliczyć prawdopodobieństwo tego, czy należy ona do stosu ze spamem czy z hamem. Jeśli okaże się, że to spam, trzeba do niego odpowiednio dostosować histogram. Istnieje wiele sposobów na udoskonalenie tej techniki - można sprawdzać pary słów, wyrzucać stare dane - ale taka jest istota działania tej metody. Jest to jedna z tych wielkich prostych idei, które, jak już się ich wysłucha, wydają się oczywiste.

Ta technika ma wiele zastosowań - można poprosić komputer, żeby obliczył linie na zdjęciu i zobaczył, czy histogram częstotliwości linii wskazuje na psa czy też może na kota. Można w ten sposób znaleźć materiały pornograficzne, malwersacje bankowe czy flamewars. Przydatna rzecz.

Dla Xnetu była to zła wiadomość. Powiedzmy, że cały internet jest na podsłuchu - co oczywiście jest sprawką DBW. Dzięki kryptografii, patrząc na zawartość Xnetowych pakietów, nie można określić, kto je przesyła.

Jedyne, co można zrobić, to sprawdzić, kto generuje znacznie większy ruch szyfrowanych wiadomości niż wszyscy inni. Dla normalnego użytkownika internetu sesja *online* składa się w dziewięćdziesięciu pięciu procentach z tekstu jawnego, a w pięciu z zaszyfrowanego. Jeśli ktoś wysyła za dużo zaszyfrowanego tekstu, od razu nachodzą go tacy goście jak Glut i Pryszcz, żeby sprawdzić, czy ta osoba to przypadkiem nie jakiś handlujący dragami Xneter terrorysta.

W Chinach wciąż zdarzają się takie sytuacje. Jakiś bystry dysydent wpada na pomysł, jak wykorzystując zaszyfrowane połączenie z komputerem z innego kraju, obejść Wielki Firewall Chin, który cenzuruje cały tamtejszy internet. Przez to Partia nie może określić, po czym

surfuje ów dysydent - po stronach porno, instrukcjach robienia bomb, brzydkich listach od dziewczyny z Filipin, materiałach politycznych czy też dobrych wiadomościach ze świata scjentologii. Ale oni wcale nie muszą tego wiedzieć. Jedyne, co muszą wiedzieć, to że ten gość wysyła o wiele więcej zaszyfrowanych wiadomości niż jego sąsiedzi. Wtedy wysyłają go do obozu pracy, żeby dać innym przykład, co się dzieje z przemądrzałymi dupkami.

Jak dotąd byłem skłonny założyć się, że Xnet nie został wykryty przez radar DBW, ale taki stan rzeczy nie mógł trwać wiecznie. Po dzisiejszej przygodzie nie byłem pewien, czy znajduję się w lepszym położeniu niż chiński dysydent. Naraziłem wszystkich zalogowanych w Xnecie na niebezpieczeństwo. Władza nie dbała o to, czy ludzie robią coś złego; była skłonna położyć wszystkich pod mikroskopem za to, że statystycznie odbiegali od normy. I nie mogłem tego powstrzymać - Xnet działał, żył własnym życiem.

Musiałem załatwić to jakoś inaczej.

Żałowałem, że nie mogę o tym pogadać z Jolu. Pracował w firmie Pigspleen Net zapewniającej dostęp do internetu, która wynajęła go, gdy miał dwanaście lat, i wiedział o sieci o wiele więcej niż ja. Jeśli ktokolwiek miał pojęcie, jak uratować nasze tyłki przed więzieniem, to właśnie on.

Na szczęście Van, Jolu i ja planowaliśmy spotkać się na kawie następnego wieczora po szkole w naszej ulubionej kawiarni w Mission. Oficjalnie było to nasze Cotygodniowe zgrupowanie w sprawie Harajuku Fun Madness, ale odkąd gra została odwołana i brakowało Darryla, nasze spotkania zamieniły się w cotygodniową stypę, której uzupełnieniem był czat i sześć rozmów telefonicznych dziennie brzmiących mniej więcej tak: „W porządku? Czy to się naprawdę stało?”. Dobrze by było, gdybyśmy mieli jeszcze inne tematy do rozmowy.

- Odbiło ci - powiedziała Vanessa. - Faktycznie totalnie naprawdę zwariowałaś czy co?



Przyszła w swoim szkolnym mundurku, bo utknęła podczas drogi do domu w szkolnym autobusie jadącym aż do mostu San Mateo, a potem z powrotem do miasta. Nienawidziła pokazywać się publicznie w tym stroju, w którym wyglądała jak Czarodziejka z Księżyca, bohaterka anime - plisowana spódnica, bluza i podkolanówki. Zawsze gdy pojawiała się w kawiarni, była w złym humorze, bo było tu pełno starszych studentów szkół artystycznych, którzy podśmiewali się z niej znad swoich latte.

- A co ja mam twoim zdaniem zrobić, Van? - zapytałem. Byłem rozdrażniony. Teraz, gdy nie można było grać, gdy brakowało Darryla, w szkole zrobiło się nie do wytrzymania. Przez cały dzień w trakcie lekcji pocieszałem się w myślach, że zobaczę swoją drużynę, to, co z niej pozostało. A teraz klóciliśmy się ze sobą.

- Chcę, żebyś przestał narażać się na ryzyko, M1k3y.

Włosy na karku stanęły mi dęba. Pewnie, zawsze podczas zgrupowań posługiwaliśmy się pseudonimami, ale teraz, gdy mój nick kojarzył się tylko z Xnetem, wymówienie go na głos w miejscu publicznym sprawiło mnie w przerażenie.

- Nigdy więcej nie używaj publicznie tej ksywy - warknąłem.

Van pokiwała głową.

- Właśnie o tym mówię. Możesz przez to skończyć w więzieniu, Marcusie, i nie tylko ty. Po tym, co stało się z Darrylem...

- Robię to dla Darryla!

Studenci odwrócili się, spoglądając na nas, więc zacząłem mówić ciszej.

- Robię to, bo inaczej pozwolimy, żeby uszło im to na sucho.

- Myślisz, że ich powstrzymasz? Chyba oszalałeś. To rząd.

- To jest nadal nasz kraj - odparłem. - Nadal mamy prawo to robić.

Van wyglądała tak, jakby miała się zaraz rozplakać. Wzięła parę głębokich wdechów i wstała.

- Nie mogę tego zrobić, przepraszam. Nie mogę patrzeć, jak to robisz. To tak, jakby patrzeć na wypadek samochodowy w zwolnionym

tempie. Zniszczysz samego siebie, a ja za bardzo cię kocham, żeby na to patrzeć.

Pochyliła się, mocno mnie przytuliła i pocałowała w policzek, dotykając wargami krawędzi moich ust.

- Uwważaj na siebie, Marcusie - powiedziała.

Moje usta zapłonęły, kiedy je musnęła. Jolu potraktowała tak samo, jednak jego pocałowała po prostu w policzek. Potem wyszła. Spojrzeliśmy na siebie z Jolu. Przykryłem twarz dłońmi.

- Cholera - powiedziałem w końcu.

Jolu poklepał mnie po plecach i zamówił mi kolejną latte.

- Będzie dobrze - skwitował.

- Myślałem, że kto jak kto, ale Van zrozumie.

Rodzice Van byli uchodźcami z Korei Północnej. Zanim uciekli do Ameryki, żeby zapewnić córce lepsze życie, przez lata mieszkali pod rządami szalonego dyktatora. Jolu wzruszył ramionami.

- Może dlatego tak się wkurzyła. Bo wie, jakie to może być niebezpieczne.

Wiedziałem, o czym mówi. Po tym jak jej rodzice opuścili rodzinny kraj, jej dwaj wujkowie poszli do więzienia i słuch po nich zaginął.

- Tak - westchnąłem.

- Więc jak to się stało, że wczoraj wieczorem nie byłeś w Xnecie?

Byłem wdzięczny za tę zmianę tematu. Opowiedziałem mu o wszystkim, o Bayesie i moich obawach, że już nigdy nie będziemy mogli używać Xnetu tak jak wcześniej, bez wpadki. Słuchał uważnie.

- Wiem, o czym mówisz. Problem w tym, że jeśli w czymś połączeniu internetowym jest za dużo szyfrów, będą się wyróżniać jako nietypowe. Ale jeśli nie będziesz szyfrował, ci kolesie będą cię podsłuchiwać.

- Właśnie - odparłem. - Przez cały dzień próbowałem to rozpracować. A może moglibyśmy spowolnić połączenie i rozproszyć je na konta innych użytkowników...

- To nie zadziała - powiedział. - Gdybyś chciał je spowolnić na tyle, żeby znikło w całym tym szumie, musiałbyś w ogóle wyłączyć sieć, a takiej opcji nie ma.

- Masz rację - przyznałem. - Ale co jeszcze mogę zrobić?

- A jeśli zmienimy definicję normalności?

Właśnie dlatego Jolu został zatrudniony w firmie Pigspleen w wieku dwunastu lat. Gdy dacie mu dwa kiepskie rozwiązania, wymyśli trzecie, zupełnie inne, odrzucając wszystkie wasze założenia. Pokiwałem energicznie głową.

- No dalej, mów.

- A jeśli przeciętny użytkownik internetu w San Francisco korzystałby codziennie częściej z szyfrowanych połączeń? Jeśli uda nam się zmienić ten podział tak, że w połowie będziemy używać tekstów jawnych i w połowie tekstów zaszyfrowanych, wtedy użytkownicy wysyłający je do Xnetu będą wyglądali normalnie.

- Ale jak to zrobić? Gdy ludzie surfują po necie, nie dbają za bardzo o swoją prywatność i nie wykorzystują zaszyfrowanych linków. Nie rozumieją, jakie to ma znaczenie, że szpicle wiedzą, co googlujemy.

- Tak, ale strony internetowe to tylko niewielka część ruchu. Jeśli namówimy ludzi, żeby codziennie ściągali kilka ogromnych zaszyfrowanych plików, to stworzymy tyle tekstów zaszyfrowanych co tysiące stron.

- Mówisz o niezależnej sieci: indienecie - upewniłem się.

- Załapałeś - odparł.

indienet - cała nazwa małymi literami, zawsze - to rzecz, dzięki której firma Pigspleen Net stała się najprężniejszym niezależnym dostawcą internetu na świecie. Kiedy największe wytwórnie płytowe zaczęły wnosić sprawy do sądu przeciwko fanom ściągającym muzykę z netu, wiele niezależnych wytwórni i współpracujących z nimi artystów było oburzonych. Jak można zarabiać pieniądze na procesach wytoczonych przeciwko własnym klientom?

Założycielka Pigspleena znalazła odpowiedź. Otworzyła interes dla każdego, kto chciał pracować ze swoimi fanami, zamiast z nimi walczyć. Jeśli dacie firmie Pigspleen licencję na dystrybucję waszej muzyki wśród jej klientów, dostaniecie od niej część dochodów z subskrypcji, których wysokość będzie zależała od popularności waszej muzyki. Dla niezależnego artysty największym problemem nie jest piractwo, lecz brak popularności - nikomu aż tak nie zależy na waszych utworach, żeby je podkraść.

To się sprawdzało. Setki niezależnych projektów i wytwórni zapisało się do Pigspleena, a im więcej było muzyki, tym więcej fanów wykupywało w tej firmie dostęp do internetu i tym więcej pieniędzy otrzymywali artyści. W ciągu roku firma zdobyła sto tysięcy nowych klientów, a teraz było ich już milion - ponad połowa szerokopasmowych połączeń internetowych w mieście.

- Od miesięcy pracuję nad przeróbką kodu do internetu - powiedział Jolu. - Oryginalne programy zostały napisane naprawdę szybko i byle jak i gdyby nad nimi trochę popracować, to mogłyby być o wiele bardziej użyteczne. Ale jak dotąd nie miałem na to czasu. Jedną z ważniejszych rzeczy do zrobienia jest zaszyfrowanie połączeń, po prostu dlatego że tak chce Trudy.

Trudy Doo to założycielka Pigspleena. Stara, legendarna punkowa z San Francisco, wokalistka i liderka anarchofeministycznego zespołu Speedwhores, która miała fioła na punkcie prywatności. Byłem całkowicie przekonany, że chciałaby, aby jej serwis muzyczny był zaszyfrowany na zasadach ogólnych.

- Czy to będzie trudne? To znaczy ile nam to zajmie?

- No cóż, w sieci są całe tony darmowych szyfrów - powiedział Jolu.

Zrobił to, co zawsze, drążąc rozległy problem kodu - patrzył na to z dystansem, bębniąc palcami o blat stołu i wylewając kawę na spodki. Chciało mi się śmiać - Jolu napisze ten kod, nawet jeśli wszystko miało ulec zniszczeniu lub nie wypalić i bez względu na to, jak przerażające miało to być.

- Mogę się do czegoś przydać?

Spojrzał na mnie.

- Myślisz, że sobie nie poradzę?

- Co?

- To znaczy rozkręciłeś tę całą sprawę z Xnetem i nawet mi o tym nie powiedziałaś. Nie rozmawiałeś ze mną o tym. Myślałam, że nie potrzebujesz mojej pomocy.

To mnie otrzeźwiło.

- Co? - zapytałem ponownie. Jolu wyglądał teraz na naprawdę zdenerwowanego. Widać, że gryzło go to od dłuższego czasu. - Jolu...

Spojrzał na mnie i zobaczyłem, że jest wkurzony. Jak mogłem to przeoczyć? O rany, czasem byłem takim idiotą.

- Słuchaj, stary, to nic wielkiego... - dodał, dając mi w ten sposób do zrozumienia, że to naprawdę poważna sprawa - ...chodzi tylko o to, że nigdy nawet nie zapytałeś. Nienawidzę tego DBW. Darryl był również moim kumplem. Mogłem ci w tym naprawdę pomóc.

Miałem ochotę wepchnąć sobie głowę między kolana.

- Posłuchaj, Jolu, zachowałem się głupio, ale zrobiłem to wszystko o drugiej nad ranem. Zupełnie mi wtedy odbiło. Ja...

Nie potrafiłem tego wyjaśnić. Tak, miał rację, i w tym cały problem. Była druga nad ranem, ale mogłem pogadać o tym z Jolu następnego dnia lub kolejnego. Nie zrobiłem tego, bo wiedziałem, co powie - że to kiepskie rozwiązanie i że powinienem je lepiej przemyśleć. Jolu zawsze zastanawiał się nad tym, jak zmienić moje pomysły, na które wpadłem o drugiej nad ranem, na prawdziwe kody, ale rzeczy, jakie wymyślał, były zawsze trochę inne od tych, na które ja wpadłem. Chciałem stworzyć ten projekt dla siebie. Totalnie wczułem się w bycie M1k3yem.

- Przepraszam - powiedziałem w końcu. - Jest mi naprawdę bardzo przykro. Masz zupełną rację. Po prostu się wkurzyłem i zrobiłem głupstwo. Naprawdę potrzebuję twojej pomocy. Bez ciebie nie dam rady.

- Naprawdę tak myślisz?

- Pewnie, że tak - odparłem. - Jesteś najlepszym koderem, jakiego znam. Jesteś cholernym geniuszem, Jolu. Będę zaszczycony, jeśli mi pomożesz.

Zaczął jeszcze szybciej bębnić palcami.

- Chodzi o to... Wiesz. Ty jesteś liderem. Van jest bystra. Darryl był... twoim zastępcą, gościem, który wszystko organizował, dbał o szczegóły. Moją działką było programowanie. Poczulem się tak, jakbyś powiedział, że mnie nie potrzebujesz.

- O rany, ale ze mnie idiota. Jolu, jesteś najbardziej kompetentną osobą, jaką znam, która się do tego nadaje. Ja naprawdę, naprawdę, naprawdę...

- Dobra już. Przestań. W porządku. Wierzę ci. Teraz już każdy z nas coś spieprzył. Jasne, że możesz pomóc. Możemy ci nawet za to zapłacić: mam mały budżet dla kontraktowych programistów.

- Naprawdę?

Nikt mi jeszcze nigdy nie zapłacił za napisanie kodu.

- Jasne. Prawdopodobnie jesteś na tyle dobry, że warto w ciebie zainwestować. - Uśmiechnął się do mnie i wałnął mnie w ramię. W zasadzie Jolu był bardzo wyrozumiały, dlatego czasem mnie wkurzał.

Zapłaciłem za kawę i wyszedłem. Zadzwoiłem do rodziców, żeby powiedzieć im o swoich planach. Mama Jolu uparła się, żeby zrobić nam kanapki. Zamknęliśmy się w jego pokoju z kompem oraz kodem do indinetu i rozpoczęliśmy jeden z programistycznych maratonów wszech czasów. Rodzina Jolu poszła spać o wpół do dwunastej, więc mogliśmy porwać automat do kawy do jego pokoju i jechać na naszych zapasach magicznych czarnych ziarenek.

Jeśli nigdy nie zajmowaliście się programowaniem, to żałujcie. To najlepsza rzecz na świecie. Kiedy programujecie, komputer robi do kł a d n i e to, co mu każecie. To jak projektowanie maszyny - jakiejkolwiek maszyny, na przykład samochodu, kranu, zawiasów do drzwi - za pomocą matematyki oraz instrukcji. To jest naprawdę fantastyczne i totalnie wciągające.

Komputer to najbardziej skomplikowana maszyna, jakiej kiedykolwiek używaliście. Jest zrobiony z miliardów miniaturowych tranzystorów, które można skonfigurować tak, żeby obsługiwały każdy program, jaki tylko sobie wymarzą. Ale gdy usiądziecie przy klawiaturze i napiszecie linijkę kodu, te tranzystory zrobią to, co im każecie.

Większość z nas nigdy nie zbuduje samochodu. Nikt z nas prawdopodobnie nie skonstruuje systemu lotniczego. Nie zaprojektuje budynku. Nie opracuje planu miasta.

To są skomplikowane sprawy, niedostępne dla takich jak ty czy ja. Jednak komputer jest dziesięć razy bardziej skomplikowany, a mimo to zatańczy tak, jak mu zagracie. Możecie nauczyć się pisać proste kody popołudniami. Zaczynajcie od takich języków jak Python, który został napisany dla laików, aby umożliwić im sterowanie komputerem. Pamiętajcie tylko, żeby napisać przynajmniej jeden kod dziennie. Komputery mogą was kontrolować lub odciążać w pracy - jeśli chcecie kontrolować maszynę, musicie nauczyć się pisać kody.

Dzisiejszej nocy napisaliśmy ich mnóstwo.

## ROZDZIAŁ 8

Nie byłem jedyną osobą, która wpadła z powodu histogramów. Wielu ludzi ma na swoim koncie nienormalne profile przejazdów. Nienormalność jest tak pospolitym zjawiskiem, że stała się praktycznie normalna.

W Xnecie aż wrzało od takich historii, tak samo w gazetach i wiadomościach telewizyjnych. Mężów nakrywano na zdradzie żon, żony przyłapywano na zdradzie mężów, dzieciaki przyłapywano na potajemnych schadzках z dziewczynami lub chłopakami. A chłopak, który nie przyznał się starym, że ma AIDS, został przyłapany, gdy szedł do kliniki po pigułki.

Ci wszyscy ludzie mieli coś do ukrycia - nie byli winni, ale mieli swoje sekrety. Jeszcze więcej było osób, które nie miały nic do ukrycia, lecz mimo to nie podobały im się te wszystkie łapanki i przesłuchania. Wyobraźcie sobie, że ktoś zamyka was na tylnym siedzeniu samochodu policyjnego i każe wam udowodnić, że n i e jesteście terrorystami.

Nie chodziło tylko o transport publiczny. Większość kierowców z okolicy zatoki do daszków swoich czapek miała przypięte elektroniczne karty FasTrak. To taki rodzaj zdalnego portfela, którym płaci się za przejazd przez most, dzięki czemu można zaoszczędzić sobie



kłopotu związanego ze staniem godzinami w kolejce do budki, gdzie zwykle pobierane są opłaty. Przejazd przez most dla tych, którzy płacili gotówką, zdrożał trzykrotnie (choć administracja mostu odwracała kota ogonem i mówiła, że to FasTrak jest tańszy, a nie że opłata anonimową gotówką jest droższa). Zrobiły się straszne korki, ale to i tak nic w porównaniu z kolejkami, które powstały po tym, jak na każdym moście zostawiono tylko jeden punkt poboru opłat w gotówce.

Dlatego każdy, kto stąd pochodził lub prowadził samochód wypożyczony w tutejszej wypożyczalni, otrzymywał FasTraka. Okazało się jednak, że FasTraki odczytywane były nie tylko w miejscach poboru opłat za przejazdy. DBW rozstawiło czytniki w całym mieście - kiedy przejeżdżało się obok nich, rejestrowały czas przejazdu oraz numer prawa jazdy kierowcy, tworząc w bazie danych jeszcze dokładniejszy profil danej osoby, włącznie z tym, kto, gdzie i kiedy przejeżdża. Cały ten system był dodatkowo wspierany przez fotoradary i kamery rejestrujące numery tablic rejestracyjnych oraz twarze kierowców, którzy przejeżdżali na czerwonym świetle. Wszystko to wyrosło jak grzyby po deszczu.

Dotychczas nikt się nad tym za bardzo nie zastanawiał. Ale teraz, gdy ludzie zwracali na to uwagę, wszyscy zaczęliśmy zauważać pewne detale, na przykład to, że FasTrak nie miał wyłącznika.

Każdy zatem, kto prowadził samochód, mógł zostać zatrzymany przez policję. Władza chciała wiedzieć, dlaczego ostatnio tak często jeździł do supermarketu i dlaczego wybrał się na wieczorną przejażdżkę do Sonoma w zeszłym tygodniu.

W mieście coraz częściej pojawiały się małe weekendowe demonstracje. Po tygodniu takiego monitorowania przez Market Street przemaszerowało pięćdziesiąt tysięcy osób. Nie dołączyłem do nich, bo wiedziałem, że koleś z DBW, którzy obiegli moje miasto, i tak nie obchodzi, czego pragną jego mieszkańcy. Stanowili zwycięską armię i dobrze wiedzieli, co o tym sądzimy.

Pewnego ranka zszedłem na śniadanie właśnie w momencie, gdy tata mówił mamie, że dwie największe firmy taksówkowe zamierzają wprowadzić „rabaty” dla ludzi używających specjalnych kart do płacenia za przewóz, jednocześnie zwiększając bezpieczeństwo taksówkarzy, którzy nie będą musieli wozić już ze sobą gotówki. Ciekawe tylko, co stanie się z informacjami o tym, kto i dokąd jeździ poszczególnymi taksówkami.

Zdałem sobie sprawę, jak bliski byłem sukcesu. Gdy tylko sytuacja zaczęła się pogarszać, udało nam się wypuścić aktualizację klienta indyentetu, która instalowała się automatycznie u jego użytkowników. Jolu powiedział mi, że osiemdziesiąt procent ruchu, jaki zaobserwował w Pigspleenie, było teraz zaszyfrowane. Xnet prawdopodobnie został ocalony.

Tata doprowadzał mnie do szaleństwa.

- Masz paranoję, Marcusie - oświadczył mi podczas śniadania, gdy opowiedziałem mu o kolesiach, których poprzedniego dnia na stacji metra szantażowali gliniarze.

- Tato, to absurdalne. Oni nie łapią żadnych terrorystów... Po prostu chcą zastraszyć ludzi.

- Może nie złapali terrorystów, ale z pewnością oczyszczą ulice z wielu kanałii. Spójrz na dilerów: podobno odkąd się to wszystko zaczęło, tysiące z nich się stąd wyniosło. Pamiętasz, jak cię te ćpuny okradły? Jeśli nie zapuszkuje się dilerów, będzie jeszcze gorzej.

Napadli na mnie rok temu. Byli dość kulturalni. Jeden chudy koleś, który potwornie śmierdział, powiedział mi, że ma gnata, a drugi poprosił mnie o portfel. Nawet pozwolili mi zatrzymać dokumenty, choć sami wzięli kartę debetową i sieciówkę. Po tym wydarzeniu byłem śmiertelnie, paranoicznie przerażony i przez następne tygodnie ciągle sprawdzałem, czy ktoś mnie nie śledzi.

- Ale większość ludzi, których łapią, nie robi niczego złego, tato - stwierdziłem. Zaczęło to do mnie docierać. Mój własny ojciec! - To szaleństwo. Za każdą winną osobę, która zostanie schwytana, karę ponoszą tysiące niewinnych ludzi. To po prostu nie *fair*.

- Niewinnych? Goście, którzy zdradzają swoje żony? Handlarze narkotyków? Bronisz ich, a co z tymi, którzy umarli? Jeśli nie masz nic do ukrycia...

- Nie miałbyś więc nic przeciwko, gdyby ci e b i e zatrzymali?

Histogramy mojego taty były jak dotąd przygnębiająco normalne.

- Podporządkowanie się temu uznałbym za swój obowiązek - odparł. - Byłbym dumny. Dzięki temu poczułbym się bezpieczniej.

Łatwo mu mówić.

Vanessa nie chciała, żebym o tym gadał, ale była zbyt bystra, abym mógł przez dłuższy czas milczeć. Stale ze sobą przebywaliśmy, rozmawiając o pogodzie, szkole i takich tam, a potem, jakoś tak, wróciłem do tego tematu. Podeszła do tego bez emocji - tym razem się na mnie nie wściekła - ale widziałem, że ją to zaniepokoiło. A jednak.

- Mój ojciec mówi: „Podporządkowanie się temu uznałbym za swój obowiązek”. Możesz w to, do cholery, uwierzyć? To znaczy, Boże! O mało mu wtedy nie powiedziałem o więzieniu i nie zapytałem go, czy jego zdaniem to też jest nasz „obowiązek”!

Po szkole siedzieliśmy na trawniku w parku Dolores, patrząc na psy biegające za frisbee.

Van wpadła do domu i przebrała się w starą koszulkę z jednym ze swoich ulubionych brazylijskich zespołów tecno-brega -Rio Carioca Probidão, w wolnym tłumaczeniu: Zakazany Chłopak z Rio. Koszulkę zdobyła dwa lata temu, gdy wszyscy wspólnie wymknęliśmy się ukradkiem na wielkie widowisko w hali koncertowej zwanej Cow Palace. Była już na nią trochę za mała i ciasno przylegała do jej brzucha, uwidaczniając mały płaski pępek.

Van położyła się na plecach w słabych promieniach słońca. Miała zamknięte oczy, ukryte pod okularami przeciwsłonecznymi. Poruszała palcami u stóp (włożyła japonki). Znałem ją od zawsze i kiedy o

niej myślałem, za każdym razem przed oczami stawał mi mały znajomy dzieciak z setkami brzęczących bransoletek zrobionych z pociętych puszek po napojach, który grał na pianinie i beznadziejnie tańczył. Siedząc tam, w parku Dolores, nagle zobaczyłem ją taką, jaka naprawdę była.

A była maksymalnie s3XY, czyli *sexy*. To tak jakby na obrazku z wazą dostrzec dwie twarze. Patrząc na Van, widziałem po prostu Van, ale dostrzegłem też, że jest piekielnie ładna, czego nigdy dotąd nie zauważyłem.

Oczywiście Darryl zawsze o tym wiedział i nie myślcie, że z chwilą gdy sobie to uświadomiłem, dałem za wygraną.

- Nie możesz powiedzieć tacie, przecież wiesz - rzekła Van. - Naraziłbyś nas wszystkich na niebezpieczeństwo.

Miała zamknięte oczy, a jej piersi falowały z każdym oddechem, rozpraszając mnie i wprawiając w zakłopotanie.

- Wiem - odparłem ponuro. - Ale problem w tym, że on w tym siedzi po pachy. Gdybyś zatrzymała mojego tatę i kazała mu udowodnić, że nie molestuje dzieci albo że nie jest dilującym terrorystą, wpadłby w szał. Totalnie by mu odbiło. On nie znosi, jak każą mu czekać, gdy dzwoni w sprawie rachunku swojej karty kredytowej, a co dopiero gdyby go zamknęli na tylnym siedzeniu samochodu i przesłuchiwali przez godzinę. Dostałby chyba tętniaka.

- Uchodzi im to na sucho tylko dlatego, że normalni czują się z siebie zadowoleni, gdy ich porównują do nienormalnych. Gdyby zatrzymywali wszystkich ludzi, doszłoby do katastrofy. Nikt by nigdzie nie dojechał. Wszyscy czekali by, aż zostaną przesłuchani przez gliny. Totalny bajzel.

Ła!

- Van, jesteś genialna - stwierdziłem.

- Mów dalej - odparła. Uśmiechała się leniwie, patrząc na mnie spod współprzymkniętych powiek, prawie romantycznie.

- Serio. Możemy to zrobić. Możemy łatwo wymieszać profile. Zatrzymywanie ludzi jest łatwe.

Usiadła, odgarnęła włosy z twarzy i spojrzała na mnie. Na myśl, że naprawdę jej zaimponowałem, poczułem, jak coś lekko przewraca mi się w żołądku.

- Chodzi o klonery RFID - oznajmiłem. - Bardzo łatwo je zrobić. Wystarczy sflashować firmware na czytniku RFID za dziesięć dolców i gotowe. Musimy tylko połączyć po mieście i pozamieniać losowo wybranych osobom ich tagi, nadpisując kody innych ludzi na ich sieciówkach i FasTrakach. Przez to w s z y s c y będą wyglądać na wypaczonych, dziwnych i nienormalnych, wszyscy będą wyglądać na winnych. A potem: totalny bajzel.

Van zacisnęła usta i opuściła okulary przeciwsłoneczne, a ja zdałem sobie sprawę, że była tak wściekła, że aż nie mogła mówić.

- Do widzenia, Marcus - powiedziała i podniosła się. Zanim się połapałem, była już daleko, praktycznie biegła.

- Van! - zawołałem, wstając i ruszając za nią. - Van! Poczekaj!

Przyspieszyła, więc zacząłem biec, aż w końcu ją dogoniłem.

- Van, do cholery - wydyszałem, łapiąc ją za ramię.

Odepchnęła moją rękę tak mocno, że aż walnąłem się w twarz.

- Jesteś psychopatą. Narażasz swoich kumpli z Xnetu na śmiertelne niebezpieczeństwo, a przede wszystkim przez ciebie całe miasto będzie wkrótce podejrzewane o terroryzm. Nie możesz z tym skończyć, zanim zranisz tych wszystkich ludzi?

Otworzyłem i zamknąłem buzię kilka razy.

- Van, to nie ja jestem problemem, to o n i nim są. Ja nie aresztuję ludzi, nie wsadzam ich do więzień, to nie przeze mnie znikają. To przez Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Walczę po to, żeby ich powstrzymać.

- Jak? Pogarszając sytuację?

- A może musi się pogorszyć, żeby mogło się polepszyć. Nie o tym mówiłaś? Jeśli każdy zostanie zatrzymany...

- Nie to miałam na myśli. Nie chodziło mi o to, żebyś wszystkich

zaaresztował. Jeśli chcesz protestować, dołącz do ruchu protestacyjnego. Zrób coś pozytywnego. Nic z e g o się nie nauczyłeś z historii Darryła? N i c z e g o ?

- Masz cholerną rację, czegoś się nauczyłem - odparłem, tracąc cierpliwość. - Nauczyłem się, że nie można im ufać. Że jeśli z nimi nie walczysz, to im pomagasz. Że jeśli im na to pozwolimy, zmienią ten kraj w więzienie. A ty czego się nauczyłaś, Van? Żeby się ciągle bać, nie ruszać się, siedzieć z opuszczoną głową i z nadzieją, że cię nie zauważą? Myślisz, że będzie lepiej? Jeśli nic nie zrobimy, b ę d z i e t a k c u d o w n i e , j a k w ł a ś n i e z a c z y n a b y ć . O d t ą d b ę d z i e c o r a z g o r z e j . C h c e s z p o m o ć D a r r y ł o w i ? T o p o m o ż m i o d s u n ą ć i c h o d w ł a d z y !

I znowu to samo. Moja przysięga. Nie chodziło o to, żeby uwolnić Darryła, ale by obalić cały DBW. To szaleństwo, nawet ja o tym wiedziałem. Ale właśnie to planowałem zrobić. Nie miałem co do tego wątpliwości.

Van odepchnęła mnie mocno obiema rękami. Była silna, bo w szkole ćwiczyła lekką atletykę - szermierkę, lacrosse\*, hokej na trawie i wszystkie te dziewczęce sporty - więc wylądowałem na tyłku na jednym z tych ohydnych chodników typowych dla San Francisco. Ruszyła dalej, ale tym razem nie poszedłem za nią.

\* Lacrosse - kanadyjska gra podobna do hokeja na trawie.

> Jeśli chodzi o systemy bezpieczeństwa, ważne jest nie to, jak działają, lecz to, jak zawodzą.

Tak brzmiała pierwsza linijka mojego pierwszego wpisu na blogu „Jawny Bunt” w Xnecie. Pisałem tam jako M1k3y i byłem gotowy pójść na wojnę.

> Być może automatyczne sprawdzanie stron internetowych ma pomóc w łapaniu terrorystów. Być może dzięki temu prędzej czy później uda się jakiegoś złapać. Problem w tym, że dzięki temu łapią też *nas*, mimo że nie robimy niczego złego.

> Im więcej ludzi udaje się dzięki temu mechanizmowi schwytać, tym słabszy się on staje. Jeśli złapanych zostanie zbyt wiele osób, padnie zupełnie.

> Czaicie?

Wkleiłem krótką instrukcję, jak zbudować kloner RFID, oraz kilka wskazówek, jak podejść wystarczająco blisko do ludzi, żeby odczytać i spisać ich tagi. Swojego klonera włożyłem do kieszeni mojej starej motocrossowej kurtki i poszedłem do szkoły. Po drodze udało mi się sklonować sześć tagów.

Chcieli wojny? Będzie wojna.

Jeśli kiedyś zdecydujecie się na coś tak głupiego, żeby zbudować automatyczny detektor terroryzmu, oto lekcja matematyki, którą najpierw powinniście sobie przyswoić. To zdumiewające zjawisko nazywa się paradoksem wyniku fałszywie pozytywnego.

Powiedzmy, że cierpicie na nową chorobę zwaną superAIDS. Zapada na nią tylko jeden człowiek na milion. Opracowujecie test na superAIDS, który jest wiarygodny w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach. To znaczy sprawdza się w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach w przypadku, gdy wynik jest prawidłowy - pozytywny, gdy badana osoba jest chora, i negatywny, gdy jest zdrowa. Przeprowadźcie ten test na milionie ludzi.

Jeden człowiek na milion choruje na superAIDS. Jeden na stu ludzi, których testujecie, wygeneruje wynik fałszywie pozytywny - według testu będzie miał superAIDS, mimo że go nie ma. Oto, co oznacza wiarygodność w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach - jeden procent błędu.

Czym jest jeden procent z jednego miliona?

$$1\ 000\ 000 : 100 = 10\ 000$$

Jeden na milion ludzi ma superAIDS. Jeśli testowi poddacie milion przypadkowych osób, prawdopodobnie znajdziecie tylko jeden przypadek prawdziwego zachorowania na superAIDS. Jednak wasz

test nie zidentyfikuje tej j e d n e j osoby cierpiącej na superAIDS. Zidentyfikuje d z i e s i ę ć t y s i ę c y takich osób.

Wasz dokładny w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach test będzie działał z 99.99-procentową n i e d o k ł a d n o ś c i ą .

Oto paradoks wyniku fałszywie pozytywnego. Gdy próbujecie znaleźć coś naprawdę rzadkiego, wasz test musi trafić na tę poszukiwaną przez was rzadkość. Jeśli staracie się wskazać pojedynczy piksel na ekranie, dobrym wskaźnikiem będzie ostry ołówek, jego szpic jest o wiele mniejszy (bardziej precyzyjny) niż piksele. Jednak ten sam szpic nie nadaje się do wskazywania atomu na waszym ekranie. Do tego potrzebny jest wskaźnik - test - którego szpic jest wielkości pojedynczego atomu lub mniejszy.

To jest właśnie paradoks wyniku fałszywie pozytywnego, a oto, jak to się ma do terroryzmu:

Terroryści są prawdziwą rzadkością. W takim dwudziestomilionowym mieście jak Nowy Jork może się znajdować jeden bądź dwóch terrorystów. Maksymalnie dziesięciu.  $10 : 20\ 000\ 000 = 0,0000005$ . Jedna dwudziestotysięczna procenta.

To dosyć duża rzadkość. Powiedzmy, że macie jakieś oprogramowanie, które potrafi przewertować całą dokumentację dotyczącą operacji bankowych, transportu publicznego, połączeń telefonicznych lub opłat za przejazd poszczególnymi drogami i złapać terrorystów z dziewięćdziesięćdziewięćprocentową trafnością.

Wśród dwudziestu milionów ludzi test o dziewięćdziesięćdziewięćprocentowej dokładności zidentyfikuje dwieście tysięcy z nich jako terrorystów. Jednak tylko dziesięciu jest nimi naprawdę. Żeby złapać dziesięciu złoczyńców, musicie zgromadzić i sprawdzić dwieście tysięcy niewinnych osób.

Wiecie co? Dokładność testów na terroryzm nie jest nawet b l i s k a dziewięćdziesięciu dziewięciu procentom. Zbliża się co najwyżej do sześćdziesięciu procent. A czasem zaledwie do czterdziestu.



Wszystko to oznacza, że amerykański Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego był z góry skazany na sromotną klęskę. Starał się wykryć niezmiernie rzadkie przypadki za pomocą niedokładnych systemów.

Czy jeszcze kogoś to dziwi, że byliśmy w stanie narobić takiego bałaganu?

W pewien wtorkowy poranek, pogwizdując, wyszedłem frontowymi drzwiami, rozpoczynając tym samym Operację Wyniku Fałszywie Pozytywnego. Wczuwałem się w rytm jakiegoś nowego zespołu ściągniętego poprzedniej nocy z Xnetu - wiele osób przysyłało Mikyowi niewielkie cyfrowe upominki, żeby podziękować za nadzieję, jaką im dawał.

Skręciłem w 23rd Street i zacząłem ostrożnie schodzić po wąskich kamiennych schodach wykutych w zboczu wzgórza. Na dole minąłem Pana Jamnika. Nie znam jego prawdziwego nazwiska, ale widuję go często, jak wchodzi po schodach ze swoimi trzema zasapanymi jamnikami i idzie do parku. Przeciśnięcie się obok nich jest prawie niewykonalne i zawsze kończy się na tym, że zaplątany w smycz ląduję w czyimś frontowym ogródku lub na zderzaku jednego z samochodów zaparkowanych wzdłuż krawężnika.

Pan Jamnik jest najwyraźniej kimś ważnym, bo zawsze nosi wypasiony zegarek i dobry garnitur. Założyłem, że pracuje w dzielnicy finansowej.

Dzisiaj, przechodząc obok niego, uruchomiłem swój ukryty w skórzanej kurtce kloner RFID. Kloner wessał numery jego karty kredytowej, kluczyków do samochodu, paszportu, a także rachunków na sto dolarów schowanych w portfelu.

Jednocześnie sflashować niektóre z nich nowymi numerami należącymi do jakichś ludzi, o których się otarłem. To było jak niewidzialne i natychmiastowe podmienianie tablic rejestracyjnych w wielu samochodach naraz. Uśmiechnąłem się przepraszająco do Pana

Jamnika i ruszyłem w dół po schodach. Zatrzymałem się obok trzech samochodów i stałem tam na tyle długo, żeby podmienić numery z ich FasTraków na numery, które zebrałem z samochodów mijanych dzień wcześniej.

Można by pomyśleć, że szukałem okazji do zadymy, jednak w porównaniu z wieloma użytkownikami Xnetu ja byłem ostrożny. Kilka dziewczyn z inżynierii chemicznej na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley odkryło, w jaki sposób z produktów kuchennych można stworzyć nieszkodliwą substancję, która potrafi oszukać detektory materiałów wybuchowych. Miały wielką radochę, bo posypywały nią teczki i kurtki profesorów, po czym chowały się i patrzyły, jak ci sami profesorowie próbują dostać się do sal wykładowych lub bibliotek w kampusie, a nowi ochroniarze - ostatnio pojawiali się dosłownie wszędzie - wywalali ich na zbity pysk.

Niektórzy chcieli się dowiedzieć, jak posypać koperty substancją, która wskazywałaby na zawartość węgla, ale reszta twierdziła, że mają nierówno pod sufitem. Na szczęście wyglądało na to, że nie są w stanie odkryć tej metody.

Minąłem szpital i gdy zobaczyłem ogromne kolejki przed wejściem, z satysfakcją kiwnąłem głową. Oczywiście tutaj także znajdował się policyjny punkt kontrolny. Wielu użytkowników Xnetu odbywało staż w tym szpitalu lub pracowało w tamtejszym bufecie i Bóg wie gdzie jeszcze, tak więc wszyscy mieli pomieszane i poprzestawiane numery identyfikatorów. Czytałem, że systemy kontroli czasu pracy doliczały każdemu codziennie dodatkową godzinę do odpracowania i związki zawodowe groziły, że wyjdą na ulice, jeśli szpital czegoś w tej sprawie nie zrobi.

Kilka przecznic dalej zauważyłem następną kolejkę, tym razem przed wejściem do metra. Wzdłuż niej tam i z powrotem spacerowali policjanci, wskazując na ludzi i wzywając ich na stronę, żeby ich przesłuchać i zrewidować od góry do dołu. Ludzie wciąż wytaczali gliniarzom procesy, ale nawet to nie przeszkodziło mundurowym w wykonywaniu roboty.

Do szkoły dotarłem trochę za wcześnie i postanowiłem udać się po kawę na 22nd Street - minąłem punkt kontrolny, gdzie policja zatrzymywała samochody do kolejnej inspekcji.

W szkole panowała równie zwariowana atmosfera - ochroniarze, stojąc przy bramce do wykrywania metalu, kontrolowali nasze szkolne identyfikatory i wyciągali nietypowo przemieszczających się uczniów na przesłuchanie. Nie trzeba dodawać, że wszyscy przemieszczaliśmy się w dość dziwny sposób. I że z tego powodu lekcje zaczynały się o godzinę, dwie lub nawet trzy później.

W ogóle lekcje były istnym błżeństwem. Nie sądzę, żeby ktokolwiek mógł się skupić. Podślucałem, jak dwóch nauczycieli rozmawiało o tym, ile czasu zabrało im poprzedniego dnia dotarcie z pracy do domu i że tego dnia planowali wymknąć się wcześniej.

Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Paradoks wyniku fałszywie pozytywnego znowu zaatakował!

Również tego dnia lekcje skończyły się wcześniej i poszedłem do domu dłuższą trasą, krążąc po dzielnicy Mission, żeby zobaczyć cały ten zamęt. Długie sznury samochodów, kolejki do metra ciągnące się kilka przecznic, ludzie przeklinający bankomaty, które nie wydawały pieniędzy, ponieważ konta zostały zamrożone ze względu na podejrzaną działalność ich posiadaczy (oto, czym grozi bezpośrednie połączenie konta, Fas Traka i sieciówki!).

Dotarłem do domu, zrobiłem sobie kanapkę i zalogowałem się do Xnetu. To był dobry dzień dla całego miasta. Ludzie przechwalali się swoimi sukcesami. Sparaliżowaliśmy całe San Francisco. Potwierdzały to informacje znalezione w gazetach - dziennikarze pisali, że DBW sfiksował, zrzucając wszystko na chęć zapewnienia nam „bezpieczeństwa”, co miało nas niby uchronić przed terroryzmem. W lokalnej gazecie w dziale *Biznes* oszacowano koszty związane z działaniami Departamentu oraz opuszczonymi godzinami pracy, spotkaniami i

tak dalej. Według tamtejszego ekonomisty tydzień tej rozpierduchy kosztował miasto więcej niż wysadzenie Bay Bridge.

U-ha-ha.

I najlepsza część. Tata wrócił dzisiaj do domu późno wieczorem. Bardzo późno. Trzy g o d z i n y później. Dlaczego? Ponieważ został zatrzymany, przeszukany i przesłuchany przez policję. A potem j e s z c z e raz. Dwukrotnie.

Dwukrotnie!

## ROZDZIAŁ 9

Był tak wściekły, że mało nie pękł. Pamiętacie, jak mówiłem, że rzadko widziałem go wytrąconego z równowagi. Dziś wieczorem stracił ją bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

- Nie uwierzyłybyś. Ten gliniarz miał jakieś osiemnaście lat i wciąż powtarzał: „Ale proszę pana, dlaczego był pan wczoraj w Berkeley, jeśli ma pan klienta w Mountain View?”. Cały czas mu tłumaczyłem, że wykładam na uniwersytecie w Berkeley, a on na to: „Myślałem, że jest pan konsultantem”, i znowu się zaczęło. Czuję się, jakbym grał w jakiejś komedii, w której gliny dostały napadu głupawki. Co gorsza - ciągnął dalej - zaczął mi wmawiać, że dzisiaj też byłem w Berkeley. Ja zaprzeczałem, mówiłem, że mnie tam nie było, a on, że byłem. Potem pokazał mi billingi z mojego FasTraka, a tam było napisane, że dzisiaj przejechałem przez most San Mateo trzy razy! To jeszcze nie wszystko - powiedział i wziął głęboki oddech. Teraz już byłem pewien, że jest wściekły. - Mieli informacje o tym, gdzie byłem. Nawet o miejscach, w których nie płaciłem za przejazd. Sprawdzali mój bilet ot tak, na ulicy, na chybił trafił. A tego to już nie powinni robić! Cholera jasna, szpiegują nas wszystkich i w dodatku nawet nie są kompetentni!

Zszedłem na dół do kuchni, gdzie pomstował mój ojciec, stanąłem w drzwiach i spojrzałem na niego. Zauważyła mnie mama i oboje unieśliśmy brwi, jakbyśmy chcieli zapytać: „Które z nas powie: »A nie mówiłem?«”. Kiwnąłem głową. Mama mogła wykorzystać swoją małżeńską moc, aby ugasić jego złość w sposób, który dla mnie, tylko syna, był nieosiągalny.

Ojciec maszerował tam i z powrotem po kuchni, wymachując rękami niczym uliczny kaznodzieja.

- Drew - powiedziała i złapała go za ramię.

- Co? - warknął.

- Myślę, że jesteś winny Marcusowi przeprosiny. - Mówiła spokojnym i opanowanym tonem. W tym domu to ja i tata byliśmy cholerykami, mama to prawdziwa skała.

Ojciec popatrzył na mnie. Zmrużył oczy i przez chwilę zastanawiał się nad czymś.

- Dobrze - odparł w końcu. - Masz rację. Mówiłem o kompetentnej kontroli. Ci kolesie byli całkowitymi amatorami. Przepraszam cię, synu - powiedział. - Miałeś rację. To jest absurdalne.

Wyciągnął rękę i uściśnił mi dłoń, a potem mocno i zupełnie niespodziewanie mnie przytulił.

- Boże, co my robimy z tym krajem, Marcusie? Twoje pokolenie zasługuje na coś lepszego niż to, co się teraz dzieje.

Kiedy mnie puścił, zauważyłem na jego twarzy głębokie zmarszczki, linie, których nigdy wcześniej nie dostrzegłem.

Wróciłem do swojego pokoju i odpaliłem jakąś grę w Xnecie. To był niezły multiplayer o piratach, w którym trzeba było przez cały dzień lub dwa kompletować załogę, żeby potem plądrować i grabić. To jedna z tych gier, których nie znosiłem, lecz nie mogłem przestać w nie grać. Wiele powtarzających się i mało satysfakcjonujących poszukiwań, trochę walki z innymi graczami (żeby zobaczyć, kto zostanie kapitanem statku) i niewiele zagadek do rozwiązania. Podczas tej gry zacząłem tęsknić za Harajuku Fun Madness, opartej na bieganiu po rzeczywistym świecie, rozwiązywaniu zagadek i strategicznym

myśleniu, któremu oddawała się wspólnie cała drużyna.

Jednak tego dnia potrzebowałem czegoś innego. Bezmyślnej rozrywki.

Biedny tata.

To ja mu to zrobiłem. Wcześniej czuł się szczęśliwy i pewny siebie, bo pieniądze z jego podatków były przeznaczone na zapewnienie mu bezpieczeństwa. Zniszczyłem tę jego pewność. Oczywiście to była złudna pewność, ale podtrzymywała go na duchu. Patrząc tak wtedy na niego przygnębitego i załamane go, zacząłem się zastanawiać, co było lepsze: trzeźwe myślenie i zdawanie sobie sprawy z całej tej beznadziei czy życie w raju dla głupców. Ten wstyd - wstyd, który czułem, odkąd wyjawilem im swoje hasła, od kiedy mnie złamali - powrócił, sprawiając, że stałem się apatyczny, i jedyne, czego chciałem, to uciec przed samym sobą.

W pirackiej grze wybrałem postać majtka szorującego pokład statku Waleczny Zombie - stracił życie, gdy byłem *offline*. Musiałem wysłać do wszystkich graczy na statku komunikat, żeby znaleźć kogoś, kto mnie ożywi. Przynajmniej miałem jakieś zajęcie. Właściwie to lubiłem. Było w tym coś magicznego, bo zupełnie obcy człowiek wyświadczał mi przysługę. A ponieważ to był Xnet, wiedziałem, że wszyscy obcy są przyjaciółmi, w pewnym sensie.

> Gdzie jesteś?

Postać, która mnie ożywiła, nazywała się Lizanator i była płci żeńskiej, chociaż to wcale nie musiało oznaczać, że była dziewczyną. Chłopcy czerpali pewną przyjemność z wczuwania się w żeńskie postaci.

> W San Francisco

- odpowiedziałem.

> Nie wygłupiaj się, gdzie w San Fran?

> A co, jesteś zbokiem?

W tym miejscu urwała się nasza rozmowa. Oczywiście w każdej grze było pełno pedziów i zboków, i gliniarzy udających pedziów i zboków, którzy chcieli zastawić na nich pułapkę (choć miałem

szczerą nadzieję, że w Xnecie nie było żadnych glin!). W dziewięciu na dziesięć przypadków takie oskarżenie prowadziło do zmiany tematu.

> Mission? Potrero Hill? Noe? East Bay?

> Po prostu mnie ożyw, thx?

Przestała mnie ożywiać.

> Boisz się?

> Spoko - co cię to obchodzi?

> Po prostu jestem ciekawa

Były od niej negatywne fludy. To było coś więcej niż zwykła ciekawość. Nazwijcie to paranoją. Wylogowałem się i wyłączyłem Xboksa.

Następnego dnia rano tata spojrział na mnie przy stole i powiedział:

- Wygląda na to, że będzie lepiej. - Podał mi gazetę otwartą na trzeciej stronie.

Rzecznik Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego potwierdził, że Urząd Miasta San Francisco poprosił Waszyngton o zwiększenie budżetu o trzysta procent i przysłanie większej liczby ludzi.

Co?

Generał major Graeme Sutherland, dowódca DBW w północnej Kalifornii, potwierdził prośbę na wczorajszej konferencji prasowej, zauważając, że doprowadził do tej sytuacji jakiś zaangażowany w podejrzaną działalność aktywista z Bay Area. „Analizujemy wszelkie rozmowy i podejrzaną działalność i uważamy, że sabotażyści celowo



wszczynają fałszywe alarmy, żeby udaremnić nasze wysiłki”.

Dostałem oczopląsu. Co za cholerne bzdury.

„Te fałszywe alarmy to »zakłócenia radarowe«, które mają zamaskować prawdziwe ataki.

Jedynym skutecznym sposobem na ich zlikwidowanie jest zwiększenie etatów i dokładności analizy, tak abyśmy mogli zbadać każdy trop”.

Sutherland zauważył, że utrudnienia, z jakimi mamy do czynienia w mieście, są „niefortunne” i że zostaną wyeliminowane.

Wyobraziłem sobie miasto z cztero- lub pięciokrotnie większą liczbą funkcjonariuszy DBW, których mieli tu przysłać z powodu moich głupich pomysłów. Van miała rację. Im bardziej z nimi walczyłem, tym gorzej się działo.

Tata wskazał mi gazetę.

- Być może ci goście to głupcy, ale mają swoje metody. Będą tak długo pompowali pieniądze, aż rozwiążą ten problem. A można to zrobić. Przekopią wszystkie dane w mieście, zbadają każdą wskazówkę. Złapią tych terrorystów.

Nie wytrzymałem.

- Tato! Czy ty słyszysz samego siebie? Oni mówią o sprawdzaniu praktycznie każdej osoby w San Francisco!

- Tak - powiedział - to prawda. Złapią każdego ojca, który zalega z alimentami, każdego dilerą, każdego dupka i każdego terrorystę. Tylko poczekaj. To może być najlepsza rzecz, jaka przydarzyła się temu krajowi.

- Powiedz, że żartujesz - poprosiłem. - Błagam cię. Myślisz, że o to chodziło tym, którzy pisali konstytucję? A co z Kartą Praw?

- Karta Praw została napisana, zanim zaczęto analizować dane - skwitował. Był wyjątkowo pogodny i przekonany o swojej słuszności.  
- Prawo do wolności zgromadzeń jest w porządku, ale dlaczego gli-niarze nie powinni mieć prawa do przeglądania sieci, żeby sprawdzić, czy nie zadajesz się ze zbrojcencami bądź terrorystami?

- Bo to jest naruszenie mojej prywatności! - odparłem.

- Wielka mi rzecz. Wolisz prywatność czy terrorystów?

Och, nie znośm kłócić się z ojcem w ten sposób. Potrzebowałem kawy.

- Zrozum, tato. Odzianie nas z prywatności to nie łapanie ter-rorystów. To tylko przysparza kłopotów normalnym ludziom.

- A skąd wiesz, że to nie łapanie terrorystów?

- To gdzie są terroryści, których złapali?

- Jestem pewien, że w odpowiednim czasie znajdą się w areszcie.

Tylko zaczekaj.

- Tato, co się z tobą od wczoraj stało? Gdy zatrzymały cię gliny, o mało nie oszalałeś...

- Nie mów do mnie takim tonem, Marcusie. Oto, co się stało: od wczoraj miałem czas, żeby to przemyśleć i przeczytać t o. - Potrzęsnał gazetą. - Zatrzymali mnie dlatego, że jacyś przestępcy aktywnie im przeszkadzają. Muszą dopasować swoje metody tak, żeby poradzić sobie z tymi przeszkodami. Wierzę, że im się to uda. Tymczasem ma-ła blokada drogowa to niewielka cena, jaką musimy za to zapłacić. Nie czas zgrywać prawnika i mówić o Karcie Praw. Nadszedł czas, w którym wszyscy musimy się trochę poświęcić, żeby miasto mogło być nadal bezpieczne.

Nie byłem w stanie dokończyć tosta. Włożyłem talerz do zmywarki i poszedłem do szkoły. Musiałem się stąd wydostać.

Xneterzy nie byli zadowoleni, gdy usłyszeli o zaostreniu poli-cyjnej inwigilacji, ale nie zamierzali przyjąć tego potulnie. Ktoś za-dzwonił do lokalnego programu telewizyjnego i oznajmił, że policja

marnuje czas, że możemy rozwalić ten system szybciej, niż oni zdążą to wszystko rozwikłać. Tej nocy było to najczęściej ściągane nagranie.

- Tu program *Kalifornia na żywo*. Rozmawiamy właśnie z anonimowym słuchaczem, który dzwoni do nas z automatu w San Francisco. Ma dla nas informacje dotyczące korków, z jakimi zmagamy się od tygodnia. Czy pan nas słyszy?

- Tak, jasne, to dopiero początek. To znaczy dopiero zaczynamy. Niech zatrudnią miliard psów i postawią punkty kontrolne na każdym rogu. Rozpieprzymy je wszystkie! A te bzdury o terrorystach? My nie jesteśmy terrorystami! Odpuście, serio! Walczymy z systemem, bo nie znosimy tych od Bezpieczeństwa Wewnętrznego i kochamy nasze miasto. Terrorysty? Nawet nie wiem, jak się pisze dżihad. Na razie. Pokój z wami, ludziska.

To brzmiało idiotycznie. Nie chodziło tylko o chaotyczność wypowiedzi, ale i o triumfalny ton dzwoniącego. Brzmiał jak nieprzyzwoicie dumny z siebie dzieciak. Bo to był nieprzyzwoicie dumny z siebie d z i e c i a k .

W Xnecie aż wrzało na ten temat. Wiele osób uważało, że tylko idiota mógł tam zadzwonić, podczas gdy inni okrzyknęli go bohaterem. Martwiłem się, że na automat, z którego dzwonił, była prawdopodobnie skierowana kamera. Albo czytnik RFID, który wywęszył sieciówkę dzwoniącego. Miałem nadzieję, że dzieciak był na tyle bystry, żeby zetrzeć odciski swoich palców z ćwierćdolarówki, że nie zdjął kaptura i zostawił wszystkie swoje identyfikatory RFID w domu. Ale to było wątpliwe. Zastanawiałem się, czy ktoś wkrótce nie zapuka do jego drzwi.

Kiedy w Xnecie działo się coś wielkiego, od razu się o tym dowiadywałem, ponieważ nagle dostawałem miliony e-maili od ludzi, którzy chcieli poinformować M1k3ya o ostatnich wydarzeniach. Właśnie czytałem o panu Nawet-nie-wiem-jak-się-pi-sze-dżihad, gdy moja skrzynka pocztowa oszalała. Każdy miał dla mnie wiadomość - link do livejournala w Xnecie, jednego z tych anonimowych blogów wzorowanych na systemie publikacji dokumentów we Freenecie, którego

używali także chińscy zwolennicy demokracji.

> Mało brakowało

> Dzisiaj w nocy robiliśmy akcją na Embarcadero, trochę się powyglądaliśmy, rozdając każdemu nowe klucze do samochodu, sieciówki lub Fastraki, rozsypaliśmy dookoła trochę sztucznego prochu. Wszędzie były gliny, ale my jesteśmy od nich sprytniejsi, chodzimy tam prawie co noc i dotąd nas nie złapali.

> Dzisiaj nas złapali. To był głupi błąd, byliśmy nieostrożni i wpadliśmy. Jakiś tajniak dybnął mojego kumpla, a potem nas wszystkich. Obserwowali nas od dłuższego czasu, a obok stała jedna z tych ciężarówek, zabrali do niej czterech z nas, ale reszty nie dorwali.

> Ciężarówka była NAPCHANA jak puszka sardynek, byli tam ludzie wszelkiego rodzaju: starzy, młodzi, czarni, biali, bogaci, biedni, wszyscy podejrzani, i było dwóch gliniarzy, którzy próbowali zadawać nam pytania, a tajniacy doprowadzali kolejne osoby. Większość ludzi starała się przedostać na początek kolejki, żeby mieć już za sobą przesłuchanie, więc wciąż się cofaliśmy, mijały godziny, zrobiło się naprawdę gorąco, a tłum zamiast maleć, stawał się coraz większy.

> Mniej więcej o ósmej wieczorem przyszła nowa zmiana, weszło dwóch nowych gliniarzy i nawrzeszczało na tych dwóch poprzednich, i wyglądało na to, że ci totalnie nie wiedzą, o co chodzi. To było coś w stylu: „Czy wy cokolwiek robicie?”. Doszło do poważnej kłótni, potem ci starzy gliniarze wyszli, a ci nowi usiedli przy biurkach i przez chwilę coś do siebie szeptali.

> Potem jeden z nich wstał i zaczął krzyczeć: WSZYSCY DO DOMU- JEZU CHRYSSTE. MAMY LEPSZE RZECZY DO ROBOTY NIŻ ZAWRACANIE WAM GŁOWY PYTANIAMI. JEŚLI ZROBILIŚCIE COŚ ZŁEGO, PO PROSTU NIGDY WIĘCEJ JUŻ TEGO NIE RÓBCIE I NIECH TO BĘDZIE DLA WAS WSZYSTKICH OSTRZEŻENIE.

> Kilku gości u garniturkach naprawdę się wkurzyło, co było ZABAWNE. Dziesięć minut wcześniej zamartwiali się, że ich tam przetrzymują, a teraz byli strasznie wkurzeni, że ich puszczają, mogliby się na coś zdecydować!

> Szybko się rozdzieliliśmy i wróciliśmy do domin żeby to opisać. Wszędzie są tajniacy, uwierzcie. Jeśli robicie zadymę, miejcie oczy otwarte i w razie problemów przygotujcie się do ucieczki. Jeśli wpadniecie, starajcie się to przeczekać, są tak zajęci, że może was puszczą.

> To przez nas są tacy zajęci! Wszyscy ci ludzie znaleźli się w ciężarówce dzięki naszym akcjom. Więc dalej, róbcie to samo!

Czułem, że zaraz zwymiotuję. Te cztery osoby - dzieciaki, których nigdy nie spotkałem - omal nie pożegnały się z życiem przez coś, co sam zacząłem.

Przez coś, co kazałem im zrobić. Nie byłem lepszy od terrorysty.

Zaakceptowano nowy, zwiększony budżet Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. W telewizji pojawili się prezydent oraz gubernator, aby oznajmić nam, że jeśli chodzi o bezpieczeństwo, żadna cena nie jest zbyt wysoka. Mieliśmy to oglądać następnego dnia na szkolnym apelu. Mój tata poweselał. Nienawidził prezydenta od dnia, w którym ten został wybrany, mówił, że nie jest wcale lepszy od poprzedniego, a ten poprzedni to totalna katastrofa, ale teraz wciąż tylko powtarzał, jaki też ten nowy jest zdecydowany i dynamiczny.

- Musisz się zdystansować wobec zachowania ojca - powiedziała mama, gdy pewnego wieczoru wróciłem po szkole do domu. Pracowała w domu tak często, jak tylko się dało. Była niezależną specjalistką do spraw relokacji i pomagała Brytyjczykom osiedlić się w San Francisco. Wysoka Komisja Zjednoczonego Królestwa płaciła jej za odpisywanie na maile od zdumionych Brytyjczyków z całego kraju, którzy byli zupełnie zdezorientowani naszym dziwnym

amerykańskim stylem bycia. Zarabiała na życie, objaśniając sposób myślenia Amerykanów, i powiedziała, że teraz lepiej robić to w domu, gdzie nie musi właściwie oglądać żadnych Amerykanów ani z nimi rozmawiać.

Nie mam złudzeń co do Wielkiej Brytanii. Ameryka chętnie zmiesza z błotem własną konstytucję, gdy tylko jakiś dziłhadysta spojrzy na nas krzywym okiem, ale jak się dowiedziałem na lekcjach wiedzy o społeczeństwie, Angole nie mają nawet swojej konstytucji. Mają prawa, od których włosy na palcach u nóg stanęłyby wam dęba. Mogą cię wsadzić do więzienia na cały rok, jeśli mają całkowitą pewność, że jesteś terrorystą, mimo że nie mają wystarczających dowodów, żeby to wykazać. Jak jednak mogą być tego pewni, skoro nie mają wystarczających dowodów? Skąd wzięli tę swoją pewność? Czy widzieli w swoim jakże sugestywnym śnie, jak dopuszczasz się aktów terroryzmu?

W porównaniu z Wielką Brytanią inwigilacja w Ameryce to amatorszczyzna. Przeciętny londyńczyk, który zwyczajnie spaceruje po ulicach, jest fotografowany pięćset razy dziennie. Na każdym rogu fotografowane są rejestracje samochodowe. Wszyscy, począwszy od bankierów, po pracowników transportu publicznego, są zagorzałymi zwolennikami śledzenia i kablowania na innych, jeśli ich zdaniem są oni choć trochę podejrzani.

Mama nie postrzegą jednak tego w ten sposób. Wyjechała z Wielkiej Brytanii w połowie liceum, a tutaj nigdy nie czuła się jak u siebie, nawet mimo tego że wyszła za chłopaka z kalifornijskiej Petalomy i wychowała tu syna. Dla niej był to niezmiennie kraj barbarzyńców i tylko Wielka Brytania pozostanie na zawsze jej domem.

- Mamo, on po prostu nie ma racji. Kto jak kto, ale ty powinnaś zdawać sobie z tego sprawę. Wszystko, co w tym kraju najlepsze, zostało spuszczone w kiblu, a on się na to godzi. Zauważyłaś, że oni nie złapali ż a d n y c h t e r r o r y s t ó w ? Tata tylko w kółko powtarza: „Musimy być bezpieczni”, ale on musi też wiedzieć, że większość

z nas nie czuje się bezpiecznie. Czujemy się cały czas zagrożeni.

- Zdamę sobie z tego wszystkiego sprawę, Marcusie. Uwierz mi, nie popieram tego, co się teraz dzieje w tym kraju. Ale twój ojciec jest... - przerwała. - Kiedy po tych atakach nie wróciłeś do domu...

Wstała i zrobiła sobie herbatę, coś, co robiła zawsze, gdy czuła się skrzepowana i zakłopotana.

- Marcusie - powiedziała, wypijając łyk napoju. - Marcusie, myśleliśmy, że nie żyjesz. Rozumiesz? Opłakiwaliśmy cię przez cztery dni. Wyobrażaliśmy sobie, że leżysz w kawałkach na dnie oceanu. Martwy, bo jakiś sukinsyn postanowił zabić setki obcych ludzi, żeby osiągnąć swój cel.

Powoli zaczęło to do mnie docierać. To znaczy rozumiałem, że się niepokoiłi. Wielu ludzi zginęło wskutek zamachu bombowego - obecnie według szacunkowych obliczeń było cztery tysiące ofiar - i każdy praktycznie znał kogoś, kto tego dnia nie wrócił do domu. Z mojej szkoły zniknęły dwie osoby.

- Twój ojciec był gotów zabić. Kogokolwiek. Postradał zmysły. Nigdy go takim nie widziałeś. Ja również. Stracił rozum. Siedział tylko przy tym stole i przeklinał, przeklinał, przeklinał. Padły okropne słowa, słowa, których nigdy wcześniej nie wypowiadał. Któregoś dnia, trzeciego, ktoś zadzwonił, a on był pewien, że to ty, ale to była pomyłka. Rzucił telefonem tak mocno, że roztrzaskał go na tysiące kawałków.

Zastanawiałem się wcześniej, dlaczego w kuchni jest nowy telefon.

- W twoim ojcu coś pękło. On cię kocha. Oboje cię kochamy. Jesteś najważniejszą osobą w naszym życiu. Nie sądzę, żebyś zdawał sobie z tego sprawę. Pamiętasz, jak miałeś dziesięć lat, a ja pojechałam na dłużej do Londynu? Pamiętasz?

Kiwnąłem głową w milczeniu.

- Byliśmy gotowi wziąć rozwód, Marcusie. Och, nieważne już dlaczego. To był po prostu niedobry okres, coś, co przydarza się, gdy

ludzie, którzy się kochają, przestają na siebie zwracać uwagę. Przyjechał po mnie, odnalazł mnie i przekonał, żebym do niego wróciła. Nie mogliśmy znieść myśli, że moglibyśmy ci to zrobić. To dla ciebie zakochaliśmy się w sobie ponownie. To dzięki tobie jesteśmy dzisiaj razem.

Ścisnęło mnie w gardle. Wcześniej o tym nie wiedziałem. Nikt mi o tym nigdy nie powiedział.

- Twój ojciec przeżywa teraz trudny okres. Nie myśli racjonalnie. Minie trochę czasu, zanim do nas wróci, zanim stanie się człowiekiem, którego znowu pokocham. Musimy być dla niego wyrozumiali.

Przytuliła mnie mocno, a ja zauważyłem, jak bardzo schudły jej ramiona, jak obwisła zrobiła się skóra na jej szyi. Zawsze postrzegałem mamę jako młodą, jasnoskórą i pogodną kobietę o zaróżowionych policzkach, która spogląda mądrym wzrokiem zza metalowych oprawek swoich okularów. Teraz wyglądała trochę jak starsza pani. To ja jej to zrobiłem. To terroryści jej to zrobili. To Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego jej to zrobił. W jakiś dziwny sposób byliśmy po tej samej stronie, a mama, tata i wszyscy ci ludzie, których zrobiliśmy w balona, stali po drugiej.

Tej nocy nie mogłem spać. Po głowie krążyły mi jej słowa. Podczas kolacji tata był spięty i milczący, prawie nie rozmawialiśmy, bo nie mogłem ręczyć za siebie. Bałem się, że wypalę coś nieodpowiedniego, a tata był zdenerwowany z powodu ostatnich wiadomości, które mówiły, że za ataki bombowe odpowiedzialność ponosi Al-Kaida. Do ataków przyznało się co prawda sześć różnych ugrupowań terrorystycznych, lecz tylko Al-Kaida w swoim internetowym nagraniu wideo ujawniła informacje, które według DBW jednoznacznie wskazywały na to, że jest ona odpowiedzialna za zamach.

Leżałem na łóżku i słuchałem nocnego programu radiowego z udziałem słuchaczy. Tematem były problemy seksualne, a audycję



prowadził pewien gej, którego zwykle uwielbiałem słuchać, bo udzielał nieprzyzwoitych, lecz dobrych rad, był egzaltowany i zabawny.

Dziś w nocy nie było mi do śmiechu. Większość słuchaczy chciała zapytać, co zrobić z faktem, że przeżywają ciężki okres, bo po atakach mają urwanie głowy ze starymi. Nawet słuchając programów poświęconych seksowi, nie mogłem uciec od tego, co się działo wokół.

Wyłączyłem radio i usłyszałem cichy warkot silnika dobiegający z ulicy.

Mój pokój znajduje się na najwyższym piętrze naszego domu. Mam spadzisty sufit typowy dla poddasza oraz okna po obu stronach - jedno wychodzi na całą dzielnicę Mission, drugie na ulicę biegnącą przed naszą posesją. O każdej porze dnia i nocy krążą po niej samochody, jednak odgłos tego silnika brzmiał jakoś inaczej.

Podszedłem do okna, które wychodziło na ulicę, i podniosłem żaluzje. Na dole zobaczyłem białą nieoznakowaną furgonetkę, której dach był przystrojony antenami radiowymi. Jeszcze nigdy na żadnym samochodzie nie widziałem tyłu anten. Jechała bardzo powoli, a mały talerz na dachu kręcił się dookoła.

Furgonetka się zatrzymała, a jedne z tylnych drzwi otworzyły się z trzaskiem. Jakiś facet w mundurze DB W - teraz rozpoznawałem takie już nawet ze stu metrów - wyskoczył na jezdnię. W rękach trzymał jakieś urządzenie, a niebieskie światło, które się z niego wydobywało, rozjaśniało jego twarz. Chodził tam i z powrotem. Na początku zrobił rozpoznanie wśród moich sąsiadów, zapisał coś na swoim sprzęcie, a potem ruszył w moim kierunku. Skądś już znałem ten sposób chodzenia ze wzrokiem wbitym w ziemię...

Używał detektora Wi-Fi! Kolesie z DBW szukali węzłów Xnetu. Opuściłem rolety i rzuciłem się do swojego Xboksa. Zostawiłem go włączonego, bo ściągałem animacje zrobione przez jednego z Xneterów - to była parodia przemówienia prezydenta. Wyrwałem

wtyczkę z kontaktu, pognałem z powrotem do okna i minimalnie uchyliłem żaluzje.

Facet znowu spoglądał w dół na swój detektor, spacerując tuż przed naszym domem. Po chwili wrócił do samochodu i odjechał.

Zdążyłem wyjąć aparat i zrobić jak najwięcej zdjęć furgonetki i anten. Potem otworzyłem je w GIMP-ie, darmowym edytorze obrazów, i wyciąłem wszystko oprócz furgonetki, wymazując ulicę i te elementy, z którymi można by mnie skojarzyć.

Umieściłem je w Xnecie i napisałem wszystko, co wiem o tego typu furgonetkach. Ci kolesie zdecydowanie szukali Xnetu, to było jasne.

Teraz naprawdę nie mogłem zasnąć.

Jedynie, co byłem w stanie zrobić, to pograć w piratów. Nawet o tej godzinie powinno być wielu aktywnych graczy. Prawdziwa nazwa tej gry brzmiała Mechaniczna Grabież. Był to projekt zrealizowany przez hobbystów, nastoletnich deathmetalowców z Finlandii. Gra była zupełnie za darmo i sprawiała tyle samo radochy co wszystkie inne, typu Wszechświat Endera, W Poszukiwaniu Śródziemia czy Podziemia Świata Dysku, za które trzeba było co miesiąc płacić piętnaście dolców.

Zalogowałem się i oto ponownie znalazłem się na pokładzie statku Waleczny Zombie, czekając, aż ktoś mnie ożywi. Nie znosiłem tej części gry.

> Hej ty  
- napisałem do przechodzącego obok pirata -

> Ożywisz mnie?

Przystanął i spojrzał na mnie.

> A dlaczego?

> Jesteśmy w tej samej drużynie. I dostaniesz punkty za doświadczenie-

Co za cymbał.

> Gdzie jesteś?

> W San Francisco

To zaczynało brzmieć znajomo.

> Gdzie dokładnie w San Francisco?

Wylogowałem się. W tej grze działa się coś dziwnego. Wskoczyłem do livejournali i zacząłem pełzać od bloga do bloga. Przejrzałem ich z pół tuzina, aż natrafiłem na coś, co zmroziło mi krew w żyłach.

Użytkownicy livejournali uwielbiają wszelkiego typu quizy i ankiety. Jaki masz typ osobowości? Czy jesteś świetnym kochankiem? Jaka planeta najbardziej do ciebie pasuje? Jakiego bohatera filmowego najbardziej przypominasz? Czy umiesz panować nad emocjami? Wypełniają je, ich kumple robią to samo, a potem porównują swoje odpowiedzi. Taka tam nieszkodliwa zabawa.

Jednak quiz, który tej nocy zdominował blogi w Xnecie, przeraził mnie, ponieważ można było o nim powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest nieszkodliwy.

> Jakiej płci jesteś?

> Ile masz lat?

> Do której szkoły chodzisz?

> Jaki jest twój adres?

Wyniki quizów umieszczano na mapie za pomocą kolorowych pinsek. Znajdowały się tam również kiepskie reklamy miejsc, w których można było kupić pizzę i inne rzeczy. Z tych informacji korzystały szkoły oraz mieszkańcy poszczególnych dzielnic.

Spójrzcie jednak na te pytania. Pomyślcie, jakich odpowiedzi mogłem na nie udzielić:

> Mężczyzna

> 17

> Liceum Cesara Chaveza

> Potrero Hill

Tylko dwie osoby w mojej szkole pasowały do tego profilu. W większości szkół było tak samo. Jeśli ktoś chciał zidentyfikować Xneterów, wystarczyło wykorzystać ten quiz, żeby znaleźć ich wszystkich.

To nie była dobra informacja, ale jeszcze gorsze było to, co się za tym kryło. Ktoś z DBW używał Xnetu, żeby nas dorwać. Xnet był zagrożony przez Departament.

Wśród nas byli szpiedzy.

Rozdałem płyty z Xnetem setkom ludzi, a oni zrobili to samo. Osoby, którym je dałem, znałem dość dobrze. Kilka z nich znałem bardzo dobrze. Przez całe życie mieszkalem w tym samym domu i przez te wszystkie lata zaprzyjaźniłem się z wieloma ludźmi, począwszy od tych, z którymi chodziłem do przedszkola, po tych, z którymi grałem w piłkę, larpowałem, spotykałem się w klubach lub znałem ze szkoły. Moja drużyna ARG to moi najlepsi przyjaciele, lecz istniało całe mnóstwo osób, którym ufałem na tyle, żeby wręczyć im płyty z Xnetem.

Teraz ich potrzebowałem.

Obudziłem Jolu, wysyłając mu sygnał na komórkę trzy razy pod rząd. Po chwili był już w Xnecie i mogliśmy bezpiecznie pogadać. Kazałem mu zobaczyć mój wpis o furgonetce z antenami na blogu. Odezwał się po chwili, był totalnie wkurzony.

> Jesteś pewien, że nas szukają?

Zamiast odpowiedzi odesłałem go do quizu.

> OMG\* — już po nas

> Nie jest tak źle, ale musimy sprawdzić, komu możemy ufać

> Jak?

> Właśnie chciałem cię o to zapytać - za ile osób możesz całkowicie ręczyć?

> 20, może 30

> Chcę zebrać grupę naprawdę pewnych ludzi, zorganizować wymianę kluczy i stworzyć Sieć Zaufania

\* OMG (ang. *Oh my God*) - popularny skrótowiec oznaczający: „O mój Boże”, stosowany głównie przez użytkowników internetu.

Sieć Zaufania to jeden z fajniejszych elementów kryptografii, o którym czytałem, ale którego jeszcze nigdy nie wypróbowałem. Był to prawie niezawodny sposób, żeby się upewnić, że rozmawia się z zaufanymi ludźmi i że nikt inny nie może tego podsłuchać. Problem w tym, że aby sieć mogła zacząć działać, trzeba przynajmniej raz spotkać się osobiście z tymi wszystkimi osobami.

> Kapuję. Nieźle. Ale jak chcesz zebrać wszystkich na podpisanie nowego klucza?

> Właśnie o to chciałem cię zapytać - jak to zrobić, żeby nie wpaść?

Jolu napisał kilka słów i je skasował, napisał kolejne i też skasował.

> Darryl by wiedział

- napisałem.

> Był w tym naprawdę niezły.

Jolu zamilkł.

> A może zrobimy sesję podpisywania kluczy?

- napisał w końcu.

> Możemy spotkać się gdzieś na imprezie jak zwykle nastolatki, będziemy mieć gotową wymówkę, jeśli pojawi się ktoś i zapyta, co robimy?

> Świetny pomysł! Jesteś geniuszem, Jolu

> Wiem. Spodoba ci się to. Wiem nawet, gdzie to zrobimy

> Gdzie?

> U Sutro Baths!

## ROZDZIAŁ 10

Co byście zrobili, gdybyście odkryli, że wśród was jest szpieg? Moglibyście go oskarżyć, postawić pod ścianą i się go pozbyć. Jednak wtedy może się pojawić kolejny szpieg i ten nowy może być ostrożniejszy niż ten poprzedni, i nie da się tak łatwo złapać.

Mam lepszy pomysł. Zaczynicie przechwytywać rozmowy szpiega i wprowadźcie do nich oraz do rozmów jego szefów błędne informacje. Powiedzcie mu, że jego szefowie każą mu zebrać dane na temat waszych ruchów. Niech was śledzi i zapisuje wszystko, co go ciekawi. Otwórzcie nad parą listy, które wysła do centrali, i podmieńcie ich zawartość. Jeśli chcecie, możecie wywołać wrażenie, że jest nieobliczalny i nieodpowiedzialny, tak żeby się go pozbyli. Możecie też upozorować krytyczną sytuację, aby jedna ze stron ujawniła tożsamość szpiegów. Krótko mówiąc, będziecie ich mieli w garści.

Nazywa się to atakiem *man-in-the-middle* i jeśli się nad tym dobrze zastanowić, jest dość zatrważające. Ktoś, kto dokonuje takiego ataku i ingeruje w prowadzone przez was rozmowy bez waszej wiedzy, może wkreślić was na tysiąc dowolnych sposobów.

Oczywiście istnieje świetny sposób na ominięcie ataku *man-in-the-middle*: wystarczy skorzystać z kryptografii. Jeśli już to zrobicie,

nie liczy się to, że wróg widzi waszą wiadomość, ponieważ nie może jej odszyfrować, zmienić ani ponownie jej wysłać. Między innymi dlatego należy stosować kryptografię.

Ale pamiętajcie: żeby kryptografia działała, musicie mieć klucze wszystkich ludzi, z którymi chcecie pogadać. Musicie dzielić z kumplem sekret i posiadać kilka kluczy, których możecie użyć do szyfrowania i rozszyfrowywania wiadomości, tak żeby odsunąć osobę, która was szpieguje.

Oto, do czego sprowadza się idea kluczy publicznych. Jest to trochę niebezpieczne, ale jakże niewiarygodnie eleganckie.

Podczas szyfrowania za pomocą klucza publicznego każdy użytkownik otrzymuje dwa klucze. Są to długie ciągi matematycznego bełkotu, które mają iście magiczną właściwość. Cokolwiek zakodujecie jednym z nich, drugim będziecie w stanie rozkodować i *vice versa*. Ponadto są to j e d y n e klucze, jakimi można to zrobić - jeśli możecie odszyfrować wiadomość za pomocą jednego klucza, w i e c i e, że została zakodowana drugim z nich (i *vice versa*).

Bierzecie któryś z tych kluczy (nieważne który) i go p u b l i k u j e c i e. Robicie z niego totalny a n t y s e k r e t. Chcecie, żeby wszyscy na świecie się o nim dowiedzieli. Z oczywistych względów nazywają go kluczem publicznym.

Ten drugi klucz ukrywacie w najciemniejszych zakamarkach waszej głowy. Chronicie go całym swoim życiem. Nigdy go nikomu nie zdradzacie. To się nazywa klucz prywatny.

Powiedzmy, że jesteście szpiegami i chcecie skontaktować się z szefami. Klucz publiczny zna każdy. Nikt oprócz was samych nie zna waszego klucza prywatnego, tak jak nikt nie zna prywatnych kluczy innych ludzi poza nimi samymi.

Chcecie wysłać im wiadomość. Po pierwsze, kodujecie ją za pomocą swojego klucza prywatnego. Można by po prostu tę wiadomość wysłać i wszystko byłoby w porządku, bo wiedzieliby, kiedy ta wasza wiadomość dotarła. Skąd? Bo o ile można ją zaszyfrować za pomocą waszego klucza publicznego, o tyle rozszyfrować można ją t y l k o za pomocą waszego klucza prywatnego. To odpowiednik pieczętki lub

podpisu, jaki składamy na końcu wiadomości. Oznacza on: „To ja jestem autorem tej wypowiedzi, nikt inny. Nikt tego nie mógł sfałszować ani zmienić”.

Niestety, dzięki temu wasze wiadomości nie pozostaną s e k r e t e m. A to dlatego że wasz klucz publiczny jest powszechnie znany (i musi być, bo inaczej będziecie mogli wysyłać wiadomości tylko do tych kilku osób, które go znają). Każdy, kto przechwyci tę wiadomość, będzie mógł ją przeczytać. Nie będzie mógł co prawda jej zmienić i udać, że została napisana przez was, jednak jeśli nie chcecie, żeby wszyscy wiedzieli, o czym piszecie, potrzebujecie lepszego rozwiązania.

Tak więc oprócz zwykłego szyfrowania wiadomości za pomocą klucza prywatnego, robicie to również, używając publicznego klucza waszego szefa. Teraz jest już podwójnie zamknięta. Pierwsze zamknięcie - jego klucz publiczny - otwiera się tylko w połączeniu z jego prywatnym kluczem. Drugie zamknięcie - wasz klucz prywatny - otwiera się tylko w połączeniu z waszym kluczem publicznym. Kiedy wasi szefowie otrzymają wiadomość, otworzą ją obydwojma kluczami i będą już na pewno wiedzieli, że: a) napisaliście ją wy, i b) tylko oni mogą ją przeczytać.

To bardzo fajne rozwiązanie. W dniu, w którym je odkryłem, natychmiast wymieniliśmy z Darrylem klucze i spędziliśmy całe miesiące, rechocząc i zacierając ręce podczas wymiany naszych tajemnic wojskowych dotyczących tego, gdzie spotkamy się po lekcjach i czy Van kiedykolwiek go zauważy.

Jeśli jednak chcecie zrozumieć systemy bezpieczeństwa, musicie rozpatrzyć najbardziej paranoidalne możliwości. Na przykład co się stanie, jeśli podstępnie wam wmówię, że m ó j klucz publiczny jest kluczem publicznym waszego szefa? Zakodowałibyście tę wiadomość swoim prywatnym i moim publicznym kluczem. Ja bym ją rozkodował, przeczytał, zakodował p o n o w n i e prawdziwym kluczem publicznym waszego szefa i wysłał. Wasz szef wie, że jedynie wy mogliście wysłać mu tę wiadomość i tylko on może ją przeczytać.



A ja siedziałbym sobie między wami niczym tłusty pajak na pajęczynie i wszystkie wasze sekrety należałyby do mnie.

Najprostszym rozwiązaniem tego problemu jest jak najszersze rozpowszechnienie waszego klucza publicznego. Jeśli każdy będzie mógł n a p r a w d ę łatwo poznać wasz prawdziwy klucz, *man-in-the-middle* będzie się robił coraz trudniejszy. Ale wiecie co? Rozpowszechnianie informacji jest tak samo trudne jak dotrzymanie tajemnic. Pomyślcie tylko - ile miliardów dolarów idzie na reklamy szamponów i innego gówna tylko po to, żeby agencja reklamowa zdobyła pewność, że wie o tych produktach tyle osób, ile sama by sobie życzyła?

Osobę odpowiedzialną za ataki *man-in-the-middle* można załatwić w prostszy sposób - poprzez Sieć Zaufania. Powiedzmy, że przed wyjściem z centrali usiedliście z szefem przy kawie, żeby nauczyć się nawzajem własnych kluczy. Nie ma mowy o żadnym *man-in-the-middle!* Jesteście całkowicie pewni, do kogo należą wasze klucze, ponieważ osobiście je sobie wręczyliście.

Na razie wszystko idzie dobrze. Ale istnieje naturalna granica: z iloma ludźmi możecie się osobiście spotkać, żeby wymienić z nimi klucze? Ile godzin dziennie jesteście w stanie poświęcić na coś, co przypomina pisanie własnej książki telefonicznej? Ile z tych osób będzie w stanie poświęcić dla was tyle czasu?

To porównanie do książki telefonicznej jest bardzo pomocne. Kiedyś świat był miejscem pełnym książek telefonicznych, a gdy potrzebny był numer, wystarczyło do jednej z nich zajrzeć. Ale wiele z tych numerów, z których chcielibyście danego dnia skorzystać, albo znacie na pamięć, albo zna je ktoś, kogo moglibyście o nie zapytać. Zapytam Jolu albo Darryla, czy mają numer, którego szukam. To jest znacznie szybsze rozwiązanie niż szukanie numeru w necie, a poza tym bardziej wiarygodne. Ufam Jolu, więc wiem, że i numer, który od niego dostanę, jest pewny. Jest to tak zwane zaufanie przechodnie - zaufanie, które porusza się po sieci naszych relacji.

Sieć Zaufania jest tego trochę obszerniejszą wersją. Powiedzmy, że spotykam Jolu i zdobywam jego klucz. Mogę dopiąć go do swojego

„pęku kluczy” - listy kluczy, którą podpisałem własnym. Oznacza to, że możecie ją otworzyć moim kluczem publicznym i mieć pewność, że ten klucz rzeczywiście należy do mnie - lub ewentualnie do kogoś, kto posiada mój klucz.

Tak więc wręczam wam swój pęk kluczy i o ile wierzycie, że prawdę znam i zweryfikowałem wszystkie klucze, które się na nim znajdują, możecie go wziąć i dopiąć do swojego. Teraz to wy możecie wręczyć ten cały pęk komuś, kogo znacie. Pęk będzie stawał się coraz większy. O ile ufacie danej osobie, a ta ufa następnej i tak dalej, jest to dość bezpieczne.

I tak dotarliśmy do tematu imprez, na których podpisuje się klucze. Są d o k ł a d n i e tym, na co wskazuje ich nazwa. To imprezy, na których wszyscy zbierają się razem i podpisują klucze pozostałych osób. Kiedyś ja i Darryl wymienialiśmy klucze na takiej miniimprezie dla dwóch smutnych maniaków komputerowych (nas samych). Jednak wspólnie z większą grupą ludzi możecie stworzyć załączek Sieci Zaufania, która od tej chwili może się do woli rozrastać. Gdy wszyscy dopisani do waszej listy kluczy ludzie rozejdą się po świecie i spotkają nowe osoby, zacznie pojawiać się na niej coraz więcej nazwisk. Nie musicie spotykać się z tymi nowymi osobami, wystarczy, że uwierzycie, że podpisany klucz, który otrzymaliście od użytkowników waszej sieci, jest ważny.

Tak oto Sieć Zaufania pasuje do imprez jak masło orzechowe do czekolady.

- Powiedz wszystkim, że to jest superprywatna impreza, tylko z zaproszeniami - powiedziałem. - Niech nie biorą nikogo ze sobą, bo nie zostaną wpuszczeni.

Jolu spojrzal na mnie znad swojej kawy.

- Żartujesz, prawda? Jeśli się im to powie, to przyprowadzą jeszcze więcej znajomych.

- Hmm - westchnąłem.

Ostatnio spędzałem u Jolu jedną noc w tygodniu, aktualizując kod do indienetu. Pigspleen płacił mi za to niezłą sumkę i to było naprawdę niesamowite. Nigdy nie sądziłem, że ktoś będzie mi płacił za pisanie kodów.

- No to co robimy? Potrzebujemy tam tylko tych, którym naprawdę ufamy, a o powodzie zorganizowania imprezy wspomnimy dopiero wtedy, gdy zdobędziemy wszystkie klucze i będziemy mogli im przesłać w tajemnicy wiadomość.

Jolu debugował, a ja przypatrywałem się temu zza jego ramienia. Kiedyś nazywano to programowaniem ekstremalnym, co brzmiało nieco zenująco. Teraz mówimy na to po prostu programowanie. Dwie osoby są lepsze w wyłapywaniu błędów niż jedna. Jak to się mówi: „Przy dostatecznie dużej liczbie patrzących oczu żaden robak się nie prześlizgnie”.

Przejrzeliliśmy raporty o błędach i szykowaliśmy się do wypuszczenia nowej wersji. Wszystko aktualizowało się samodzielnie, więc nasi użytkownicy nie musieli właściwie nic robić, po prostu raz w tygodniu się budzili, a w ich kompie czekał już na nich nowy program. Czuję się dziwacznie, wiedząc, że z kodu, który napisałem, będzie korzystało tysiące ludzi, j u t r o !

- Co robimy? Nie wiem, stary. Myślę, że po prostu musimy się z tym pogodzić.

Myślami cofnąłem się do dni, kiedy graliśmy w Harajuku Fun Madness. To było wielkie wyzwanie społeczne, w które zaangażowane były ogromne grupy ludzi.

- OK, masz rację. Ale postarajmy się chociaż utrzymać to w tajemnicy. Powiedz im, że mogą przyprowadzić maksymalnie jedną osobę i że musi to być ktoś, kogo znają osobiście przynajmniej od pięciu lat.

Jolu spojrzął znad ekranu.

- Hej - krzyknął. - Hej, to jest dobre. Teraz czaję. To znaczy gdybyś mi powiedział, żebym nikogo nie przyprowadzał, tobym pomyślał: „Za kogo on się, do cholery, uważa?”. Ale jeśli ujmiemy to w ten

sposób, to zaczyna brzmieć jak jakaś ekscytująca akcja rodem z Jamesa Bonda.

Znalazłem buga. Wypiliśmy kawę. Poszedłem do domu i zagrałem w Mechaniczną Grabież, starając się nie myśleć o szpiegach szukających kluczy i ich wścibskich pytaniach, a potem zasnąłem jak niemowlę.

Sutro Baths to autentyczna podróba rzymskich ruin. Otwarto je w 1896 roku i wówczas był to największy kryty basen na świecie, który wyglądał niczym olbrzymie wiktoriańskie szklane solarium wypełnione pływalniami i wannami. Umieszczono tam nawet pierwsze wersje zjeżdżalni wodnych. W latach pięćdziesiątych interes podupadł, a w 1966 roku właściciele podpalili całość, żeby dostać odszkodowanie. Jedyne, co po tym wszystkim pozostało, to labirynt zwietrzałych kamieni wbitych w pionową ścianę urwiska nad Ocean Beach. Wygląda to zupełnie jak rzymskie ruiny, popękane i tajemnicze, pod którymi kryją się jaskinie wychodzące w głąb oceanu. Podczas przyływu fale mkną przez nie, zalewając kamienie - podobno nawet wciągnęły i zatopiły przypadkowego turystę.

Ocean Beach leży obok parku Golden Gate na surowym klifie pokrytym drogimi, skazanymi na pożarcie przez ocean domami, które opadają na wąską plażę upstrzoną meduzami i odważnymi (szalonymi) surferami. Z płytkich wód wybrzeża sterczy ogromna biała skała. To Seal Rock, miejsce, w którym gromadziły się lwy morskie - i zalałtwiały swoje potrzeby, stąd jej biały kolor - więc przeniesiono je w okolice bardziej przyjazne dla turystów, czyli na wybrzeże w dzielnicy Fisherman's Wharf.

Po zmroku nie ma tu prawie nikogo. Robi się bardzo zimno, a jeśli się na to pozwoli, słona mgiełka potrafi przemoczyć aż do kości. Skały są ostre, pokryte rozbitym szkłem i porozrzucanymi gdzieś strzykawkami narkomanów.

To fantastyczne miejsce na imprezę.

Zabrałem ze sobą brezent i ocieplane rękawice. Jolu wywęszył, skąd można załatwić piwo - jego starszy brat Javier miał kumpla, który kręcił właściwie całym rynkiem alkoholowym dla nieletnich. Jeśli mu się odpowiednio zapłaciło, pojawiał się na każdej imprezie, nawet w najbardziej ustronnym miejscu, ze skrzynkami lodu i tyłoma browarami, ile dusza zapagnie. Wyjąłem trochę kasy, którą zarobiłem na programowaniu indienetu. Koleś pojawił się punktualnie o ósmej, dobrą godzinę po zachodzie słońca, taszcząc sześć skrzynek z lodem ze swojej furgonetki na dół do ruin łaźni. Zabrał nawet zapasową skrzynkę na puste puszki.

- Tylko ostrożnie, dzieciaki - powiedział, trącając swój kowbojski kapelusz. Był to gruby Samończyk z ogromnym uśmiechem na ustach, w obleśnym bezrękawniku, spod którego wyglądały jego pachy - i brzuch - i wystające włosy na ramionach.

Wysunąłem kilka dwudziestodolarówek ze swojej rolki i wręczyłem mu - naliczał sobie stu pięćdziesięcioprocentową marżę. Całkiem niezły interes.

Spojrzał na moją rolkę pieniędzy.

- Wiesz, że mógłbym ci to wszystko po prostu zabrać - powiedział, nadal się uśmiechając. - W końcu jestem kryminalistą.

Włożyłem rolkę do kieszeni i spojrzałem mu obojętnie w oczy. Pokazywanie komuś całej kasy było z mojej strony głupie, ale wiedziałem, że bywają momenty, kiedy po prostu nie można się dawać.

- Tylko cię sprawdzam - powiedział w końcu. - Ale uważaj z tą kasą. Nie pokazuj jej wszystkim dookoła.

- Dzięki - odparłem. - I tak dorwie mnie Departament Bezpieczeństwa.

Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

- Ha! To cieniasy, a nie gliny. Te białasy na niczym się nie znają. Spojrzałem na jego furgonetkę. W widocznym miejscu za szybą leżał FasTrak. Ciekawe, ile czasu minie, zanim go zwiną.

- Wpadną do was dzisiaj dziewczynki, co? Po co wam tyle piwa?

Uśmiechnąłem się i machnąłem na do widzenia. Właściwie powinien był już sobie pójść. W końcu załapał, o co mi chodzi, i odjechał. Na jego twarzy wciąż widniał ten sam niesłabnący uśmiech.

Jolu pomógł mi schować skrzynki w gruzach, oświetlając sobie drogę małymi białymi diodami umieszczonymi w opasce na głowie. Gdy skrzynki były na miejscu, związaliśmy małe białe łańcuszki lampek diodowych ze sobą, żeby świeciły podczas zdejmowania styropianowych pokrywek i żeby było widać, co się wyjmuje.

Noc była bezksiężycowa i pochmurna, a światło z dalekich latarni ulicznych prawie w ogóle do nas nie docierało. Przez kamery termowizyjne musieliśmy wyglądać jak płomienie, ale nie dało się zebrać tylu ludzi razem bez ryzyka, że zostanie się zauważonym. Postawiłem na to, że nas zlekceważą, myśląc, że jesteśmy nastolatkami, którzy urządzają sobie popijawę na plaży.

W zasadzie to dużo nie piję. Na imprezach, na które chodziłem już w wieku czternastu lat, były alkohol, trawa i *ecstasy*. Nie lubiłem palić (choć mam pewną słabość do ciastek z haszem, które czasem konsumuję), *ecstasy* zabierała za dużo czasu - kto może poświęcić cały weekend na odlot i zjazd - a piwo, cóż, było w porządku, ale nie rozumiałem, o co tyle szumu. Tak naprawdę najbardziej lubiłem duże, wyszukane, płonące koktajle serwowane w ceramicznych naczyniach w kształcie wulkanu, złożone z sześciu warstw, z plastikową małpką na brzegu, ale i tak piłem je wyłącznie dla szpanu.

Właściwie to lubię być pijany. Nie lubię tylko kaca i, o zgrozo, zawsze go mam. Ale to może mieć jakiś związek z drinkami w tych wulkanicznych naczyniach.

Tak czy inaczej nie da się zrobić imprezy bez jednej bądź dwóch skrzynek zimnego piwa. Wszyscy na to liczą. To rozluźnia atmosferę. Gdy ludzie wypiją zbyt dużo, robią głupie rzeczy, ale moi kumple nie

należą do tych, co to mają własne samochody. A ludzie i tak zawsze robią głupoty - czy piją piwo, czy palą trawę, jest w tym wypadku mało istotne.

Ja i Jolu wzięliśmy sobie po browarze - on wybrał anchor steam, a ja bud light - i stuknęliśmy się butelkami, siadając na skale.

- Zaprosiłeś ich na dziewiątą?
- Tak - przytaknął.
- Ja też.

Piliśmy w milczeniu. Bud light miał najniższą zawartość alkoholu spośród wszystkich piw, jakie znalazłem w skrzynce z lodem. Musiałem zachować trzeźwy umysł na później.

- Czy kiedyś się czegoś przestraszyłeś? - zapytałem w końcu.

Spojrzał na mnie.

- Nie, stary, nie przestraszyłem się. Ja ciągle się czegoś boję. Boję się od czasu tej eksplozji. Czasem tak bardzo, że nie chcę wychodzić z łóżka.

- Więc dlaczego to robisz?

Uśmiechnął się.

- Cóż - odparł. - Może niedługo przestanę. To znaczy, to super, że mogę ci pomóc. Super. Naprawdę super. Nie wiem, czy kiedykolwiek zrobiłem coś tak ważnego. Ale, Marcus, bracie, muszę powiedzieć... - Zamilkł.

- Co? - zapytałem, chociaż wiedziałem, co chciał mi oznajmić.

- Nie mogę tego robić przez cały czas - wydusił z siebie w końcu. - Może nawet przez następny miesiąc. Chcę z tym skończyć, to zbyt ryzykowne. Nie możesz toczyć wojny z DBW. To szaleństwo. Naprawdę, to zupełne szaleństwo.

- Gadasz jak Van - odparłem tonem o wiele bardziej gorzkim, niż chciałem.

- Nie krytykuję cię, człowieku. Myślę, że to super, że masz na tyle odwagi, by wciąż działać. Ale ja jej nie mam. Nie mogę żyć w ciągłym strachu.

- O czym ty mówisz?

- Mówię, że kończę z tym. Będę jednym z tych ludzi, którzy żyją tak, jakby wszystko było w porządku, jakby pewnego dnia wszystko miało wrócić do normy. Będę korzystał z internetu tak jak kiedyś, a w Xnecie będę tylko grał. Kończę z tym, właśnie o tym mówię. Nie będę już częścią twoich planów.

Nic nie odpowiedziałem.

- Wiem, że w ten sposób zostaniesz sam. Uwierz, że tego nie chcę. Nie możesz wypowiedzieć wojny rządowi USA. Nie wygrasz tej walki. Patrzenie na twoje próby to jak patrzenie na ptaka, który ciągle rozbija się o szybę.

Chciał, żebym coś powiedział. Ale ja chciałem tylko wykrzyknąć: Jezu, Jolu, bardzo ci dziękuję, że mnie opuszczasz! Czy już zapomniałeś, jak to było, gdy nas wtedy zabrali? Czy już zapomniałeś, jak wyglądał ten kraj, zanim oni przejęli w nim władzę? Ale nie to chciał usłyszeć. Chciał, żebym powiedział: Rozumiem, Jolu. Szanuję twój wybór.

Opróżnił swoją butelkę, wyciągnął kolejną i ją otworzył.

- Jest jeszcze coś - dodał.

- Co?

- Miałem o tym nie wspominać, ale chcę, żebyś zrozumiał, dlaczego muszę to zrobić.

- Jezu, Jolu, o c o c h o d z i ?

- Przykro mi, że muszę to powiedzieć, ale ty jesteś b i a ł y. A ja nie. Biali wpadają z kokainą i idą na krótki odwyk. Ciemnoskórzy wpadają z crackiem i siedzą w więzieniu przez dwadzieścia lat. Biali widzą gliniarzy na ulicy i czują się bezpiecznie. Ciemnoskórzy widzą gliny na ulicy i zastanawiają się, czy zaraz nie zostaną przeszukani. Prawo w tym kraju zawsze traktowało nas tak jak teraz DBW ciebie.

To nie było *fair*. Nie prosiłem się o białą skórę. Nie sądziłem, że jestem odważniejszy tylko dlatego, że jestem biały. Ale wiedziałem, o czym mówi Jolu. Gdy gliny legitymowały kogoś na ulicy w Mission, to z pewnością nie chodziło o białego człowieka. Bez względu na to, jak bardzo ryzykowałem, Jolu ryzykował bardziej.



- Nie wiem, co powiedzieć - stwierdziłem.
- Nie musisz nic mówić - odparł. - Chciałem tylko, żebyś wiedział, żebyś mógł to zrozumieć.

Widziałem, jak boczną ścieżką zbliżają się do nas ludzie. To byli przyjaciele Jolu, dwóch Latynosów i jedna dziewczyna, którą znałem z sąsiedztwa, była niska i wyglądała na maniaczkę komputerową, zawsze nosiła słodkie, czarne okulary *à la* Buddy Holly, przez co wyglądała jak wyrzutek społeczeństwa z uczelni artystycznej w filmie dla młodzieży, który to wyrzutek w końcu staje się superlaską.

Jolu mnie przedstawił i poczęstował gości browarami. Dziewczyna nie chciała piwa, ale w zamian wyciągnęła ze swojej torebki małą srebrną piersiówkę z wódką i poczęstowała mnie. Wziąłem łyka - ciepła wódka to rzecz, która wymaga treningu - pochwaliłem jej piersiówkę, na której widniał powtarzający się motyw postaci z gry Pa-Rappa the Rapper.

- Japońska - powiedziała, gdy skierowałem na nią breloczek z lampką diodową. - Wszystkie gadżety do picia ozdabiają tam motywami z gier dla dzieci. Są totalnie zakrecone.

Przedstawiłem się jej, a ona mnie.

- Ange - powiedziała i podała mi rękę. Jej dłoń była sucha i ciepła.

Jolu przedstawił mnie swoim kumplom. Znał ich od czasów obozu informatycznego, na który pojechali w czwartej klasie. Zaczęło się pojawiać więcej osób - pięć, potem dziesięć, później dwadzieścia. Teraz utworzyła się naprawdę spora grupa.

Powiedzieliśmy znajomym, żeby pojawili się najpóźniej o wpół do dziesiątej i daliśmy sobie czas do za piętnaście, żeby zobaczyć, kto się zjawi. Trzy czwarte osób, które przyszły, to przyjaciele Jolu. Ja też zaprosiłem wszystkich, którym naprawdę ufałem, ale albo byłem bardziej wybredny, albo mniej popularny niż on. Teraz, gdy już powiedział mi, że to rzuca, pomyślałem sobie, że był mniej wybredny. Byłem na niego naprawdę wściekły, ale starałem się tego nie okazywać, skupiając się na rozmowach z innymi ludźmi. On jednak nie był

głupi. Wiedział, co się dzieje. Ja widziałem, że był naprawdę załamany. I dobrze.

- OK - powiedziałem, wdrapując się na ruiny. - OK, hej, słuchajcie!

Kilka stojących obok mnie osób zwróciło na mnie uwagę, ale te z tyłu nadal ze sobą rozmawiały. Wzniosłem ręce do góry niczym sędzia, ale było zbyt ciemno. Wreszcie wpadłem na pomysł, żeby skierować światło diodowej latarki na każdego rozmówcę z osobna, a potem na siebie samego. W końcu tłum zamilkł.

Przywitałem ich i podziękowałem za przybycie, potem poprosiłem, aby podeszli bliżej, żebym mógł objaśnić im powód naszego spotkania. Zauważyłem, że podobała im się ta atmosfera tajemniczości, byli zaintrygowani i lekko rozgrzani piwem.

- Przejdźmy do rzeczy. Wszyscy korzystacie z Xnetu. To nie zbieg okoliczności, że Xnet powstał zaraz po tym, jak DBW przejął kontrolę nad miastem. Ci, co stworzyli Xnet, należą do organizacji, której działania służą ochronie wolności osobistej i która wymyśliła Xnet po to, żeby nas chronić przed szpiegami i osiłkami z Departamentu.

Wcześniej opracowaliśmy to razem z Jolu. Nie chcieliśmy, aby ktokolwiek myślał, że za tym wszystkim stoimy. To było zbyt ryzykowne. Zamiast tego chcieliśmy sprawić wrażenie, że jesteśmy jedynie porucznikami w armii M1k3ya, którzy pragną stworzyć lokalny ruch oporu.

- Xnet nie jest czysty - powiedziałem. - Może być używany przez tych po drugiej stronie tak samo jak przez nas. Wiemy, że są tam teraz szpiegzy DBW. Wykorzystują sztuczki inżynierii społecznej i starają się nas podejść tak, żebyśmy wyjawili im swoje dane. Jeśli akcja z Xnetem ma się udać, musimy wymyślić sposób, żeby nie mogli nas szpiegować. Potrzebna jest nam sieć w sieci.

Przerwałem i poczekałem, aż to do nich dotrze. Jolu mówił, że to może być dość trudne - zrozumienie, że właśnie zostali włączeni do rewolucyjnej komórki.

- Nie chcę namawiać was do angażowania się w jakiegokolwiek aktywne działania. Nie musicie robić zadym czy czegoś w tym rodzaju. Znaleźliście się tutaj, bo wiemy, że jesteście w porządku, wiemy, że można wam zaufać. Chcę, żebyście dzisiaj wieczorem przysłużyli się właśnie tą wiarygodnością. Niektórzy z was znają już Sieć Zaufania i wiedzą, o co chodzi z wymianą kluczy, pozostałym szybko to wytłumaczę...

Co też zrobiłem.

- Chcę, żebyście dzisiaj wieczorem spotkali się z zebranymi tu ludźmi i zastanowili się, jak bardzo możecie im zaufać. Pomożemy wam wygenerować odpowiednie pary kluczy i podzielić się nimi z innymi.

To była trudna sprawa. Pomysł, żeby poprosić ludzi, aby przynieśli swoje laptopy, i tak by nie wypalił, lecz czekało nas wciąż piekielnie skomplikowane zadanie, którego nie można było wykonać za pomocą kartki i długopisu.

Podniosłem z ziemi laptop, który poprzedniego dnia zbudowałem wspólnie z Jolu.

- Mam całkowite zaufanie do tego komputera. Każdą jego część złożyłem własnoręcznie. Wgrałem do niego nowiutką wersję Parano-idLinuksa, odpaliłem ją z DVD. Jeśli gdziekolwiek na świecie jest jeszcze komputer godny zaufania, całkiem możliwe, że to właśnie ten. Załadowałem mu generator kluczy. Będziecie podchodzić i wprowadzać losowo wybrany klucz: wklepicie coś w klawiaturę, machniecie coś myszką, a komputer wykorzysta to i stworzy dla każdego z was losowy publiczny i prywatny klucz, który pojawi się na ekranie. Możecie zrobić zdjęcie waszego prywatnego klucza komórką, potem naciśnięcie jakiś klawisz laptopa i w ten sposób klucz na zawsze zniknie, nie będzie zapisany na dysku. Potem pokaże się wasz klucz publiczny i wtedy zawołacie wszystkich, którym tu ufacie i którzy ufają wam, żeby zrobili wam zdjęcie z ekranem, tak żeby wiedzieli, do kogo dany klucz należy. Po powrocie do domu - ciągnąłem dalej swój wykład -

musicie wprowadzić numery ze zdjęć do własnych laptopów. Obawiam się, że to sporo pracy, ale trzeba to zrobić tylko raz. Musicie być bardzo ostrożni przy wpisywaniu: jeden błąd i wszystko się popsuje. Na szczęście wiemy, jak was poinformować, czy zrobiliście to poprawnie. Pod kluczem będzie znajdował się o wiele krótszy numer nazywany odciskiem palca. Gdy już wpiszeć klucz, możecie z niego wygenerować „odcisk palca” i porównać go do tamtego. Jeśli do siebie pasują, to znaczy, że się udało.

Wszyscy patrzyli na mnie w osłupieniu. Dobra, to, co kazałem im zrobić, było dość dziwaczne, to prawda, ale przecież...

## ROZDZIAŁ U

Jolu wstał.

- Tak to się właśnie zaczyna. W ten sposób dowiemy się, po czyjej stronie stoicie. Może nie macie ochoty wychodzić na ulice i dać się wsadzić za przekonania, ale jeśli macie jakieś przekonania, pokażcie to. Stworzymy Sieć Zaufania, dzięki której dowiemy się, kto jest z nami, a kto nie. Musimy to zrobić, jeśli chcemy odzyskać nasz kraj. Musimy zrobić coś takiego.

Ktoś z widowni - to była Ange - podniósł rękę, w której tkwiła butelka piwa.

- Możecie mnie nazwać głupią, ale ja nic z tego nie rozumiem. Dlaczego chcecie, żebyśmy to zrobili?

Obaj z Jolu spojrzeliśmy po sobie. Kiedy to organizowaliśmy, wszystko wydawało się takie oczywiste.

- Xnet to nie tylko sieć, w której możesz za darmo grać. To ostatnia sieć w USA, w której można swobodnie się komunikować. To ostatnie miejsce, gdzie podczas rozmowy nie szpieguje was DBW. Ale żeby to działało, musimy być pewni, że osoba, z którą się komunikujemy, nie jest wtyczką. To znaczy musimy wiedzieć, że osoby, do których wysyłamy wiadomości, są rzeczywiście tymi, za których się podają. Dlatego się tutaj znaleźliście. Jesteście tutaj, bo wam ufamy.

Naprawdę wam ufamy. Mamy do was bezgraniczne zaufanie.

Kilka osób jęknęło. Zabrzmiało to melodramatycznie i głupio.

Wstałem.

- Gdy wybuchły bomby... - powiedziałem i poczułem bolesny skurcz w klatce piersiowej. - Gdy wybuchły bomby, czworo z nas złapano na Market Street. Z jakiegoś powodu DBW uznał, że jesteśmy podejrzani. Założyli nam worki na głowy, wsadzili na statek i przesłuchiwali przez wiele dni. Upokorzyli nas. Bawili się z naszymi umysłami. Potem nas wypuścili. Wszystkich oprócz jednej osoby. Mojego najlepszego przyjaciela. Był z nami, kiedy nas złapali. Był ranny i potrzebował opieki medycznej. Nigdy go już nie zobaczyliśmy. Mówią, że nigdy go nie widzieli. Mówią, że jeśli o tym komuś powiemy, zaaresztują nas i sprawią, że znikniemy. Na zawsze.

Cały się trząsałem. Co za wstyd. Cholerny wstyd. Jolu kierował na mnie światło.

- O Jezu - powiedziałem. - Jesteście pierwszymi ludźmi, którym o tym mówię. Jeśli to się rozniesie, możecie być pewni, że dowiedzą się, od kogo to wyszło. Możecie być pewni, że zapukają do moich drzwi.

Wziąłem parę głębszych oddechów.

- Dlatego dobrowolnie dołączyłem do Xnetu. Dlatego od tej pory moje życie to walka z DBW. Z każdym oddechem. Każdego dnia. Dopóki znowu nie będziemy wolni. Każdy z was może mnie teraz wsadzić do więzienia, jeśli tylko zechce.

Ange znowu podniosła rękę.

- Nie sypniemy cię - powiedziała. - Nie ma mowy. Znam tu wszystkich dość dobrze i mogę ci to obiecać. Nie wiem, jak można się dowiedzieć, komu warto zaufać, ale wiem, komu n i e ufać: starszym. Rodzicom. Dorosłym. Dla nich każdy szpiegowany człowiek to przestępca. Dla nich każdy człowiek, którego złapano i wysłano do tajnego więzienia, to jakiś czarny, jakiś młody, jakiś obcokrajowiec. Zapominają, co to znaczy być w naszym wieku. Być p r z e z c a ł y c z a s

obiektem podejrzeń! Ile razy po wejściu do autobusu poczuliście, że wszyscy gapią się na was jak na zasmarkanego gnojka czy zasranego gówniarza? Co gorsza, coraz młodszy ludzie zamieniają się w dorosłych. Kiedyś mówiło się: „Nigdy nie ufajcie nikomu po trzydziestce”. A ja wam mówię: „Nie ufajcie żadnemu sukinsynowi po dwudziestcepiątce!”.

To rozbawiło wszystkich, ją też. Była ładna, na swój sposób, miała podłużną twarz i długą szczękę.

- Wcale nie żartuję, wiecie? To znaczy pomyślcie o tym. Kto wybrał tych osłów? Kto pozwolił im opanować miasto? Kto głosował za tym, żeby w naszych klasach umieścić kamery i ciągle nas śledzić za pomocą tych odrażających programów szpiegujących zamontowanych w naszych biletach i samochodach? Z pewnością nie szesnastolatek. Możemy być głupi, możemy być młodzi, ale na pewno nie jesteśmy mętami.

- Chcę to mieć na koszulce - powiedziałam.

- To by było dobre - odparła.

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

- Gdzie mogę dostać swoje klucze? - zapytała, wyjmując telefon.

- Zrobimy to tam, w ustronnym miejscu obok jaskiń. Zaprowadzę cię i wszystko ustawię, potem zrobisz swoje i zanieziesz komputer do swoich przyjaciół, żeby zrobili zdjęcia publicznego klucza i mogli go przepisać po powrocie do domu.

Podniosłem głos:

- A! Jeszcze jedno! Jezu, nie mogę uwierzyć, że o tym zapomniałem. Gdy już wpisze klucze, wykasujcie te zdjęcia! Ostatnia rzecz, jakiej chcemy, to Flickr pełen zdjęć, na których wspólnie konspirujemy.

Rozległ się przyjacielski nerwowy chichot, Jolu zgasił światło i nagle zrobiło się ciemno, tak że przestałem cokolwiek widzieć. Stopniowo moje oczy przyzwyczyły się do mroku i ruszyliśmy w kierunku jaskini. Ktoś za mną szedł. Ange. Odwróciłem się do niej i uśmiechnęliśmy się do siebie, jej zęby błyszczały w ciemności.

- Dzięki - powiedziałam. - Byłaś świetna.

- To z tym workiem na głowie i cała reszta to prawda?
- Jasne - odparłem. - To się stało. Nigdy o tym nikomu nie mówiłem, ale to się wydarzyło.

Przerwałem na chwilę, żeby się nad tym zastanowić.

- Wiesz, przez cały ten czas, który upłynął od tamtej pory, przez to, że nikomu o tym nie mówiłem, zaczęło mi się wydawać, że to był tylko zły sen. Ale to się działo naprawdę.

Zatrzymałem się i zacząłem się wspinać do jaskini.

- Cieszę się, że w końcu to powiedziałem. Inaczej zacząłbym wątpić we własną poczytalność.

Ustawiłem laptop na suchym fragmencie skały, odpałiłem go z DVD, a ona się wszystkim przyglądała.

- Załaduję go dla każdego od nowa. To standardowa wersja ParanoidLinuxa, chociaż myślę, że będziesz musiała uwierzyć mi na słowo.

- Cholera - powiedziała. - Tu chodzi o zaufanie?

- Tak - przytaknąłem. - O zaufanie.

Gdy włączyła generator klucza, cofnąłem się trochę, nasłuchując, jak pisze i porusza myszką, by wprowadzić losowo wybrane znaki. Wsluchiwałem się w odgłos fal rozbijających się o skały, w odgłosy imprezy, na której lało się piwo.

Wyszła z jaskini z laptopem w dłoniach. Widniał na nim wypisany wielkimi, błyszczącymi literami jej klucz publiczny, jej „odcisk palca” i adres mailowy. Przynurła ekran do twarzy i zaczęła, aż wyciągnę komórkę.

- Uśmiech - powiedziałem. Strzeliłem jej fotkę i wrzuciłem telefon z powrotem do kieszeni.

Wróciła do znajomych i wszyscy zrobili jej zdjęcie z ekranem. Panował imprezowy nastrój. Nastrój zabawy. Miała naprawdę dużo charyzmy - miałem ochotę się śmiać, nie z niej, ale razem z nią. Ale czad, to było z a j e b i s t e ! Wypowiadaliśmy tajną wojnę tajnej policji. Co my sobie, do cholery, myśleliśmy?

I tak się to kręciło przez następną godzinę lub dwie. Wszyscy robili zdjęcia i generowali klucze. Musiałem się z każdym spotkać. Wielu



z tych ludzi znałem - niektórych sam zaprosiłem - inni byli przyjaciółmi moich kumpli lub kumpli moich kumpli. Wszyscy powinniśmy być kolegami. Zanim noc dobiegła końca, staliśmy się nimi.

Gdy już wszyscy skończyli, Jolu poszedł zrobić swój klucz, a potem odwrócił się, uśmiechając się do mnie z zażenowaniem. Nie byłem już na niego zły. Robił to, co musiał. Wiedziałem, że bez względu na to, co mówił, zawsze będę mógł na niego liczyć. Razem przeszliśmy przez więzienie DBW. Van też. A takie rzeczy wiążą ludzi na całe życie bez względu na wszystko.

Wpisałem swój klucz i przeszedłem się tak, żeby każdy mógł strzelić sobie fotkę. Potem wdrapałem się wysoko na miejsce, z którego wcześniej przemawiałem, i poprosiłem wszystkich o uwagę.

- Większość z was dostrzegła, że w tej procedurze tkwi istotny błąd. A co, jeśli temu laptopowi nie można ufać? A jeśli po cichu zapisuje nasze instrukcje? Lub nas szpieguje? Co, jeśli nie można ufać mnie i José Luisowi?

Rozległ się donośniejszy przyjazny chichot. Trochę cieplejszy niż poprzednio, bardziej pijacki.

- Naprawdę - dodałem. - Gdybyśmy byli po niewłaściwej stronie, to wpadlibyście wszyscy, k a ż d y z w a s , w tarapaty. Może nawet skończylibyście w więzieniu.

Chichot stał się bardziej nerwowy.

- Dlatego teraz zamierzam zrobić to - podniosłem młotek, który wzięłem ze skrzynki na narzędzia mojego taty.

Ustawiłem laptop na skale, wzięłem zamach, a Jolu śledził moje ruchy swoją latarką. Trzask. Zawsze marzyłem, żeby rozwalić laptop młotkiem, i oto teraz moje marzenia się spełniały. W przyjemności i bólu, jakie odczuwałem, było coś z pornografii.

Trach! Rozbity na miliony kawałków ekran odpadł, odsłaniając klawiaturę. Wciąż waliłem w laptop, dopóki i ona nie odpadła, odkrywając płytę główną i twardy dysk. Trzask! Przygotowałem się, żeby uderzyć w dysk pod kątem prostym. Walnąłem z całej siły. Musiałem uderzyć trzy razy, zanim rozpadła się obudowa, odsłaniając

delikatne wnętrzności komputera. Uderzałem jednak dalej, dopóki wszystkie kawałki nie osiągnęły rozmiarów mniejszych od zapalniczki, a potem wsadziłem je do torby na śmieci. Tłum wznosił dzikie okrzyki - dość głośne, więc zacząłem się niepokoić, że ktoś w jednym z tych domów na klifach powyżej może usłyszeć nas wśród odgłosów fal i wezwać policję.

- Dobra! - zawołałem. - A teraz, jeśli chcecie mi towarzyszyć, zamierzam zanieść to na dół i zanurzyć na dziesięć minut w słonej wodzie.

Na początku nikt nie zgłosił się na ochotnika, lecz potem Ange wysunęła się naprzód, chwyciła mnie za ramię swoimi ciepłymi dłońmi i wyszeptowała mi do ucha:

- To było piękne - po czym ruszyliśmy razem w stronę oceanu.

Nawet z naszymi diodowymi latarkami nad oceanem było całkowicie ciemno i zdradliwie. Dookoła leżały śliskie, ostre skały, po których stąpało się dość trudno i bez tych dodatkowych trzech kilo potrzaskanej elektroniki w plastikowej torbie. Poślizgnąłem się i pomyślałem, że potnę się tam na kawałki, ale Ange chwyciła mnie zaskakująco mocno i pomogła złapać równowagę. Znalazłem się blisko niej, dość blisko, aby poczuć jej perfumy, przywołujące na myśl zapach nowych samochodów. Uwielbiam ten zapach.

- Dzięki - wydusiłem z siebie, patrząc w jej duże oczy, dodatkowo powiększone przez męskie okulary w czarnych oprawkach.

W ciemnościach nie mogłem rozpoznać ich koloru, ale sądząc po jej ciemnych włosach i oliwkowej cerze, były ciemne. Miała śródziemnomorski typ urody, może grecki, może hiszpański lub włoski.

Przykucałem i zanurzyłem torbę w oceanie, pozwalając, by wypełniła się słoną wodą. Osunąłem się trochę i zamoczyłem but. Zakląłem, a ona się roześmiała. Odkąd ruszyliśmy w stronę oceanu, nie odezwaliliśmy się ani słowem. W naszym milczeniu było coś magicznego.

Do tej pory całowałem się w sumie z trzema dziewczynami, nie licząc momentu, kiedy po powrocie do szkoły niektóre przywitały mnie jak bohatera. To nie jest jakaś ogromna liczba, ale też nie jakoś

specjalnie mało. Mam całkiem niezłe wyczucie co do dziewczyn i myślę, że ją też mogłem pocałować. Może nie była typem gorącej laski w tradycyjnym znaczeniu, ale byłem z nią sam na sam, w nocy, na plaży, a ona była w dodatku bystra, żywiołowa i oddana sprawie.

Nie pocałowałem jej jednak ani nie wziąłem za rękę. Doświadczyliśmy za to czegoś, co można by nazwać duchowym przeżyciem. Fale, noc, morze, skały i nasze oddechy. Ta chwila trwała całe wieki. Westchnąłem. W końcu pokonailiśmy spory odcinek drogi. Czekają mnie jeszcze dzisiaj niemało roboty, miałem wpisać te wszystkie klucze na moją listę, podpisać je i opublikować. Miałem uruchomić Sieć Zaufania.

Ona też westchnęła.

- Chodźmy - powiedziałem.
- Tak - odparła.

Ruszyliśmy z powrotem. To była udana noc.

Jolu czekał na kumpla swojego brata, żeby oddać mu skrzynki po piwie. Ja poszedłem razem z innymi na najbliższy przystanek i wsiadłem do autobusu. Naturalnie nie używaliśmy oficjalnych sieciówek. Xneterzy wtedy już nałogowo klonowali bilety komunikacji miejskiej trzy lub cztery razy dziennie, przyjmując przy każdym przejeździe nową tożsamość.

Trudno nam było usiedzieć spokojnie w autobusie. Wszyscy byliśmy lekko pijani, a nasze twarze wyglądały dosyć śmiesznie w jasnym świetle pojazdu. Zrobiło się głośno, więc kierowca powiedział nam dwukrotnie przez interkom, żebyśmy się uciszeli, a potem kazał nam się zamknąć, grożąc, że wezwie gliny.

To nas jeszcze bardziej rozbawiło, ale nim zdążył wezwać policję, już nas tam nie było. Znaleźliśmy się na North Beach, gdzie jest sporo autobusów, taksówek, rozświetlonych neonami klubów i knajp oraz stacja metra na Market Street. W końcu każdy poszedł w swoją stronę.

Po powrocie do domu odpałiłem Xboksa i zacząłem spisywać klucze z ekranu swojej komórki. To było nudne, hipnotyzujące zajęcie. Byłem lekko pijany i wkrótce zapadłem w półsen.

Już miałem przysnąć, gdy na moim ekranie pojawiło się nowe okienko komunikatora.

> hej!

Napisała to spexgril, której nie znałem, ale domyślałem się, kto może się kryć pod tym nickiem.

> hej

- napisałem ostrożnie.

> to ja, wiesz, dzisiejszy wieczór

Potem wkleiła przypadkowe, nic nieznaczące elementy szyfrów. Miałem już wpisany jej klucz publiczny, więc spróbowałem rozszyfrować ten kod za pomocą jej klucza.

> to ja, poznaliśmy się dziś wieczorem

To była ona!

> ty tutaj?

- napisałem, potem zaszyfrowałem to moim publicznym kluczem i wysłałem.

> Miło cię było poznać

- wklepałem na klawiaturze.

> Ciebie też. Nie spotykam zbyt wielu bystrych, słodkich i świadomych społecznie facetów. Rany, człowieku, nie dajesz dziewczynie za dużych szans.

Serce zaczęło mi walić.

> Hej? Puk, puk? Czy ta rzecz w ogóle działa? Nie urodziłam się przed komputerem, ale jak tak dalej pójdzie, to na pewno tu umrę.

Roześmiałem się głośno.

> Jestem, jestem. Po prostu za bardzo się śmieję, żeby pisać.

> Przynajmniej moje dowcipy jeszcze tu działają

No cóż.

> Naprawdę cieszę się, że cię poznałem

- > Tak, tak to już zwykle jest. Dokąd mnie zabierzesz?
- > Zabiorę?
- > Na kolejną przygodę?
- > Niczego takiego nie planowałem
- > Oki - to ja zabiorę CIEBIE. U piątek. Park Dolores. Nielegalny koncert pod gołym niebem. Wpadnij, bo inaczej niedługo zamienisz się w robota
- > Zaraz, co?
- > Nie czytasz info w Xnecie? Tam aż huczy. Słyszałeś kiedyś o Speedwhores?

O mało się nie zakrztusiłem. To był zespół Trudy Doo - a Trudy Doo to kobieta, która płaciła mnie i Jolu za aktualizowanie kodu internetu.

- > Tak, słyszałem
- > Chcą zrobić wielką imprezę, ma zagrać 50 zespołów, będą grali na kortach tenisowych, a na ciężarówkach ustawią wzmacniacze. Impira na całą noc

Poczułem się jak jaskiniowiec. Jak mogłem to przeoczyć? Na Valencia Street znajdowała się księgarnia anarchistyczna, obok której przechodziłem czasem w drodze do szkoły. Wisiał tam plakat ze zdjęciem dawnej rewolucjonistki Emmy Goldman oraz cytata: „Jeśli nie mogę tańczyć, to nie jest moja rewolucja”. Traciłem całą swoją energię, żeby wykombinować, jak za pomocą Xnetu zorganizować zagrających aktywistów walczących z DBW, ale to było o wiele fajniejsze. Wielki koncert - nie miałem pojęcia, jak się takie rzeczy organizuje, ale cieszyłem się, że ktoś się do tego wziął.

I kiedy teraz tak o tym myślałem, byłem zajebiście dumny, że używali do tego Xnetu.

Następnego dnia czułem się jak zombi. Czatowałem - flirtowałem z Ange - do czwartej nad ranem. Na szczęście była sobota i mogłem dłużej pospać, ale kac i niedobór snu nie pozwoliły mi zebrać myśli.

Przed obiadem zdołałem zwlec się z wyra i wyjść z domu. Chwiejnym krokiem dowlokłem się do tureckiej kawiarni, żeby napić się kawy - w te dni, gdy byłem sam, kawę kupowałem zawsze w tym miejscu, zupełnie jakbyśmy należeli wraz z Turkiem do jakiegoś tajnego klubu.

Po drodze minąłem wiele nowych graffiti. Lubilem je; często były to nazbyt kwieciste murale lub sarkastyczne szablony wymalowane przez studentów szkół artystycznych. Cieszyłem się, że grafficiarze nadal robili swoje, i to tuż pod nosem DBW. Sądzę, że to kolejny rodzaj sieci - musieli mieć swoje sposoby, żeby dowiedzieć się, co jest grane, skąd wziąć farbę i które kamery działają. Zauważyłem, że niektóre kamery były zamalowane sprejem.

Może korzystali z Xnetu!

Na płocie wokół złomowiska wielkimi na trzy metry literami zostały wymalowane ociekające farbą słowa: NIE UFAJCIE NIKOMU POWYŻEJ 25-TKI.

Przystanąłem. Czy ktoś, wracając z mojej wczorajszej imprezy, przyszedł tu z puszką farby? Wielu z tych ludzi mieszkało w tej dzielnicy.

Kupiłem kawę i wybrałem się na krótki spacer po mieście. Wciąż zastanawiałem się, czy do kogoś nie zadzwonić i nie zapytać, czy nie chce obejrzeć filmu lub coś w tym rodzaju. Tak zazwyczaj robiłem w takie leniwe soboty jak ta. Ale do kogo miałem zadzwonić? Van nie odzywała się do mnie, ja nie czułem się jeszcze gotowy na rozmowę z Jolu, a Darryl...

Cóż, nie mogłem zadzwonić do Darryla.

Wziąłem swoją kawę, poszedłem do domu i zacząłem szperać po blogach w Xnecie. Autorzy tych blogów byli nie do wykrycia, chyba że sam autor był na tyle głupi, żeby umieścić na nim swoje imię - a takich było sporo. Większość była apolityczna, ale byli też inni. Rozmawiali o szkole i niesprawiedliwości. Rozmawiali o glinach. O tagowaniu.

Okazało się, że ten koncert w parku planowali już od tygodni. Wiadomość przeskakiwała z bloga na bloga, zamieniając się w ruch

na wielką skalę, i to bez mojej wiedzy. Koncert nosił nazwę NIE UFAJCIE NIKOMU POWYŻEJ 25-TKI.

No cóż, wydało się, skąd Ange wzięła to hasło. To był niezły slogan.

W poniedziałek rano postanowiłem, że pójdę do tej anarchistycznej księgarni, żeby zobaczyć plakaty z Emmą Goldman. Potrzebowałem czegoś, co odświeżyłoby mi pamięć.

Okrężną drogą dotarłem do 16th Street i Mission, którymi chodziłem do szkoły, po czym przeciąłem Valencia Street. Sklep był zamknięty, ale na drzwiach widniały godziny otwarcia. Upewniłem się jeszcze, czy ten plakat nadal tam wisi.

Gdy szedłem wzdłuż Valencii, zaskoczyła mnie liczba wypisanych haseł NIE UFAJCIE NIKOMU POWYŻEJ 25-TKI. Ten napis widniał na towarach leżących na wystawach w połowie sklepów: na pojemnikach na kanapki, koszulkach, piórnikach i bejsbolówkach. Oczywiście najlepiej radziły sobie sklepy z bokserkami. Gdy w necie pojawiały się nowe hasła, sklepy od razu je przechwytywały i umieszczały na towarach w oknach wystawowych. Jeśli w poniedziałek w skrzynce lądował jakiś śmieszny filmik z YouTube a, na którym koleś wysadzał się w powietrze na swoim odrzutowym plecaku wypełnionym wodą gazowaną, już we wtorek można było kupić sobie koszulkę ze zdjęciem z tego filmu.

To niesamowite uczucie zobaczyć, jak pomysły z Xnetu przeskakują do sklepów. Modne wytarte dżinsy ze sloganem wypisanym ostrożnie szkolnym długopisem. Wyszywane łąty.

Dobre wieści szybko się rozchodzą.

Ten sam napis pojawił się też na tablicy przed lekcją WOS-u z panią Galvez. Wszyscy usiedliśmy w ławkach, uśmiechając się do niego. Wydawało się, że i on się do nas uśmiecha. Czuliśmy się w pewien sposób dumni i szczęśliwi, bo wiedzieliśmy, że wszyscy możemy sobie nawzajem zaufać i że wróg może zostać zidentyfikowany. Wiedziałem,

że to nie do końca jest prawda, ale nie była to też całkowita fikcja.

Do klasy weszła pani Galvez, poprawiła włosy, ustawiła swojego schoolbooka na biurku, po czym go włączyła. Podniosła kredę i odwróciła się w kierunku tablicy. Wszyscy wybuchliśmy śmiechem. Przyjacielskim, ale jednak śmiechem.

Odwróciła się, również się śmiejąc.

- Zdaje się, że twórców sloganów w naszym kraju dopadła inflacja. Ile osób wie, skąd pochodzi to hasło?

Spojrzeliliśmy po sobie.

- Od hipisów? - zapytał ktoś, a wszyscy się roześmiali.

W San Francisco było pełno hippisów, począwszy od starych ćpunów z ogromnymi obleśnymi brodami, w ufarbowanych koszulkach, po nowe pokolenie dzieciaków, którym bardziej zależało na ubiorze i grze w zośkę niż na jakichkolwiek protestach.

- No dobrze, od hipisów. Ale dzisiaj hipisi kojarzą nam się głównie z ubiorem i muzyką, a te miały marginalne znaczenie wobec istotnych wydarzeń, jakie zaszły w latach sześćdziesiątych... Słyszeliście o ruchu na rzecz praw obywatelskich, którego celem było wyeliminowanie segregacji rasowej. Białe i czarne dzieciaki, takie jak wy, jeździły autobusami na Południe, żeby zbierać podpisy czarnoskórych wyborców i zaprotestować przeciwko rasistowskiej polityce państwa. Większość przywódców tego ruchu pochodziła właśnie z Kalifornii. Zawsze trochę bardziej angażowaliśmy się w politykę niż reszta kraju. To tutaj czarni mogli znaleźć pracę w fabrykach na tych samych stanowiskach co biali, więc żyło im się trochę lepiej niż ich kuzynom z Południa. Studenci z Berkeley regularnie wysyłali na Południe jeźdźców wolności, których rekrutowali, dając ogłoszenia na tablicach informacyjnych w miasteczku akademickim, na Bancroft i Telegraph Avenue. Pewnie zauważyliście, że do dzisiaj stoją tam te tablice. Cóż, władze uniwersyteckie próbowały ich uciszyć. Rektor zakazał prowadzenia jakiejkolwiek działalności politycznej na terenie uczelni, ale zwolennicy praw obywatelskich nie dawali za wygraną. Policja



próbowała zaaresztować chłopaka, który trzymał ogłoszenia pochodzące z jednej z tych tablic. Wsadzili go do radiowozu, ale trzy tysiące studentów otoczyło go i nie pozwoliło mu ruszyć. Nie pozwolili im zabrać tego chłopaka do więzienia. Stali na dachu samochodu i wygłaszali przemówienia o Pierwszej Poprawce\* i wolności słowa. Tak zrodził się Ruch Wolności Słowa. To był początek ruchu hipisowskiego, ale wtedy powstały też bardziej radykalne ruchy studenckie i ugrupowania, takie jak Czarne Pantery, a potem grupy walczące o prawa homoseksualistów, na przykład Różowe Pantery. Pojawiły się też radykalne ugrupowania kobiet, a nawet „separatystek lesbijskich”, które chciały całkowicie skończyć z mężczyznami! Oraz Yippisi. Czy ktoś z was słyszał kiedyś o Yippisach?

\* Pierwsza Poprawka - pierwsza poprawka do Konstytucji USA wprowadzająca wolność religii, prasy, słowa, petycji oraz zgromadzeń, uchwalona w ramach Karty Praw Stanów Zjednoczonych Ameryki. Weszła w życie 15 grudnia 1791 roku.

- Czy to nie oni doprowadzili Pentagon do lewitacji? - zapytałem. Kiedyś widziałem o tym jakiś film dokumentalny.

Roześmiała się.

- Zapomniałam o tym, ale tak, to byli oni! Yippisi to tacy hipisi, tylko bardzo zaangażowani w politykę, do której jednak nie podchodzili tak poważnie jak my dzisiaj. Lubili się bawić i robić dowcipy. Swoje pieniądze wrzucali na nowojorską giełdę. Wraz z setkami protestujących okrążyli Pentagon, wypowiadając magiczne zaklęcie, które miało unieść budynek w powietrze. Wynaleźli fałszywy rodzaj LSD, który można było rozpryskiwać na ludzi za pomocą pistoletów na wodę i strzelać do siebie nawzajem, udając, że się jest naćpanym. Byli zabawni i robili świetne programy telewizyjne. Jeden z nich, klaun zwany Wavy Gravy, przebrał kiedyś setki protestujących za Świętych Mikołajów, których aresztowała policja, co zresztą pokazano tego samego dnia w wieczornych wiadomościach. Zmobilizowali wielu ludzi. Ważnym momentem dla tego ruchu - ciągnęła - była Narodowa Konwencja Demokratów w 1968 roku, podczas której wezwano do

protestów przeciwko wojnie w Wietnamie. Tysiące demonstrantów wylało się na ulice Chicago. Spali w parkach i codziennie pikietowali. Wykręcili w tamtym roku sporo dziwacznych numerów, na przykład ich kandydatem na prezydenta była świnia o imieniu Pigasus. Demonstranci walczyli z policją na ulicach, już wcześniej robili to wiele razy, ale policjanci w Chicago nie byli na tyle sprytni, żeby zostawić w spokoju reporterów. Pobili dziennikarzy, a ci wzięli na nich odwet, pokazując w telewizji, co tak naprawdę działo się na tych demonstracjach. I tak cały kraj zobaczył, jak chicagowska policja brutalnie bije młodych ludzi. Nazwali to policyjnymi rozróbami. Yippisi uwielbiali powtarzać: „Nie ufajcie nikomu powyżej trzydziestki”. Chodziło im o to, że ludzie, którzy urodzili się przed pewną epoką, kiedy wrogami Ameryki byli jeszcze naziści, nie potrafili zrozumieć, jak można kochać swój kraj na tyle, by nie chcieć walczyć w Wietnamie. Uważali, że gdy człowiek przekroczy trzydziestkę, jego poglądy zastygają i dlatego nigdy nie będzie mógł zrozumieć, dlaczego dzieciaki wychodzą na ulicę, rzucają szkołę i wariują. San Francisco było strefą zero - kontynuowała z niekłamany entuzjazmem. - Tu powołano do życia rewolucyjne armie. Niektóre z nich wysadzały w powietrze budynki lub rabowały banki dla własnych korzyści. Wiele z tych dzieciaków wyrosło na mniej lub bardziej normalnych ludzi, a inni skończyli w więzieniu. Niektórzy z tych, co rzucili studia, dokonali niesamowitych rzeczy: na przykład Steve Jobs i Steve Wozniak, założyciele Apple Computer i wynalazcy pierwszych komputerów osobistych.

Naprawdę mnie to wciągnęło. Trochę już na ten temat wiedziałem, ale nigdy nie słyszałem, żeby ktoś o tym w ten sposób opowiadał. A może dotąd nie miało to takiego znaczenia jak teraz? Nagle te beznadziejne, poważne uliczne demonstracje dla dorosłych przestały wyglądać tak kulawo. Być może w naszym Xnetowym ruchu też znalazłoby się miejsce na tego typu akcje.

Podniosłem rękę.

- Czy oni wygrali? Czy Yippisi wygrali?

Rzuciła na mnie długie spojrzenie, jakby się nad tym zastanawiała. Nikt nie wy dobył z siebie ani słowa. Wszyscy chcieliśmy usłyszeć odpowiedź.

- Nie przegrali - odparła. - Ich ruch trochę się załamał. Niektórzy trafili do więzienia za narkotyki lub inne rzeczy. Inni zmienili swoje upodobania, zostali japiszonami i zaczęli dawać wykłady, opowiadając wszystkim, jakimi to głupcami i durkami kiedyś byli i jakim to dobrem jest zachłanność. Ale oni zmienili świat - powiedziała z naciśkiem. - Wojna w Wietnamie dobiegła końca, a ten rodzaj konformizmu i posłuszeństwa, który ludzie zwykli nazywać patriotyzmem, w dużej mierze wyszedł z mody. Prawa czarnoskórych, kobiet i homoseksualistów przeszły długą drogę. Ci ludzie stworzyli i wzmocnili całą tradycję wolności obywatelskich, między innymi w kwestiach takich jak prawa meksykańskich emigrantów w USA czy prawa niepełnosprawnych. Dzisiejszy ruch protestacyjny jest bezpośrednim następstwem tamtych walk.

- Nie mogę uwierzyć, że mówi pani o nich w ten sposób - skomentował Charles. Tak bardzo opierał się o swoje krzesło, że prawie stał, a jego ostra chuda twarz zrobiła się cała czerwona. Miał mokre ogromne oczy i duże usta, a gdy się denerwował, wyglądał trochę jak ryba.

Pani Galvez nieznacznie zeszywniała, a potem powiedziała:

- Mów dalej, Charles.

- Właśnie opisała pani terrorystów. Prawdziwych terrorystów. Powiedziała pani, że wysadzali budynki w powietrze. Próbowali zniszczyć giełdę papierów wartościowych. Bili policjantów i powstrzymywali ich przed aresztowaniem ludzi, którzy łamali prawo. Atakowali nas!

Pani Galvez pokiwała powoli głową. Widać było, że próbuje rozgryźć, w jaki sposób potraktować Charlesa, który wyglądał tak, jakby miał lada chwila wybuchnąć.

- Charles poruszył istotną kwestię. Yippisi nie byli zagranicznymi agentami, byli obywatelami Stanów Zjednoczonych Ameryki. Jeśli

mówisz: „Atakowali nas”, musisz określić, kim są „oni”, a kim jesteśmy „my”. Kiedy chodzi o twoich rodaków...

- Bzdury - krzyknął. Teraz już stał. - Byliśmy wtedy w stanie wojny. A ci goście pomagali i dodawali otuchy wrogowi. Łatwo stwierdzić, kto należy do „nas”, a kto do „nich”. Jeśli popierasz USA, należysz do „nas”, jeśli popierasz ludzi, którzy strzelają do Amerykanów, należysz do nich.

- Czy ktoś chciałby to skomentować?

W górę wystrzeliło kilka rąk. Pani Galvez oddała ich właścicielom głos. Kilka osób stwierdziło, że Wietnamczycy strzelali do Amerykanów, bo ci polecili do Wietnamu i zaczęli biegać po dżungli z karabinami. Inni byli zdania, że Charles miał rację w tym sensie, że ludziom nie powinno się pozwalać na robienie nielegalnych rzeczy.

Wszyscy prowadzili ciekawą debatę oprócz Charlesa, który krzyczał na ludzi, przerywając im, kiedy próbowali wyjaśnić swój punkt widzenia. Pani Galvez kilka razy zwróciła mu uwagę, żeby poczekał na swoją kolej, ale to nie działało.

Szukałem czegoś w swoim schoolbooku, czegoś, co na pewno już kiedyś czytałem.

Znalazłem. Wstałem. Pani Galvez spojrzała na mnie wyczekująco. Inni podążyli za jej wzrokiem i umilkli. Nawet Charles spojrzał na mnie po chwili, a jego wielkie mokre oczy płonęły nienawiścią.

- Chciałem coś przeczytać - powiedziałem. - Coś krótkiego: „[...] wyłonione zostały wśród ludzi rządy, których sprawiedliwa władza wywodzi się ze zgody rządzonych. Że jeżeli kiedykolwiek jakkolwiek forma rządu uniemożliwiałaby osiągnięcie tych celów, to naród ma prawo taki rząd zmienić lub obalić i powołać nowy, którego podwalinami będą takie zasady i taka organizacja władzy, jakie wydadzą się narodowi najbardziej sprzyjające dla szczęścia i bezpieczeństwa”\*

\* *Deklaracja Niepodległości*, [w:] A. Bartnicki, K. Michałek, I. Rusinowa, *Encyklopedia Historii Stanów Zjednoczonych Ameryki. Dzieje polityczne (od Deklaracji Niepodległości do współczesności)*, Warszawa 1992, s. 67-68.

## ROZDZIAŁ 12

Na twarzy pani Galvez widniał szeroki uśmiech.

- Czy ktoś wie, skąd to pochodzi?

Grupa osób odpowiedziała chórem:

- Z Deklaracji Niepodległości.

Przytaknąłem.

- Dlaczego nam to przeczytałeś, Marcusie?

- Bo wydaje mi się, że założyciele tego kraju stwierdzili, iż rządy powinny pracować dla nas, a jeśli uznamy, że już tego nie robią, powinniśmy je obalić. O to chodzi w tym cytacie, tak?

Charles pokręcił głową.

- To było setki lat temu! - powiedział. - Teraz jest inaczej!

- Co jest inaczej?

- No, po pierwsze, nie mamy już króla. Tamci mówili o rządzie powołanym dlatego, że pra-pra-pra-pradziadek jakiegoś cymbała wierzył, że Bóg dał mu władzę, i zabijał każdego, kto się z nim nie zgadzał. Nasz rząd został wybrany w demokratycznych wyborach...

- Ja na nich nie głosowałem - odparłem.

- I to ci daje prawo do wysadzania budynków w powietrze?

- Co? Kto mówił o wysadzaniu budynków? Yippisi, hipisi i wszyscy ci ludzie uważali, że rząd już ich nie słucha. Zobacz, jak zostali

potraktowani ci, którzy próbowali zebrać podpisy wyborców na Południu! Byli bici, aresztowani...

- Kilku zabito - wtrąciła pani Galvez. Uniosła ręce do góry i poczekała, aż ja i Charles usiądziemy. - Dziś już nie mamy czasu, ale muszę was pochwalić za jedną z najciekawszych lekcji w moim życiu. To była wspaniała dyskusja i wiele się od was wszystkich nauczyłam. Mam nadzieję, że wy również się od siebie nawzajem wiele nauczyliście. Dziękuję wam za udział. Dla tych, którzy lubią wyzwania - kontynuowała - mam pracę domową, za którą można zdobyć dodatkowe punkty. Proszę, żebyście napisali wypracowanie, w którym porównacie reakcję polityczną na ruch antywojenny i ruch praw obywatelskich w San Francisco z dzisiejszą reakcją społeczeństwa obywatelskiego na wojnę z terroryzmem. Możecie napisać tyle stron, ile chcecie, byle nie mniej niż trzy. Ciekawa jestem, co wymyślicie.

Chwilę później rozległ się dzwonek i wszyscy gęsiego wyszli z klasy. Ja trochę się ociągałem, bo czekałem, aż zauważy mnie pani Galvez.

- Tak, Marcusie?

- To było niesamowite - powiedziałem. - Nigdy nie dowiedziałem się tylu rzeczy o latach sześćdziesiątych.

- I o siedemdziesiątych. W czasach niepokoju politycznych życie w tym miejscu było zawsze ekscytujące. Bardzo mi się podobało twoje nawiązanie do Deklaracji Niepodległości. To było bardzo mądre.

- Dziękuję - powiedziałem. - Tak mi to przyszło do głowy. Nigdy dotąd nie doceniałem znaczenia tych słów.

- Cóż, to są słowa, które każdy nauczyciel pragnie usłyszeć, Marcusie - odparła i uściśliła mi dłoń. - Nie mogę się doczekać twojego wypracowania.

W drodze do domu kupiłem plakat Emmy Goldman i przybiłem go nad biurkiem na starym czarno-białym posterze. Kupiłem też koszulkę z napisem NIGDY NIE UFAJCIE i z fotomontażem,

na którym Grover i Elmo wykopują dorosłych Gordona i Susan z Ulicy Sezamkowej. Ten pomysł mnie totalnie rozwalił. Później odkryłem, że w sieci ogłoszono już sześć konkursów na fotomontaż ilustrujący to hasło w miejscach takich jak Fark, Worth1000 czy B3ta. Krążyły tam setki gotowych fotek, które można było wykorzystać do produkcji nawet najbardziej odjechanych gadżetów.

Na widok tej koszulki mama uniosła brwi, a tata pokręcił głową i dał mi wykład, żebym nie pakował się w kolejne kłopoty. Jego reakcja jeszcze bardziej utwierdziła mnie w przekonaniu, że mam rację.

Ange znowu znalazła mnie na czacie i flirtowaliśmy do późnej nocy. Biała furgonetka z antenami wróciła kolejny raz, więc wyłączyłem Xboksa i zaczękałem, aż samochód odjedzie. Wszyscy się już do tego przyzwyczailiśmy.

Ange była bardzo podekscytowana tym koncertem. Zanosilo się na gigantyczną imprezę. Zgłosiło się tyle zespołów, że myśleli o utworzeniu małej sceny dla mniejszych zespołów.

> Jak oni załatwili pozwolenie na całonocny koncert w parku? Tam wszędzie dookoła są domy.

> Poz-wo-le-nie? Co to jest „poz-wo-le-nie”? Opowiedz mi więcej o tym waszym ludz-kim poz-wo-le-niu.

> To on jest nielegalny?

> Hm, halo? T Y się martwisz, że łamiemy prawo?

> Słuszna uwaga

> LOL\*

\* LOL (ang. *laughing out loud*) - popularny skrótowiec wchodzący w skład slangu użytkowników internetu i oznaczający w wolnym tłumaczeniu: śmieje się na głos.

Dręczyły mnie jednak jakieś złe przecucia. W ten weekend miałem zabrać tę totalnie odjazdową dziewczynę na randkę - cóż, formalnie to ona mnie zabierała - na nielegalny koncert, który miał się odbyć w samym środku ruchliwej dzielnicy.

Przynajmniej będzie ciekawie.

Ciekawie.

Przez całe sobotnie popołudnie do parku Dolores napływali ludzie, pojawiali się między osobami grającymi we frisbee i tymi, którzy przyszli na spacer z psami. Część z nich sama grała we frisbee lub spacerowała z psami. Nie do końca jasne było, czy ten koncert wypali. Wokół kręciło się sporo gliniarzy i tajniaków. Łatwo było ich rozpoznać, bo wyglądali jak Pryszc i Glut. Mieli fryzury z Castro Avenue i budowę ciała typową dla mieszkańców Nebraski: przysadziści goście z krótkimi włosami i brudnymi wąsami. Krążyli w kółko i wyglądało na to, że czują się zakłopotani i skrępowani w tych swoich wielkich spodenkach i luźnych podkoszulkach, które mieli z pewnością po to, żeby zasłonić żyrandole sprzętu zwisające wokół ich brzuchów.

Park Dolores jest ładnym i słonecznym miejscem, rosną w nim palmy, są tam korty tenisowe, wiele pagórków i drzew, wokół których można pobiegać i na których można posiedzieć. Nocami śpią tam bezdomni, ale w San Francisco to normalka.

Ange spotkałem w księgarni anarchistycznej. To ja zaproponowałem to miejsce. Z perspektywy czasu widzę, że tej dziewczynie musiało się to wydawać fajne i rajcujące, ale przysięgam, że wtedy wybrałem je tylko dlatego, że było po prostu dogodnie położone. Gdy tam dotarłem, czytała książkę pod tytułem *Up Against the Wall Motherf..ker*.

- Nieźle - powiedziałem. - Czy twoja mama wie, że czytasz takie książki?

- Nie ma nic przeciwko - odpowiedziała. - To historia grupy ludzi takich jak Yippisi, tylko że z Nowego Jorku. Wszyscy zamiast swojego nazwiska używali słowa „sukinsyn”, na przykład „Ben Sukinsyn”. Chodziło o to, żeby prasa nie mogła publikować ich nazwisk, gdy robili jakieś kontrowersyjne akcje. Chcieli po prostu wkurzyć dziennikarzy. Nieźle, nie?

Odłożyła książkę na półkę, a ja zastanawiałem się, czy powinienem ją przytulić. Mieszkańcy Kalifornii zawsze się przytulają, na powitanie



i pożegnanie. No może nie zawsze. Czasami całują się w policzek. To dość zagmatwane.

Ona zdecydowała za mnie. Objęła mnie i przyciągnęła moją głowę do siebie, całując mnie mocno w policzek. Potem nagle przyłożyła usta do mojej szyi i dmuchnęła energicznie, tak że rozległ się donośny odgłos pierdnięcia.

Wybuchnąłem śmiechem i odepchnąłem ją.

- Chcesz burrito? - zapytałem.
- Czy to jest pytanie, czy stwierdzenie rzeczy oczywistej?
- Ani jedno, ani drugie.

Kupiłem zabawne naklejki z napisem TEN TELEFON JEST NA PODSŁUCHU, które były akurat w odpowiednim rozmiarze, żeby przykleić je na słuchawkach automatów telefonicznych wciąż jeszcze rozmieszczonych wzdłuż ulic w Mission - dzielnicy, której mieszkańców niekoniecznie stać na komórki.

Szliśmy, rozkoszując się nocnym powietrzem. Opowiedziałem Ange o tym, co dzieje się w parku.

- Założę się, że dookoła stoi ze sto ciężarówek - powiedziała. - Żeby mieli nas do czego powsadzać.

- Hm - rozejrzałem się. - Miałem nadzieję, że powiesz coś w stylu: „Nie ruszaj nas, nie ma mowy”.

- Myślę, że nie o to im chodzi. Chodzi im o to, żeby postawić jak najwięcej obywateli w sytuacji, w której to gliny będą decydować, czy traktować zwykłych ludzi jak terrorystów. To trochę jak robienie akcji, tylko za pomocą muzyki, a nie gadżetów. Chodzisz na akcje, co?

Czasem zapominam, że nie wszyscy moi znajomi wiedzą, że Marcus i Miky to ta sama osoba.

- Tak, trochę - powiedziałem.
- To taka akcja z masą zajebistych zespołów.
- Jasne.

W dzielnicy Mission burrito to po prostu instytucja. Są tanie, wielkie i pyszne. Wyobraźcie sobie rulon wielkości pocisku przeciwpancernego wypełniony pikantnym grillowanym mięsem, guacamole,

salsą, pomidorami, smażoną fasolką, ryżem, cebulą i kolendrą. Porównanie go z Taco Bell\* wypada jak porównanie lamborghini z resorakiem.

\* Taco Bell - amerykańskie bary szybkiej obsługi oferujące potrawy meksykańskie.

W Mission istnieje około dwustu barów z burrito. Są wyjątkowo paskudne, mają niewygodne siedzenia i minimalistyczny wystrój - wyblakłe plakaty meksykańskich biur podróży, hologramy z Jezusem i Maryją w świecących oprawkach - oraz rozbrzmiewa w nich głośna muzyka mariachi. Różnią je tylko egzotyczne rodzaje mięsa, które wypychają do swoich produktów. W najbardziej autentycznych barach można spotkać mózgi i ozorki, których nigdy nie zamawiam, ale miło wiedzieć, że tam są.

W miejscu, do którego się udaliśmy, serwowano zarówno mózgi, jak i ozorki, których nie zamówiliśmy. Ja wziąłem carne asada, natomiast Ange siekanego kurczaka. Do tego oboje zamówiliśmy duże kubki horchaty.

Gdy tylko usiedliśmy, Ange rozwinęła swoje burrito, a z torebki wyjęła małą butelkę. Był to niewielki pojemnik ze stali nierdzewnej, który całkiem przypominał pojemnik z gazem pieprzowym do samoobrony. Wymierzyła nim w odsłonięte wnętrze swojego burrito i rozpyliła na nie mgiełkę czerwonego, oleistego spreju. Poczulem jego zapach, moje gardło się zacisnęło, a oczy zaczęły mi łzawić.

- Co ty, do diabła, robisz z tym biednym, bezbronnym burrito?

Uśmiechnęła się do mnie szelmowsko.

- Jestem uzależniona od pikantnych potraw - odparła. - To kapsaicyna w spreju.

- Kapsaicyna...

- Tak, składnik gazu pieprzowego. To taki gaz pieprzowy, tylko bardziej rozcieńczony. I o wiele lepszy. Jeśli ci to pomoże, wyobraź sobie, że to pikantne cajuńskie krople do oczu.

Już na samą myśl o tym moje oczy stanęły w ogniu.

- Żartujesz - powiedziałem. - Chyba nie zamierzasz tego zjeść.

Jej brwi wystrzeliły w górę.

- To wyzwanie, chłopcze? No to patrz.

Zawinęła swoje burrito tak dokładnie, jak ćpun zwija skręta, wypychając końcówki do środka, po czym zapakowała je znowu w folię aluminiową. Oderwała jeden koniec, przysunęła go do buzi i znieruchomiała, trzymając jedzenie tuż przed ustami.

Nie mogłem uwierzyć, że to zrobi, ale właśnie wtedy wbiła w nie zęby. Przecież ona w zasadzie wsmarowała w swoją kolację broń przeciwpiechotną.

Ugryzła kęs. Przeżuła. Połknęła. Sprawiała wrażenie osoby jedzącej pyszne danie.

- Chcesz gryza? - zapytała niewinnie.

- Tak - odparłem. Lubię ostre żarcie. W pakistańskich barach zawsze zamawiam curry i poczwórne chili.

Odwinąłem trochę folii i wziąłem wielkiego gryza.

Wielki błąd.

Znacie to uczucie, kiedy bierzecie do buzi wielką łyżkę chrzanu albo wasabi, albo czegoś podobnego, i czujecie, że wasze zatoki zamykają się w tym samym czasie co tchawica, a wasza głowa wypełnia się uwięzionym, gorącym jak po wybuchu atomowym powietrzem, które stara się za wszelką cenę wydostać przez wasze łzawiące oczy i nozdrza? To uczucie, że zaraz pójdzie wam para z uszu, zupełnie jak postaciom z kreskówek?

To było o wiele gorsze.

Czułem się tak, jakbym położył rękę na rozgrzanym piecyku, tylko że to nie była ręka, ale wnętrze mojej głowy razem z przełykiem i całym przewodem trawiennym, aż po żołądek. Moje ciało pokryło się potem, a ja nie mogłem przestać się krztusić.

Ange bez słowa podała mi moją horchatę, a mnie udało się wziąć do buzi słomkę. Przyssałem się do niej mocno, wypijając duszkiem połowę napoju.

- Jest taka skala, skala Scovillea, której my, miłośnicy chili, używamy do mierzenia poziomu pikantności papryki. Czysta kapsaicyna

ma piętnaście milionów SHU\*. Tabasco mniej więcej dwa i pół tysiąca. Gaz pieprzowy to dobre trzy miliony. Mój wynalazek ma jakieś marne sto tysięcy, czyli mniej więcej tyle co łagodna papryczka scotch bonnet. Przyzwyczajałam się do tego prawie rok, ale niektórzy prawdziwi hardcorowcy potrafią dojść do pół miliona lub coś koło tego. Mogą zjeść rzeczy dwadzieścia razy ostrzejsze niż tabasco. Pali jak cholera. Przy takiej ilości scoville'i twój mózg dosłownie zalewają endorfiny. To lepsze niż hasz. I zdrowsze.

\* SHU (ang. *Scoville Hotness Unit*) - jednostka ostrości Scoville'a.

Moje zatoki zaczęły dochodzić do siebie, mogłem oddychać, nie łapiąc już z trudem powietrza.

- Oczywiście jak pójdziesz do kibla, zobaczysz wściekły krąg ognia - dodała, puszczając mi oczko.

Auć.

- Jesteś rąbnięta - odparłem.

- Ciekawe stwierdzenie jak na kolesia, którego hobby to budowanie i rozwalanie laptopów - skwitowała.

- Właśnie - powiedziałem i dotknąłem czoła.

- Chcesz trochę? - zapytała i wyciągnęła swój pojemnik.

- Pas - odparłem tak szybko, że oboje się roześmialiśmy.

Gdy wyszliśmy z baru i ruszyliśmy w kierunku parku Dolores, objęła mnie w pasie i okazało się, że jest akurat takiego wzrostu, że mogłem ją objąć ramieniem. To coś nowego. Nigdy nie byłem wysokim facetem, a wszystkie dziewczyny, z którymi chodziłem, były mojego wzrostu - nastoletnie dziewczyny rosną szybciej niż chłopaki, co jest zwyczajną drwiną natury. To było przyjemne. Ja czułem się przyjemnie.

Skreśliśmy w 20th Street i ruszyliśmy pod górkę, w kierunku parku. Jeszcze zanim postawiliśmy pierwszy krok, usłyszeliśmy odgłosy imprezy. Brzmiały niczym bzyczenie miliona pszczół. Ludzie wlewali się strumieniami do parku, a kiedy spojrzałem w jego kierunku, zauważyłem, że jest sto razy bardziej zapchany niż wtedy, gdy szedłem na spotkanie z Ange.

Na widok tego krew zawrzała mi w żyłach. Była piękna, chłodna noc, a my szliśmy na imprezę, na prawdziwą imprezę, jakby nie było żadnego jutra. „Jedźmy i pijmy, bo jutro pomrzemy”\*

\* 1 Kor 15.32. [w:] *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, w przekładzie z języków oryginalnych, oprac. zespół biblistów polskich z inicjatywy benedyktynów tyńskich, wyd. 5 na nowo oprac. i popr., Poznań 2002.

Bez słowa zaczęliśmy biec, mijając gliniarzy o spiętych twarzach. Ale co oni niby chcieli zrobić? W parku było naprawdę m n ó s t w o ludzi.

Nie jestem dobry w liczeniu tłumu. W gazetach cytowano później organizatorów, według których zjawilo się dwadzieścia tysięcy ludzi; według policji było pięć tysięcy. Być może oznacza to, że przyszło dwanaście i pół tysiąca.

Wszystko jedno. Jeszcze nigdy nie stałem w tak ogromnym tłumie na niezaplanowanej, nieusankcjonowanej, n i e l e g a l n e j imprezie.

Natychmiast się tam znaleźliśmy. Nie dam głowy, ale wśród tej masy ciał nie było nikogo powyżej dwudziestki. Wszyscy się uśmiechali. Było tam też kilkoro dziesięcio- czy może dwunastoletnich dzieciaków, więc poczułem się lepiej. Nikt nie robi nic głupiego takim małym dzieciakom w tłumie. Nikt nie chce, żeby dzieciom coś się stało. To miała być po prostu cudowna, wiosenna, uroczysta noc.

Uznałem, że musimy się przedrzeć w stronę kortów tenisowych. Przepychaliśmy się przez tłum, a żeby się nie zgubić, złapaliśmy się za ręce. Nie musieliśmy przeplatać palców. Zrobiliśmy to jednak z czystej przyjemności. To było bardzo miłe.

Na kortach tenisowych zebrały się zespoły z gitarami, mikserami, keyboardami, a nawet sprzętem perkusyjnym. Znalazłem później w Xnecie zdjęcia na Flickrze, jak przemycali tam sprzęt, kawałek po kawałku, w torbach i pod kurtkami. Wzdłuż kortów rozstawione były ogromne głośniki, takie jakie można znaleźć w sklepach motoryzacyjnych, a wśród nich stos... akumulatorów. Roześmiałem się. Genialne! To miało być zasilanie. Z miejsca, w którym stałem,

dostrzegłem, że były to ogniwa z samochodu hybrydowego marki Toyota Prius. Ktoś wybebeszył ekologiczne auto, żeby zasilić całonocną imprezę. Akumulatory leżały nawet za kortami, były przywiązane do głównego stosu drutami przeciągniętymi przez siatkę w płocie. Naliczyłem ich... dwieście! Musiały ważyć z tonę.

Tego wszystkiego nie można byłoby zorganizować bez maili, wiki i list dyskusyjnych. A tacy sprytni ludzie na pewno nie zrobili tego przez ogólnodostępny internet. Jestem pewien, że to wszystko działa się w Xnecie.

Zespoły stroiły się i naradzały ze sobą, więc zaczęliśmy podskakiwać w tłumie. Z daleka dostrzegłem Trudy Doo, która stała na korcie tenisowym. Wyglądała jak zapaśnik w klatce. Miała na sobie podkoszulkę na ramiączkach i długie fluorescencyjne różowe dredy aż do pasa. Ubrana była w bojówki i ogromne gotyckie buty z blachami. Widziałem, jak podnosi ciężką skórzaną kurtkę, wytartą jak rękawica do bejsbolu, i zakłada ją niczym zbroję. Zdałem sobie sprawę, że to prawdopodobnie jest zbroja.

Próbowałem do niej pomachać, chyba po to żeby zaimponować Ange, ale mnie nie zauważyła, więc wyszedłem na idiotę. W tym tłumie tkwiła niesamowita energia. Czasem słyszy się, jak ludzie rozmawiają o „wibracjach” i „energii” dużych grup, ale dopóki się tego nie doświadczy, ma się prawdopodobnie wrażenie, że to tylko takie gadanie.

Wcale nie. To uśmiechy na wszystkich twarzach zaraźliwe i wielkie jak arbuzy. Lekkie podrygiwanie w rytm niesłyszalnej muzyki, kołysanie ramionami. Taneczny krok. Żarty i śmiech. Napięte i przyciszone głosy. Nie można nie być tego częścią. Po prostu się nią jest.

Atmosfera panująca w tłumie zahipnotyzowała mnie, jeszcze zanim wystartowały zespoły. Na początku zagrała jakaś serbska kapela turbofolkowa i nie za bardzo mogłem załapać, jak się to tańczy. Umiem tańczyć jedynie do dwóch rodzajów muzyki, do trance'u (powłóczysz nogami dookoła i dajesz się ponieść muzyce) i do punka (rozpychasz się i pogujesz, aż wyczerpią ci się baterie). Następnymi byli

hiphopowcy z Oakland, którzy wystąpili wspólnie z kapelą thrashmetalową, co brzmiało lepiej, niż mogłoby się wydawać. Potem był jeszcze jakiś landrynkowy pop. Aż w końcu na scenę weszła kapela Speedwhores, a do mikrofonu zbliżyła się Trudy Doo.

- Nazywam się Trudy Doo i jeśli mi ufacie, to jesteście idiotami. Mam trzydzieści dwa lata, więc już na mnie za późno. Już po mnie. Utknęłam w starym sposobie myślenia. Wciąż uważam swoją wolność za rzecz oczywistą i pozwalam, żeby inni ludzie mi ją odbierali. Jesteście pierwszym pokoleniem, które dorasta w Gułagu Ameryka, i wiecie, ile warta jest wasza wolność, co do ostatniego cholernego centa!

Tłum zawył. Grała szybkie, nerwowe akordy na gitarze, a basistka, wielka otyła dziewczyna w lesbijskiej fryzurze, jeszcze większych butach i z uśmiechem, o który można było otwierać butelki z piwem, wtórowała jej szybko i ciężko. Miałem ochotę skakać. Skakałem. Ange skakała ze mną. Po naszych ciałach spływał swobodnie pot, którego zapach wraz z dymem z marihuany unosił się w wieczornym powietrzu. Ze wszystkich stron napierały na nas ciepłe ciała. One też skakały.

- Nie ufajcie nikomu powyżej dwudziestki piątki! - krzyknęła.

Zaryczeliśmy Byliśmy teraz jednym wielkim zwierzęcym ryczącym gardłem.

- Nie ufajcie nikomu powyżej dwudziestki piątki!

- Nie ufajcie nikomu powyżej dwudziestki piątki!

- Nie ufajcie nikomu powyżej dwudziestki piątki!

- Nie ufajcie nikomu powyżej dwudziestki piątki!

- Nie ufajcie nikomu powyżej dwudziestki piątki!

- Nie ufajcie nikomu powyżej dwudziestki piątki!

Uderzyła w ciężkie akordy, a druga gitarzystka, dziewczyna drobna jak skrzat z twarzą najeżoną kolczykami, włączyła się, grając wysokie lidl-di-lidl-di-di-di za dwunastym programem.

- To jest nasze cholerne miasto! To jest nasz cholerny kraj. Dopóki jesteśmy wolni, żaden terrorysta nie może ich nam odebrać. Jeśli utracimy naszą wolność, terroryści zwyciężą! Odzyskajcie ją! Odzyskajcie ją! Jesteście na tyle młodzi i na tyle głupi, że nie wiecie, że nie możecie wygrać, więc jesteście jedynymi ludźmi, którzy mogą doprowadzić nas do zwycięstwa! **O d z y s k a j c i e j ą !**

- **ODZYSKAJCIE JĄ!** - zaryczeliśmy. Uderzyła mocno w struny. Odpowiedzieliśmy krzykiem i wtedy zrobiło się naprawdę, naprawdę **GŁOŚNO**.

Tańczyłem dotąd, aż zrobiłem się tak zmęczony, że nie mogłem wykonać kolejnego kroku. Ange tańczyła obok mnie. W zasadzie nasze spocone ciała ocierały się o siebie od kilku godzin, ale wiercie lub nie, wcale nie zrobiłem się przez to napalony. Tańczyliśmy zatraceni w boskim rytmie, uderzeniach i krzyku: **ODZYSKAJCIE JĄ! ODZYSKAJCIE JĄ!**

Gdy już nie mogłem tańczyć, chwyciłem ją za rękę, a ona uściśniła ją tak, jakby miała zaraz spaść z wysokiego budynku. Zaciągnęła mnie na brzeg tłumu, gdzie było bardziej przestronnie i przyjemnie. Tam, na skraju parku Dolores, powietrze było chłodne i pot na naszych ciałach zrobił się natychmiast lodowaty. Zaczęliśmy się trząść, więc objęła mnie wpeł.

- Ogrzej mnie - powiedziała rozkazującym tonem. To mi wystarczyło. Objąłem ją. Jej serce biło w rytmie szybkich uderzeń dochodzących ze sceny; teraz to był breakbeat, szybki, gwałtowny, bez słów.

Pachniała potem. To był ostry, cierpki, wspaniały zapach. Wiedziałem, że pachnę tak samo. Mój nos sięgał czubka jej głowy, a jej twarz moich obojczyków. Przesunęła rękę w kierunku mojej szyi i ją do siebie przyciągnęła.

- Nachyl się, nie wzięłam drabiny - powiedziała, siląc się na uśmiech, ale ciężko się uśmiechać podczas pocałunku.



Jak już mówiłem, całowałem się z trzema dziewczynami w życiu. Dwie z nich nie całowały się wcześniej z nikim. Jedna chodziła z chłopakami od dwunastego roku życia. Miała problemy.

Żadna z nich nie całowała się tak jak Ange. Jej usta były gładkie niczym wewnątrz dojrzałego owocu. Nie wepchnęła mi języka do ust, lecz wsunęła go tam, ssąc jednocześnie swoimi ustami moje wargi. Nasze usta zdawały się łączyć w jedno. Usłyszałem swój jęk, chwyciłem ją i przycisnąłem mocniej do siebie.

Powoli, delikatnie osunęliśmy się na trawę. Leżeliśmy na boku w mocnym uścisku, całując się bez końca. Świat zniknął, istniały tylko nasze pocałunki.

Moje ręce znalazły jej pośladki, talię. Brzeg jej koszulki. Jej mokry brzuch, miękki pępek. Powędrowały wyżej. Też jęknęła.

- Nie tutaj - powiedziała. - Chodźmy tam.

Wskazała duży biały kościół po drugiej stronie ulicy, od którego pochodzi nazwa parku Mission Dolores oraz dzielnicy Mission. Trzymając się za ręce, ruszyliśmy w pośpiechu do kościoła. Przed wejściem wznosiły się wysokie kolumny. Oparła mnie plecami o jedną z nich i ponownie przyciągnęła moją twarz do swojej. Moje ręce powędrowały szybko i śmiało w kierunku jej koszulki. Wsunąłem je pod spód, z przodu.

- Rozpina się z tyłu - szepnęła mi w usta. Mój penis był tak twarde, że mógłbym ciąć nim szkło. Przesunąłem dłońmi po jej plecach i drżącymi palcami wymacałem zapięcie. Szarpałem nim przez chwilę, przypominając sobie te wszystkie kawały o chłopakach, którzy nie radzą sobie z odpinaniem staników. Nie byłem w tym dobry. Jednak wreszcie puściło. Ange westchnęła wprost do mojego ucha. Objąłem rękami jej ciało, wyczuwając wilgoć pod jej pachami, co było seksowne i z jakiegoś powodu wcale nieodrażające, a potem musnąłem brzoگی jej piersi.

Właśnie wtedy zawyły syreny.

Jeszcze nigdy nie słyszałem takiego hałasu. Ten dźwięk był jak fizyczne doznanie, jak coś, co zmiata człowieka z nóg. Był tak głośny,

że moje uszy z trudem mogły go przetworzyć, a potem stał się jeszcze głośniejszy.

- NATYCHMIAST SIĘ ROZEJŚĆ - oznajmił jakiś głos.

Przypominał brzęczący pod moją czaszką głos Boga. - TO JEST NIELEGALNE ZGROMADZENIE. NATYCHMIAST SIĘ ROZEJŚĆ.

Kapela przestała grać. Odgłosy tłumu po drugiej stronie ulicy zmieniły się. Byłem przerażony. Zły.

Usłyszałem dochodzący z kortów tenisowych dźwięk podłączanego systemu nagłaśniającego pod postacią głośników i akumulatorów samochodowych.

- ODZYSKAJMY JĄ!

To był okrzyk bojowy, krzyk ludzi wrzeszczących z klifu na przybrzeżne fale.

- ODZYSKAJMY JĄ!

Tłum wydawał groźne pomruki, od tego dźwięku włosy stanęły mi dęba na karku.

- ODZYSKAJMY JĄ! - skandował. - ODZYSKAJMY JĄ!

ODZYSKAJMY JĄ! ODZYSKAJMY JĄ!

Policjanci posuwali się rzędem, trzymali plastikowe tarcze, a na głowach mieli hełmy *à la* Darth Vader, które zakrywały im twarze. Wszyscy uzbrojeni byli w czarne pałki i noktowizory. Wyglądali jak żołnierze z jakiegoś futurystycznego filmu. Przesunęli się jednocześnie o jeden krok do przodu i wszyscy grzmotnęli pałkami o tarcze, wydając trzeszczący dźwięk, jakby pękała ziemia. Kolejny krok, kolejny trzask. Stali dookoła całego parku, coraz bardziej zacieśniając krąg.

- NATYCHMIAST SIĘ ROZEJŚĆ - rozległ się ponownie głos Boga. Nad naszymi głowami pojawiły się helikoptery. Bez reflektorów, ale z noktowizorami. Ci w powietrzu też je mieli. Przyparłem Ange do drzwi kościoła, ukrywając nas przed glinami i helikopterami.

- ODZYSKAJMY JĄ! - rozległo się z głośników. To był buntowniczy okrzyk Trudy Doo. Usłyszałem kilka rozdzierających akordów

jej gitary, potem uderzenia perkusji i głośny, głęboki bas.

- ODZYSKAJMY JA! - odpowiedział tłum, wylewając się z parku wprost na policję.

Nigdy nie byłem na wojnie, ale teraz myślę, że wiem, jak ona wygląda. Jak wyglądają przerażone dzieciaki na polu walki, które nacierają na nieprzyjacielskie siły, wiedząc, co się za chwilę stanie, lecz mimo to biegnąc, krzycząc, wrzeszcząc.

- NATYCHMIAST SIĘ ROZEJŚĆ - rozległ się głos Boga. Dochodził z ciężarówek zaparkowanych wokół parku, ciężarówek, które wtoczyły się tu w ciągu ostatnich kilku sekund.

Wtedy opadła mgła. Pochodziła z helikopterów, a my znaleźliśmy się na jej krańcach. Czuję się tak, jakby zaraz miała odpaść mi głowa, jakby w zatoki wbijano mi szpikulce. Oczy zaczęły mi puchnąć i łzawić i poczułem ucisk w gardle.

Gaz pieprzowy. Nie ten o mocy stu tysięcy w skali Scoville'a. Ten o mocy półtora miliona. Rozpylili gaz nad tłumem.

Nie widziałem, co stało się potem, ale słyszałem to wśród dźwięków naszego duszącego kaszlu. Trzymaliśmy się mocno nawzajem. Najpierw kaszel, potem odgłos wymiotów. Gitara, perkusja i bas nagle zamilkły. Potem kaszel.

Potem krzyk.

Długi, bardzo długi krzyk. Gdy odzyskałem wzrok, gliniarze mieli już noktowizory na czołach, a helikoptery zalały park Dolores takim światłem, że wydawało się, jakby zaczęło świtać. To była dobra wiadomość, bo przy mocnym świetle i uwadze wszystkich skupionej na parku my byliśmy całkowicie niewidoczni.

- Co robimy? - zapytała Ange zdławionym, przerażonym głosem.

Przez chwilę obawiałem się, że nie będę mógł mówić. Przełknąłem ślinę kilka razy.

- Idziemy stąd - powiedziałem. - Tylko tyle możemy zrobić. Odejść. Dojdziemy do parku i skręcimy w lewo, w 16th Street. Jakbyśmy tylko przechodzili. Jakby to nie była nasza sprawa.

- To się nie uda - odparła.
- Niczego lepszego nie wymyślę.
- A może powinniśmy pobiec?
- Nie - powiedziałem. - Jeśli będziemy biec, zaczną nas gonić.

Może jeśli będziemy szli, pomyślą, że nic nie zrobiliśmy, i nas puszczą. Muszą zaarrestować sporo osób. Będą jeszcze długo zajęci.

Park kołysał się od ciał, młodzieży i dorosłych, którzy chwyтали się za twarze, z trudem łapiąc oddech. Gliniarze ciągnęli ich, trzymając za ręce, potem plastikowymi kajdankami krępowali nadgarstki i wrzucali do ciężarówek niczym szmaciane lalki.

- OK? - zapytałem.
- OK - odparła.

Tak właśnie zrobiliśmy. Ruszyliśmy spacerowym krokiem, trzymając się za ręce, szybko, poważnie jak ludzie, którzy pragną uniknąć wszelkich kłopotów spowodowanych przez kogoś innego. Był to krok osób, które udają, że nie widzą zebra, lub nie chcą dać się wciągnąć w uliczną bójkę.

Udało się.

Dotarliśmy do rogu, skręciliśmy i ruszyliśmy dalej. Żadne z nas nie odważyło się odezwać jeszcze przez odległość dwóch przecznic. Potem wypuściłem z ust haust powietrza, choć dotąd nie zdawałem sobie sprawy z tego, że wstrzymywałem oddech.

Doszliśmy do 16th Street i skręciliśmy w kierunku Mission Street. Normalnie o drugiej w nocy w sobotę ta dzielnica jest dość przerażająca. Tej nocy była dla nas zbawieniem - te same stare ćpuny, dziwki, dilerzy i pijacy. Żadnych glin z pałkami, żadnego gazu.

- Hm - powiedziałem, oddychając mocnym powietrzem. - Kawa?
- Dom - odparła. - Chodźmy do domu. Kawa później.
- Tak - zgodziłem się. Mieszkała w Hayes Valley. Dostrzegłem toczącą się w naszym kierunku taksówkę, machnąłem ręką, żeby ją

zatrzymać. To był mały cud: gdy w San Francisco potrzebuje się taksówki, żadnej nie można znaleźć.

- Masz kasę na taksówkę do domu?
- Tak - odpowiedziała.

Taksówkarz spojrział na nas przez okno. Otwarłem tylne drzwi, żeby nie odjechał.

- Dobranoc - powiedziałem.

Objęła mnie za szyję i przyciągnęła moją głowę do swojej twarzy. Pocałowała mnie mocno w usta, nie było w tym nic z erotyzmu, lecz coś o wiele bardziej intymnego.

- Dobranoc - szepnęła mi do ucha i wślizgnęła się do taksówki.

W głowie miałem mętlik, moje oczy błędziły, płonąłem ze wstydu, bo zostawiłem tych wszystkich Xneterów na łasce i nielasce Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i policji San Francisco. W końcu poszedłem do domu.

W poniedziałek rano za biurkiem pani Galvez pojawił się Fred Benson.

- Pani Galvez nie będzie już uczyła waszej klasy - oznajmił, gdy zajęliśmy swoje miejsca. Powiedział to tonem pełnym samozadowolenia, który natychmiast rozpoznałem. Intuicja podpowiadała mi, żeby zerknąć na Charlesa. Uśmiechał się tak, jakby właśnie dostał najlepszy prezent urodzinowy na świecie.

Podniosłem rękę.

- Dlaczego?
- Regulamin szkoły pozwala rozmawiać o sprawach zatrudnienia wyłącznie z pracownikiem i komisją dyscyplinarną - odrzekł, nie ukrywając nawet, jak wielką przyjemność sprawiają mu te słowa. - Dzisiaj zaczniemy nowy rozdział dotyczący bezpieczeństwa wewnętrznego. W waszych schoolbookach znajdują się nowe teksty. Proszę, otwórzcie je na pierwszej stronie.

Na pierwszej stronie wyświetliło się logo DBW oraz tytuł: CO KAŻDY AMERYKANIN POWINIEN WIEDZIEĆ O BEZPIECZEŃSTWIE WEWNĘTRZNYM.

Miałem ochotę rzucić swoim schoolbookiem o podłogę.

Umówiłem się z Ange, że po szkole spotkamy się w kawiarni mieszczącej się w jej dzielnicy. Wskoczyłem do metra i usiadłem za dwoma kolesiami w garniturach. Spoglądali w „San Francisco Chronicle”, w której cała jedna strona poświęcona była „młodzieżowym zamieszkom” w parku Mission Dolores. Cmokali i gdakali z niezadowolaniem. Potem jeden powiedział do drugiego:

- Wygląda na to, że ktoś im zrobił niezłe pranie mózgu. Jezu, czy my kiedykolwiek byliśmy tacy głupi?

Wstałem i usiadłem w innym miejscu.

## ROZDZIAŁ 13

- To totalne dziwki - powiedziała Ange, prawie wypływając to słowo. - W zasadzie to obelga dla wszystkich ciężko pracujących dziwek. To, to są po prostu s p e k u l a n c i .

Patrzyliśmy na stos gazet, które przynieśliśmy ze sobą do kawiarni. Wszystkie zawierały „reportaże” o imprezie w parku Dolores, a ich autorzy, co do jednego, przedstawiali ją jako pijacką, narkotykową orgię dzieciaków, które zaatakowały policję. Gazeta „USA Today” przytoczyła koszty „zamieszek”, wliczając w to koszty zmycia osadu z gazu łzawiącego, lawinę ataków astmatycznych, które zablokowały oddziały intensywnej terapii w całym mieście, oraz koszty aresztowania ośmiuset „uczestników zamieszek”.

W żadnej z gazet nie przytoczono wypowiedzi drugiej strony.

- Cóż, przynajmniej Xnet nie kłamie - powiedziałem. Pokazałem jej całą masę blogów, filmików i zdjęć, jakie miałem na swojej komórce. Były to sprawozdania z pierwszej ręki, zrobione przez ludzi, którzy zostali spryskani gazem, pobici. Na jednym z filmików widać było, jak wszyscy tańczymy i bawimy się; pokazano pokojowe przemówienia polityczne do taktu skandowanych okrzyków: „Odzyskamy ją”, a także Trudy Doo mówiącą, że jesteśmy jedynym pokoleniem, które może uwierzyć w sens walki o wolność.

- Musimy powiadomić o tym ludzi - stwierdziła Ange.

- Tak - przytaknąłem posępnie. - Teoretycznie brzmi niezłe.

- A dlaczego twoim zdaniem prasa nigdy nie publikuje opinii ludzi stojących po naszej stronie?

- Sama już sobie odpowiedziałaś, to dziwki.

- Tak, ale dziwki robią to dla kasy. Gdyby mieli kontrowersyjne wypowiedzi, sprzedaliby więcej gazet i reklam. Teraz mają tylko przestępstwo, a tematy kontrowersyjne są o wiele lepsze.

- Jasne, kupuję to. Więc dlaczego tego nie robią? No cóż, reporterzy ledwie radzą sobie ze śledzeniem zwykłych blogów, nie mówiąc już o Xnecie. To niezbyt przyjazne miejsce dla dorosłych.

- No tak - westchnęła. - Ale my możemy to jakoś załatwić, co?

- Niby jak?

- Możemy to wszystko opisać. Umieścić w jednym miejscu, ze wszystkimi linkami. Takie pojedyncze miejsce, które każdy może odwiedzić, tak żeby dziennikarze znaleźli je i poznali pełną wersję wydarzeń. Można umieścić tam link do instrukcji obsługi Xnetu. Użytkownicy internetu mogliby dostać się do Xnetu pod warunkiem, że nie przejmują się tym, iż DBW dowie się, po jakich stronach surfowali.

- Myślisz, że to się uda?

- Cóż, nawet jeśli nie, to zawsze to jakaś pozytywna akcja.

- Dlaczego mieliby nas posłuchać?

- Kto by nie posłuchał M1k3ya?

Postawiłem kawę na stole. Wziąłem komórkę i wsunąłem ją do kieszeni. Wstałem, odwróciłem się na pięcie i wyszedłem z kawiarni. Skręciłem w jakimś przypadkowym kierunku i ruszyłem przed siebie. Miałem napiętą twarz, a krew napłynęła mi do żołądka, który podchodził mi do gardła.

Wiedzą, kim jestem, pomyślałem. Wiedzą, kim jest M1k3y. To był koniec. Jeśli Ange się domyśliła, DBW na pewno też. Było po mnie. Odkąd goście z Departamentu wypuścili mnie z ciężarówki, wiedziałem, że pewnego dnia przyjdą po mnie, aresztują, wsadzą na zawsze i wyślą tam gdzie Darryla, gdziekolwiek to jest.



To był koniec.

Gdy dotarłem na Market Street, o mało mnie nie przewróciła. Była zdyszana i wyglądała na wściekłą.

- Hej, facet, masz jakiś problem, do cholery?

Odtrąciłem ją i poszedłem dalej. Koniec.

Chwyciła mnie ponownie.

- Przestań, Marcus, przerażasz mnie. Chodź, porozmawiaj ze mną.

Stałem i spojrzałem na nią. Jej postać rozmazywała mi się przed oczami. Nie mogłem na niczym skupić wzroku. Opanowało mnie szalone pragnienie, żeby rzucić się pod tramwaj, który przemykał tuż obok nas, pośrodku drogi. Lepiej umrzeć, niż tam wrócić.

- Marcus!

Zrobiła coś, co widziałem tylko na filmach. Uderzyła mnie w policzek. To było mocne trzaśnięcie prosto w twarz.

- Powiedz coś, do cholery!

Spojrzałem na nią i położyłem dłoń na twarzy, która mocno paliła.

- Nikt nie powinien wiedzieć, kim jestem - wycedziłem. - Nie mogę tego prościej ująć. Jeśli ty wiesz, to koniec. Jeśli inni się dowiedzą, to koniec.

- O Boże, przepraszam. Zrozum, wiem o tym tylko dlatego, że zaszantażowałam Jolu. Po imprezie trochę cię śledziłam, bo próbowałam się dowiedzieć, czy jesteś takim fajnym chłopakiem, na jakiego wyglądasz, czy może masowym mordercą. Znam Jolu od bardzo dawna, a gdy go o ciebie zapytałam, rozpląnął się, jakbyś był co najmniej Chrystusem, który ponownie zstąpił na ziemię, ale wiedziałam, że coś przede mną ukrywa. Znam Jolu od bardzo dawna. Kiedyś chodził z moją siostrą na obozie informatycznym. Mam na niego niezłego haka. Powiedziałam mu, że wygadam o tym wszystkim, jeśli mi nie powie.

- Więc ci powiedział.

- Nie - odparła. - Powiedział mi, żebym się od niego odchrzaniła.

I wtedy ja powiedziałam mu coś o sobie. Coś, czego nigdy nikomu nie mówiłam.

- Co?

Popatrzyła na mnie. Obejrzała się dookoła. Potem znowu spojrzała na mnie.

- Dobrze. Nie będę cię prosiła, żebyś obiecał, że dochowasz tajemnicy, bo po co? Albo ci zaufam, albo nie. W zeszłym roku... - przerwała. - W zeszłym roku ukradłam testy szkolne i opublikowałam je w necie. Tak dla jaj. Przypadkiem przechodziłam obok gabinetu dyrektora i zauważyłam, że leżą w sejfie, a drzwi były otwarte. Zajrzałam do jego biura: były tam trzy zestawy kopii, więc po prostu włożyłam jeden do torby i wyszłam. Po powrocie do domu zeskanowałam je i wrzuciłam na serwer Partii Piratów w Danii.

- To byłeś ty?- zapytałem.

Zarumieniła się.

- Hm. Tak.

- O ja cię! - zakrzyknąłem.

To była niesłychana sensacja. Władze szkoły stwierdziły, że wyprodukowanie testów w ramach programu „Żadne dziecko nie zostanie pominięte” kosztowało miliony dolarów i że teraz, z powodu przecieku, będą musieli je wydać jeszcze raz. Nazwali to „eduterroryzmem”. W wiadomościach ciągle spekulowano na temat politycznych motywacji sprawcy przecieku, zastanawiając się, czy był to protest nauczyciela, czy może zrobił to uczeń, złodziej czy też niezadowolony dostawca rządowy.

- To byłeś TY?

- To byłam ja - przytaknęła ponownie.

- I powiedziałaś o tym Jolu...

- Bo chciałam go upewnić, że dotrzymam tajemnicy. Poznał mój sekret, więc miał już coś, co mógł wykorzystać, żeby wsadzić mnie do więzienia, gdybym puściła parę z gęby. Coś za coś.

*Quid pro quo, tak jak w Milczeniu owiec.*

- I on ci powiedział.
- Nie - odparła. - Nie powiedział.
- Ale...
- Potem przyznałam mu się, jak bardzo cię lubię. Jak planuję zrobić z siebie kompletną idiotkę i rzucić się na ciebie. Wtedy mi powiedział.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Patrzyłem na palce u stóp. Chwyliła mnie za rękę i uściśnęła je.

- Przepraszam, że to z niego wyciągnęłam. To ty powinieneś zdecydować, czy mi powiedzieć, jeśli w ogóle zamierzałeś mi powiedzieć. Ja nie powinnam...

- Nie - powiedziałem. Teraz, gdy już wiedziałem, w jaki sposób się dowiedziała, zacząłem się uspokajać. - Nie, to dobrze, że wiesz. Ty.

- Ja - przytaknęła. - Biedna mała Ange.

- OK, jakoś to przeżyję. Ale jest jeszcze jedna rzecz.

- Jaka?

- Bez względu na to, jak to powiem, wyjdę na idiotę, więc po prostu to powiem. Ludzie, którzy ze sobą chodzą, lub jakkolwiek nazwiesz to, co teraz robimy, rozstają się. Gdy się rozstają, wkurzają się na siebie. Czasem się nawet nienawidzą. Ciężko mi myśleć, że coś takiego może zajść między nami, ale wiesz, musimy to brać pod uwagę.

- Uroczyście przysięgam ci, że bez względu na to, co mi zrobisz, nie zdradzę twojego sekretu. Bez względu na wszystko. Możesz przy mojej matce przelecieć drużynę czirliderek w moim łóżku. Kazać mi słuchać Britney Spears. Ukraść mi laptop, rozwalić go młotkiem i zamoczyć w morskiej wodzie. Obiecuję. Bez względu na wszystko. Nigdy.

Wciągnąłem ze świstem trochę powietrza.

- Hm - bąknąłem.

- To dobra chwila, żeby mnie pocałować - dodała i nadstawiła usta.

Kolejny duży projekt M1k3ya w Xnecie polegał na ostatecznym zgromadzeniu wszystkich informacji o koncercie NIE UFAJCIE w parku Dolores. Zebrałem największe, najbardziej czadowe strony z sekcjami pokazującymi różnego rodzaju akcje według lokalizacji, czasu i kategorii - brutalność policji, taniec, następstwa akcji policyjnej, śpiew. Załadowałem cały koncert.

Właściwie pracowałem nad tym całą noc. I kolejną. I następną.

Ludzie zalali moją skrzynkę mailową własnymi sugestiami. Zrzućili mi zdjęcia ze swoich komórek i aparatów kieszonkowych. Dostałem też maila od osoby o znajomym imieniu - Dr Eeevil (przez potrójne „e”), jednego z pierwszych opiekunów ParanoidLinuksa.

> M1k3y

> Przyglądam się twojemu eksperymentowi z Xnetem z wielkim zainteresowaniem. Tutaj w Niemczech mamy spore doświadczenie w tym co dzieje się, gdy rząd wyrwie się spod kontroli.

> Powinieneś wiedzieć o jednej rzeczy: każdy aparat ma unikalną »sygnaturę szumu”, którą później można wykorzystać do połączenia obrazu z aparatem. Oznacza to, że zdjęcia, które ponownie publikujesz na swojej stronie, mogą być potencjalnie wykorzystane do identyfikacji fotografów, jeśli kiedyś zostaną złapani w innej sprawie.

> Na szczęście usuwanie sygnatur nie jest trudne. Twoje distro ParanoidLinuksa zawiera narzędzie, które możesz do tego wykorzystać - nazywa się photonomous, znajdziesz go w /usr/bin. Wystarczy, że przeczytasz dokumentację. To proste.

> Powodzenia. Nie daj się złapać. To twoja wolność. Twoja paranoja. Broń ich.

> Dr Eeevil

Usunąłem „odciski palców” ze wszystkich fotek, jakie wysłałem, i umieściłem zdjęcia ponownie razem z notatką, w której opisałem to, czego dowiedziałem się od Dr. Eeevila, namawiając pozostałych, żeby zrobili to samo. Mieliśmy zainstalowaną tę samą wersję podstawową

ParanoidXboksa, więc mogliśmy zadbać o anonimowość naszych fotek. Nie mogłem już niczego zrobić ze zdjęciami, które ktoś sobie zgrał lub które zostały gdzieś skeszowane, ale odtąd mieliśmy być przebieglejsi.

Zastanawiałem się nad tym całą noc, a rano zszedłem na śniadanie do kuchni, gdzie mama słuchała porannych wiadomości radiowych.

- Arabska agencja informacyjna Al-Dżazira pokazuje zdjęcia, filmy i relacje naocznych świadków młodzieżowych zamieszek, które miały miejsce w zeszłym tygodniu w parku Mission Dolores - powiedział spiker, podczas gdy ja piłem sok pomarańczowy. Udało mi się nie rozpryskać go dookoła, ale trochę się zakrztusiłem. - Dziennikarze Al-Dżaziry twierdzą, że reportaże te zostały opublikowane w tak zwanym Xnecie, tajnej sieci używanej przez studentów i sympatyków Al-Kaidy z okolicy zatoki San Francisco. Pogłoski na temat jej istnienia krążyły już od dawna, jednak dzisiaj po raz pierwszy wspomniano o tym oficjalnie.

Mama pokręciła głową.

- Jeszcze tego brakowało. Jakby nie wystarczyła nam policja. Dzieciaki biegają dookoła, udając partyzantów i dając im powód do prawdziwej zadymy.

- Na blogach w Xnecie znajdują się setki doniesień oraz plików multimedialnych młodych ludzi, którzy uczestniczyli w zamieszkach i którzy twierdzą, że dopóki nie zaatakowała ich policja, odbywało się tam pokojowe zgromadzenie. Oto jeden z takich komentarzy: „My tylko tańczyliśmy. Byłem tam ze swoim młodszym bratem. Kapele grały, a my rozmawialiśmy o wolności, o tym, jak ją tracimy przez tych cymbałów, którzy twierdzą, że nienawidzą terrorystów, ale to nas atakują, chociaż nie jesteśmy terrorystami, jesteśmy Amerykanami. Myślę, że nienawidzą wolności, i nas też nie. Tańczyliśmy, kapele grały i była świetna zabawa, a potem gliny zaczęły wrzeszczeć, żebyśmy się rozeszli. Zaczęliśmy krzyczeć: »Odzyskajmy ją!«. Chodziło

nam o odzyskanie Ameryki. Gliny spryskały nas gazem łzawiącym. Mój młodszy brat ma dwanaście lat. Przez trzy dni nie chodził do szkoły. Moi głupi rodzice mówią, że to moja wina. A co z policją? Płacimy im, żeby nas ochraniaли, a nie gazowali bez powodu, gazowali jak wrogich żołnierzy”. Podobne komentarze, włącznie z nagraniami i filmami, można znaleźć na stronie Al-Dżaziry oraz w Xnecie. Wskazówki, jak dostać się do Xnetu, znajdują się na stronie naszego radia.

Tata zszedł na dół.

- Używasz tego Xnetu? - zapytał. Spojrzał mi głęboko w oczy. Czulem, że cały się kulę.

- Tylko do gier wideo - odparłem. - Większość ludzi używa go w tym celu. To tylko sieć bezprzewodowa. Wszyscy tak zrobili z tymi Xboksami, które rozdawali w zeszłym roku.

Popatrzył na mnie spode łba.

- Gry? Marcusie, nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale dostarczasz przykrywki dla ludzi, którzy chcą zaatakować i zniszczyć ten kraj. Nie chcę widzieć, że używasz tego Xnetu. Nigdy więcej. Czy wyraziłem się jasno?

Miałem ochotę się z nim pokłócić. Do diabła, miałem ochotę potrząsnąć go za ramiona. Ale nie zrobiłem tego. Odwróciłem wzrok i wydusiłem z siebie:

- Jasne, tato.

I poszedłem do szkoły.

Na początku, kiedy odkryłem, że to nie Benson będzie nas uczył WOS-u, poczułem ulgę. Jednak kobieta, która miała go zastąpić, okazała się moim najgorszym koszmarem.

Była młoda, miała jakieś dwadzieścia osiem lub dwadzieścia dziewięć lat, i ładna w jakiś taki zdrowy sposób. Miała blond włosy i gdy przedstawiła się nam jako pani Andersen, okazało się, że mówi z lekkim południowym akcentem. To wzbudziło moje podejrzenie. Nie znałem ż a d n e j kobiety poniżej sześćdziesiątki, która nazywałaby sama siebie panią.

Ale mogłem przymknąć na to oczy. Była młoda, ładna i miała miły głos. Liczyłem na to, że będzie w porządku.

Ale nie była.

- W jakich okolicznościach rząd federalny powinien zawiesić Kartę Praw? - zapytała, odwracając się do tablicy i zapisując na niej rząd numerków od jednego do dziesięciu.

- Nigdy - odpowiedziałem, nie czekając, aż udzieli mi głosu. To było proste. - Wszyscy powinniśmy bezwzględnie przestrzegać praw konstytucyjnych.

- To niezbyt wyszukana opinia.

Spojrzała na listę nazwisk w dzienniku.

- Marcusie. Powiedzmy, że policjant bez zezwolenia przeszukuje twoje mieszkanie. Przekracza swoje kompetencje, znajduje za to niezbity dowód, dzięki któremu można udowodnić winę zabójcy twojego ojca. Jest to jedyny istniejący dowód. Czy ten bandyta powinien pozostać na wolności?

Znałem odpowiedź, ale nie umiałem jej do końca wytłumaczyć.

- Tak - odparłem w końcu. - Policja nie powinna bez zezwolenia przeszukiwać mieszkań.

- Mylisz się - powiedziała. - Właściwą reakcją na wykroczenie policji jest postępowanie dyscyplinarne przeciwko niej, a nie karanie całego społeczeństwa za błąd jednego policjanta.

Obok pierwszego punktu na tablicy napisała: „Przestępstwo”.

- Kiedy jeszcze powinno się zawiesić Kartę Praw?

Charles podniósł rękę.

- Kiedy ktoś krzyczy „pali się” w zatłoczonym teatrze?

- Bardzo dobrze... - spojrzała w dziennik - Charles. Istnieje wiele przypadków, w których nie musimy bezwzględnie przestrzegać Pierwszej Poprawki. Wypiszmy jeszcze kilka z nich.

Charles ponownie podniósł rękę.

- Grożenie funkcjonariuszowi policji.

- Tak, ujawnienie tożsamości tajnego policjanta lub agenta służb wywiadowczych. Bardzo dobrze.

Zapisała to na tablicy.

- Inne?

- Bezpieczeństwo wewnętrzne - wystrzelił Charles, nie czekając, aż udzieli mu ponownie głosu. - Zniesławienie. Nieprzyzwoitość. Deprawacja nieletnich. Pornografia dziecięca. Przepisy na produkcję bomb.

Pani Andersen zapisała to wszystko szybko na tablicy, ale zatrzymała się przy pornografii dziecięcej.

- Pornografia dziecięca jest tylko formą nieprzyzwoitości.

Zrobiło mi się niedobrze. Nie tego nauczyłem się o moim kraju, nie w to wierzyłem. Podniosłem rękę.

- Tak, Marcusie?

- Nie rozumiem. To brzmi tak, jakby Karta Praw miała charakter opcjonalny. To jest konstytucja. Powinniśmy jej bezwzględnie przestrzegać.

- To częste uproszczenie - odparła, uśmiechając się do mnie sztucznie. - Jednak faktem jest, że twórcy konstytucji chcieli, żeby był to żywy dokument, który z biegiem czasu będzie korygowany. Rozumieli, że republika nie będzie mogła trwać wiecznie, jeśli bieżący rząd nie będzie odpowiadał na bieżące potrzeby. Nigdy nie chcieli, aby postrzegano konstytucję jako doktrynę religijną. Jakkolwiek by na to patrzeć, przybyli tutaj w ucieczce przed doktryną religijną.

Pokręciłem głową.

- Co? Nie. To byli kupcy i rzemieślnicy lojalni wobec króla, dopóki ten nie ustanowił polityki, którą brutalnie im narzucano wbrew ich interesom. Uchodźcy religijni to o wiele wcześniejsza historia.

- Niektórzy z twórców konstytucji byli potomkami uchodźców religijnych - powiedziała.

- Ale Karta Praw to nie coś, z czego można wybierać. Jej twórcy najbardziej nie znosili tyranii. Właśnie przed nią ma nas uchronić Karta Praw. Byli rewolucyjną armią, która chciała ustanowić zestaw zasad, z jakimi każdy mógłby się zgodzić. Życie, wolność i dążenie do szczęścia. Prawo ludzi do obalania ciemnych.



- Tak, tak - przytaknęła, machając ręką w moim kierunku. - Uznali, że ludzie mają prawo pozbywać się władców, ale...

Charles wyszczerzył zęby w uśmiechu, a gdy to powiedziała, jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

- Ustanowili Kartę Praw, ponieważ sądzili, że posiadanie bezwzględnych praw jest lepsze niż ryzyko, że ktoś je im zabierze.

Na przykład Pierwsza Poprawka, której zadaniem jest chronić nas przed dwugłosem rządzących: głosem dozwolonym i głosem przestępcy. Chcieli uniknąć ryzyka, że jakiś cymbał zdelegalizuje to, co jemu wydaje się nieprzyjemne.

Odwróciła się i zapisała na tablicy: „Życie, wolność i dążenie do szczęścia”.

- Wychodzimy trochę poza program lekcji, ale wydaje mi się, że jesteście grupą zaawansowaną.

W klasie rozległ się nerwowy śmiech.

- Rolą rządu jest zapewnienie obywatelom prawa do życia, wolności i dążenia do szczęścia. W tej kolejności. To taki filtr. Jeśli rząd chce zrobić coś, przez co czujemy się trochę nieszczęśliwi, lub odebrać nam część naszej wolności, w porządku, pod warunkiem że robi to po to, by chronić nasze życie. Dlatego policjanci mogą was aresztować, jeśli ich zdaniem stanowicie zagrożenie dla samych siebie lub dla innych. Traciecie wolność i szczęście, aby chronić życie.

Dopiero mając życie, możecie starać się o wolność i szczęście.

Kilka osób podniosło ręce.

- Czy to nie oznacza, że mogą robić wszystko, co chcą, jeśli stwierdzą, że ma to powstrzymać kogoś, kto mógłby w przyszłości nas zranić?

- Tak- przytaknął następny uczeń. - To brzmi tak, jakby pani mówiła, że bezpieczeństwo wewnętrzne jest ważniejsze od konstytucji.

Poczułem się wtedy taki dumny z moich kolegów. Powiedziałem:

- Jak można zapewnić wolność, zawieszając Kartę Praw?

Potrząsnęła głową w naszym kierunku, jakbyśmy byli bardzo głupi.

- Ci „rewolucyjni” ojcowie założyciele zabijali zdrajców i szpiegów. Nie wierzyli w wolność absolutną, nie wtedy, gdy zagrażała republice. Weźcie na przykład tych Xneterów...

Robiłem wszystko, żeby nie zeszywnieć.

- ...tych tak zwanych zadymiarzy, mówili o nich dzisiaj w porannych wiadomościach. Po ataku na miasto dokonany przez ludzi, którzy wypowiedzieli wojnę temu krajowi, zaczęli sabotować środki bezpieczeństwa podjęte w celu złapania przestępców i powstrzymania ich przed kolejnymi atakami. Zrobili to, narażając swoich współobywateli i przysparzając im kłopotów...

- Zrobili to, żeby pokazać, że nasze prawa zostały odebrane w imię ich ochrony! - powiedziałem. No dobra, krzyknąłem. Boże, jak ona mnie wkurzyła. - Zrobili to, bo rząd traktował każdego jak podejrzanego terrorystę.

- Więc chcieli udowodnić, że nie powinno się ich traktować jak terrorystów - krzyknął Charles w odpowiedzi - i zachowali się jak terroryści? Więc sięgnęli po terroryzm?

Kipiało we mnie.

- Och, na miłość boską. Sięgnęli po terroryzm? Pokazali, że powszechny nadzór jest bardziej niebezpieczny niż terroryzm. Spójrz, co się stało w parku w zeszły weekend. Ci ludzie tańczyli i słuchali muzyki. Czy to jest terroryzm?

Nauczycielka przeszła na drugą stronę klasy, stanęła przede mną i wisiała mi tak nad głową, dopóki się nie zamknąłem.

- Marcus, wydaje mi się, że twoim zdaniem w tym kraju nic się nie zmieniło. Musisz zrozumieć, że wysadzenie Bay Bridge zmieniło wszystko. Tysiące naszych znajomych i krewnych leży martwych na dnie zatoki. Nadszedł czas narodowego zjednoczenia w obliczu brutalnej zniewagi, której doświadczył ten kraj...

Wstałem. Miałem już dość tych bzdetów w stylu „wszystko się zmieniło”.

- Narodowego zjednoczenia? Przecież cały sens Stanów Zjednoczonych Ameryki tkwi w tym, że tutaj akceptuje się różne punkty

widzenia. Jesteśmy krajem dysydentów, bojowników, ludzi, którzy rzucili studia, i osób walczących o wolność słowa.

Pomyślałem o ostatniej lekcji z panią Galvez oraz o tysiącach studentów z Berkeley otaczających samochód policji, która chciała aresztować chłopaka za rozprowadzanie materiałów informacyjnych o prawach obywatelskich. Teraz nikt nie starał się zatrzymać ciężarówek, gdy odjeżdżały z tymi wszystkimi ludźmi, którzy tańczyli w parku. Ja też nie. Uciekłem.

Być może rzeczywiście wszystko się z m i e n i ł o .

- Myślę, że wiesz, gdzie jest gabinet pana Bensona - zwróciła się do mnie. - Masz się tam natychmiast stawić. N i e będę tolerować tak niegrzecznego zachowania na moich lekcjach. Jak na kogoś, kto twierdzi, że kocha wolność słowa, przejawiasz zbyt dużą ochotę, aby zakrzywić każdego, kto się z tobą nie zgadza.

Wziąłem swojego schoolbooka, torbę i wypadłem z klasy jak burza. Drzwi miały zawiasy ze spowalniaczami, więc nie można było nimi trzaskać, gdyby nie to, rąbnąłbym nimi.

Poszedłem szybko do gabinetu Bensona. Cały czas filmowały mnie kamery. Rejestrowały mój chód. Czujniki RFID w moim szkolnym identyfikatorze transmitowały dane na mój temat do czujników rozmieszczonych na korytarzu. Jak w więzieniu.

- Zamknij drzwi, Marcusie - powiedział Benson. Odwrócił swój ekran tak, żeby móc patrzeć na nagranie z lekcji WOS-u. Oglądał je.

- Co masz na swoją obronę?

- To nie była nauka, to była p r o p a g a n d a . Powiedziała nam, że konstytucja nie ma znaczenia!

- Nie, powiedziała, że to doktryna religijna. A ty zaatakowałeś ją niczym jakiś fundamentalista, udowadniając, że ma rację. Marcusie, kto jak kto, ale ty powinieneś zrozumieć, że po wysadzeniu mostu wszystko się zmieniło. Twój przyjaciel Darryl...

- Niech pan nawet o nim nie wspomina! - krzyknąłem, kipiąc ze złości. - Nie ma pan prawa o nim mówić. Tak, rozumiem, że wszystko jest teraz inne. Kiedyś żyliśmy w wolnym kraju. A teraz nie.

- Marcusie, wiesz, co oznacza „zero tolerancji”?

Dałem za wygraną. Mógł mnie wywalić ze szkoły za „groźne zachowanie”. Program „zero tolerancji” był wymierzony przeciwko dzieciakom z gangów, które próbowały zastraszyć swoich nauczycieli. Ale oczywiście nie miałyby żadnych skrupułów, żeby wykorzystać go przeciwko mnie.

- Tak - odparłem. - Wiem, co to znaczy.

- Myślę, że jesteś mi winien przeprosiny - zasugerował.

Spojrzałem na niego. Ledwie mógł się powstrzymać od swojego sadystycznego uśmiešku. Jakaś część mnie chciała się przed nim płaszczyć. Chciała błagać o przebaczenie za cały wstyd, który przyniosłem. Ujarzmiłem tę część i postanowiłem, że prędzej wykopie mnie ze szkoły, niż doczeka się przeprosin.

- „Wyłonięte zostały wśród ludzi rządy, których sprawiedliwa władza wywodzi się ze zgody rządzonych. Że jeżeli kiedykolwiek jakakolwiek forma rządu uniemożliwiłaby osiągnięcie tych celów, to naród ma prawo taki rząd zmienić lub obalić i powołać nowy, którego podwalinami będą takie zasady i taka organizacja władzy, jakie wydadzą się narodowi najbardziej sprzyjające dla szczęścia i bezpieczeństwa”. - Pamiętałem to co do słowa.

Potrząsnął głową.

- Pamiętanie rzeczy to nie to samo, co ich rozumienie, synu. - Nachylił się nad komputerem i kliknął kilka razy. Zamruczała drukarka. Wręczył mi kartkę ciepłego papieru firmowego szkoły i oznajmił, że zostałem zawieszony na dwa tygodnie.

- Teraz wyślę e-mail do twoich rodziców. Jeśli za trzydzieści minut będziesz nadal przebywał na terenie szkoły, zostaniesz aresztowany za wtargnięcie.

Spojrzałem na niego.

- Chyba nie chcesz wypowiedzieć mi wojny w mojej własnej szkole - dodał. - Nie możesz jej wygrać. IDŹ!

Wyszedłem.

## ROZDZIAŁ 14

Kiedy wszyscy użytkownicy Xnetu siedzieli w szkole, korzystanie z niego nie było zabawne. W tylnej kieszeni dżinsów miałem złożoną kartkę, którą po przyjściu do domu rzuciłem na stół kuchenny. Usiadłem w pokoju gościnnym i włączyłem telewizję. Rzadko ją oglądałem, ale wiedziałem, że robili to moi rodzice. Wszystkie swoje poglądy o świecie czerpali z telewizji, radia i gazet.

Wiadomości były okropne. Istniało tyle powodów, żeby się bać. Żołnierze amerykańscy ginęli na całym świecie. Nie tylko żołnierze. Funkcjonariusze Gwardii Narodowej, którzy zapisali się na służbę, myśląc, że będą ratowali ludzi przed huraganami, stacjonowali teraz latami za granicą, uczestnicząc w długiej, niekończącej się wojnie.

Przeleciałem wszystkie dwudziestoczworogodzinne programy informacyjne, jeden po drugim: parada urzędników tłumacząca nam, dlaczego powinniśmy być przerażeni. Defilada zdjęć bomb wybuchających na całym świecie.

Przerzucałem kolejne kanały i nagle złapałem się na tym, że patrzę na znajomą twarz. Ten koleś wszedł do ciężarówki, na której tyłach byłem przykuty, i rozmawiał z Miss Gestapo. Miał na sobie mundur żołnierski. Podpis mówił, że jest to generał Graeme Sutherland, dowódca regionalny Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

- Trzymam w rękach materiały informacyjne, które rozdawano na tak zwanym koncercie w parku Dolores w zeszłym tygodniu.

Podniósł stos broszurek. Pamiętam, że rozdawało je tam wiele osób. Jeśli gdziekolwiek w San Francisco napotkacie grupę ludzi, znajdziecie tam też broszury.

- Chciałbym, aby przez chwilę państwo na to zerknęli. Pozwólcie, że przeczytam tytuły. *Bez zgody rządzonych: Obywatelska instrukcja obalenia państwa*. I jeszcze jeden: *Czy zamach terrorystyczny z 11 września naprawdę miał miejsce?* I kolejny: *Jak obrócić służby bezpieczeństwa przeciwko nim samym*. Te broszury pokazują nam prawdziwy powód nielegalnego zgromadzenia w sobotnią noc. To nie było jedynie niebezpieczne zgromadzenie tysięcy ludzi, którzy nie podjęli odpowiednich środków ostrożności, ba, nawet nie zaopatrzyli się w toalety. To był więc rekrutacyjny wroga. To była próba deprawacji dzieci i wmówienia im, że Ameryka nie powinna się bronić. Weźmy na przykład ten slogan: NIE UFAJCIE NIKOMU POWYŻEJ 25-TKI. Czy jest lepszy sposób, żeby nie dopuścić do jakiegokolwiek przemyślanej, wyważonej i dojrzałej dyskusji na temat tego proterrorystycznego przesłania, niż wyeliminowanie dorosłych i jednocześnie ograniczenie własnej grupy do łatwowiernych młodych ludzi?

Kiedy na scenę weszła policja - ciągnął swój wywód - okazało się, że trwa tam wiec rekrutujący wrogów Ameryki. Zgromadzenie to zakłóciło ciszę nocną setek mieszkańców tej okolicy, z którymi nie skonsultowano się w sprawie organizacji owej całonocnej imprezy.

Kazano zebranim rozejść się, widać to na wszystkich nagraniach, a kiedy ci imprezowicze, zachęceni przez muzyków na scenie, szykowali się do ataku na policję, ta poskromiła ich, wykorzystując humanitarne techniki kontroli tłumu.

Aresztowano prowodyrów i prowokatorów - kontynuował - którzy przyprowadzili tam tysiące łatwowiernych młodych ludzi, aby zaatakować policję. Ośmiuset dwudziestu siedmiu z nich zostało aresztowanych. Wielu z tych ludzi miało już na swoim koncie wcześniejsze

przestępstwa. Ponad sto osób miało zaległe wyroki. Nadal przebywają w areszcie.

Szanowni państwo - oznajmił wreszcie z naciskiem - Ameryka toczy wojnę na wielu frontach, ale nigdzie nie stoi w obliczu tak poważnego niebezpieczeństwa jak tu, w domu. Bez względu na to, czy atakują nas terroryści, czy ci, którzy z nimi sympatyzują.

Dziennikarz podniósł rękę i powiedział:

- Panie generale, z pewnością nie twierdzi pan, że te dzieciaki sympatyzują z terrorystami tylko dlatego, że przyszły na koncert w parku?

- Oczywiście, że nie. Ale kiedy młodzi ludzie dostaną się pod wpływ wrogów naszego kraju, staną się jeszcze groźniejsi niż oni. Terroryści pragną zrekrutować piątą kolumnę, żeby walczyła dla nich na ojczyźnej ziemi. Gdyby to były moje dzieci, byłbym poważnie zaniepokojony.

Wtedy wtrącił się drugi dziennikarz:

- Z pewnością chodzi tu tylko o koncert pod gołym niebem, generale. Nie mają wprawy w posługiwaniu się bronią.

General wyjął stos zdjęć i zaczął je podnosić.

- To są zdjęcia zrobione przez policjantów aparatami na podczerwień tuż przed wejściem na korty.

Umieścił je obok swojej twarzy i pokazywał je jedno po drugim. Byli na nich dość ostro tańczący ludzie, niektórzy przygnieceny, inni podeptani. Potem zaczęła się seria ze scenami miłosnymi pod drzewami, dziewczyna z trzema chłopakami, dwóch całujących się nawzajem facetów.

- Na tej imprezie były dziesięcioletnie dzieci. Śmiertelna mieszanka narkotyków, propagandy i muzyki, których efektem były dziesiątki rannych osób. To cud, że nikt nie zginął.

Wyłączyłem telewizor. Pokazywali to tak, jakby chodziło o zamieszki. Gdyby moi rodzice dowiedzieli się, że tam byłem, przypięliby mnie na miesiąc pasami do łóżka, a potem wypuszczali z domu tylko

w elektronicznej obroży.

A jeśli już o tym mówimy, to przeczuwałem, że będą wkurzeni, gdy dowiedzą się, że zostałem zawieszony.

Nie przyjęli tego dobrze. Tata chciał mnie uziemić, ale razem z mamą wyperswadowaliśmy mu to.

- Wiesz, że wicedyrektor od lat czepiał się Marcusa - broniła mnie mama. - Po ostatnim spotkaniu z nim przeklinałeś go jeszcze przez godzinę. Myślę, że wielokrotnie padło wtedy słowo „duppek”.

Tata pokręcił głową.

- „Zakłócanie lekcji argumentami przeciwko Departamentowi Bezpieczeństwa Wewnętrznego”...

- To była lekcja WOS-u, tato - powiedziałem. Było mi już wszystko jedno, ale uznałem, że jeśli mama się za mną wstawia, to powinienem jej pomóc. - Rozmawialiśmy o DBW Przecież w dyskusji każdy powinien mieć prawo do wyrażenia swoich poglądów, prawda?

- Zrozum, synu - odparł. Często w takich chwilach zaczynał zwracać się do mnie per „synu”. Czułem się wtedy tak, jakby nie myślał już o mnie jak o osobie, lecz na wpół ukształtowanej larwie, którą trzeba wyprowadzić z wieku dojrzewania. Nie znośiłem tego. - Będziesz musiał pogodzić się z faktem, że żyjemy teraz w innym świecie. Masz oczywiście pełne prawo, aby wypowiadać swoje zdanie, ale musisz się przygotować na konsekwencje takiego zachowania. Musisz zmierzyć się z faktem, że są ludzie, którzy ranią, którzy nie mają zamiaru dyskutować o bardziej wartościowych aspektach konstytucji, gdy ich życie wisi na włosku. Teraz płyniemy na łodzi ratunkowej, a jeśli już znajdziesz się na łodzi ratunkowej, nikt nie chce słyszeć o tym, jak podły jest kapitan.

O mało nie przewróciłem oczami.

- Zadali mi dwa tygodnie nauczania indywidualnego, z każdego przedmiotu mam pracę domową, mam oprzeć się na wydarzeniach w mieście: referat z historii, z WOS-u, angielskiego i fizyki. To lepsze niż siedzenie w domu przed telewizorem.



Tata spojrział na mnie poważnym wzrokiem, jakby podejrzewał, że mam jakieś nieczne zamiary, a potem przytaknął. Powiedziałem „dobranoc” i udałem się do swojego pokoju. Odpaliłem Xboksa, otworzyłem edytor tekstu i zacząłem zbierać pomysły do swoich wypracowań. Dlaczego nie? To o wiele lepsze niż palętanie się po domu.

Tej nocy skończyłem na czacie z Ange, co zajęło nam całkiem sporo czasu. Współczuła mi i powiedziała, że jeśli spotkam się z nią wieczorem następnego dnia, pomoże mi napisać te prace. Wiedziałem, do której szkoły chodziła - do tej samej co Van, to było zupełnie po drugiej stronie miasta, na wschodnim brzegu zatoki, gdzie nie byłem od czasu eksplozji.

Na myśl o tym spotkaniu czułem się naprawdę podekscytowany. Każdej nocy od czasu imprezy kładłem się do łóżka, myśląc o dwóch rzeczach: o widoku tłumu atakującego kordony policji i dotyku brzegów jej piersi pod koszulką, gdy opierała się o filar. Była niesamowita. Nigdy nie byłem z dziewczyną tak... agresywną jak ona. Zawsze to ja posuwałem się dalej, a one mnie odpychały. Miałem wrażenie, że Ange była tak samo napalona jak ja. To była kusząca fantazja.

Tej nocy spałem głęboko i miałem podniecające sny o mnie i Ange, i o tym, co mogłoby między nami zajść, gdybyśmy znaleźli się w jakimś ustronnym miejscu.

Następnego dnia zabrałem się do pracy nad moimi wypracowaniami. San Francisco to dobre miejsce do opisywania. Historia? Pewnie, trochę jej tu jest, począwszy od gorączki złota, po stoczenie z czasów drugiej wojny światowej, obozy internowania dla Japończyków, wynalezienie peceta. Fizyka? W żadnym muzeum, w jakim dotychczas byłem, nie widziałem fajniejszych eksponatów od tych w Exploratorium\*. Poczulem perwersyjną satysfakcję, oglądając eksponaty dotyczące przechodzenia gleby w stan ciekły podczas dużych trzęsień

\* Exploratorium - eksperymentalne muzeum nauki, sztuki i percepcji ludzkiej w San Francisco.

ziemi. Angielski? Jack London, beatnicy, pisarze *science fiction*, tacy jak Pat Murphy i Rudy Rucker. Nauki społeczne? Ruch Wolności Słowa, Cesar Chavez, prawa gejów, feminizm, ruch antywojenny... Zawsze lubiłem się uczyć dla samej nauki. Żeby więcej wiedzieć na temat otaczającego mnie świata. Mogłem to robić, przechadzając się po prostu po mieście. Postanowiłem, że najpierw napiszę wypracowanie o beatnikach. Na piętrze w księgarni City Lights znajdowała się wielka biblioteka, gdzie Allen Ginsberg i jego kumple tworzyli swoją radykalną, narkotyczną poezję. Na lekcji angielskiego czytaliśmy *Skowyt* i nigdy nie zapomnę pierwszych wersów tego wiersza, od których przeszły mi dreszcze po karku:

*Widziałem najlepsze umysły mego pokolenia  
zniszczone szaleństwem, głodne historyczne  
nagie, włączące się o świcie po murzyńskich  
dzielnicach w poszukiwaniu wścieklej dawki haszu,  
anielogłowych hipstersów spragnionych pradawnego  
niebiańskiego podłączenia do gwiazdnej prądnicy  
w maszynerii nocy [...]\*\**

\*\* A. Ginsberg, *Skowyt*, [w:] *idem, Utwory poetyckie*, tłum. B. Baran, Kraków 1984, s. 7.

Podobało mi się, jak połączył te wyrazy: „głodne historyczne nagie”. Znałem to uczucie. I „najlepsze umysły mego pokolenia” też dały mi ostro do myślenia. Przypomniały mi o parku, policji i opadającym gazie. Ginsberga przymknęli za nieprzyzwoitość *Skowytu* - chodziło mniej więcej o jeden wers dotyczący seksu gejowskiego, na który dzisiaj pewnie ledwie zwrócilibyśmy uwagę.

Poczułem się w pewnym sensie szczęśliwy, wiedząc, że daje się dostrzec jednak jakiś postęp. Że kiedyś było jeszcze bardziej restrykcyjnie niż teraz.

Zatraciłem się zupełnie w bibliotece, czytając te piękne stare wydania książek. Zatraciłem się w książce pod tytułem *W drodze* Jacka

Kerouaca, w powieści, którą od dawna chciałem przeczytać, a obsługujący mnie sprzedawca przytaknął przychylnie i znalazł dla mnie tańsze wydanie, które sprzedał mi za sześć dolców.

Poszedłem do Chinatown i zamówiłem bułeczki dim sum oraz makaron z pikantnym sosem, który kiedyś uważałem za dosyć ostry. Jednak po tym, jak spróbowałem specjału Ange, jego moc jakoś przysła.

Gdy zbliżało się popołudnie, wsiałem do metra, a potem przesiadłem się do autobusu na moście San Mateo i pojechałem na wschodni brzeg zatoki. Czytałem *W drodze* i wpatrywałem się w umykający krajobraz. Ta książka to na wpół autobiograficzna powieść o Jacku Kerouacu, ćpającym, ostro popijającym pisarzu, który jeździ na stopa po Ameryce, łapie się nędznych fuch, wyje na ulicach po nocy, spotyka ludzi i rozstaje się z nimi. Hipsterzy, włóczędzy o smutnych twarzach, oszuści, uliczni bandyci, kanalie i anioły. Nie ma tu jednego wątku - Kerouac przypuszczalnie napisał to w ciągu trzech tygodni na długiej rolce papieru, będąc totalnie naćpany - to tylko sterta zadziwiających zdarzeń następujących jedno po drugim. Zaprzyjaźnia się z autodestrukcyjnymi ludźmi, takimi jak Dean Moriarty, a ten wkręca go w dziwaczne plany, z których nigdy, naprawdę nigdy, nic nie wychodzi, ale i tak jakoś to jest. Wiecie, co mam na myśli.

W tych słowach tkwił pewien pociągający rytm, w myślach słyszałem ich brzmienie, jakby ktoś czytał je na głos. Miałem ochotę walnąć się na pryczy w furgonetce i obudzić w jakimś zakurzonej miasteczku, gdzieś w Dolinie Kalifornijskiej, w drodze do Los Angeles, w jednym z tych miejsc ze stacją benzynową i tanią knajpą, i przejść się tak po prostu po polach, i spotykać ludzi, oglądać różne rzeczy i robić różne rzeczy.

Ta podróż autobusem była długa i widocznie musiałem się trochę zdrzemnąć - czatowanie z Ange do późna w nocy trochę zakłóciło mój harmonogram snu, bo mama wciąż oczekiwała, że zejść na śniadanie. Obudziłem się, przesiadłem do innego autobusu i wkrótce znalazłem się przed szkołą Ange.

Wybiegła w podskokach przez bramę ubrana w mundurek - nigdy dotąd jej w nim nie widziałem. W jakiś dziwny sposób wyglądał słodko i przypomniiał mi Van. Obdarzyła mnie długim uściskiem i mocnym pocałunkiem w policzek.

- No, cześć! - powiedziała.
- Hej!
- Co czytasz?

Czekałem na to. Zaznaczyłem fragment palcem.

- Posłuchaj: „Ale wtedy jeszcze tańczyli na ulicach, jakby mieli kuku na muniu, a ja kuśtykałem za nimi, tak jak przez całe życie kuśtykam za fascynującymi mnie ludźmi, bo dla mnie prawdziwymi ludźmi są szaleńcy ogarnięci szalem życia, szalem rozmowy, chęcią zbawienia, pragnący wszystkiego naraz, ci, co nigdy nie ziewają, nie plotą banałów, ale płoną, płoną, płoną, jak bajeczne ręce eksplodujące niczym pająki na tle gwiazd, aż nagle strzela niebieskie jądro i tłum krzyczy »Oooo«,\*,\*.

\* J. Kerouac, *W drodze*, tłum. A. Kołyszko, Warszawa 2009, s. 11-12.

Wzięła książkę i jeszcze raz, po cichu przeczytała ten fragment.

- No, no, „pająki na tle gwiazd”! To jest czadowe! Czy cała książka jest taka?

Gdy zśliśmy powoli chodnikiem w kierunku przystanku autobusowego, streściłem jej fragmenty, które już przeczytałem. Tuż za rogiem objęła mnie w pól ramieniem, a moje zarzuciła na siebie. Spacer po ulicy z dziewczyną - moją dziewczyną? Pewnie, dlaczego nie? - rozmowa o tej fajowej książce. Było jak w niebie. Przez chwilę zapominałem o kłopotach.

- Marcus?

Odwróciłem się. To była Van. Podświadomie spodziewałem się tego. Byłem tego pewien, bo moja świadomość nie czuła się jakoś mocno zaskoczona. To nie była duża szkoła i wszyscy uczniowie wychodzili z niej o tej samej porze. Nie rozmawiałem z Van od tygodni, lecz wydawało się, jakby minęły miesiące. Kiedyś rozmawialiśmy codziennie.

- Cześć, Van - powiedziałem. Miałem ochotę zdjąć ręce z ramion Ange, ale jakoś stłumiłem w sobie to uczucie. Van wyglądała na zaskoczoną, ale nie złą. Miała bladą skórę, była roztrzęsiona. Patrzyła na nas uważnie.

- Angela?

- Hej, Vanessa - odpowiedziała Ange.

- Co ty tutaj robisz?

- Przyszedłem po Ange - odparłem, starając się utrzymać neutralny ton głosu. Poczulem się speszony, bo zobaczyła mnie z inną dziewczyną.

- O! - powiedziała Van. - No cóż, miło mi było was zobaczyć.

- Nam też, Vanessa - dodała Ange, obracając mnie gwałtownym ruchem i prowadząc w kierunku przystanku autobusowego.

- Znasz ją? - zapytała Ange.

- Tak, od zawsze.

- Chodziłeś z nią?

- Co? Nie! Coś ty! Byliśmy tylko przyjaciółmi.

- B y l i ś c i e przyjaciółmi?

Miałem wrażenie, że Van idzie tuż za nami, podsłuchując, chociaż przy tempie, jakie narzuciliśmy, musiałaby biec, żeby nas dogonić. Długo opierałem się pokusie, żeby się obejrzeć, aż w końcu nie wytrzymałem. Za nami szło wiele dziewczyn z tej szkoły, lecz Van wśród nich nie było.

- Była ze mną, José Luisem i Darrylem, gdy nas aresztowali. Graliśmy razem w ARG. Byliśmy we czwórkę najlepszymi przyjaciółmi.

- I co się stało?

Zacząłem mówić ciszej.

- Nie spodobał jej się Xnet - oznajmiłem. - Bała się, że wpadniemy w kłopoty. Że innych wpakuję w kłopoty.

- I dlatego przestaliście się przyjaźnić?

- Po prostu oddaliśmy się od siebie.

Zrobiliśmy kilka kolejnych kroków.

- Ale to nie była twoja dziewczyna?

- Nie - odparłem. Miałem rozpaloną twarz. Czułem, że to zabrzmiało jak kłamstwo, mimo że mówiłem prawdę.

Ange gwałtownie zahamowała i przyjrzała się badawczo mojej twarzy.

- Czyżby?

- Nie! Naprawdę! Byliśmy tylko przyjaciółmi. Darryl i ona... no, nie do końca, ale Darryl bardzo ją lubił. Nie było mowy...

- Ale gdyby Darryl jej nie lubił, ty byś ją lubił, co?

- Nie, Ange, nie. Proszę, po prostu mi uwierz i daj temu spokój. Vanessa była moją dobrą przyjaciółką i już nią nie jest, i to mnie martwi, ale nigdy niczego do niej nie czułem, w porządku?

Trochę odpuściła.

- W porządku, w porządku. Przepraszam. Po prostu nie jestem z nią w dobrych stosunkach, to wszystko. Nigdy się ze sobą nie dogadywałyśmy, odkąd ją poznałam.

No nie, pomyślałem. To dlatego Jolu znał ją od dawna, a ja jej nigdy nie spotkałem; miały z Van coś do siebie i dlatego Jolu nie chciał jej przyprowadzać.

Przytuliła mnie i zaczęliśmy się całować. Obok przeszła grupka dziewczyn, krzycząc: „Uuuuuu!”, więc doprowadziliśmy się do porządku i ruszyliśmy w stronę przystanku. Przed nami szła Van, musiała więc przechodzić obok nas, gdy się całowaliśmy. Czułem się jak kompletny bałwan.

Oczywiście stanęła na przystanku, potem wsiadła do autobusu, nie odezwaliśmy się do siebie ani słowem, a ja przez całą drogę próbowałem nawiązać rozmowę z Ange, ale mi to w ogóle nie wychodziło.

Mieliśmy w planie iść na kawę, a potem do Ange, żeby się wyluzować i „pouczyć”, to znaczy posiedzieć przy jej Xboksie i posurfować

po Xnecie. We wtorki mama Ange wracała do domu późno, bo ten wieczór miała zarezerwowany na swoją lekcję jogi i kolację z koleżankami, a siostra Ange poszła na randkę ze swoim chłopakiem, więc mieliśmy cały dom tylko dla siebie. Odkąd to zaplanowaliśmy, nachodziły mnie bardzo kosmate myśli.

Gdy już dotarliśmy do jej domu, poszliśmy prosto do pokoju Ange i zatrzasnęliśmy drzwi. Ten pokój to była totalna katastrofa. Pokryty warstwami ciuchów, zeszytów i części pecetów, które mogłyby powbić się w boscie stopy jak policyjna kolczatka. Na jej biurku było jeszcze gorzej niż na podłodze, leżały na nim stosy książek i komiksów, więc musieliśmy usiąść na łóżku, co mi akurat bardzo odpowiadało.

Zakłopotanie po spotkaniu z Van jakoś minęło, więc uruchomiliśmy Xboksa. Znajdował się w gmatwaninie kabli, z których kilka wiodło do bezprzewodowej anteny zawieszanej w oknie, tak aby można było odbierać sygnał Wi-Fi sąsiadów. Inne były podłączone do kilku starych ekranów laptopów, które Ange zamieniła w niezależne monitory ustawione na stojakach i najeżone obnażoną elektroniką. Te ekrany stały na obu stolikach nocnych, czyli w idealnym miejscu do oglądania filmów lub czatowania w łóżku - mogła przekręcić monitory i leżeć na dowolnym boku, a one i tak zawsze znajdowały się przed nią.

Oboje wiedzieliśmy, po co się tam znaleźliśmy, siedząc obok siebie, oparci o stolik nocny. Drżałem lekko w pełni świadomy ciepła jej nogi i ramienia, które się o mnie opierały, jednak musiałem stwarzać pozory, że loguję się do Xnetu, sprawdzam maile i tak dalej.

Dostałem wiadomość od chłopaka, który lubił wysyłać śmieszne, nagrane na komórkę filmiki z różnymi czadowymi akcjami DBW - ostatni pokazywał, jak rozkładają na części wózek dziecięcy, po tym jak zainteresował się nim ich pies. Rozkręcali wózek śrubokrętem na ulicy w dzielnicy Marina, a wszyscy ci bogaci ludzie przechodzili obok, gapiąc się na nich i nie mogąc się temu nadziwić.

Kliknąłem na link z nagraniem, które ściągało się w szalonym tempie. Trzymał to na egipskim serwerze lustrzanym Internetowego Archiwum Alexandria. Przechowują tam wszystko za darmo, o ile opublikuje się to na licencji Creative Commons, dzięki czemu każdy może z tego korzystać i się tym dzielić. Archiwum USA - które mieściło się w bazie wojskowej Presidio, zaledwie kilka minut stąd - było zmuszone zdjąć wszystkie te nagrania w imię bezpieczeństwa narodowego, jednak Archiwum Alexandria oddzieliło się jako odrębna organizacja i przechowywało wszystko, co irytowało USA.

Ten chłopak - o nicku Szpieg - tym razem przesłał mi jeszcze lepsze nagranie. Jego akcja toczyła się w drzwiach ratusza w dzielnicy Civic Center. Ratusz wyglądał jak wielki tort ślubny pokryty posągami, połączanymi liśćmi i ornamentami. Wokół tego budynku funkcjonariusze DBW mieli swoją strefę bezpieczeństwa, a Szpieg nakreślił świetne ujęcie, na którym do ich punktu kontrolnego zbliżył się jakiś facet w mundurze oficera, pokazał im swój dowód i położył walizkę na taśmie do prześwietlania bagażu.

Wszystko było w porządku, dopóki jeden z funkcjonariuszy nie zobaczył na rentgenie czegoś, co mu się nie spodobało. Zapytał o coś generała, a ten przewrócił oczami i powiedział coś niesłyszalnego (film był kręcony z drugiej strony ulicy, prawdopodobnie ukrytym obiektywem domowej roboty, więc słychać było głównie dźwięk przechodzących obok ludzi i zgiełk samochodów).

Generał zaczął klócić się z koleśkami z DBW, a im dłużej się klócił, tym więcej funkcjonariuszy gromadziło się wokół niego. W końcu potrząsnął z gniewem głową i pogroził palcem jednemu z nich, wziął swoją walizkę i odszedł. Tamci krzyczeli coś do niego, ale nie zwolnił. Całe jego ciało mówiło: „Jestem całkowicie, totalnie wkurzony”.

I wtedy to się stało. Goście z DBW zaczęli biec za generałem. Szpieg zwolnił w tym miejscu nagranie tak, żebyśmy mogli zobaczyć, klatka po klatce, w zwolnionym tempie, jak generał obrócił się do



połowy, a jego twarz zdawała się mówić: „Za cholere mnie nie dorwiecie”. Zaraz potem pojawiło się na niej przerażenie, bo trzech wielkich ochroniarzy z DBW wpadło na niego, wprawiając go w totalne osłupienie i łapiąc go wpół jak kończącego karierę zawodnika linii ataku. Generał - w średnim wieku, o stalowoszarych włosach i pomarszczonej, dostojnej twarzy - upadł jak worek ziemniaków, podskoczył dwukrotnie, uderzając twarzą o chodnik, a z jego nosa połała się krew.

Goście z Departamentu zwiążali generała w kostkach i nadgarstkach jak wieprza. A ten teraz już krzyczał, naprawdę krzyczał. Jego twarz zrobiła się purpurowa od krwi tryskającej z nosa. W dużym przybliżeniu widać było, jak majta nogami. Przechodnie spoglądali na wiążącego go faceta w mundurze, na którego twarzy widać było, że to rytualne upokorzenie i odbieranie godności to najgorsza część jego roboty. Tutaj film się kończył.

- O mój dobry, słodki Buddo - powiedziałem, patrząc w ciemniejący ekran, na którym ponownie zaczynał się film. Szturchnąłem Ange i pokazałem jej nagranie. Oglądała je bez słowa, z buzią otwartą szeroko ze zdziwienia.

- Wrzuć to na bloga - powiedziała - wrzuć, wrzuć, wrzuć, wrzuć!

Tak też zrobiłem. Z trudem opisałem to, co zobaczyłem, dodałem też prośbę o identyfikację tego wojskowego z filmu, o jakiegokolwiek informacje na jego temat.

Nacisnąłem „publikuj”.

Obejrzeliliśmy to nagranie jeszcze raz. I jeszcze raz.

Dostałem sygnał nadejścia maila.

> Jasne, że poznaję tego faceta - jego biografia jest w Wikipedii. To generał Claude Geist. Dowodził pokojową misją ONZ na Haiti.

Sprawdziłem jego biografię. Widniało tam zdjęcie tego generała z konferencji prasowej i wpis o roli, jaką odegrał podczas trudnej misji na Haiti. To był z pewnością ten sam facet.

Zaktualizowałem wpis.

Teoretycznie mieliśmy z Ange szansę zająć się sobą, ale skończyło się na czymś innym. Przejrzeliśmy blogi w Xnecie, szukając doniesień o tym, jak DBW poszukuje ludzi, atakuje ich i napada. Dla mnie nie było to nic nowego, robiłem już coś takiego z nagraniami i doniesieniami z zamieszek w parku. Na swoim blogu dodałem nową kategorię - Nadużycia Władzy, przeznaczoną tylko na tego typu materiały, i zacząłem szukać czegoś, co można by tam wrzucić. Ange podsuwała mi coraz to nowe hasła do wyszukiwarki i zanim jej mama wróciła do domu, moja nowa kategoria zawierała już siedemdziesiąt wpisów, a gwoździem programu było ujęcie generała Geista przed ratuszem.

Przez cały następny dzień siedziałem w domu nad swoim wypracowaniem o beatnikach, czytając Kerouaca i surfując po Xnecie. Planowałem zobaczyć się z Ange po szkole, ale totalnie pękałem na myśl o ponownym spotkaniu z Van, więc wysłałem Ange SMS-a z wymówką, że ślęczę nad pracą domową.

Na Nadużycia Władzy przychodziły wszelkiego rodzaju sugestie; setki małych i dużych zdjęć i nagrań. Mem się rozrastał.

Rozrósł się. Następnego ranka było ich jeszcze więcej. Ktoś założył nowego bloga o nazwie Nadużycia Władzy, na którym gromadził setki kolejnych materiałów. Plik się powiększał. Ścigaliśmy się, kto znajdzie bardziej soczyste, najbardziej odjechane fotki.

Umowa z moimi starymi polegała na tym, że codziennie rano miałem z nimi jeść śniadanie i rozmawiać o projektach, nad którymi pracuję. Podobało im się, że czytam Kerouaca. Oboje uwielbiali tę książkę i okazało się, że sami mieli ją w swojej biblioteczce. Tata zniósł ją na dół i przekartkował. Były w niej fragmenty zaznaczone długopisem, kartki z oślimi uszami, notatki na marginesach. Mój tata naprawdę uwielbiał tę książkę.

Przypomniały mi się lepsze czasy, kiedy potrafilimy z tatą rozmawiać przez pięć minut, nie kłócąc się o terroryzm. Zjedliśmy wspaniałe śniadanie, rozmawiając o fabule powieści i wszystkich tych niesamowitych przygodach.

Jednak kolejnego ranka w trakcie śniadania oboje siedzieli przyklejeni do radia.

- NaduzyciaWladzy to najnowszy szal w znanym już Xnecie w San Francisco, który przyciąga uwagę całego świata. Do ruchu zwanego NW należą „Mali Bracia”, którzy obserwują działania antyterrorystyczne podjęte przez Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego, dokumentując jego porażki i ekscesy. Wirusowy film pokazujący generała Claudea Geista, emerytowanego, odznaczonego trzema gwiazdkami generała związywanego przez oficerów DBW na chodniku na wprost ratusza to swoiste wezwanie do walki. Geist nie wypowiedział się na temat tego incydentu, jednak komentarze młodych ludzi, którzy są zdenerwowani tym, jak się ich traktuje, były szybkie i pełne wściekłości.

Godne największej uwagi - kontynuował spiker - jest międzynarodowe zainteresowanie tym ruchem. Fotografie z nagrania pokazującego Geista pojawiły się na pierwszych stronach gazet w Korei, Wielkiej Brytanii, Niemczech, Egipcie i Japonii, a nagranie pokazano w programach informacyjnych na całym świecie w czasie największej oglądalności. Sprawa dojrzała, kiedy w wieczornym programie informacyjnym BBC wyemitowano specjalny reportaż o tym, że żadna telewizja ani agencja informacyjna w Ameryce nie przedstawiła relacji na ten temat.

Przytoczono kilka wywiadów: z brytyjskimi obserwatorami mediów, z chłopakiem ze szwedzkiej Partii Piratów, który robił szydercze uwagi o skorumpowanej prasie amerykańskiej, z emerytowanym prezenterem wiadomości mieszkającym w Tokio. Na końcu puścili krótki reportaż z Al-Dżaziry, porównując nagranie amerykańskiej telewizji z materiałem narodowej stacji informacyjnej Syrii.

Czułem na sobie wzrok rodziców, czułem, że wiedzą, czym się zajmuję. Lecz gdy umyłem naczynia, zobaczyłem, że patrzą na siebie.

Tata trzymał swoją filiżankę kawy tak mocno, że aż trzęsły mu się ręce. Mama spoglądała na niego.

- Próbują nas zdyskredytować - powiedział w końcu. - Próbują sabotować wysiłki, które mają zapewnić nam bezpieczeństwo.

Otwarłem usta, ale zobaczyła to mama i potrząsnęła głową. Poszedłem więc do swojego pokoju i zacząłem pisać pracę o Kerouacu. Gdy usłyszałem dwukrotne trzaśnięcie drzwiami, odpaliłem Xboksa i wszedłem do sieci.

> Cześć M1k3y. Tu Colin Brown. Jestem producentem programu informacyjnego The National Kanadyjskiej Korporacji Nadawczej CBC. Kręcimy materiał o Xnecie i wysłaliśmy reportera do San Francisco, żeby nam to stamtąd transmitował. Czy byłbyś zainteresowany udzieleniem wywiadu na temat twojej grupy i jej działań?

Gapilem się w ekran. Jezu. Chcieli przeprowadzić wywiad ze mną o „mojej grupie”?

> Hm, nie, dzięki. Chodzi o prywatność. I to nie jest „moja grupa”. Ale dzięki za to, że kręcicie ten materiał!

Minutę później kolejny e-mail.

> Możemy zasłonić ci twarz i zapewnić anonimowość. Wiesz, że Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego z przyjemnością wyśle do nas swojego rzecznika. Ja chcę stanąć po twojej stronie.

Wrzuciłem tego maila na bloga. Miał rację, ale musiałbym zważać, żeby to zrobić. Z tego, co wiedziałem, on mógł być z DBW.

Wróciłem do Kerouaca. Dostałem kolejnego maila. Ta sama prośba, inna agencja informacyjna: KQED chciało się ze mną spotkać i nagrać wywiad radiowy. Stacja z Brazylii. Australijska Korporacja Nadawcza. Deutsche Welle. Przez cały dzień nadchodziły nowe prośby. Przez cały dzień grzecznie je odrzucałem. Tego dnia nie przeczytałem dużo Kerouaca.

- Zwołaj konferencję prasową - właśnie tak doradziła mi Ange, gdy tamtego wieczoru siedzieliśmy w kawiarni nieopodal jej domu. Nie miałem ochoty przychodzić po nią do szkoły, bo nie chciałem utknąć w jednym autobusie z Van.

- Co? Zwariowałaś?
- Zrób to przez Mechaniczną Grabież. Wybierz po prostu jakieś centrum handlowe, gdzie nie można grać w PvP, i wyznacz godzinę. Możesz zalogować się stąd.

PvP to walka gracz kontra gracz. Część Mechanicznej Grabieży była neutralna, co oznaczało, że teoretycznie mogliśmy wprowadzić tam przygłupich dziennikarzy, nie obawiając się, że gracze zabiją ich w środku konferencji prasowej.

- Nie mam pojęcia o konferencjach prasowych.
- Och, wygoogluj to. Na pewno ktoś napisał artykuł, jak przeprowadzić udaną konferencję. To znaczy jeśli udaje się to prezydentowi, jestem pewna, że tobie też się uda. Wygląda tak, jakby ledwo radził sobie z samodzielnym wiązaniem sznurówek.

Zamówiła kolejną kawę.

- Jesteś bardzo bystrą kobietą - przyznałem.
- I piękną - dodała.
- To też - przytaknąłem.

## ROZDZIAŁ 15

Zanim jeszcze rozesłałem zaproszenia do agencji prasowych, wrzuciłem na swojego bloga informację o konferencji. Mógłbym przysiąc, że wszyscy ci dziennikarze chcieli ze mnie zrobić lidera, generała czy jakiegoś głównego dowódcę partyzantów. Znalazłem na to sposób, wymyśliłem, że oprócz mnie na pytania będzie odpowiadała także krążąca wokół grupa Xnetrów.

Potem wysłałem maile do prasy. Reakcje były różne: od zmieszania po entuzjazm - tylko reporterka Foksa była „oburzona”, że miałem czelność zaproponować grę, aby pojawić się w jej programie telewizyjnym. Cała reszta zdawała się myśleć, że z tego będzie można zrobić dość fajną historię, chociaż wielu z nich potrzebowało sporej pomocy przy logowaniu się do gry.

Wyzaczyłem akcję na godzinę ósmą, po kolacji. Po każdym wieczorze spędzonym przeze mnie poza domem mama zawracała mi głowę, aż w końcu puściłem farbę o Ange, na co zareagowała w dość tajemniczy sposób i odtąd spoglądała na mnie jak na swojego małego chłopca, który dorasta. Chciała poznać Ange, więc użyłem tego jako pretekstu, obiecując, że przyprowadzę ją następnego wieczoru, pod warunkiem że tego dnia będą mógł pójść z nią „do kina”.

Ani mamy, ani siostry Ange znowu nie było w domu - nie należały do domatorek - więc ponownie zostałem sam na sam z moją dziewczyną i naszymi Xbokсами w jej pokoju. Wyłączyłem z kontaktu jeden z monitorów stojących obok łóżka i podłączyłem go do swojego Xboksa tak, żebyśmy mogli się jednocześnie załogować.

Oba Xboksy po załogowaniu do Mechanicznej Grabieży chodziły bardzo powoli. Łaziłem po pokoju tam i z powrotem.

- Będzie dobrze - pocieszała mnie. Spojrzała na ekran. - W kantorze Jednookiego Petea jest teraz sześciuset graczy!

Wybraliśmy Jednookiego Petea, bo jego kantor był położony najbliżej placu, na którym pojawiali się nowi gracze. Jeśli dziennikarze nie grali dotąd w Mechaniczną Grabież - ha! - to właśnie tutaj się pojawiają. We wpisie na blogu poprosiłem wszystkich, żeby czekali gdzieś na drodze między kantorem Jednookiego Petea a bramą wejściową i kierowali każdego, kto będzie wyglądał na zdezorientowanego reportera, do Petea.

- Co ja mam im, do diabła, powiedzieć?

- Po prostu odpowiadaj na pytania, a jeśli jakieś pytanie ci się nie spodoba, to je zignoruj. Ktoś inny może na nie odpowiedzieć. Będzie dobrze.

- To zbyt pojechane.

- Marcus, to plan doskonały. Jeśli chcesz wykończyć DBW, musisz ich skompromitować. Nie licz na to, że ich wystrzelasz. Twoja jedyna broń to zrobić z nich kretynów.

Zwaliłem się na łóżko, a ona położyła moją głowę na swoich udach i pogłaskała mnie po włosach. Przed atakiem bombowym eksperymentowałem z różnymi fryzurami, farbując je na wszelkiego rodzaju zabawne kolory, ale odkąd wyszedłem z więzienia, miałem to gdzieś. Moje włosy zrobiły się długie, kudłate i wyglądały głupkowato, więc któregoś dnia poszedłem do łazienki, złapałem maszynkę do strzyżenia i obciąłem je na centymetr, dzięki czemu nie musiałem się już w ogóle wysilać, żeby je pielęgnować, i stałem się niewidoczny podczas akcji i klonowania RFID.

Podniosłem powieki i spojrzałem w jej wielkie brązowe oczy schowane za okularami. Były okrągłe, wilgotne i pełne ekspresji. Gdy chciała mnie rozśmieszyć, wybałuszała je lub sprawiała, że wyglądały łagodnie i smutno lub leniwie i śpiąco, a robiła to w taki sposób, że zamieniałem się w wulkan podniecenia.

I właśnie teraz to robiła.

Usiadłem powoli i objąłem ją. Ona mnie też. Pocałowaliśmy się. Świetnie całowała. Wiem, że już to mówiłem, ale warto to powtarzać. Dużo się całowaliśmy, ale z jakiegoś powodu zawsze przestawaliśmy, zanim zrobiło się zbyt gorąco.

Teraz miałem ochotę posunąć się dalej. Znalazłem brzeg jej koszulki i szarpnąłem nim. Położyła ręce na głowie i cofnęła się trochę. Wiedziałem, że to robi. Wiedziałem to od tamtej nocy w parku. Może dlatego nie posunęliśmy się dotąd dalej - wiedziałem, że nie mogą liczyć na to, że nas przed tym powstrzyma, co mnie trochę przerażało.

Jednak teraz się nie bałem. Nieuchronnie zbliżająca się konferencja, walka z moimi rodzicami, międzynarodowe zainteresowanie, poczucie, że przez miasto jak kulka we flipperze przewala się ruch społeczny - to wszystko sprawiało, że po skórze przechodziły mi ciarki, a moja krew wrzała.

Ange była piękna i bystra, i inteligentna, i zabawna, a ja czułem się zakochany.

Jej koszulka ześlizgnęła się. Ange pochyliła się, żebym pomógł jej zdjąć ją z ramion. Sięgnęła do tyłu i po chwili z jej piersi opadł stanik. Gapilem się wybałuszonymi oczami, bez ruchu i z zapartym tchem, a potem ona chwyciła moją koszulkę i ściągnęła mi ją przez głowę, łapiąc mnie i przyciągając moją nagą klatkę piersiową do swojej.

Turlaliśmy się po łóżku, dotykając się wzajemnie, nasze ciała tańczyły wśród odgłosów podniecenia. Całowała mnie po całej klatce piersiowej, ja ją też. Nie mogłem oddychać, nie mogłem myśleć, mogłem tylko poruszać się, całować, lizać i dotykać.



Nawzajem dodawaliśmy sobie odwagi i posuwaliśmy się coraz dalej. Rozpiąłem guzik w jej spodniach. Ona rozpięła w moich. Odsunąłem jej suwak, a ona mój i z szarpnięciem zdjęła mi spodnie. Ja zdjęłem jej. Chwilę później oboje byliśmy nadzy, zostały nam tylko skarpetki, które zsunąłem palcami u stóp.

Wtedy właśnie zauważyłem zegarek, który dawno temu spadł na podłogę, rzucając na nas poświatę.

- Cholera! - krzyknąłem. - Zaczyna się za dwie minuty! - Za nic nie mogłem uwierzyć, że miałem przerwać coś, co powinienem był przerwać, i to dokładnie w momencie, gdy byłem zmuszony to przerwać. To znaczy gdybyście mnie wcześniej zapytali: „Marcus, to ma być twój pierwszy raz W ŻYCIU, czy przerwiesz go, jeśli w tym samym pokoju, w którym się znajdujecie, zdetonuję bombę atomową?”, odpowiedziałbym donośnie i zdecydowanie: NIE.

A jednak przerwaliśmy.

Objęła mnie, przyciągnęła moją twarz do swojej i pocałowała mnie tak, że o mało nie odjechałem, a potem oboje chwyciliśmy nasze ubrania i mniej lub bardziej ubrani złapaliśmy klawiatury i ruszyliśmy do kantoru Jednookiego Petea.

Łatwo było się zorientować, kto był dziennikarzem: to te wszystkie głupki, które wybrały postaci chwiejących się pijaków, zataczających się we wszystkich kierunkach, próbując załapać, o co w tym wszystkim chodzi, czasem naciskając zły klawisz i oferując obcym cały swój inwentarz lub jego część albo obdarowując ich przypadkowymi uściskami lub pocałunkami.

Xneterów też było łatwo zauważyć: wszyscy graliśmy w Mechaniczną Grabież, gdy tylko mieliśmy trochę wolnego czasu (lub nie chciało nam się odrabiać pracy domowej), i wybieraliśmy dość sprytne postacie z fajną bronią i bombami pułapkami na zwisających z tyłu kluczach, które miały zetrzeć na miazgę każdego, kto próbowałby je złapać, żeby nas zlikwidować.

Kiedy się pojawiłem, wyświetliła się standardowa informacja: M1K3Y WSZEDŁ DO JEDNOOKIEGO PETEA - WITAJ, MAJTKU, OFERUJEMY KORZYSTNĄ CENĘ ZA DOBRY ŁUP. Wszyscy gracze zamarli na ekranie, potem zgromadzili się wokół mnie. Czat eksplo-dował. Zastanawiałem się nad tym, czy włączyć mikrofon i włożyć słuchawki, ale widząc, ilu ludzi próbowało naraz rozmawiać, zdałem sobie sprawę, że narobiłbym niezłego zamieszania. O wiele łatwiej było śledzić tekst. W dodatku nie będą mogli mi później wciskać czegoś, czego nie powiedziałem (he, he).

Zrobiliśmy wcześniej z Ange rozpoznanie terenu - świetnie mi się z nią chodziło na te wyprawy, bo mogliśmy się nawzajem podtrzymać przy życiu. Stało tam wysokie wzniesienie z pudełek po torebkach soli, więc na nim stanąłem, żeby mnie było widać z każdego miejsca w kantorze.

> Dobry wieczór, dziękuję wszystkim za przybycie. Nazywam się M1k3y i nie jestem niczym przywódcą. Dookoła znajdują się Xneterzy, którzy mają tyle samo do powiedzenia na temat powodu naszego spotkania co ja. Korzystam z Xnetu, bo wierzę w wolność i Konstytucję Stanów Zjednoczonych Ameryki. Korzystam z Xnetu, bo DBW zamienił moje miasto w państwo policyjne, w którym wszyscy jesteśmy podejrzаныmi terrorystami. Korzystam z Xnetu, bo myślę, że nie można bronić wolności poprzez niszczenie Karty Praw. O konstytucji dowiedziałem się w kalifornijskiej szkole i nauczyłem się kochać ten kraj za panującą tu wolność. A to jest moja filozofia:

> „Wyłonione zostały wśród ludzi rządy, których sprawiedliwa władza wywodzi się ze zgody rządzonych. Że jeżeli kiedykolwiek jakakolwiek forma rządu uniemożliwiłaby osiągnięcie tych celów, to naród ma prawo taki rząd zmienić lub obalić i powołać nowy, którego podwalinami będą takie zasady i taka organizacja władzy, jakie wydadzą się narodowi najbardziej sprzyjające dla szczęścia i bezpieczeństwa”.

> Nie jestem autorem tych słów, ale w nie wierzę. DBW rządzi bez mojej zgody.

> Dziękuję

Napisałem to dzień wcześniej, wymieniając się z Ange pomysłami. Wklejenie tego zajęło mi sekundę, chociaż gracze czytali to trochę dłużej. Wszyscy Xneterzy z podniesionymi do góry szablami wzniesli głośne, pretensjonalne, pirackie „Hurra”, a ich papugi latały, skrzecząc nad naszymi głowami.

Stopniowo dziennikarze też zaczęły łapać, o co chodzi. Wpisy na czacie zmieniały się tak szybko, że ledwie można je było przeczytać. Wielu Xneterów pisało rzeczy w stylu „Dokładnie”, „Ameryka, kochaj albo rzuć”, „DBW do domu” czy „Ameryka - wynocha z San Francisco”, czyli slogany popularne w Xnetowej blogosferze.

> M1k3y, tu Priya Rajneesh z BBC. Mówisz, że nie jesteś przywódcą żadnego ruchu, a czy uważasz, że istnieje jakiś ruch? Czy nazywa się Xnet?

Pojawiło się mnóstwo odpowiedzi. Niektórzy pisali, że nie ma żadnego ruchu, inni, że wręcz przeciwnie, wielu ludzi miało na niego własne nazwy: Xnet, Mali Bracia, Małe Siostry i moją ulubioną: Stany Zjednoczone Ameryki.

Ale wymyślali. Pozwoliłem im na to, zastanawiając się, co by tu powiedzieć. Wreszcie napisałem:

> Myślę, że to jest odpowiedź na twoje pytanie, prawda? To może być jeden albo kilka ruchów, mogą nazywać się Xnet albo nie.

> M1k3y, tu Doug Christensen z dziennika „Washington Internet Daily”. Co twoim zdaniem DBW powinien zrobić, żeby ustrzec San Francisco przed kolejnym atakiem, jeśli to, co teraz robią, nie jest skuteczne?

Więcej trajkotania. Wielu ludzi przyznało, że terroryści i rząd to to samo - albo dosłownie, albo w tym sensie, że są tak samo źli. Niektórzy pisali, że rząd wie, jak złapać terrorystów, ale woli tego nie robić, bo „prezydenci od wojen” ponownie wygrywają wybory.

> Nie wiem

- napisałem w końcu.

> Naprawdę nie wiem. Często zadaję sobie to pytanie, bo nie chcę, żeby mnie wysadzili, i nie chcę, żeby wysadzili moje miasto. Ale wydedukowałem sobie, że jeśli zadaniem DBW jest zapewnianie nam bezpieczeństwa, to im to nie wychodzi. Cały ten szajs, którego narobili, nie powstrzyma terrorystów od ponownego wysadzenia mostu. Śledzenie nas po całym mieście? Odbieranie nam wolności? Wywoływanie w nas podejrzliwości wobec wszystkich dookoła? Nazywanie osób inaczej myślących zdrajcami? Terrorystom chodzi o to, żeby nas przerazić. Mnie przeraża DBW-

> Nie mam żadnego wpływu na to, co zrobią mi terroryści ale jeśli to wolny kraj, to powinienem mieć przynajmniej wpływ na to, co robią mi gliny. Powinienem coś zrobić, żeby mnie nie terroryzowali.

> Wiem, że to nie jest dobra odpowiedź. Przepraszam.

> Co masz na myśli, mówiąc, że DBW nie powstrzymałby terrorystów? Skąd to wiesz?

> Kim jesteś?

> Reprezentuję „The Sydney Morning Herald”.

> Mam 17 lat. Nie jestem wzorowym uczniem. Jednak rozgryzłem! jak stworzyć internet, w którym nie mogą założyć postachu. Odkryłem, jak namieszać w ich sprzęcie do śledzenia ludzi. Na ich oczach mogę zamienić niewinnych ludzi w podejrzanych, a winnych w niewinnych. Mogę wnieść metal do samolotu lub podmienić listę osób podejrzanych o terroryzm, którym zabrania się wstępu do samolotów. Odkryłem to wszystko, przeglądając sieć i zastanawiając się nad tym. Jeśli ja mogę to zrobić, to terroryści też, DBW twierdził że odebrali nam wolność dla naszego bezpieczeństwa- Czy czujesz się bezpieczny?

> W Australii? Ależ tak.

Wszyscy piraci roześmiali się.

Kolejni dziennikarze zadawali kolejne pytania. Jedni byli nastawieni życzliwie, inni wrogo. Gdy się zmęczyłem, podałem swoją klawiaturę Ange i pozwoliłem, żeby to ona była przez chwilę M1k3yem. Tak naprawdę to już nie czułem, że M1k3y i ja to nadal te same osoby. M1k3y był w pewnym sensie chłopakiem, który rozmawiał z dziennikarzami różnych narodowości i stał się inspiracją dla ruchu. Marcus został zawieszony w szkole, walczył z własnym ojcem i zastanawiał się, czy zasługuje na taką ekstra dziewczynę.

O jedenastej w nocy miałem już dosyć. Ponadto rodzice spodziewali się mnie niedługo ujrzeć w domu. Wylogowałem się z gry, Ange też i przez moment leżeliśmy obok siebie. Ująłem jej rękę, a ona ścisnęła ją mocno. Przytuliliśmy się.

Pocałowała mnie w szyję i coś mruknęła.

- Co?
- Powiedziała, że cię kocham - wyznała. - Co, chcesz, żebym wysłała ci telegram?
- Łał - odparłem.
- Jesteś zaskoczony, co?
- Nie. Hm. Tylko... właśnie miałem ci to samo powiedzieć.
- Pewnie - powiedziała i ugryzła mnie w czubek nosa.
- Tylko że nigdy wcześniej tego nikomu nie mówiłem - dodałem
- więc musiałem się do tego przygotować.
- A wiesz, że nadal tego nie powiedziałeś? Nie myśl sobie, że tego nie zauważyłam. My, dziewczyny, szybko wyłapujemy takie rzeczy.
- Kocham cię, Ange Carvelli - oznajmiłem.
- Ja też cię kocham, Marcusie Yallow.

Pocałowaliśmy się, przytuliliśmy i zaraz zaczęliśmy ciężko oddychać. Wtedy do drzwi zapukała jej mama.

- Angela - zawołała - myślę, że już czas, aby twój przyjaciel poszedł do domu, nie sądzisz?
- Tak, mamó - odpowiedziała i udała, że bierze zamach siekierą. Gdy zakładałem skarpetki i buty, mruknęła:

- Powiedzą, że Angela była taką dobrą dziewczynką. Kto by pomyślał, cały czas pomagała matce, ostrząc siekierę w ogródku.

Roześmiałem się.

- Nawet nie wiesz, jak masz dobrze. Moi starzy w ż y c i u nie zostawiliby nas samych w pokoju do jedenastej w nocy.

- Do jedenastej czterdzieści pięć - poprawiła mnie, zerkając na zegarek.

- Cholera! - krzyknąłem i zawiązałem buty.

- Idź - powiedziała - biegnij i bądź wolny! Popatrz w obie strony, zanim przejdziesz przez ulicę! Napisz, jeśli dostaniesz pracę! Nie zatrzymuj się nawet po to, żeby kogoś uściskać! Jeśli doliczę do dziesięciu, a ty nadal tu będziesz, wpadniesz w kłopoty. J e d e n . Dwa. Trzy.

Zamknąłem jej usta, wskakując na łóżko, lądując na niej i całując ją, dopóki nie przestała liczyć. Zadowolony ze zwycięstwa, z Xboksem pod pachą, zbiegłem z tupotem po schodach.

Na dole czekała jej mama. Spotkałem ją tylko kilka razy. Wyglądała jak starsza, wyższa wersja Ange - Ange mówiła, że jej tata jest niski - ze szklami kontaktowymi zamiast okularów. Wstępnie zakwalifikowała mnie jako dobrego chłopca, doceniłem to.

- Dobry wieczór, pani Carvelli - przywitałem się.

- Dobry wieczór, panie Yallow - odparła. To był jeden z naszych małych rytuałów, odkąd podczas naszego pierwszego spotkania nazywałem ją panią Carvelli.

Stałem zakłopotany w drzwiach.

- Tak? - zapytała.

- Hm - odparłem. - Dziękuję za gościnę.

- Jesteś zawsze mile widziany w naszym domu, młody człowieku - oznajmiła.

- I dziękuję za Ange - wydusiłem w końcu, wściekły na to, jak kiepsko to zabrzmiało. Ale ona uśmiechnęła się szeroko i przytuliła mnie.

- Nie ma za co - dodała.

Przez całą drogę autobusem rozmyślałem o konferencji prasowej, o nagiej i wijącej się ze mną na łóżku Ange, o jej uśmiechniętej, wskazującej mi drzwi matce.

W domu czekała na mnie mama. Zapytała mnie o film, więc udzieliłem jej odpowiedzi, którą wymyśliłem wcześniej, streszczając recenzję z „Bay Guardianiana”.

Gdy zasypiałem, znowu przypomniała mi się konferencja prasowa. Byłem z niej naprawdę dumny. Fajnie było zobaczyć w grze, jak ci wpływowi dziennikarze słuchali mnie i wszystkich tych ludzi, którzy wierzyli w te same rzeczy co ja. Zasnąłem z uśmiechem na ustach.

**Powinienem był to przewidzieć.**

*Przywódca Xnetu: mogę wnieść metal do samolotu*

*DBW rządzi bez mojej zgody*

*Dzieciaki z Xnetu: USA wynocha z San Francisco*

To były te d o b r e nagłówki. Wszyscy przesyłali mi te artykuły na bloga, ale to była ostatnia rzecz, na jaką miałem ochotę.

Spieprzyłem to w pewnym sensie. Dziennikarze przyszli na moją konferencję prasową i doszli do wniosku, że jesteśmy terrorystami lub tymi, którzy dali się nabrać przez terrorystów. Najgorsza była dziennikarka Fox News, która mimo wszystko pojawiła się tam i poświęciła nam dziesięciominutowy komentarz. Mówiła w nim o naszej „karygodnej zdradzie”. Jej najbardziej zabójcza wypowiedź, cytowana w każdej gazecie, brzmiała następująco:

„Mówią, że nie mają nazwy. Mam dla nich jedną. Nazwijmy ich zepsutymi dzieciakami Cal-Kaida. Na domowym froncie wykonują pracę terrorystów. Kiedy - nie jeśli, ale kiedy - Kalifornia zostanie ponownie zaatakowana, ci smarkacze będą tak samo winni jak Saudowie”.

Przywódcy ruchu antywojennego potępili nas jako elementy skrajne. Jeden z nich powiedział w telewizji, że jego zdaniem podstawiło nas DBW, żeby ich zdyskredytować.

Funkcjonariusze DBW zwołali własną konferencję prasową, oświadczając, że dwukrotnie zwiększą bezpieczeństwo w San Francisco. Podnieśli znaleziony gdzieś kloner RFID i zademonstrowali jego sposób działania, inscenizując kradzież samochodu, i ostrzegli wszystkich, aby uważali na młodych ludzi, którzy zachowują się podejrzanie, zwłaszcza tych, których ręce znajdują się poza zasięgiem wzroku.

To nie były żarty. Skończyłem swoje wypracowanie o Kerouacu i wziąłem się do pisania o Lecie Miłości, lecie z 1967 roku, kiedy to uczestnicy ruchu antywojennego zbrali się wraz z hipisami w San Francisco. Goście, którzy założyli sieć lodziarni Ben & Jerrys - starzy hipisi - stworzyli też muzeum ruchu hipisowskiego w Haight, a poza tym w mieście znajdowało się jeszcze sporo innych archiwów i eksponatów do obejrzenia.

Ale niełatwo było się poruszać po mieście. W ciągu tego tygodnia przeszukiwano mnie średnio cztery razy dziennie. Gliniarze legitymowali mnie i pytali, dlaczego znalazłem się na ulicy, uważnie przypatrując się listowi z mojej szkoły o zawieszeniu mnie w prawach ucznia.

Miałem szczęście. Nie zaaresztowali mnie. Ale pozostali Xneterzy mieli większego pecha. Codziennie wieczorem przedstawiciele DBW ogłaszali komunikaty o kolejnych aresztowaniach „prowodyrów” i „prowokatorów” Xnetu. Ludzie, których nie znałem i o których nigdy nie słyszałem, paradowali w telewizji z wykrywaczami RFID i innymi przyrządami, jakie znaleziono w ich kieszeniach. DBW oświadczył, że osoby te „podają nazwiska”, kompromitując „sieć Xnet” i że w najbliższym czasie należy spodziewać się dalszych aresztowań. Często wymieniano pseudonim „M1k3y”.

Tata był zachwycony. Oglądaliśmy razem wiadomości, on triumfował, ja wzdrygałem się i wkurzałem po cichu.

- Szkoda, że nie widziałeś, czego chcą użyć przeciwko tym dzieciakom - powiedział tata. - Widziałem, jak to działa. Biorą kilka osób i sprawdzają listę ich znajomych na czacie oraz numery wybierane na



komórkach. Szukają takich, które się często powtarzają, szukają schematów i łapią kolejne dzieciaki. Sprują ich jak stary sweter.

Odwołałem kolację z Ange w moim domu i zacząłem spędzać u niej jeszcze więcej czasu. Młodsza siostra Ange Tina zaczęła mnie nazywać przyjacielem rodziny, mówiła na przykład: „Czy przyjaciel rodziny zje ze mną dzisiaj kolację?”. Lubilem Tinę. Obchodziły ją tylko wyjścia, imprezy i chłopaki, ale była zabawna i całkowicie oddana Ange. Pewnego wieczoru, gdy zmywaliśmy naczynia, wytarła ręce i powiedziała swobodnym tonem:

- Wiesz, Marcus, wydajesz się miłym chłopakiem. Moja siostra ma fioła na twoim punkcie i ja też cię lubię. Ale muszę ci coś powiedzieć: jeśli złamiesz jej serce, dopadnę cię i naciągnę ci mosznę na głowę. A to nie jest miły widok.

Odparłem, że prędeż sam to zrobię, niż złamię serce Ange, więc przytaknęła:

- Czyli wszystko jasne.

- Twoja siostra to wariatka - powiedziałem, gdy znowu leżeliśmy na łóżku Ange, przeglądając blogi w Xnecie. Tym się głównie zajmowaliśmy: objimaliśmy się i czytaliśmy blogi.

- Wyjechała z tekstem o mosznie? Nie znoszę, gdy to robi. Ona po prostu uwielbia słowo „moszna”, no wiesz. Nie bierz tego do siebie.

Pocałowałem ją. Czytaliśmy dalej.

- Posłuchaj tego - powiedziała. - „W ten weekend policjanci planują aresztować od czterystu do sześciuset osób i według nich będzie to dotychczas największy skoordynowany nalot na dysydentów z Xnetu”.

Czułem, że zaraz zwymiotuję.

- Musimy ich powstrzymać - stwierdziłem. - Wiesz, że są ludzie, którzy robią więcej zadym tylko po to, żeby pokazać, że nie czują się zastraszeni? Czy to nie s z a l e ń s t w o ?

- Myślę, że to odwaga - skwitowała. - Nie możemy pozwolić, żeby strachem zmusili nas do uległości.

- Co? Nie, Ange, nie. Nie możemy pozwolić, żeby setki ludzi znalazły się w więzieniu. Nie byłaś tam. Ja byłem. Tam jest gorzej, niż myślisz. Tam jest gorzej, niż jesteś to sobie w stanie wyobrazić.

- Mam dość bujną wyobraźnię - odparła.

- Przestań, dobrze? Przez chwilę bądź poważna. Nie zrobię tego. Nie wyślę tych ludzi do pierdła. Jeśli to zrobię, okaże się, że Van nie myliła się co do mnie.

- Marcus, jestem poważna. Czy myślisz, że ci ludzie nie wiedzą, że mogą trafić za kratki? Oni wierzą w tę sprawę. Ty też w nią wierzysz. Zrozum, oni wiedzą, w co się pakują. To nie ty decydujesz, na jakie ryzyko mogą lub nie mogą się narazić.

- To ja jestem za to odpowiedzialny, bo jeśli każę im przestać, to przestaną.

- Myślałam, że nie jesteś przywódcą?

- Nie jestem, pewnie, że nie jestem. Ale oni liczą na moje wskazówki, a na to już nic nie mogę poradzić. I dopóki na mnie liczą, w pewnym stopniu ponoszę odpowiedzialność za ich bezpieczeństwo. Wiesz, o co mi chodzi, tak?

- Wiem, że jak tylko zbliżają się kłopoty, chcesz wszystko rzucać i zwiewać. Według mnie boisz się, że domyśla się, kim t y jesteś. Według mnie, boisz się o s i e b i e .

- To nie *fair* - powiedziałem, siadając i odsuwając się od niej.

- Naprawdę? Kim jest ten chłopak, który o mało nie dostał zawału, bo myślał, że jego prawdziwa tożsamość wyszła na jaw?

- To co innego - broniłem się. - Tu nie chodzi o mnie. Wiesz, że nie. Dlaczego taka jesteś?

- Dlaczego ty taki jesteś? - zapytała. - Dlaczego ty nie chcesz być chłopakiem, który był na tyle odważny, żeby to wszystko zacząć?

- Bo to nie jest odwaga, to samobójstwo.

- Tani melodramat dla nastolatków, M1k3y.

- Nie nazywaj mnie tak!

- Jak, M1k3y? Dlaczego nie, M i k 3 y?

Założyłem buty. Wziąłem torbę. Poszedłem do domu.

- > Dlaczego nie chodzę na zadymy
- > Nikomu nie będę mówił, co ma robić, bo nie jestem niczym przywódcą, bez względu na to, co mówią w Fox News.
- > Ale powiem wam, co ja zamierzam zrobić. Jeśli uznacie, że to słuszną rzecz, może też tak zrobicie.
- > Nie chodzę na akcje. Nie w tym tygodniu. W następnym może też nie. Nie dlatego, że się boję. Dlatego że jestem dość inteligentny, żeby wiedzieć, iż lepiej jest na wolności niż w pierdlu. Rozgryźli naszą taktykę, więc musimy wymyślić nową. Nie obchodzi mnie, jaka to taktyka, ale chcę, żeby działała. To głupie dać się aresztować. To tylko zadymy i nie wiadomo, czy uda się wam z nich cało wyjść.
- > Jest jeszcze jeden powód, żeby tego nie robić. Jeśli was złapią, mogą was wykorzystać do złapania waszych przyjaciół i ich przyjaciół. Mogą ich przymknąć, nawet jeśli nie korzystają z Xnetu, bo DBW jest jak rozwścieczony byk, oni nie dbają o to, czy dorwali właściwą osobę.
- > Nie mówię wam, co macie robić-
- > Ale DBW to durmie, a my jesteśmy cwani. Zadymy to dowód, że nie potrafimy walczyć z terroryzmem, bo nawet nie umieją dorwać grupy dzieciaków. Jeśli dacie się złapać, wyjdzie na to, że są sprytniejsi od nas.
- > ONI NIE SĄ OD NAS SPRYTNIJSI! My jesteśmy sprytniejsi od nich. Bądźmy sprytni. Zastanówmy się, jak im przeszkodzić, bez względu na to, ilu matolew postawią na ulicach naszego miasta.

Wysłałem to. Poszedłem spać.

Tęskniłem za Ange.

Nie kontaktowaliśmy się z Ange przez kolejne cztery dni, włącznie z weekendem, a potem nadszedł czas powrotu do szkoły. Z milion razy o mało nie zadzwoniłem do niej, napisałem też z tysiąc niewysłanych maili i wiadomości na komunikatorze.

Teraz znowu siedziałem na lekcji WOS-u, a pani Andersen przywitała mnie z wymowną, sarkastyczną grzecznością, pytając mnie słodko, jak udały mi się „wakacje”. Usiadłem bez słowa. Dobiegło mnie rzenie Charlesa.

To była lekcja o Objawionym Przeznaczeniu, koncepcji mówiącej o tym, iż przeznaczeniem Amerykanów jest przejąć władzę nad całym światem (a przynajmniej tak przedstawiła to nasza nauczycielka), i wyglądało na to, że pani Andersen stara się mnie sprowokować, abym wypalił coś, za co mogłaby mnie wyrzucić.

Czułem na sobie wzrok całej klasy i przypomniał mi się M1k3y oraz ludzie, którzy patrzyli na niego jak na swój autorytet. Miałem tego dosyć. Tęskniłem za Ange.

Przesiedziałem tak cały dzień, nie dając po sobie poznać, że cokolwiek robi na mnie wrażenie. Nie sądzę, żebym wypowiedział z osiem słów.

Wreszcie lekcje dobiegły końca. Wypadłem przez drzwi, kierując się w stronę wyjścia, głupiego Mission i mojego bezsensownego domu.

Byłem już prawie za bramą, kiedy ktoś na mnie wpadł. To był młody bezdomny chłopak, może w moim wieku, może trochę starszy. Miał na sobie długi zatłuszczony płaszcz, workowate džinsy i rozwalające się trampki, które wyglądały, jakby wpadły pod kosiarkę. Twarz przesłaniały mu długie włosy, a jego przypominająca włosy łonowe broda opadała wzdłuż szyi wprost na kołnierzyk robionego na drutach wyblakłego swetra.

Wszystko to zauważyłem, gdy leżeliśmy tak obok siebie na chodniku, a ludzie mijali nas, obrzucając dziwaczными spojrzeniami. Wyglądało na to, że wpadł na mnie, biegnąc po Valencia Street pochyłony pod ciężarem rozprutego plecaka, który leżał obok niego na chodniku, gęsto pokryty geometrycznymi bazgrołami napisanymi markerem.

Podniósł się na kolana i zachwiał do tyłu i do przodu, jakby był pijany lub uderzył się w głowę.

- Sorry, stary - powiedział. - Nie zauważyłem cię. Nic ci nie jest?  
Ja też usiadłem. Nic mnie nie bolało.

- Hm. Nie, w porządku.

Wstał i się uśmiechnął. Jego zęby były szokująco białe i proste, jak z reklamy kliniki ortodontycznej. Wyciągnął do mnie rękę, a jego uścisk był silny i zdecydowany.

- Naprawdę cię przepraszam.

Jego głos również brzmiał czysto i inteligentnie. Spodziewałem się, że będzie mówił jak ci pijacy, którzy gadali sami ze sobą, włączając się po Mission do późna w nocy, ale on wypowiadał się niczym czytany pracownik księgarni.

- Nic się nie stało - odparłem.

Ponownie wyciągnął rękę.

- Zeb - przedstawił się.

- Marcus - odpowiedziałem.

- Miło mi, Marcus - dodał. - Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś na ciebie wpadnę!

Ze śmiechem podniósł swój plecak, obrócił się na pięcie i pognął dalej.

Resztę drogi do domu przebyłem w kłębowisku spalin. Mama siedziała przy kuchennym stole, ucieliśmy sobie małą gadkę o niczym, tak jak to zwykle robiliśmy, zanim wszystko się zmieniło.

Poszedłem po schodach do swojego pokoju i opadłem na krzesło. Tym razem nie chciałem logować się do Xnetu. Rano sprawdziłem, że mój wpis wywołał ogromne kontrowersje wśród ludzi, którzy się ze mną zgadzali, i tych, którzy byli słusznie wkurzeni, bo powiedziałem im, żeby porzucili swój ulubiony sport.

Gdy się to wszystko zaczęło, byłem w połowie trzech tysięcy projektów. Budowałem z klocków lego aparat fotograficzny z obiektywem otworkowym, bawiłem się fotografią latawcową, wykorzystując starą kamerę cyfrową z silikonowym spustem, który najpierw się

napinał, a potem powoli wracał do oryginalnego kształtu, w regularnych odstępach uruchamiając migawkę. Miałem też lampę elektryczną, którą wbudowałem w starą, zardzewiałą, porysowaną puszkę po oliwie przypominającą wykopalisko archeologiczne - planowałem, że po jej ukończeniu dorobię podstawkę na telefon i system głośników typu 5.1 z puszek po tuńczyku.

Spojrzałem na swój warsztat i w końcu chwyciłem aparat z obiektywem otworkowym. Metodycznie rzecz ujmując, składanie lego było tym, czego akurat potrzebowałem.

Zdjąłem zegarek oraz masywny pierścionek na dwa palce z małpą i ninja szykującymi się do walki, i wrzuciłem je do niewielkiego pudełka, gdzie trzymałem wszystkie te duperele, które przed wyjściem z domu upychałem po kieszeniach i zawieszałem wokół szyi: telefon, klucze, detektory sieci Wi-Fi, drobniaki, baterie, słuchawki... Wsympakowałem to wszystko do pudełka i złapałem się na tym, że trzymam coś, czego, o ile pamiętałem, nie kładłem w tym miejscu.

Był to kawałek papieru szary i delikatny jak flanela, postrzępiony na krawędziach, jakby oderwany od jakiejś większej kartki. Pokryty był najmniejszym i najstarszym ręcznym pismem, jakie kiedykolwiek widziałem. Rozwinąłem go i podniosłem do góry. Pismo znajdowało się po obu stronach, począwszy od górnego lewego rogu z jednej strony po drobny i niewyraźny podpis w dolnym prawym rogu po drugiej stronie.

Podpis brzmiał po prostu: ZEB.

Zacząłem czytać.

*Drogi Marcusie,*

*Nie znasz mnie, ale ja znam ciebie. Przez ostatnie trzy miesiące, od czasu wysadzenia Bay Bridge, siedziałem w więzieniu na Treasure Island\*. Byłem na spacerunku w dniu, w którym rozmawiałeś z tą Azjatką i kiedy was zabrano. Zachowałeś się odważnie. To dobrze.*

\* Treasure Island - sztuczna wyspa na zatoce San Francisco wybudowana w latach 1936-1937-

Następnego dnia dostałem zapalenia wyrostka i znalazłem się w szpitalu. Na łóżku obok mnie leżał chłopak o imieniu Darryl. Obaj długo dochodziliśmy do siebie i przez ten czas nie chcieli nas puścić, bo byliśmy dla nich zbyt wstydliwą sprawą.

Postanowili, że zrobią z nas naprawdę winnych. Codziennie nas przesłuchiwali. Wiem, że sam przez to przeszedłeś. Wyobraź sobie, że nam robili to miesiącami. Wylądowaliśmy z Darrylem w jednej celi. Wiedzieliśmy, że nas podsłuchują, więc nie rozmawialiśmy o niczym ważnym. Ale w nocy, gdy już leżeliśmy w łózkach, delikatnie wystukiwaliśmy sobie wiadomości alfabetem Morse'a (wiedziałem, że moje amatorskie programy w radio HAM pewnego dnia mi się przydadzą).

Na początku pytali nas o te same bzdury co zawsze, kto i jak to zrobił. Ale wkrótce zaczęli nas pytać o Xnet. Oczywiście my nigdy o nim nie słyszeliśmy. Ale to nie przeszkodziło im w zadawaniu kolejnych pytań.

Darryl powiedział mi, że przynieśli mu klonery RFID, Xboksy, cały ten sprzęt, i kazali mu powiedzieć, kto tego używał i gdzie nauczyli się to przerabiać. Darryl opowiedział mi o twoich grach i o rzeczach, których się nauczyłeś.

Przed wszystkim goście z DBW pytali o naszych znajomych. Kogo znamy? Jacy oni są? Czy mają jakieś upodobania polityczne? Czy mieli kłopoty w szkole? Z prawem?

Nazywamy to więzienie Gitmo na Zatoce. Od kiedy wyszedłem, minął tydzień i nie sądzę, żeby mieszkańcy miasta wiedzieli, że ich dzieci są uwięzione pośrodku Zatoki. W nocy słyszeliśmy ludzi śmiejących się i imprezujących na lądzie.

Nie powiem ci, jak się wydostałem, na wypadek gdyby to wpadło w niewłaściwe ręce. Może inni pójdą w moje ślady.

Darryl powiedział mi, jak cię znaleźć, i kazał mi obiecać, że kiedy wyjdę, wszystko ci przekażę. Teraz, gdy już to zrobiłem, zmywam

*się stąd jak najszybciej. Tak czy inaczej, wyjeżdżam z tego kraju. Pieprzyć Amerykę.*

*Trzymaj się. Oni się ciebie boją. Dokop im ode mnie. Nie daj się złapać.*

*Zeb*

Gdy skończyłem czytać, miałem łzy w oczach. Gdzieś na moim biurku leżała zapalniczka, której czasem używałem do topienia izolacji wokół przewodów, wygrzebałem ją i zbliżyłem do kartki. Wiedziałem, że muszę ją zniszczyć i upewnić się, że nikt więcej jej nigdy nie zobaczy, bo mogłoby to ich doprowadzić do niego, bez względu na to, dokąd się wybierał. Byłem to winien Zębowi.

Trzymałem płomień i kartkę, ale nie mogłem tego zrobić.

Darryl.

Przez to całe zamieszanie z Xnetem, Ange i DBW zapomniałem o jego istnieniu. Stał się duchem, niczym stary przyjaciel, który się przeprowadził lub wyjechał na program wymiany studentów. Przez cały ten czas przesłuchiwali go, zmuszając do tego, żeby mnie wydał, wyjaśnił zasady działania Xnetu i aktywistów. Trzymali go na Treasure Island, w opuszczonej bazie wojskowej, w odległości równej połowie zniszczonego Bay Bridge. Był tak blisko, że właściwie mógłbym do niego dopłynąć.

Odłożyłem zapalniczkę i ponownie przeczytałem list. Nie zdążyłem doczytać do końca, bo zacząłem płakać, szlochać. Wszystko do mnie wróciło, Miss Gestapo i pytania, które zadawała, smród uryny i sztywność moich majtek, kiedy wyschnięty mocz zamienił je w szorstkie płótno.

- Marcus?

W uchylonych drzwiach do mojego pokoju stała mama, spoglądając na mnie zmartwionym wzrokiem. Jak długo tam tkwiła? Otarłem rękawem łzy z twarzy i pociągnąłem nosem.

- Mamo - powiedziałem. - Cześć.

Weszła do mojego pokoju i mnie przytuliła.



- Co się stało? Chcesz pogadać?

Liścik leżał na stole.

- To od twojej dziewczyny? Wszystko w porządku?

Podsunała mi wymówkę. Mogłem zrzucić to na problemy z Ange, żeby opuściła mój pokój i zostawiła mnie samego. Otwarłem usta, żeby to zrobić, ale wtedy wyrwało mi się:

- Byłem w więzieniu. Po tym, jak wysadzili most. Przez cały ten czas byłem w więzieniu.

Szloch, który rozległ się potem, nie przypominał mojego głosu. Brzmiał jak wycie zwierza, może osła lub jakiegoś wielkiego, ryczącego w nocy kota. Łkałem tak, że z bólu zaczęło palić mnie gardło, a moja klatka piersiowa falowała jak wzburzony ocean.

Mama wzięła mnie w ramiona, tak jak wtedy gdy byłem małym chłopcem, pogłaskała mnie po włosach, szeptała mi do ucha, kołysała i stopniowo, powoli mój szloch się rozproszył.

Wzięłem głęboki wdech, a mama przyniosła mi szklanek wody. Usiadłem na brzegu łóżka, a ona na moim krześle obrotowym, i wtedy wszystko jej opowiedziałem.

Wszystko.

No, prawie wszystko.

## ROZDZIAŁ 16

Z początku mama wyglądała na zszokowaną, potem oburzoną, aż w końcu poddała się i patrzyła z opuszczoną szczęką, gdy opowiadałem jej o przesłuchaniach, o tym, jak się obsikałem, o worku na głowie, Darrylu. Pokazałem jej liścik.

- Dlaczego?...

W tym jednym słowie zawarły się wszystkie oskarżenia, z jakimi zmagalem się tej nocy, każda chwila, w której zabrakło mi odwagi, aby wyjawić światu, o co tak naprawdę mi chodzi, dlaczego naprawdę walczę i co tak naprawdę dało początek Xnetowi.

Wciągnąłem powietrze.

- Powiedzieli, że pójdę do więzienia, jeśli o tym powiem. Nie tylko na kilka dni. Na zawsze. Ja... ja się bałem.

Mama siedziała ze mną długo bez słowa. Potem zapytała:

- Co z ojcem Darryla?

Równie dobrze mogła wbić mi drut w klatkę piersiową. Ojciec Darryla. Pewnie założył, że Darryl nie żyje, i to od dawna.

Ale czy tak nie było? Gdy DBW trzyma kogoś nielegalnie przez trzy miesiące, czy kiedykolwiek wypuści taką osobę na wolność? Jednak Zeb wyszedł. Być może Darryl też wyjdzie. Może ja i Xnet mogliśmy pomóc go wydostać.

- Nie powiedziałem mu - odparłem.

Teraz mama płakała. Nieczęsto jej się to zdarzało. To cecha Brytyjczyków. Wydobywało się z niej nieznaczące, przypominające czkawkę, potwornie brzmiące łkanie.

- Powiesz mu - wydusiła z siebie. - Powiesz.

- Powiem.

- Ale najpierw musimy powiedzieć twojemu ojcu.

Tata miał teraz nienormowany czas pracy. Był w rozjazdach między klientami, którym udzielał konsultacji - mieli sporo roboty, bo DBW rozglądała się za młodymi firmami na półwyspie zajmującymi się zbieraniem informacji - i trwającymi długo wyjazdami do pracy w Berkeley. Mógł zjawić się w domu w każdej chwili między osiemnastą a północą.

Dzisiaj wieczorem mama zadzwoniła do niego i powiedziała, żeby n a t y c h m i a s t wracał do domu. Odparł coś, a ona tylko powtórzyła: n a t y c h m i a s t .

Kiedy dotarł, usiedliśmy w pokoju gościnnym, w którym na stoliku kawowym leżał liścik.

Za drugim razem łatwiej mi się o tym opowiadało. Tajemnica stała się lżejsza. Nie koloryzowałem, nie ukrywałem niczego. Wyznałem całą prawdę.

Wcześniej słyszałem już o wyznawaniu prawdy, ale dopóki sam tego nie zrobiłem, nie rozumiałem, co to tak naprawdę oznacza. Trzymanie tego w tajemnicy sprawiało, że czułem się obrzydliwie, to psuło moją duszę. Bałem się i byłem zawstydzony. Przez to stałem się taki, za jakiego wzięła mnie Ange.

Tata siedział przez cały czas sztywno niczym kij od szczotki i miał kamienną twarz. Gdy podałem mu liścik, przeczytał go dwukrotnie, a potem ostrożnie odłożył.

Potrząsnął głową, wstał i ruszył w kierunku drzwi.

- Dokąd idziesz? - zapytała mama z niepokojem.
- Muszę się przejść - to wszystko, co zdołał wydusić łamiącym się głosem.

Gapiliśmy się na siebie z zakłopotaniem, mama i ja, i czekaliśmy, aż wróci do domu. Próbowałem sobie wyobrazić, co dzieje się w jego głowie. Po zamachu stał się zupełnie innym człowiekiem i wiedziałem od mamy, że zmienił się po tym, jak przez kilka dni myślał, że nie żyje. Uważał, że terroryści o mało nie zabili jego syna, i przez to zaczął wariować.

Wariować do tego stopnia, że robił wszystko, o co poprosił DBW, że ustawił się w szeregu jak posłuszna mała owieczka i pozwolił, żeby go kontrolowali, żeby nim sterowali.

Teraz wiedział, że to przez DBW znalazłem się w więzieniu, że to przedstawiciele Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego przetrzymywali dzieciaki z San Francisco jako zakładników w Gitmo na Zatoce. Teraz, gdy o tym myślałem, wszystko stawało się jasne. Przetrzymywali mnie oczywiście na Treasure Island. Dokąd jeszcze można w dziesięć minut dopłynąć łodzią z San Francisco?

Kiedy tata wrócił, wyglądał na bardziej rozszoszczonego niż kiedykolwiek w życiu.

- Powinieneś był mi powiedzieć! - ryknął.
- Obwiniasz niewłaściwą osobę - wtrąciła się mama. - To nie Marcus jest odpowiedzialny za porwanie i zastraszanie.

Potrząsnął głową i tupnął.

- Nie oskarżam Marcusa. Wiem dokładnie, kogo oskarżać. Siebie. Siebie i to kretyńskie DBW. Załóż buty, łap płaszcz.

- Dokąd idziesz?
- Zobaczysz się z ojcem Darryla. A potem do Barbary Stratford.

Skądś znałem nazwisko Barbara Stratford, ale nie pamiętałem skąd. Myślałem, że to może jakaś stara znajoma rodziców, ale nie mogłem jej dokładnie umiejscowić.

Tymczasem tata prowadził mnie do ojca Darryla. Nigdy nie czułem się swojsko przy tym starszym człowieku, który był radiooperatorem w marynarce wojennej i w swoim domu zaprowadził surową dyscyplinę. Gdy Darryl był dzieckiem, ojciec nauczył go alfabetu Morse'a, a ten sposób komunikacji zawsze mi się podobał. To jedna z rzeczy, dzięki której wiedziałem, że list od Zeba jest wiarygodny. Ale oprócz wszystkich tych fajnych rzeczy, jak alfabet Morse'a, ojciec Darryla wprowadzał też jakąś chorą wojskową dyscyplinę niemającą żadnego większego sensu, jak na przykład dokładne ścielenie łóżka czy golenie się dwa razy dziennie. Darryla doprowadzało to do wściekłości.

Jego mama też tego za bardzo nie lubiła i gdy Darryl miał dziesięć lat, wróciła do swojej rodziny w Minnesocie - Darryl spędzał tam wakacje i święta Bożego Narodzenia.

Siedziałem na tylnym siedzeniu samochodu i widziałem tył głowy mojego prowadzącego wóz taty. Mięśnie jego karku były napięte, a gdy zaciskał zęby, mięśnie podskakiwały do góry.

Mama trzymała dłoń na jego ramieniu, ale mnie nie miał kto pocieszyć. Gdybym tylko mógł zadzwonić do Ange. Lub do Jolu. Lub do Van. Może pod koniec dnia mi się to uda.

- W myślach musiał już pochować syna - powiedział tata, gdy wchodziliśmy w ostre zakręty prowadzące na wzgórze Twin Peaks, kierując się w stronę niewielkiego domku, w którym mieszkał Darryl z ojcem. Wzniesienia tonęły we mgle, co nocą w San Francisco zdarza się często. Nasze przednie światła odbijały się od niej.

Przy każdym zakręcie widziałem rozpościerające się poniżej miasto i błyski migoczących, przemieszczających się we mgle światel. - Czy to tutaj?

Nie byłem u Darryla od miesięcy, ale przez te lata spędziłem w jego domu wystarczająco dużo czasu, żeby rozpoznać go od razu.

- Tak - przytaknąłem. - To tutaj.

Staliśmy długo wokół samochodu, czekając, aż ktoś pójdzie i naciśnie dzwonek u drzwi. Ku mojemu zaskoczeniu to byłem ja.

Zadzwoiłem. Przez chwilę wszyscy w milczeniu i z zapartym tchem czekaliśmy. Zadzwoiłem ponownie. Samochód ojca Darryla stał na podjeździe i widzieliśmy, że w pokoju gościnnym pali się światło. Już miałem zadzwonić po raz trzeci, gdy otworzyły się drzwi.

- Marcus? - ojciec Darryla w ogóle nie przypominał człowieka, którego pamiętałem. Był nieogolony, w szlafroku, na bosaka, miał długie paznokcie u stóp i czerwone oczy. Przybrał na wadze, a pod jego mocną żołnierską szczęką drżał miękki podwójny podbródek. Miał cienkie, rzadkie i rozwichrzone włosy.

- Proszę pana - powiedziałem. Moi rodzice tłoczyli się za mną w drzwiach.

- Cześć, Ron - przywitała go moja mama.
- Ron - rzekł tata.
- Wy też? Co się stało?
- Możemy wejść?

Jego pokój gościnny wyglądał jak te z programów telewizyjnych o opuszczonych dzieciach, które spędziły w zamknięciu miesiąc, zanim zostały uratowane przez sąsiadów: opakowania po mrożonkach, puste puszki po piwie, miski ze spleśniałymi płatkami śniadaniowymi i stosy gazet. W powietrzu unosił się smród kocich sików, a pod naszymi stopami chrzęściły śmieci. Nawet bez tych kocich sików smród był niewiarygodny, jak w kiblu na dworcu autobusowym.

Na łóżku leżało brudne prześcieradło i parę zatłuszczonych poduszek. Kilka z nich było rozdartych, widocznie ktoś na nich dużo sy-piał.

Przez długą chwilę staliśmy w milczeniu, a zakłopotanie przytłaczało wszystkie inne emocje. Ojciec Darryla wyglądał tak, jakby chciał umrzeć.

Powoli usunął na bok prześcieradła leżące na fotelu, a z kilku krzeseł sprzątnął stertę tłustych tacek po jedzeniu, zaniósł je do

kuchni i sądząc po dochodzących stamtąd odgłosach, rzucił je na podłogę.

Usiedliśmy ostrożnie w miejscach, które uprzątnął, a kiedy wrócił, sam również usiadł.

- Przepraszam - powiedział z roztargnieniem. - Nie mogę zaproponować wam kawy, bo jej nie mam. Jutro dowiozą mi zakupy, teraz zostały same resztki...

- Ron - powiedział mój ojciec - posłuchaj. Musimy ci coś powiedzieć, to nie będzie łatwe.

Ojciec Darryla siedział niczym posąg, słuchając tego, co mówię. Spojrzał na liścik, przeczytał go, lecz wyglądało na to, że bez zrozumienia, a potem jeszcze raz. Wręczył mi go z powrotem.

Drżał.

- On... Darryl żyje - powiedziałem. - Darryl żyje i jest przetrzymywany w więzieniu na Treasure Island.

Wepchnął pięść w usta i wydał z siebie potworny, jęczący dźwięk.

- Mamy znajomą. Pisze do „Bay Guardian”. Jest dziennikarką śledczą.

To stąd znalazłem to nazwisko. Z darmowego tygodnika „The San Francisco Bay Guardian” dziennikarze często odchodzili do większych dzienników i gazet internetowych, ale Barbara Stratford była tam od zawsze. Jak przez mgłę pamiętałem, że jako dziecko jadłem kolacje w jej towarzystwie.

- Wybieramy się teraz do niej - powiedziała mama. - Pojedziesz z nami, Ron? Opowiesz jej historię Darryla?

Położył dłonie na twarzy i westchnął głęboko. Tata próbował położyć rękę na jego ramieniu, ale pan Glover strząsnął ją gwałtownie.

- Muszę się umyć - powiedział. - Dajcie mi chwilę.

Gdy pan Glover zszedł na dół, wyglądał na odmienionego. Był ogolony, miał gładko zaczesane włosy i ubrany był w świeżo wyprasowany galowy mundur wojskowy z rzędem odznaczeń na piersiach. Zatrzymał się przy schodach i wskazał ręką ordery.

- W tym momencie nie mam zbyt wielu *rzeczy*, które się dobrze prezentują. A to wydaje się odpowiednie. Wiecie, gdyby chciała robić zdjęcia.

On i tata poszli przodem, a ja szedłem z tyłu, za panem Gloverem. Z bliska czuć było od niego piwo, tak jakby ulaśniało się przez pory w skórze.

Zanim dotarliśmy na podjazd przed domem Barbary Stratford, była już północ. Mieszkała w miasteczku Mountain View, więc gnaliśmy drogą 101 i nikt z nas nie wypowiedział ani słowa. Za szymbami przesuwwały się rozsiane wzdłuż autostrady budynki.

Ten brzeg zatoki wyglądał inaczej od tego, na którym mieszkałem. Przypominał bardziej przedmieścia Ameryki, jakie czasem widziałem w telewizji. Mnóstwo autostrad i identycznych domków, miasteczek, w których nie było bezdomnych pchających po chodniku wózki z supermarketów - nie było nawet chodników!

Gdy czekaliśmy na pana Gloverà, mama zadzwoniła do Barbary Stratford. Dziennikarka spała, ale mama była tak nakręcona, że zapomniała o swoich brytyjskich manierach i o tym, że budzenie kogoś po nocach jest krępujące. Zamiast tego powiedziała jej nerwowo, że musi z nią o czymś porozmawiać, i to osobiście.

Dom Barbary Stratford skojarzył mi się z serialem *Grunt to rodzinka* - był niski, jednopiętrowy, z frontem wyłożonym ceglami i schludnym, perfekcyjnie kwadratowym trawnikiem. Na przedniej ścianie widniał jakiś abstrakcyjny wzór ułożony z kafelków oraz wznosząca się zza niego staroświecka antena UHF. Gdy tak błakaliśmy się przed wejściem, zauważyliśmy, że wewnątrz ktoś już zapalił światła.

Zanim zdążyliśmy nacisnąć na dzwonek, reporterka otworzyła nam drzwi. Była wysoką szczupłą kobietą mniej więcej w wieku moich rodziców, z orlim nosem, przenikliwymi oczami i dużą liczbą „zmarszczek śmiechu”. Ubrana była w modne dzinsy, jedne z tych, jakie można było znaleźć w butikach na Valencia Street, oraz w luźną



indiańską bawełnianą bluzkę, która zwisała jej do ud. Miała też małe okrągłe okulary błyszczące w świetle korytarza.

Przywitała nas ciepłym, słabym uśmiechem.

- Widzę, że zabrałaś ze sobą cały klan - powiedziała.
- Za chwilę zrozumiesz dlaczego - przytaknęła mama.

Pan Glover wysunął się zza taty.

- I wezwałaś marynarkę wojenną?
- Wszystko w swoim czasie.

Wszyscy po kolei zostaliśmy jej przedstawieni. Miała mocny uścisk dłoni i długie palce.

Jej dom został urządzony w japońskim minimalistycznym stylu, stało tam zaledwie kilka proporcjonalnych niskich mebli i wielkie gliniane dzbanki z bambusem omiatającym sufit, co przypominało ogromny zardzewiały silnik Diesla, który przysiadł na szczycie wypolerowanego marmurowego cokołu. Doszedłem do wniosku, że mi się podoba. Podłoga była zrobiona ze starego drewna, oszlifowanego i zabezpieczonego, lecz bez wypełnień, więc pod powierzchnią lakieru można było dostrzec pęknięcia i wgłębienia. N a p r a w d ę mi się podobała, zwłaszcza gdy chodziłem po niej w samych skarpetach.

- Robię kawę - oznajmiła. - Kto ma ochotę?

Wszyscy podnieśliśmy ręce. Spojrzałem wyzywająco na rodziców.

- Dobrze - rzekła.

Zniknęła w innym pokoju i po chwili wróciła, niosąc chropowatą bambusową tacę z dzbankiem termicznym oraz sześcioma precyzyjnie zaprojektowanymi kubkami w nierówne, niedbałe wzory. To też mi się podobało.

- A teraz - powiedziała, gdy już naląła i podała nam kawę - miło was znowu wszystkich zobaczyć. Marcusie, myślę, że ostatnim razem, gdy cię widziałam, miałaś chyba z siedem lat. Pamiętam tylko, że byłeś bardzo podekscytowany nowymi gramami wideo, które mi pokazywałeś.

W ogóle tego nie pamiętałem, ale wyglądało na to, że właśnie tym interesowałem się w wieku siedmiu lat. Pewnie chodziło o gry na Sega Dreamcast.

Wyjęła dyktafon, żółty notatnik i długopis.

- Jestem tutaj po to, by was wysłuchać bez względu na to, co macie mi do powiedzenia, i obiecuję, że wszystkie informacje potraktuję jako poufne. Ale nie mogę obiecać, że zrobię coś w tej sprawie i że zostanie to opublikowane.

Sposób, w jaki to powiedziała, uświadomił mi, że wyświadczyła mojej mamie, która wyrwała ją z łóżka, wielką przysługę bez względu na to, czy była jej przyjaciółką czy też nie. Bycie grubą rybą dziennikarstwa śledczego musiało być potwornie upierdliwe. Pewnie z milion osób chciałoby, żeby zajęła się ich sprawą.

Mama skinęła na mnie głową. Mimo że opowiadałem tę historię już trzy razy tego wieczoru, nie mogłem wykrztusić słowa. To co innego niż rozmowa z rodzicami. Co innego niż opowiadanie ojcu Darryla. To - to miało być nowe posunięcie w grze.

Zacząłem powoli, patrząc, jak Barbara sporządza notatki. Wypiłem całą filiżankę kawy, wyjaśniając, co to jest ARG i jak wydostałem się ze szkoły, żeby wziąć udział w grze. Mama, tata i pan Glover słuchali uważnie. Nalałem sobie kolejną filiżankę kawy i wypilem ją, tłumacząc, jak zostaliśmy schwytani. Zanim dokończyłem swoją opowieść, osuszyłem cały dzbanek i czułem się jak koń wyścigowy, któremu chce się sikać.

Jej łazienka z brązowym organicznym mydłem o zapachu czystego błota leżącym na umywalce była tak samo surowa jak pokój. Gdy wróciłem, wszyscy dorośli patrzyli na mnie w milczeniu.

Teraz swoją historię opowiedział ojciec Darryla. Oczywiście nie miał nic do powiedzenia na temat tego, co się stało, ale wyjaśnił, że jest weteranem i że jego syn był dobrym dzieckiem. Mówił o tym, co czuje człowiek, który myśli, że jego dziecko nie żyje, o tym, jak jego była żona załamała się i wylądowała w szpitalu, po tym jak się o wszystkim dowiedziała. Trochę płakał, nie czując wstydu. Łzy spływały

ciurkiem po jego pomarszczonej twarzy, pozostawiając ciemne plamki na kołnierzu jego galowego munduru.

Gdy skończył, Barbara poszła do drugiego pokoju i wróciła z butelką irlandzkiej whisky.

- To piętnastoletni bushmills z pojedynczej beczki - wyjaśniła, stawiając na stole cztery małe szklanki. Żadnej dla mnie. - Nie sprzedają go od dziesięciu lat. Myślę, że to odpowiedni moment, żeby go otworzyć.

Wypełniła szklanki alkoholem, potem podniosła swoją do ust, wypijając połowę zawartości. Reszta dorosłych poszła za jej przykładem. Wypili, a ona naląła im następną kolejkę.

- W porządku - powiedziała. - Oto, co mogę wam teraz powiedzieć. Wierzę wam. Nie tylko dlatego, że cię znam, Lillian. Ta historia brzmi wiarygodnie i pokrywa się z innymi pogłoskami, które do mnie dotarły. Ale nie mogę wam po prostu uwierzyć na słowo. Będę musiała przeprowadzić dochodzenie na temat każdego aspektu tej sprawy, każdego szczegółu waszego życia i tej historii. Muszę wiedzieć, czy jest coś, o czym mi nie powiedzieliście, coś, co mogłoby was zdyskredytować po wyjściu na światło dzienne. Muszę wiedzieć wszystko. Mogą minąć tygodnie, zanim będę gotowa, żeby to opublikować.

Musicie też myśleć o swoim bezpieczeństwie oraz bezpieczeństwie Darryla. Jeśli rzeczywiście jest „osobą nieistniejącą”, to naciskanie na DBW może spowodować, że wywiozą go gdzieś o wiele dalej. Na przykład do Syrii. Mogą też zrobić coś o wiele gorszego.

Jej słowa zawisły w powietrzu. Wiedziałem, że chodziło jej o to, że mogą go zabić.

- Teraz wezmę ten list i go zeskanuję. Będę potrzebowała zdjęć was wszystkich, teraz i później. Możemy wysłać fotografa, ale dzisiaj chcę to jak najdokładniej udokumentować.

Udałem się z nią do jej biura, żeby zeskanować list. Spodziewałem się stylowego komputera o niskim zasilaniu, który pasowałby do całego wystroju, ale zamiast tego jej gościnna sypialnia/biuro było zaopiecznione najwyższej klasy pecetami z dużymi płaskimi monitorami

i skanerem tak ogromnym, że zmieściłaby się w nim cała gazeta codzienna. Szybko sobie z tym poradziła. Z pewną aprobatą dostrzegłem, że używała ParanoidLinuksa. Ta kobieta traktowała swoją pracę poważnie.

Wentylatory w komputerze tworzyły efektywny ekran białego szumu, lecz mimo to zamknąłem drzwi i podszedłem do niej.

- Hm, proszę pani?
- Tak?
- Ja w sprawie tego, o czym pani mówiła, tego, co mogą wykorzystać, żeby mnie zdyskredytować.
- Tak?
- Chcę pani coś powiedzieć, ale nie może pani pod żadnym pozorem nikomu tego wyjawić, dobrze?
- Ujmę to tak. Wolę pójść do więzienia, niż ujawnić źródło informacji.
- OK, OK. Dobrze. Łał. Więzienie. Łał. OK.

Wziąłem głęboki wdech.

- Słyszała pani o Xnecie? O M1k3yu?
- Tak?
- To ja jestem M1k3y.
- O! - odparła. Uruchomiła skaner i przewróciła list na drugą stronę. Skanowała z jakąś nieprawdopodobną rozdzielczością, dzieścię tysięcy dpi lub jeszcze większą, co na ekranie wyglądało jak efekt pracy elektronowego mikroskopu tunelowego.
- To rzuca nowe światło na całą sprawę.
- Tak - przytaknąłem - chyba tak.
- Twoi rodzice nie wiedzą.
- Nie. I nie wiem, czy chcę, żeby wiedzieli.
- Decyzja należy do ciebie. Muszę się nad tym zastanowić. Czy możesz przyjść do mnie do redakcji? Chcę się dowiedzieć, co to dokładnie znaczy.
- Czy ma pani Xbox Universal? Mógłbym przynieść instalkę.
- Tak, jestem pewna, że to się da załatwić. Kiedy się zjawisz, powiedz w recepcji, że przyszedł pan Brown, żeby się ze mną zobaczyć.

Wiedzą, co to znaczy. Nie odnotują twojej wizyty, a wszystkie nagrania zarejestrowane przez kamery zostaną automatycznie wykasowane, same zaś kamery wyłączone, dopóki nie wyjdiesz.

- Dobrze - powiedziałem. - Myśli pani tak samo jak ja.

Uśmiechnęła się i rąbnęła mnie w ramię.

- Chłopcze, jestem w tej grze od piekielnie długiego czasu. Jak dotąd udało mi się spędzić więcej czasu na wolności niż za kratkami. Moją przyjaciółką jest paranoja.

Następnego dnia w szkole wyglądałem jak zombi. W sumie spałem trzy godziny i nawet trzy kubki tureckiego kofeinowego błota nie zdołały uruchomić mojego mózgu. Problem z kofeiną jest taki, że zbyt łatwo się do niej przyzwyczaić i żeby funkcjonować, trzeba przyjmować coraz to większe i większe dawki.

Całą poprzednią noc zastanawiałem się, co mam zrobić. Czuję się tak, jakbym biegł po ciasnych, krętych korytarzach labiryntu - wszystkie wyglądały tak samo, każdy kończył się ślepyim zaułkiem. Jeśli pójdę do Barbary, to już po mnie. Taki będzie tego finał, bez względu na to, co o tym myślę.

Nim lekcje dobiegły końca, marzyłem tylko o tym, żeby pójść do domu i wpełznąć do łóżka. Ale miałem umówione spotkanie w „Bay Guardianie”. Ze wzrokiem wbitym w ziemię chwiejnym krokiem wyszedłem przez bramę, skręciłem w 24th Street i wtedy dołączyła do mnie druga para stóp. Rozpoznałem buty i zatrzymałem się.

- Ange?

Wyglądała tak, jak ja się czułem. Niewyspana, z podkrążonymi oczami i smutną miną.

- Cześć - powiedziała. - Niespodzianka. Zrobiłam sobie wolne. I tak nie mogłam się skupić na lekcjach.

- Hm - westchnąłem.

- Zamknij się i mnie przytul, idioto.

Tak też zrobiłem. Czulem się dobrze. Lepiej niż dobrze. Czulem się tak, jakby przyszyto mi jakąś część siebie, którą wcześniej sam sobie amputowałem.

- Kocham cię, Marcusie Yallow.

- Kocham cię, Angelo Carvelli.

- OK - przerwała. - Spodobał mi się twój wpis o tym, dlaczego nie chodzisz na akcje. Szanuję to. Czy znalazłeś jakiś sposób, żeby robić zadymy i nie dać się złapać?

- Właśnie idę do dziennikarki śledczej, która ma opublikować historię o tym, jak wsadzili mnie do więzienia, jak zacząłem Xnet i że Darryl jest nielegalnie przetrzymywany przez DBW w tajnym więzieniu na Treasure Island.

- Och.

Przez chwilę rozglądała się dookoła.

- Nie mogłeś wymyślić czegoś, no wiesz, ambitnego?

- Idziesz ze mną?

- Tak, idę. I chciałabym, żebyś mi to wszystko szczegółowo wyjaśnił, jeśli oczywiście nie macz nic przeciwko temu.

Po tych wszystkich opowieściach ta, którą streszczałem po drodze do Potrero Avenue i wzdłuż 15th Street, była najłatwiejsza. Ange trzymała mnie za rękę, często ją ściskając.

Weszliśmy do siedziby „Bay Guardian”, przeskakując co drugi schodek. Serce mi waliło. Podeszedłem do recepcji i powiedziałem do znudzonej, siedzącej tam dziewczyny:

- Przyszedłem zobaczyć się z Barbarą Stratford. Nazywam się pan Green.

- Chyba chciałeś powiedzieć: pan Brown.

- Tak - odparłem, rumieniąc się. - Pan Brown.

Zrobiła coś na swoim komputerze, a potem powiedziała:

- Usiądźcie. Barbara za chwilę przyjdzie. Podać wam coś?

- Kawę - powiedzieliśmy oboje jednocześnie. Kolejny powód, aby kochać Ange. Byliśmy uzależnieni od tego samego narkotyku.

Recepcjonistka - ładna Latynoska, tylko kilka lat starsza od nas, ubrana w dzinsy Gapa przypominające właściwie stare biodrówki

retro - skinęła głową, wyszła i wróciła z dwoma kubkami, na których nadrukowana była winieta gazety.

Piliśmy w milczeniu, obserwując wchodzących i wychodzących gości i dziennikarzy. W końcu przyszła po nas Barbara. Miała na sobie praktycznie to samo co wczoraj w nocy. Pasowało jej. Gdy zobaczyła, że przyprowadziłem ze sobą dziewczynę, uniosła brwi pytająco.

- Dzień dobry - przywitałem ją. - Hm, to jest...

- Pani Brown - wtrąciła Ange, wyciągając rękę. Och, tak, prawda, nasza tożsamość ma być tajemnicą. - Pracuję z panem Greenem.

Szturchnęła mnie lekko.

- Chodźmy więc - zdecydowała Barbara i zaprowadziła nas do sali posiedzeń z długimi szklanymi ścianami i zaciągniętymi roletami. Na stole postawiła tacę z klonami ciasteczek organicznych Oreo, dyktafon cyfrowy i kolejny żółty notes.

- Czy chcecie, żebym to też nagrała? - zapytała.

Właściwie to się nad tym nie zastanawiałem. Wiedziałem, że mogłoby się to przydać, w razie gdybym chciał polemizować z tym, co później wydrukuje Barbara. Jednak jeśli nie była godna zaufania, to i tak było po mnie.

- Nie, w porządku - odparłem.

- Dobrze, zaczynamy. Młoda damo, nazywam się Barbara Stratford i jestem dziennikarką śledczą. Wnioskuje, że wiesz, dlaczego tu jestem, i bardzo jestem ciekawa, dlaczego wy tu jesteście.

- Pracuję z Marcusem nad Xnetem - powiedziała Ange. - Czy chce pani poznać moje imię?

- Nie od razu, nie chcę - oznajmiła Barbara. - Jeśli wolisz, możesz zachować anonimowość. Marcusie, poprosiłam cię, żebyś opowiedział mi tę historię, bo muszę wiedzieć, jak to się ma do historii, którą opowiedziałeś mi o twoim przyjacielu Darrylu, i listu, który mi pokazałeś. Widzę, że to może być dobre uzupełnienie; mogłabym to przedstawić jako początek Xnetu. „Stworzyli wroga, którego nigdy

nie zapomną”, coś w tym stylu. Ale bądźmy szczerzy: gdybym nie musiała, wolałabym nie opowiadać tej historii. Wolałabym miłą, przejrzystą historyjkę o tajnym więzieniu tuż za rogiem - ciągnęła dalej - żebym nie musiała rozważać, czy więźniowie, którzy się tam znajdują, to ludzie, którzy prawdopodobnie po wyjściu zorganizują ruch podziemny w celu destabilizacji rządu federalnego. Jestem pewna, że to rozumiesz.

Rozumiałem. Jeśli Xnet był częścią tej historii, niektórzy powiedzą: „Widzisz, muszą wsadzać takich koleśków za kratki, bo inaczej ci zaczną zamieszki”.

- To pani *show* - powiedziałem. - Myślę, że powinna pani powiedzieć światu o Darrylu. Dzięki temu DBW dowie się, że ujawniłem informacje, i będzie mnie ścigać. Może wtedy dojdą do tego, że jestem zamieszany w Xnet. Może skojarzą mnie z Mikzyem. Chodzi o to, że jeśli opublikuje pani jakąkolwiek informację o Darrylu, to i tak będzie po mnie. Już się z tym pogodziłem.

- Jak mam wisieć, to przynajmniej niech wiem za co - powiedziała. - Dobrze. Cóż, to mamy już ustalone. Chcę, żebyście powiedzieli mi wszystko, co możecie, o założeniu i działaniu Xnetu, a potem chcę, żebyście mi to zademonstrowali. Do czego go używacie? Jak się rozprzestrzenił? Kto napisał program? Wszystko.

- To chwilę potrwa - wtrąciła Ange.

- Mam chwilę - odparła Barbara. Wypiła trochę kawy i zjadła imitację oreo. - To może być najważniejsza historia dotycząca wojny z terroryzmem. To historia, która może obalić rząd. Z taką historią trzeba obchodzić się bardzo ostrożnie.



## ROZDZIAŁ 17

I tak wszystko jej opowiedzieliśmy, właściwie to było dość zabawne. Uczenie ludzi, jak korzystać z nowinek technicznych, jest zawsze ekscytujące. Fajnie jest patrzeć, jak zaczynają rozumieć, w jaki sposób wykorzystać otaczające ich technologie, aby uprościć sobie życie. Ange też była świetna - tworzyliśmy wspólny zespół. Wyjaśniliśmy Barbarze, jak to wszystko funkcjonuje. Oczywiście trzeba zacząć od tego, że dziennikarka była dość dobra w te klocki.

Okazało się, że zajmowała się tematem wojen o kryptografię, okresem na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy grupy walczące o wolności obywatelskie, takie jak EFF - Fundacja Elektronicznego Pogranicza, starały się o prawo Amerykanów do korzystania z mocnych szyfrów. Wiedziałem co nieco o tym okresie, ale Barbara wyjaśniła to w taki sposób, że aż dostałem gęziej skórki.

Trudno w to dzisiaj uwierzyć, lecz były czasy, kiedy rząd zaklasyfikował kryptografię jako rodzaj broni i eksportowanie jej bądź używanie było nielegalne ze względów bezpieczeństwa narodowego. Czyście? W tym kraju m a t e m a t y k a była kiedyś n i e l e g a l n a .

Tak naprawdę to stała za tym NSA - Agencja Bezpieczeństwa Narodowego. Mieli standard kryptograficzny, który ich zdaniem był

wystarczająco mocny, żeby mogły korzystać z niego banki oraz ich klienci, ale nie na tyle, żeby mafia była w stanie zataić przed nimi swoje interesy. Uważano, że ten standard, DES-56, był praktycznie nie do złamania. Potem jeden z milionerów, współtwórca EFF, opracował program za dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, który potrafił złamać ten sposób szyfrowania w ciągu dwóch godzin.

Ale NSA wciąż twierdziła, że powinna powstrzymać Amerykanów przed posiadaniem tajemnic, do których sama nie mogłaby się wtrącać. Wtedy EFF zadała śmiertelny cios. W 1995 roku reprezentowała w sądzie studenta matematyki z Berkeley Dana Bernsteina. Napisał on samouczek z kryptografii zawierający kod komputerowy, dzięki któremu można było napisać szyfr mocniejszy od DES-56. Miliony razy mocniejszy. NSA uznała jego artykuł za broń i nie chciała pozwolić na jego publikację.

Cóż, trudno znaleźć sędziego, który rozumiałby kryptografię i jej znaczenie, ale okazało się, że przeciętny sędzia w sądzie apelacyjnym nie jest zbyt entuzjastycznie nastawiony do opowiadania studentom, jakiego rodzaju artykuły wolno im pisać. Wojny o kryptografię zakończyły się zwycięstwem tych dobrych, kiedy Sąd Apelacyjny w Obwodzie Dziewiątym orzekł, że szyfr to forma ekspresji, którą chroni Pierwsza Poprawka - „Kongres nie może przyjmować ustaw [...] ograniczających wolność słowa”. Jeśli kiedykolwiek kupiliście coś przez internet lub wysłaliście tajną wiadomość czy też sprawdzaliście stan swojego konta, to korzystaliście z szyfru zalegalizowanego przez EFF. Jeszcze jeden plus - NSA nie jest aż tak sprytna. Możecie być pewni, że jeśli jej uda się coś scrackować, to terroryści i gangsterzy również będą potrafili to obejść.

Barbara była jedną z dziennikarek, które zyskały sławę dzięki temu, że pisały właśnie o tej sprawie. Zjadła zęby, zajmując się końcówką ruchu na rzecz wolności obywatelskich w San Francisco,

i dostrzegła podobieństwo między walką o konstytucję w świecie rzeczywistym oraz walką w cyberprzestrzeni.

Dlatego to załapała. Myślę, że nie udałooby mi się wyjaśnić tego moim starym, ale w przypadku Barbary poszło gładko. Zadawała mądre pytania dotyczące naszych protokołów kryptograficznych i procedur bezpieczeństwa, niekiedy takie, na które nie znałem odpowiedzi - czasem wskazywała na potencjalne luki w naszej procedurze.

Podłączyliśmy Xboksa i połączyliśmy się z siecią. W sali posiedzeń wykrywalne były cztery niezabezpieczone sieci Wi-Fi. Ustawiłem Xboksa tak, żeby podłączał się do nich w przypadkowych odstępach czasu. Ona zrobiła to samo - gdy już wszystko zostało podłączone do Xnetu, działało tak samo jak w internecie i tylko niektóre rzeczy chodziły nieco wolniej. Za to całość była anonimowa i niemożliwa do wyśledzenia.

- A więc co teraz? - zapytałem, gdy skończyliśmy. Od mówienia zaschło mi w ustach, czułem w nich okropny kwaśny smak po kawie. Ponadto Ange wciąż ścisnęła pod stołem moją dłoń, tak że miałem ochotę się jej wyrwać i znaleźć jakieś zaciszne miejsce, żeby zrewanżować się jej za tę naszą walkę na pięści.

- Teraz zajmę się dziennikarstwem. Wy idźcie, a ja zbadam to wszystko, o czym mi powiedzieliście, i postaram się ich przekonać w takim stopniu, jak będę mogła. Pokażę wam, co zamierzam opublikować, i poinformuję was, kiedy to się ukaże. Wolałabym, żebyście nie rozmawiali o tym z nikim innym, bo chcę to opublikować wcześniej niż inni i chcę się upewnić, że wyjaśnię wszystko, zanim cała ta historia zostanie zaciemniona przez spekulacje prasowe i manipulacje DBW. Zanim to oddam do redakcji - mówiła dalej - będę musiała zadzwonić do DBW, żeby poprosić ich o komentarz, ale zrobię to, dbając jak najbardziej o wasze bezpieczeństwo. Dopilnuję też, żeby was poinformować, zanim do tego dojdzie. Muszę tylko wyjaśnić jedną rzecz - dodała - to już nie jest twoja historia. Jest moja. Byłeś bardzo hojny, dzieląc się nią ze mną, i postaram się ci za to odwdziaczyć, ale

nie masz prawa czegokolwiek publikować, zmieniać lub mnie powstrzymać. To już poszło w ruch i nie da się tego zatrzymać. Rozumiesz?

Nie myślałem o tym w takich kategoriach, ale z chwilą gdy to powiedziała, stało się oczywiste. Oznaczało to, że odpaliłem rakietę, której nie będę mógł zatrzymać. Spadnie tam, gdzie została wycelowana, i oczywiście wybuchnie. Leciąca już w powietrzu i nie można było tego zmienić. Kiedyś w niedalekiej przyszłości przestanę być Marcusem - stanę się osobą publiczną. Będę gościem, który położył kres DBW.

Będę żywym trupem.

Przypuszczam, że Ange myślała podobnie, bo zrobiła się bladzielona.

- Chodźmy stąd - powiedziała.

Mama i siostra Ange znowu gdzieś wyszły, więc decyzja, dokąd pójść tego wieczoru, nie była zbyt trudna. Było już po kolacji, ale moi rodzice wiedzieli, że mam spotkanie z Barbarą, i nie powinni mieć żalu o to, że wrócę do domu późno.

Gdy znaleźliśmy się u Ange, jakoś nie czułem ochoty na Xboksa. Jak na jeden dzień miałem z nim wystarczająco dużo do czynienia. Myślałem tylko o Ange, Ange, Ange. O życiu bez Ange. Ze świadomością, że Ange jest na mnie zła. Że nigdy już się do mnie nie odezwie. Nigdy mnie już nie pocałuje.

Ona myślała o tym samym. Zobaczyłem to w jej oczach, gdy zamknęła drzwi do swojej sypialni i spojrzeliśmy na siebie. Pragnąłem jej tak, jak pragnie się obiadu po wielodniowej głodówce. Jak pragnie się szklanki wody po trzygodzinnej, bezustannej grze w piłkę nożną.

Nie, nie tak. To było silniejsze. Nigdy dotąd czegoś takiego nie czułem. Miałem ochotę zjeść ją w całości, pożreć ją.

Dotychczas w naszym związku to ona była zmysłowa. Pozwoliłem jej wyznaczyć i kontrolować tempo. To było niewiarygodnie

podniecające, gdy mnie chwyciła, zrywała ze mnie koszulkę i przyciągała moją twarz do swojej.

Ale dzisiejszego wieczoru nie mogłem się powstrzymać. Nie mogłem.

Drzwi się zamknęły, aja sięgnąłem po brzeg jej koszulki. Ściągnąłem ją Ange przez głowę, prawie nie dając jej czasu na podniesienie rąk. Zdzierając swoją koszulkę, usłyszałem trzask pękających szwów.

Jej oczy lśniły, usta były otwarte, a oddech szybki i płytki, jak mój własny. Mój oddech, serce i krew tętniły mi w uszach.

Z równym zapalem zdjąłem resztę naszych ubrań, rzucając je na stos brudnego i czystego prania na podłodze. Na całym tapczanie były porozrzucane książki i papiery, więc jednym ruchem zrzuciłem je na bok. Chwilę później wylądowaliśmy na niepościelonym łóżku, ze splecionymi ramionami, ściskając się tak, jakbyśmy chcieli siebie nawzajem przeniknąć. Jęknęła mi prosto w usta, zrobiłem to samo i poczułem, że jej głos brzęczy w moich strunach głosowych, co było najbardziej intymnym doznaniem, jakiego kiedykolwiek doświadczyłem.

Wyrwała się i sięgnęła w kierunku szafki nocnej. Z szarpnięciem wysunęła szufladę i tuż przede mnie rzuciła białą papierową torebkę z apteki. Zajrzałem do środka. Kondomy. Prezerwatywy Trojan. Z płynem plemnikobójczym. Nadal nierozpakowane. Uśmiechnęliśmy się do siebie, a ja otworzyłem pudełko.

Od lat zastanawiałem się, jak to będzie. Wyobrażałem to sobie sto razy dziennie. Bywały dni, kiedy nie myślałem o niczym innym.

To nie było to, czego się spodziewałem. Momentami było lepiej. Momentami o wiele gorzej. W trakcie wydawało mi się, że to trwa całą wieczność. Po wszystkim miałem wrażenie, że trwało tyle co mrugnięcie oka.

Czułem się tak samo. Ale też inaczej. Coś się między nami zmieniło.

To było dziwne. Gdy zakładaliśmy na siebie ubrania, oboje byliśmy onieśmieleni i chodziliśmy po pokoju, unikając się wzrokiem. Zapakowałem kondom w chusteczkę, którą wyjąłem z paczki leżącej obok na łóżku, zaniósłem go do łazienki, zawinąłem w papier toaletowy i wepchnąłem głęboko do kosza na śmieci.

Gdy wróciłem, Ange siedziała na łóżku i grała na Xboksie. Usiadłem ostrożnie obok niej i wziąłem ją za rękę. Odwróciła się do mnie i uśmiechnęła. Oboje byliśmy wykończeni i rozdygotani.

- Dzięki - powiedziałem.

Nic nie odpowiedziała. Spojrzała na mnie. Na jej twarzy widniał szeroki uśmiech, ale po policzkach toczyły się grube łzy. Przytuliłem ją, a ona mocno do mnie przylgnęła.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Marcusie Yallow - szepnęła. - Dziękuję ci.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc ją uściśnąłem. W końcu rozdzieliliśmy się. Już nie płakała, ale wciąż się uśmiechała.

Wskazała na mojego Xboksa leżącego na podłodze obok łóżka. Podniosłem go, podłączyłem i zalogowałem się.

Wciąż to samo. Mnóstwo e-maili. Mnóstwo nowych wpisów na blogach, które czytałem. Spam. O Boże, ileż ja dostawałem tego spamu. Moją szwedzką skrzynkę mailową ciągle zalewały jakieś trefne wiadomości - ktoś używał jej jako adresu zwrotnego do wysyłania spamu na setki milionów kont internetowych, tak żeby wszystkie te odbite maile i złośliwe wiadomości wracały do mnie. Nie wiedziałem, kto za tym stoi. Być może ci z DBW, starając się obciążyć moją skrzynkę. A może tylko jacyś kolesie robili sobie jaja. Jednak Partia Piratów miała dość dobre filtry i dawała każdej chętnej osobie pięćset gigabajtów pamięci na skrzynce, więc w najbliższym czasie nie groziło mi zatonięcie.

Przefiltrowałem to wszystko, waląc w klawisz *delete*. Miałem osobną skrzynkę na wiadomości zaszyfrowane moim publicznym

kluczem, bo najpewniej pochodziły one od kogoś z Xnetu i prawdopodobnie były poufne. Spamerzy nie doszli do tego, że gdyby używali kluczy publicznych, ich maile wyglądałyby bardziej wiarygodnie, więc jak dotąd wszystko dobrze działało.

Dostałem kilkadziesiąt zakodowanych wiadomości od ludzi z Sieci Zaufania. Przejrzałem je - były tam linki do filmików i fotek z nowymi scenami nadużyć DBW, przerażające historie o tych, którzy próbowali uciec, krytyczne uwagi z powodu tego, co napisałem na blogu. To, co zwykle.

Wtedy zauważyłem jeden wpis, który był zakodowany tylko moim kluczem publicznym. Oznaczało to, że nikt inny nie mógł tego przeczytać, ale nie miałem pojęcia, kto mógł to napisać. Jego autorką była niejaka Masza, co mogło być zarówno nickiem, jak i imieniem - tego nie byłem w stanie stwierdzić.

- > M1k3y

- > Nie znasz mnie, ale ja znam ciebie.

- > Aresztowali mnie w dniu wysadzenia mostu. Przesłuchiwali mnie. Stwierdzili, że jestem niewinna. Zaproponowali mi pracę: miałam pomagać im w łapaniu terrorystów, którzy zabili moich sąsiadów.

- > Wtedy wydawało mi się, że to dobry układ. Nie zdawałam sobie sprawy, że moja praca będzie polegała na donoszeniu na dzieciaki, którym nie podobało się to, że ich kraj zamienia się w państwo policyjne.

- > Zinfiltrowałam Xnet w dniu jego powstania. Jestem w twojej Sieci Zaufania. Gdybym chciała ujawnić swoją tożsamość mogłabym wysłać ci maila z adresu, któremu ufasz. Właściwie to z trzech adresów. Jestem tak głęboko wewnątrz twojej sieci, jak może być tylko inny siedemnastolatek. Niektóre e-maile, jakie dostałeś ode mnie i moich agentów, były starannie dobrane taki żeby wprowadzić cię w błąd.

- > Nie wiedzą, kim jesteś, ale są blisko. Cały czas przeciągają ludzi na swoją stronę i proponują im współpracę. Przekopują strony sieci

społecznościowych i stosują groźby, żeby z dzieciaków zrobić informatorów, W tej chwili w Xnecie dla DBW pracują setki ludzi. Mam ich imiona, nicki i klucze. Prywatne i publiczne.

> W ciągu kilku dni po uruchomieniu Xnetu zaczęliśmy rozpracowywać ParanoidXboksa. Jak dotąd mamy niewielkie i mało istotne osiągnięcia, ale przełom jest nieunikniony. Z dniem, w którym on nastąpił będziesz martwy.

> Wiem, że jeśli moi agenci dowiedzą się, że to napisałam, będę gniła w Gitmo na Zatoce do późnej starości.

> Nawet jeśli nie złamię ParanoidXboksa, wokół krążą jego podróby. Nie pasują do sum kontrolnych, ale ile osób sprawdza sumy kontrolne? Oprócz ciebie i mnie? Mnóstwo dzieciaków jest już martwych, chociaż o tym nie wie.

> Moi agenci czekają tylko na odpowiedni czas, żeby ci przywalić, wywierając jak największy wpływ na media. To stanie się prędzej niż później- Uwierz mi.

> Pewnie się zastanawiasz, dlaczego to piszę.

> Ja też.

> Oto cała moja historia. Zapisałam się, żeby walczyć z terrorystami. Zamiast tego donoszę na Amerykanów wierzących w rzeczy, które nie podobają się DBW. Nie na ludzi, którzy planują wysadzić w powietrze mosty, ale na protestujących. Nie mogę już tego robić-

> Ty też nie, bez względu na to, czy zdajesz sobie z tego sprawę czy nie. Jak powiedziałam, to, kiedy zakują cię w kajdany na Treasure Island, jest tylko kwestią czasu. Nie chodzi o to czy, ale kiedy.

> To tyle. W Los Angeles są pewni ludzie. Mówią, że gdybym chciała uciec, mogą mi pomóc-

> Chcę uciec.

> Jeśli chcesz, wezmę cię ze sobą. Lepiej być wojownikiem niż męczennikiem. Jeśli ze mną pójdziesz, możemy razem obmyślić jak wyjść z



tego cało. Jestem tak samo sprytna jak ty. Uwierz-

- > Co ty na to?
- > To jest mój klucz publiczny.
- > Masza

Gdy masz kłopoty lub nie pomaga nic, wiedz okreśną drogą, wrzeszcz i krzycz.

Poznajecie ten wierszyk? To niezbyt dobra rada, ale przynajmniej łatwo się do niej zastosować. Zeskoczyłem z łóżka i zacząłem chodzić tam i z powrotem. Serce mi waliło, a krew tętniła, parodiując uczucia, z którymi tutaj przyszedłem. To nie było podniecenie seksualne, ale nieskrywane przerażenie.

- Co? - zapytała Ange. - Co?

Wskazałem jej ekran po mojej stronie łóżka. Przewróciła się na brzuch, chwyciła klawiaturę i napisała coś palcem na panelu dotykowym. Czytała w milczeniu.

Chodziłem tam i z powrotem.

- To muszą być kłamstwa - powiedziała. - DBW bawi się twoim umysłem.

Spojrzałem na nią. Przygryzała wargę. Wyglądało na to, że w to nie uwierzyła.

- Myślisz?

- Pewnie. Nie mogą cię pokonać, więc próbują cię dorwać za pomocą Xnetu.

- Jasne.

Usiadłem z powrotem na łóżku. Znowu miałem przyspieszony oddech.

- Wyluzuj - dodała. - To tylko gra logiczna. Patrz.

Nigdy wcześniej nie brała mojej klawiatury, ale teraz istniała między nami jakaś nowa intymność. Nacisnęła „Odpowiedz” i napisała:

- > Niezła próba.

Pisała jako M1k3y. Teraz było między nami inaczej niż przedtem.

- Dalej, podpisz się. Zobaczymy, co odpowie.

Nie byłem pewien, czy to najlepszy pomysł, ale nie miałem lepszych. Podpisałem się i zakodowałem wiadomość moim prywatnym kluczem i kluczem publicznym, jaki podała Masza.

Odpowiedź była natychmiastowa.

> Wiedziałam, że napiszesz coś w tym stylu.

> To hack, o którym nie pomyślałeś. Mogą anonimowo tunelować filmiki przez DNS. Tutaj jest kilka linków do nagrań, na które być może będziesz chciał popatrzeć, zanim przekonasz się, że mi na tym zależy. Oni wszyscy się nawzajem nagrywają, przez cały czas, dostają ekstrabonusy za wyspywanie kumpli. Łatwo ich szpiegować, bo sami siebie szpiegują.

> Masza

W załączniku znajdował się kod źródłowy do niewielkiego programu, który, jak się okazało, robił dokładnie to, o czym pisała Masza: przysyłał filmy przez protokół Domain Name Service.

Pozwólcie, że cofnę się tutaj na chwilę i coś wyjaśnię. Koniec końców protokół internetowy jest tylko ciągiem tekstu przesyłanym w jakimś określonym porządku. To tak, jakby wziąć ciężarówkę i wsadzić do niej samochód, a potem do jego bagażnika włożyć motor, a do niego doczepić rower, a do bagażnika roweru dopiąć parę rolek. No chyba że wolelibyście jeszcze doczepić ciężarówkę do rolek.

Weźmy na przykład Simple Mail Transport Protocol (SMTP), czyli prosty protokół przesyłania e-maili.

Tak wygląda przykładowa rozmowa między mną i moim serwerem mailowym podczas wysyłania wiadomości do samego siebie:

> HELO malybrat.com.se

SSO mail.partiapirow.org.se Hello mail.partiapirow.org.se, pleased to meet you

> MAIL FR0n:mlk3y@malybrat.com.se

```
250 2.1.0 mlk3yamalybrat.com.se... Sender ok
> RCPT TO:mlk3y@malybrat.com.se
250 2-1-5 mlk3yamalybrat.com.se... Recipient ok
> DATA
354 Enter mail, end with "." on a line by itself
> Gdy masz kłopoty lub nie pomaga nic,ziej okrężną drogą, wrzeszcz i
krzycz
>
250 2.0.0 k5SMW0xq006174 Message accepted for delivery ŪQUIT
221 2.0.0 mail.partiapirow.org.se closing connection
Connection closed by foreign host.
```

Gramatyka tej rozmowy została zdefiniowana w 1982 roku przez Jona Postela, jednego z bohaterkich założycieli internetu, który jeszcze w epoce „paleolitu” kierował najważniejszymi serwerami w necie dosłownie pod swoim biurkiem na Uniwersytecie Południowej Karoliny.

A teraz wyobraźcie sobie, że podłączyliście serwer mailowy do sesji komunikatora internetowego. Moglibyście przesłać do serwera wiadomość z komunikatora o treści: „HELO malybrat.com.se”, a on odpowiedziałby: „250 mail.partiapirow.org.se Hello mail.partiapirow.org.se, pleased to meet you”. Ujmując to inaczej, przez komunikator moglibyście przeprowadzić taką samą rozmowę jak przez SMTP. Po dokonaniu odpowiednich ulepszeń cała praca serwera mailowego mogłaby odbywać się na czacie. Albo w obrębie serwera www. Lub czegokolwiek innego.

To się nazywa „tunelowanie”. Wkładacie SMTP do „tunelu” czata. Gdybyście chcieli naprawdę poszaleć, moglibyście wsadzić potem czat z powrotem do tunelu SMTP, tunelując tunel w innym tunelu.

W rzeczywistości temu procesowi można poddać każdy protokół internetowy. Fajnie, bo to oznacza, że jeśli jesteście w sieci tylko z

dostępem do stron www, możecie przetunelować przez nie swoje maile. Możecie przetunelować wasze ulubione P2P. Możecie nawet przetunelować Xnet - który sam w sobie jest tunelem dla dziesiątek protokołów.

Domain Name Service to interesujący i stary protokół internetowy, który sięga 1983 roku. To sposób, w jaki wasz komputer konwertuje swoją nazwę - na przykład `partipiratow.org.se` - na numer IP, którego komputery używają właściwie do tego, żeby komunikować się ze sobą w sieci, na przykład `204.11.50.136`. W zasadzie to działa jak magia, mimo że składa się z milionów poruszających się części - każdy dostawca internetu prowadzi serwer DNS, tak jak większość rządów i wielu prywatnych operatorów. Te serwery DNS bezustannie się ze sobą komunikują, kreując zapytania i odpowiadając na nie, więc bez względu na to, jak niejasną nazwę wrzuciliście do swojego kompa, będzie on w stanie zamienić ją w liczbę.

Przed DNS-ami istniał plik HOSTS. Wierciec lub nie, ale to był pojedynczy dokument, który zawierał listę nazw i adresów k a ż d e g o p o j e d y n c z e g o k o m p u t e r a podłączonego do internetu. Na każdym komputerze znajdowała się jego kopia. W końcu jednak plik ten stał się zbyt duży, żeby móc funkcjonować, więc stworzono DNS, który chodził na serwerze pod biurkiem Jona Postela. Gdyby sprzątaczkę wyrwały wtyczkę, internet nie mógłby odnaleźć samego siebie. Poważnie.

Dzisiaj DNS jest wszędzie. Serwer DNS działa w każdej sieci i wszystkie te serwery są tak skonfigurowane, żeby komunikować się ze sobą i z przypadkowymi ludźmi w całym internecie.

Masza rozgryzła sposób tunelowania systemu i przesyłania obrazu przez DNS. Rozkładała nagranie na miliardy kawałków i każdy z nich ukrywała w normalnej wiadomości wysyłanej do serwera DNS. Uruchiwiając swój szyfr, byłam w stanie z niewyobrażalną prędkością ściągnąć nagranie ze wszystkich tych serwerów DNS, z całego internetu. Na internetowych histogramach musiało to wyglądać dziwnie,

jakbym sprawdzał adresy wszystkich komputerów na świecie.

Ale miało to dwie zalety, które od razu doceniłem: mogłem ściągać filmiki z oszałamiającą prędkością - gdy tylko kliknąłem na pierwszy link, zacząłem otrzymywać pełnoekranowe nagrania, bez zacinania i przestojów - i nie miałem pojęcia, gdzie to było przechowywane. Całkowita anonimowość.

Na początku nawet nie zauważyłem, czego dotyczy ten film. Pomysłowość owego triku rozłożyła mnie na łopatki. Przesyłanie obrazu przez DNS? To było p e r w e r s y j n i e sprytne i niesamowite.

Stopniowo nagranie, na które patrzyłem, zaczęło do mnie docierać.

To był stół w niewielkim pokoju przesłuchań z weneckim lustrem zamiast jednej ściany. Znałem ten pokój. Siedziałem w nim, kiedy zmuszano mnie do wyjawienia mojego hasła. Wokół stołu stało pięć wygodnych krzeseł, na których siedziało wygodnie pięć osób, wszystkie w mundurach DBW. Rozpoznałem generała majora Graeme'a Sutherlanda, dowódcę DBW w rejonie zatoki, oraz Miss Gestapo. Innych nie kojarzyłem. Wszyscy patrzyli na ekran ustawiony na końcu stołu: widniała na nim o wiele bardziej znajoma twarz.

Kurt Rooney był znany w całym kraju jako główny strateg prezydenta, człowiek, który załatwił partii trzecią kadencję i szykował się do czwartej. Mówili na niego „Bezwzględny”. Kiedyś w wiadomościach oglądałem reportaż o tym, jak krótko trzymał swoją ekipę, wydzwanając do nich, czatując z nimi, obserwując każdy ich ruch, kontrolując każdy krok. Był stary, miał pomarszczoną twarz i blade szare oczy, płaski nos z szerokimi, rozkloszowanymi dziurkami i wąskie usta. Wyglądał na człowieka, który bezustannie węszy coś niedobrego.

To właśnie jego gęba widniała na nagraniu. Przemawiał, a wszyscy gapili się w skupieniu na ekran, robiąc w wielkim pośpiechu notatki i starając się zachować mądry wyraz twarzy.

- ...powiedzmy, że są źli na władze. Musimy pokazać temu krajowi, że to terrorystów, a nie rząd należy winić. Rozumiecie? Nasz naród nie kocha tego miasta. Ich zdaniem to sodoma i gomora pedałów i ateistów, którzy zasługują na to, żeby zgnić w piekle. Ten kraj przeżywa się tym, co myślą mieszkańcy San Francisco, tylko dlatego że szczęśliwym trafem wysadzili ich jacyś islamscy terroryści.

Te dzieciaki z Xnetu - dodał - dochodzą do miejsca, w którym mogą być dla nas przydatne. Im bardziej są radykalne, tym bardziej reszta narodu rozumie, że niebezpieczeństwo czai się wszędzie.

Widzowie przestali notować.

- Myślę, że jesteśmy w stanie to kontrolować - powiedziała Miss Gestapo. - Nasi ludzie w Xnecie zyskali duże wpływy. Każdy z tych Mandżurskich Blogerów prowadzi pięćdziesiąt blogów, zalewając kanały czatu, łącząc się z innymi, w większości zaś przyjmując linię partii wytyczoną przez tego M1k3ya. Ale pokazali już, że potrafią sprowokować radykalną akcję, nawet gdy M1k3y próbuje ich przyhamować”.

Generał major Sutherland przytaknął.

- Planujemy wyciągnąć ich z podziemia dopiero na mniej więcej miesiąc przed półroczem - przypuszczam, że chodziło mu o półroczce kadencji Kongresu, a nie o koniec mojego semestru. - Tyle, jeśli chodzi o pierwotny plan. Ale wygląda na to...

- Na połowę kadencji mamy inny plan - powiedział Rooney. - Nie musicie go oczywiście znać, ale prawdopodobnie nie powinniście planować żadnych podróży na miesiąc przed. Teraz jak najszybciej dajcie im trochę luzu w tym Xnecie. Dopóki mają umiarkowane poglądy, są naszą kulą u nogi. Zadbajcie o to, żeby wciąż byli radykalni.

Nagranie dobiegło końca.

Siedzieliśmy z Ange na brzegu łóżka, patrząc w ekran. Ange nachyliła się i włączyła je ponownie. Obejrzeliśmy je. Za drugim razem było jeszcze gorsze.

Odrzuciłem klawiaturę na bok i wstałem.

- Niedobrze mi się robi od tego strachu - powiedziałem. - Zanieśmy to do Barbary i poprośmy, żeby to opublikowała. Wrzucmy to do sieci. Niech mnie zabiorą. Przynajmniej będę wiedział, czego się spodziewać. Przynajmniej wtedy w moim życiu pojawi się coś pewnego.

Ange chwyciła mnie i przytuliła, uspokajając.

- Wiem, kochanie, wiem. To okropne. Ale skupiasz się na tym, co złe, ignorując to, co dobre. Stworzyłeś ruch. Zyskałeś przewagę nad tymi cymbałami z Białego Domu, oszustami w mundurach DBW. Doszedłeś do miejsca, w którym możesz pokazać prawdziwe oblicze tego całego zepsutego DBW. Jasne, że po ciebie przyjdą. Pewnie, że tak - powiedziała spokojnym, ale stanowczym tonem. - Czy chociaż przez chwilę miałeś co do tego wątpliwości? Ja zawsze wiedziałam, że tak się stanie. Ale Marcus, oni nie wiedzą, kim jesteś. Pomyśl o tym. Wszyscy ci ludzie, pieniądze, broń i szpieczy, i ty, siedemnastoletni uczeń! Nadal masz nad nimi przewagę. Nie wiedzą o Barbarze. Nie wiedzą o Zębie. Przeszkodziłeś im w akcjach na ulicach San Francisco i upokorzyłeś ich przed światem. Więc przestań się nad sobą rozczulać, dobrze? Wygrywasz.

- Ale oni po mnie przyjdą. Sama widzisz. Wsadzą mnie na zaw sze do pierdła. Nawet nie do pierdła. Po prostu zniknę jak Darryl. A może gorzej. Może wyślą mnie do Syrii. Dlaczego miałiby mnie zostawić w San Francisco? Dopóki siedzę w USA, jestem ich kulą u nogi.

Usiadła ze mną na łóżku.

- No tak - powiedziała.  
- Hm...  
- Cóż, wiesz, co masz robić?  
- Co? - Spojrzała znacząco na moją klawiaturę. Zobaczyłem, że po jej policzkach toczą się łzy. - Nie! Oszalałaś. Myślisz, że zwieję z jakąś wariatką z internetu? Z jakimś szpiegiem?

- A masz lepszy pomysł?

Kopnąłem stertę prania w powietrze.

- Wszystko jedno. Dobra. Jeszcze z nią pogadam.

- Pogadaj - powtórzyła Ange. - Powiedz jej, że uciekasz razem ze swoją dziewczyną.

- Co?

- Zamknij się, kretynie. Myślisz, że jesteś w niebezpieczeństwie?

Marcus, mnie grozi takie samo niebezpieczeństwo. To się nazywa współwina. Jeśli ty pójdziesz, to ja też. - Wysunęła brodę w buntowniczym geście. - Ty i ja. Teraz jesteśmy razem. Musisz to zrozumieć.

Usiedliśmy razem na łóżku.

- Chyba że mnie nie chcesz - dodała w końcu cichym głosem.

- Jaja sobie robisz, co?

- A wyglądam tak, jakbym sobie żartowała?

- Nie ma mowy, żebym dobrowolnie poszedł bez ciebie, Ange. Nigdy bym cię nie poprosił, żebyś ze mną poszła, ale strasznie się cieszę, że to zaproponowałaś.

Uśmiechnęła się i rzuciła mi moją klawiaturę.

- Napisz do tego Maszostwora. Zobaczymy, co ta cizia może dla nas zrobić.

Napisałem maila, kodując wiadomość i czekając na odpowiedź. Ange lekko się do mnie przytuliła, musnąłem ją wargami i zaczęliśmy się całować. Przez to całe poczucie niebezpieczeństwa i świadomość, że będziemy trzymać się razem, zapomniałem o skrępowaniu, które pojawiło się po seksie, i zrobiłem się zarabiacie napalony.

Gdy znowu byliśmy na wpół rozebrani, nadszedł mail od Maszy.

> Dwie osoby? Jezu, to już i tak wystarczająco trudne.

> Nie mogę nigdzie wychodzić, chyba że u celach wywiadowczych, gdy w Xnecie wydarzy się jakaś wielka akcja. Kapujesz? Agenci obserwują każdy mój ruch, ale spuszczają mnie ze smyczy, gdy w Xnecie dzieje się coś wielkiego. Wtedy wysyłają mnie w teren.



> Zorganizuj jakąś wielką akcję. Wtedy mnie wyślą. Wydostanę naszą dwójkę. Trójkę, jeśli nalegasz.

> Ale zrób to szybko. Nie mogę wysyłać do ciebie zbyt wielu maili, rozumiesz? Obserwuj mnie. Niedługo cię złapią. Nie masz zbyt wiele czasu-Tygodnie? Może tylko dni.

> Bez ciebie się nie wydostanę. Dlatego to robię, na wypadek gdybyś się zastanawiał. Nie mogę uciec sama. Xneterzy muszą odciągnąć ich uwagę. To twoja działka. Nie zawieź mnie, M1k3y, bo zginieemy oboje. Twoja lalunia też.

> Masza

Zadzwoił mój telefon i aż oboje podskoczyliśmy. To była moja mama, która chciała wiedzieć, kiedy wracam do domu. Powiedziałem jej, że już idę. Nie wspomniała o Barbarze. Umówiliśmy się, że nie będziemy o tych sprawach rozmawiać przez telefon. To był pomysł mojego taty. Potrafił być tak samo paranoiczny jak ja.

- Muszę już iść - oświadczyłem.

- Nasi rodzice będą...

- Wiem - odparłem. - Widziałem, co działo się z moimi rodzicami, gdy myśleli, że nie żyją. Świadomość, że jestem uciekinierem, nie będzie o wiele lepsza. Ale lepiej być uciekinierem niż więźniem. Tak sądzę. W każdym razie gdy znikniemy, Barbara będzie mogła to opublikować, nie martwiąc się, że wpakuje nas w kłopoty.

Pocałowaliśmy się w drzwiach pokoju. Nie w taki gorący, niedbały sposób, w jaki zazwyczaj całowaliśmy się przy rozstaniu. Ten pocałunek był słodki. Powolny. Pożegnalny.

Przejazdy metrem skłaniają do introspekcji. Gdy pociąg kołysze się na boki, a ty próbujesz uniknąć kontaktu wzrokowego z innymi pasażerami i starasz się nie czytać reklam zachwalających chirurgię plastyczną, pożyczki i testy na AIDS, gdy próbujesz

ignorować graffiti i nie przyglądać się bliżej rzeczom na podłodze, wtedy właśnie umysł zaczyna naprawdę pracować.

Kołyszysz się tam i z powrotem, a twój mózg analizuje wszystkie te rzeczy, jakie zdarzyło ci się przeoczyć, odtwarza wszystkie filmy z twojego życia, w których nie grasz bohaterów, lecz durni i frajerów.

W twoim umyśle pojawiają się różne teorie, na przykład:

„Gdyby DBW chciał złapać M1k3ya, nie byłoby lepszego sposobu, jak wywabić go z ukrycia i sprowokować, żeby w panice zorganizował jakąś wielką publiczną imprezę Xnetu. Czy dla tej sprawy nie warto ujawnić jednego kompromitującego nagrania?”

Twój mózg wytwarza takie myśli, nawet jeśli jedziesz metrem tylko dwa lub trzy przystanki. Gdy wysiadasz i zaczynasz się poruszać, twoja krew znów zaczyna krążyć i czasem twój umysł pomaga ci ponownie.

Czasem twój mózg oprócz problemów podsuwa też rozwiązania.

## ROZDZIAŁ 18

Kiedyś moją najbardziej ulubioną na świecie rzeczą było wystawanie w pelerynie po hotelach i udawanie niewidzialnego wampira, na którego wszyscy się gapili.

To skomplikowane i o wiele dziwniejsze, niż się wydaje. Miejsce, gdzie rozgrywają się LARP-y, łączy w sobie najlepsze aspekty D&D, kółka teatralnego i zlotów fanów *science fiction*.

Rozumiem, że dla was to może nie brzmieć aż tak pociągająco, jak brzmiało dla mnie, gdy miałem czternaście lat.

Najlepsze gry toczyły się na obozach skautowych poza miastem: setka nastolatków, chłopaków i dziewczyn, walczących z korkami w piątkowe wieczory, wymieniająca się historiami, grająca na przenośnych konsolach, popisująca się całymi godzinami. Potem wszyscy wysiadali, żeby stanąć na trawie przed grupą starszych mężczyzn i kobiet w badziewnych zbrojach domowej roboty, popruty i pozszywanych, bo przecież zbroja powinna wyglądać tak, jak w dawnych czasach, jak mundur żołnierza, który przez miesiąc siedział w krzakach, zupełnie inaczej niż pokazują w filmach.

Teoretycznie tym osobom płacono za przeprowadzanie gier, ale tylko ludzie, którzy byli skłonni robić to za darmo, mogli dostać tę

pracę. Wcześniej na podstawie ankiet, które wypełniliśmy, dzielili nas na drużyny, zupełnie jakbyśmy mieli grać w bejsbol.

Potem mieliśmy szkolenie. Wyglądało to jak w filmie o szpiegach: to jest twoja tożsamość, to misja, a to sekrety drużyny.

I tak nadchodził czas obiadu. Huczące ogniska, mięso przypiekane na rożnie, tofu skwierczące na patelni (to północna Kalifornia, tutaj opcja wegetariańska nie jest opcjonalna) oraz styl jedzenia i picia, który można nazwać jedynie siorbaniem.

Już wtedy napalone dzieciaki zaczynały wczuwać się w swoje postacie. Podczas pierwszej gry byłem czarodziejem. Miałem torbę pełną woreczków z fasolą symbolizujących zaklęcia - gdy nimi ciskałem, musiałem też krzyknąć nazwę czaru, który rzucałem: ognista kula, magiczny pocisk, róg światła, i jeśli udało mi się trafić, gracz lub „potwór”, w którego rzucałem, musiał uklęknąć. Ale czasem tego nie robił - wtedy musieliśmy wzywać arbitra do mediacji, ale w większości wszyscy graliśmy *fair*. Nikt nie lubił rzucającego kośćmi sędziego.

Zanim poszliśmy spać, wszyscy zdążyliśmy się już wczuć we własne role. W wieku czternastu lat nie byłem jeszcze pewien, jak powinien brzmieć głos czarodzieja, ale mogłem podeprzeć się filmami i powieściami. Mówiłem powolnym, wyważonym tonem, z odpowiednim, mistycznym wyrazem twarzy, myśląc o ezoterycznych sprawach.

Misja była skomplikowana, chodziło o odzyskanie tajemnej relikwii skradzionej przez ogra, który chciał podporządkować swojej woli ludność mieszkającą na jego terenie. Tak naprawdę nie miało to większego znaczenia. Liczyło się, że miałem prywatną misję polegającą na tym, żeby złapać pewnego chochlika, aby ten służył mi za druha, i że byłem tajemną nemezis jednego gracza z mojej drużyny, który brał udział w wyścigu i zabił moją rodzinę, gdy byłem jeszcze chłopcem, gracza, który nie wiedział, że oto powróciłem, aby się na nim zemścić. Gdzieś oczywiście był też gracz, który żywił podobną urazę wobec mnie, więc nawet wtedy gdy cieszyłem się towarzystwem mojej drużyny, musiałem mieć oczy szeroko otwarte, w razie gdyby ktoś

chciał mnie zająć od tyłu z nożem lub dosypać trucizny do jedzenia.

Gra toczyła się przez kolejne dwa dni. Czasem przypominała zabawę w chowanego, czasem ćwiczenia w stylu: jak przetrwać w dziuzcy, a czasami rozwiązywanie krzyżówek. Mistrzowie gry odwalali kawał dobrej roboty. A w trakcie misji trzeba było naprawdę zaprzyjaźnić się z innymi ludźmi. Jako pierwszego miałem zamordować Darryla i musiałem go poznać, tropiąc go przez cały weekend. Miły koleś. Szkoda, że musiałem go zabić.

Cisnąłem w niego ognistą kulą, gdy szukał skarbu, po tym jak zmiotliśmy z powierzchni ziemi bandę orków, grając z każdym z nich w kamień, papier, nożyce, żeby zobaczyć, kto wygra. To o wiele bardziej ekscytujące, niż się wydaje.

To przypominało letni obóz dla maniaków teatru. Rozmawialiśmy w namiotach do późna w nocy, patrzyliśmy na gwiazdy, skakaliśmy do rzeki, żeby się ochłodzić, i tłukliśmy komary. Stawaliśmy się najlepszymi kumplami lub dozgonnymi wrogami.

Nie wiem, dlaczego rodzice Charlesa wysłali go na LARP. Nie był tego typu dzieciakiem, któremu podobały się takie rzeczy. Należał raczej do tych, którzy wolą wyrywać muchom skrzydełka. A może nie. Ale nie bardzo lubił biegać po lesie w przebraniu. Cały czas się snuł, szydząc z każdego i wszystkiego, próbując nam wszystkim wmówić, że wcale się dobrze nie bawimy, że tylko nam się tak wydaje. Pewnie spotkaliście już taką osobę - kogoś, kto czuje się w obowiązku przekonać was, że wszyscy kiepsko się bawią.

Kolejny problem Charlesa był taki, że nie potrafił symulować walki. Gdy już zacznie się biegać po lesie, grając w te wyszukane, półmilitarne gry, adrenalina łatwo uderza do głowy do tego stopnia, że ma się ochotę rozerwać innym gardło. Taki stan nie jest wskazany dla kogoś, kto niesie miecz, maczugę, pikę czy inne tego typu narzędzia. Dlatego w naszych grach nigdy nie wolno nikogo uderzyć, pod żadnym warunkiem. Zamiast tego gdy już się podejdzie blisko do swojego przeciwnika, rozgrywa się z nim kilka szybkich rundek kamienia,

papieru i nożyc, z pewnymi modyfikacjami w zależności od naszego doświadczenia, uzbrojenia i warunków. Arbitrzy są mediatorami w kwestiach spornych. To dość cywilizowana gra, choć nieco dziwna. Biega się za kimś po lesie, dogania go, obnaża zęby i siada, żeby zagrać w kamień, nożyce, papier. Ale to działa - i wszyscy czują się dzięki temu bezpieczni i zadowoleni.

Charles nie mógł jednak tego załapać. Myślę, że doskonale zrozumiał, że główną zasadą w tej grze był brak kontaktu, ale jednocześnie uznawał, że ta zasada się nie liczy i że nie zamierza jej przestrzegać. Przez cały weekend arbitrzy mnóstwo razy zwracali mu na to uwagę, a on przyrzekał, że będzie się tego trzymał, i znowu robił to samo. Już wtedy był jednym z większych dzieciaków i jak już kogoś dogonił, to uwielbiał „przypadkowo” rzucać się na niego, a upadek na kamienną leśną ziemię wcale nie jest zabawny.

Darryla zniszczyłem niezmiernie na niewielkiej polanie, gdzie polował na skarb. Obaj mieliśmy niezły ubaw z mojej przebiegłości. Teraz miał udawać potwora - zabici gracze mogli zamieniać się w potwory, co oznaczało, że im dłuższa była gra, tym więcej potworów nas śledziło, i że wszyscy nadal musieli uczestniczyć w grze, a bitwy stawały się coraz trudniejsze.

Właśnie wtedy z lasu tuż za mną wynurzył się Charles i rzucił się na mnie, przewracając na ziemię tak mocno, że przez chwilę nie mogłem złapać oddechu.

- Mam cię - krzyknął. Dotąd nie znałem go za dobrze i nigdy mnie za bardzo nie obchodził, ale teraz byłem gotowy go zamordować. Podniosłem się powoli na nogi i spojrzałem na niego. Jego klatka piersiowa falowała, a on wyszczerzał zęby w uśmiechu. - Jesteś martwy - powiedział. - Totalnie cię załatwiłem.

Uśmiechnąłem się, ale poczułem, że coś jest nie tak z moją twarzą, poczułem ból. Dotknąłem górnej wargi. Była zakrwawiona. Z nosa leciała mi krew, a wargę rozciąłem o korzeń, w który przywaliłem twarzą podczas upadku. Wytarłem krew o nogawkę i uśmiechnąłem się. Zrobiłem to tak, jakbym traktował to wszystko jak zabawę.

Trochę się pośmiałem i ruszyłem w jego kierunku.

Charles nie dał się nabrać. Cofał się, starając się usunąć w cień lasu. Darryl ruszył, żeby zagrozić mu drogę. Ja zaszedłem go z drugiej strony. Nagle odwrócił się i zaczął biec. Darryl podłożył mu nogę, a on runął jak długi. Rzuciliśmy się na niego i w tym momencie usłyszeliśmy gwizdek arbitra.

Arbiter nie widział, jak Charles mnie sfaulował, ale obserwował jego wcześniejsze zachowanie. Odesłał go do obozu i powiedział, że odpada z gry. Charles skarżył się z całych sił, ale ku naszej satysfakcji na arbitra to nie działało. Gdy Charles sobie poszedł, dał nam obu wykład o tym, że naszego odwetu nie można usprawiedliwić, tak samo jak ataku Charlesa.

To było w porządku. Tamtego wieczoru, gdy skończyliśmy grę, wzięliśmy wszyscy gorący prysznic w ośrodku skautowym. Razem z Darrylem gwizdnąłem Charlesowi ubrania i ręcznik. Zawiązaliśmy je na supły i wrzuciliśmy do pisuaru. Wielu chłopaków miało niezły ubaw podczas ich „nasączania”. Charles bardzo entuzjastycznie podchodził do swoich wyczynów.

Żałuję, że nie widziałem go, gdy wyszedł spod prysznica i odkrył, gdzie znajdują się jego rzeczy. To trudna decyzja: biec na golasa przez pole obozowe czy rozwiązać ciasno splątane, przesiąknięte moczem supły na swoim ubraniu i je włożyć?

Wybrał nagość. Prawdopodobnie wybrałbym to samo. Ustawiliśmy się rzędem wzdłuż korytarza prowadzącego z natrysków do szatni i mu przyklaskiwaliśmy. Stałem na początku, podgrzewając atmosferę.

Takie weekendy na obozach skautowych zdarzały się tylko trzy lub cztery razy w roku, przez co czuliśmy z Darrylem - i innymi larpowcami - wielki niedosyt gier.

Na szczęście w miejskich hotelach można było grać w Przekłète Światło. To była kolejna gra terenowa, w której uczestniczyły

rywalizujące ze sobą klany wampirów i ich łowcy. Panowały w niej dziwaczne zasady. Gracze dostawali karty, które miały im ułatwić potyczki, więc każda potyczka wiązała się z rozgrywaniem partyjki strategicznych gier karcianych. Wampiry mogą stać się niewidoczne poprzez narzucenie peleryny i skrzyżowanie rąk na piersiach, a inni gracze muszą udawać, że ich nie widzą, kontynuując rozmowy o swoich planach i tak dalej. Jeśli ktoś ujawnia swoje tajemnice w obecności „niewidzialnego” rywala, zachowując się tak, jakby go nie było w pokoju, to znaczy, że jest dobrym graczem.

Każdego miesiąca odbywało się kilka dużych gier w Przekłête Światło. Ich organizatorzy mieli dobre układy z właścicielami hoteli i oznajmiali, że w piątek wieczorem zajmą dziesięć wolnych pokoi i upchną do nich graczy, którzy będą biegali po hotelu, grając po cichu w Przekłête Światło na korytarzach, wokół basenu i tak dalej. Będą jedli w hotelowej restauracji i zapłacą za korzystanie z hotelowej bezprzewodówki. Zapisy miały się zakończyć w piątek wieczorem. Mieli nam przesłać maila, a my prosto po szkole mieliśmy udać się z plecakami do wskazanego hotelu i przez cały weekend spać tam po sześciu lub ośmiu w pokoju, żywić się śmieciowym żarciem i grać do trzeciej nad ranem. To była dobra, bezpieczna zabawa, której nasi starzy do końca nie czaili.

Organizatorzy byli znani z prowadzenia darmowych warsztatów literackich i teatralnych dla młodzieży. Zajmowali się tymi grami od dziesięciu lat i jeszcze nigdy nie zdarzył się żaden wypadek. Nie było mowy o picciu czy ćpaniu, bo nie chcieliśmy, żeby wsadzili ich za deprawację nieletnich. W grach uczestniczyło od dziesięciu do stu graczy, w zależności od weekendu, i za cenę kilku biletów do kina miało się bite dwa i pół dnia zabawy.

Jednak pewnego razu trafiły im się pokoje w Monaco, hotelu w dzielnicy Tenderloin, w którym przebywali głównie pretensjonalni, podstarzali turyści. Tutaj w każdym pokoju stało kuliste akwarium, a hol był pełen pięknych staruszków w eleganckich kreacjach obnoszących się z efektami operacji plastycznych.



Zazwyczaj „przyziemni” - tak nazywaliśmy tych, co nie grali - po prostu nas ignorowali, sądząc, że jesteśmy dowodzącymi dziećmi. Ale tego wieczoru w hotelu zatrzymał się akurat redaktor włoskiego czasopisma, który zainteresował się całą sprawą. Przyparł mnie do muru, gdy skradałem się po holu w nadziei, że zauważę mistrza klanu moich rywali, napadnę na niego i wypiję z niego krew. Stałem przy ścianie z rękami skrzyżowanymi na piersi, udając niewidzialnego, kiedy do mnie podszedł i zapytał z obcym akcentem, co ja i moi kumple robimy w tym hotelu.

Próbowałem go spławić, ale był nieugięty. Pomyślałem, że jak zaczęła się ciemność, to sobie pójdzie.

Nie miałem pojęcia, że on to opublikuje. Naprawdę nie sądziłem, że podłapie to amerykańska prasa.

- Jesteśmy tu, ponieważ zmarł nasz książę, więc przybyliśmy tu w poszukiwaniu nowego władcy.

- Książę?

- Tak - odparłem, brnąc dalej. - Jesteśmy Starym Narodem. Przybyliśmy do Ameryki w szesnastym wieku, a nasz królewski ród osiedlił się na pustkowiach Pensylwanii. Mieszkamy w lasach. Nie korzystamy z nowoczesnej techniki. Książę był ostatnim członkiem dynastii i zmarł w zeszłym tygodniu. Zabrała go jakaś okropna, wyniszczająca choroba. Młodzi mężczyźni z mojego klanu wyruszyli na poszukiwania potomków jego wielkiego wuja, który w czasach mojego pradziada odszedł od nas, aby żyć jak nowocześni ludzie. Podobno doczekał się potomstwa, a my odnajdziemy ostatnich członków jego rodu i zaprowadzimy do ich prawowitych domów.

Czytałem mnóstwo powieści fantasy, więc poszło mi gładko.

- Znalazłem kobietę - ściemniałem dalej - która wie coś o jego potomkach. Powiedziała nam, że jeden z nich przebywa w tym hotelu, więc przybyliśmy go odnaleźć. Ale wyszedł nas rywalizujący z nami klan, który będzie starał się nam przeszkodzić w zabranii naszego księcia do domu, żeby nas osłabić i zdominować. Dlatego ważne jest, aby nie wyjawiać nikomu naszej tajemnicy. Nie rozmawiamy z

Nowym Narodem, o ile nie musimy. Rozmowa z panem bardzo mnie krępuje.

Patrzył na mnie przenikliwym wzrokiem. Rozprostowałem ręce, co oznaczało, że byłem już teraz „widzialny” dla wampirów z przeciwnej drużyny, z których jeden płci żeńskiej właśnie się do nas powoli podkładał. W ostatniej chwili odwróciłem się i ją zauważyłem, stała tak z rozpostartymi ramionami, sycząc na nas jak na wampirzycę profesjonalistkę przystało.

Ja również rozpostarłem ręce i syknąłem na nią, po czym pognałem przez hol. Przeskoczyłem przez skórzaną sofę i wywalając się obok kwiatka w doniczce, zachęciłem ją do pogoni. Znalazłem wyjście awaryjne, które prowadziło schodami na dół do klubu fitness mieszczącego się w piwnicy, i ruszyłem nim, tym samym gubiąc wroga.

W ten weekend nie spotkałem już tego dziennikarza, ale o p o - w i e d z i a ł e m o tym jakiemuś kumplowi z LARP-u, który tę moją opowieść podkoloryzował i znalazł wiele okazji, żeby ją wszystkim dookoła rozgadać.

W tym włoskim czasopiśmie pracowała laska, która napisała magisterkę o komunach amiszów mieszkających na wiejskich terenach Pensylwanii i której wydaliśmy się strasznie interesującym zjawiskiem. Opierając się na notatkach i nagranych wywiadach, które jej szef przywiózł ze sobą z wypadu do San Francisco, napisała fascynujący, podnoszący na duchu artykuł o dziwnych młodocianych wynawcach pewnego kultu, którzy przemierzali Amerykę w poszukiwaniu swojego „księcia”. A niech to, w dzisiejszych czasach można opublikować dosłownie wszystko.

Rzecz w tym, że ludzie szybko podchwytyją takie historie i ponownie je opisują. Zaczęło się od włoskich, a potem kilku amerykańskich blogerów. W całym kraju ludzie donosili, że widzieli Stary Narod, ale nie wiem, czy zmyślali, czy może podłapali naszą grę.

Ta historia obiegła cały medialny łańcuch pokarmowy aż po „The New York Times”, który niestety poczuł niezdrowy apetyt na

zweryfikowanie faktów. Reporter, któremu zlecono to zadanie, w końcu dotarł do hotelu Monaco, gdzie skontaktował się z organizatorami LARP-u, którzy ze śmiechem wyjaśnili mu całą historię.

Cóż, w tym momencie LARP zrobił się trochę mniej zabawny. Zaczęto nas nazywać czołowymi oszustami narodu i dziwacznymi, patologicznymi kłamcami. Prasa, która nieumyślnie dała się nabrać na historię o Starym Narodzie, chciała się teraz jakoś zrehabilitować, pisząc o tym, jakimi to niewiarygodnymi dziwolągami są larpowcy. To właśnie wtedy Charles wygadał w całej szkole, że ja i Darryl jesteśmy największymi larpującymi mięczakami w mieście.

To nie był najlepszy okres. Niektórzy z naszej ekipy mieli to gdzieś, ale nie ja. Drażnili się z nami niemiłosiernie. Zwłaszcza Charles. W swojej torbie znalazłem plastikowe kły, a dzieciaki, które mijalem na korytarzu, wołały: „ble, ble”, tak jak jeden wampir z kreskówki. Gdy byłem w pobliżu, rozmawiały z udawanym transylwańskim akcentem.

Wkrótce potem przerzuciliśmy się na ARG. W pewnym sensie te gry były bardziej zabawne i o wiele mniej dziwaczne. Jednak czasami tęskniłem za moją peleryną i tymi weekendami w hotelu.

Przeciwieństwem *esprit d'escalier* jest moment, kiedy z dalekiej przeszłości powracają i zaczynają nas nękać wszystkie żenujące sytuacje, które pojawiły się w naszym życiu. Pamiętałem każdą głupią rzecz, jaką zdarzyło mi się powiedzieć lub zrobić, odtwarzałem je z idealną dokładnością. Za każdym razem gdy czułem się przybity, automatycznie przypominały mi się inne czasy, kiedy byłem w podobnym stanie. Istna parada największych upokorzeń maszerujących jedno po drugim przez moją głowę.

Gdy próbowałem się skupić na Maszy i nieuchronnie zbliżającym się nieszczęściu, zaczął mnie prześladować incydent ze Starym

Narodem. Wtedy też nachodziły mnie podobne chore czarne myśli, bo coraz więcej gazet podchwytywało tę historię i istniało dość duże prawdopodobieństwo, że dojdą do tego, że to ja ją sprzedałem temu głupiemu włoskiemu redaktorowi w markowych džinsach z krzywymi szwami, sztywnej koszulce bez kołnierzyka i w za dużych okularach z metalowymi oprawkami.

Ale zamiast rozmyślać o własnych wpadkach, lepiej się na nich uczyć.

Przynajmniej teoretycznie. Może nasza świadomość przywołuje te wszystkie ponure duchy, żebyśmy mogli się z nimi rozliczyć, zanim upokorzone udadzą się na wieczny spoczynek.

Przez całą drogę do domu przetwarzałem w głowie te wspomnienia i zastanawiałem się, co zrobić z „Maszą”, gdyby się okazało, że próbuje mnie wykiwać. Potrzebowałem jakiegoś zabezpieczenia.

I zanim dotarłem do domu - żeby wpaść w melancholijne objęcia rodziców - znalazłem rozwiązanie.

Cały podstęp polegał na tym, żeby zorganizować to tak szybko, aby goście z DBW nie zdążyli się do tego przygotować i by Xnet mógł pokazać swoją siłę.

Cały podstęp polegał na tym, żeby pojawiło się tak wielu ludzi, by nie dano rady nas wszystkich zaaresztować i by wsadzono nas gdzieś, gdzie mogliby nas zobaczyć dziennikarze i dorośli, tak żeby DBW nie mogło znowu użyć gazu.

Cały podstęp polegał na tym, żeby wymyślić coś takiego, co wzbudzi sympatię mediów, tak jak lewitacja Pentagonu.

Cały podstęp polegał na tym, żeby zorganizować coś, co przyciągnie około trzech tysięcy studentów z Berkeley, którzy nie pozwolą na zabranie choćby jednego z nich do policyjnej sukki.

Cały podstęp polegał na tym, żeby przyciągnąć tam wszystkich reporterów, którzy doniosą o działaniach policji, tak jak zrobili to w Chicago w 1968 roku.

To musiał być naprawdę niezły podstęp.

Następnego dnia zerwałem się ze szkoły godzinę wcześniej, stosując moje zwyczajowe techniki ucieczki, nie dbając o to, czy uruchomię kolejny zastawiony przez DBW czujnik i czy moi rodzice dostaną kolejną skargę.

Tak czy inaczej po jutrzejszej akcji problemy w szkole miały być ostatnią rzeczą, jaką powinni przejmować się moi rodzice.

Poszedłem do Ange. Musiała zerwać się ze szkoły jeszcze wcześniej niż ja. Zaczęła udawać, że ma straszne skurcze i że słabnie, więc wysłali ją do domu.

Puściliśmy informację w Xnecie. Rozesłaliśmy e-maile do zaufanych znajomych i powiadomiliśmy kumpli na czacie. Przemierzyliśmy pokłady i miasta w Mechanicznej Grabieży i powiadomiliśmy naszą ekipę. Rozesłanie wystarczającej liczby informacji, przy jednoczesnym niewtajemniczaniu w to DBW, było trudnym zadaniem, ale myślałem, że udało mi się zachować właściwe proporcje:

- > UWAMMPOB JUTRO
- > Jeśli jesteście gotami, zaimponujcie strojem. Jeśli nie jesteście gotami, dorwiczcie jakiegoś i pożyczcie ciuchy. Obowiązuje strój wampira.
- > Gra zaczyna się o ósmej rano. PUNKTUALNIE. Przyjdźcie i przygotujcie się na to, że zostanieie podzieleni na grupy. Gra trwa 30 minut, więc będziecie mieli dużo czasu, żeby potem wrócić do szkoły.
- > Miejsce poznacie jutro. Wyślijcie mailem swój klucz publiczny na [mlk3y@malybrat.partiapirotou.org.se](mailto:mlk3y@malybrat.partiapirotou.org.se) i sprawdźcie skrzynkę o siódmej rano. Jeśli to dla was za wcześnie, nie kładźcie się w ogóle spać. To jest nasz plan.

- > To będzie zabawa roku, gwarantuję wam.
- > Serio.
- > M1k3y

Potem wysłałem krótką wiadomość do Maszy.

- > Jutro
- > M1k3y

Po minucie dostałem od niej odpowiedź:

> Tak myślałam. WampMob, co? Szybko działasz. Załóż czerwoną czapkę. Nie bierz ze sobą za dużo.

Co ze sobą zabieracie, gdy szycujecie się do ucieczki? Nanosiłem się dosyć plecaków na obozach skautowych, żeby wiedzieć, że z każdym krokiem każdy dodatkowy kilogram wrzyna się w ramiona z przygniatającą siłą grawitacji - bo to już nie jest kilogram, to kilogram, który dźwigacie przez milion kroków. A to już tona.

- W porządku - powiedziała Ange. - Sprytnie. I tak zawsze bierze się ciuchy tylko na trzy dni. Można je przecież przepłukać w umywalce. Lepiej mieć płamę na koszulce niż bagaż, który nie mieści się pod siedzeniem w samolocie.

Wyciągnęła torbę zrobioną z nylonu balistycznego, której pasek przechodził między jej piersiami - na widok czego trochę się spociłem. W środku było sporo miejsca, położyła ją na łóżku. Obok niej zaczęła układać ubrania.

- Myślę, że wystarczą trzy koszulki, spodnie, spodenki, trzy pary majtek i skarpetek i sweter.

Wysypała zawartość swojej torby sportowej i zaczęła wybierać przybory toaletowe.

- Muszę pamiętać, żeby jutro rano zabrać szczoteczkę do zębów, zanim pójde do Civic Center.

Pakowała się w imponujący sposób. Była bezlitosna. To wszystko było takie dziwne - uświadomiłem sobie, że następnego dnia miałem wyjechać. Może nawet na długo. Może na zawsze.

- Mam zabrać Xboksa? - zapytała. - Na twardym dysku mam tony rzeczy, notatki, szkice, maile. Wolałabym, żeby nie wpadły w nieodpowiednie ręce.

- Wszystko jest zakodowane - powiedziałem. - W ParanoidXboksie to standard. Zostaw Xboksa, w LA będzie ich pełno. Załóż tylko konto na serwerze Partii Piratów i wyślij do siebie maila z obrazem

swojego twardego dysku. Jak wrócę do domu, zrobię to samo.

Zrobiła tak, jak powiedziałem, i ustawiła się w kolejce, żeby wysłać maila. Zanim wszystkie dane precyzyjnie się przez bezprzewodówkę sąsiadów i dofruną do Szwecji, może minąć kilka godzin.

Zamknęła torbę i naciągnęła paski. Teraz na jej plecach zwisало coś wielkości piłki nożnej, patrzyłem na to z podziwem. Mogła maszerować po ulicy, trzymając to pod pachą i nie zwracając niczyjej uwagi - wyglądała tak, jakby szła do szkoły.

- Jeszcze jedno - dodała, po czym podeszła do nocnego stolika i wyjęła prezerwatywy. Wyciągnęła je z pudełka, otworzyła torbę i wsadziła do środka, a potem klepnęła mnie w tyłek.

- Co teraz? - zapytałem.

- Teraz pójdziemy do ciebie, żebyś zabrał swoje rzeczy. Czas, żebym poznała twoich rodziców, co?

Postawiła torbę na podłodze wśród stosów ubrań i śmieci. Była gotowa odwrócić się do tego wszystkiego plecami i odejść tylko po to, żeby być ze mną. Dla sprawy. Dzięki temu poczułem się odważny, między innymi.

**Gdy dotarłem do domu, mama już tam była.** Siedziała przy stole kuchennym przed swoim laptopem i wysyłała maile, rozmawiając przez podłączone do komputera słuchawki z jakimś gościem z Yorkshire o tym, jak wraz z rodziną ma zaaklimatyzować się w Luizjanie.

Wszedłem do środka, a za mną Ange. Uśmiechała się jak wariatka, ale trzymała mnie za rękę tak mocno, że czułem, jak zgrzytają mi kości. Nie wiedziałem, o co się tak martwi. Nie zanosilo się na to, że po tym wszystkim będzie spędzać wiele czasu z moimi starymi, nawet jeśli się nam nie uda.

Gdy weszliśmy, mama przerwała rozmowę z Angolem.

- Cześć, Marcus - powiedziała, całując mnie w policzek. - A kto jest z tobą?

- Mamo, poznaj Ange. Ange, to moja mama Louisa.

Mama wstała i uściśniła Ange.

- Miło cię poznać, kochanie - dodała, lustrując ją od stóp do głów. Ange wyglądała na osobę, którą można zaakceptować, tak myślę. Ubierała się ładnie, powściągliwie i wystarczyło na nią spojrzeć, żeby się zorientować, że jest bystra.

- Miło mi panią poznać - powiedziała pewnym siebie głosem. Poszło jej o wiele lepiej niż mnie podczas spotkania z jej mamą.

- Mów mi Lillian, skarbie - dodała. Rejestrowała każdy szczegół.  
- Zostaniesz na obiad?

- Z wielką chęcią - odpowiedziała.

- Jesz mięso? - mama już dość dobrze przyzwyczaiła się do życia w Kalifornii.

- Jem wszystko, co wcześniej nie zje mnie - odparła.

- Jest fanatyczką pikantnych sosów - wtrąciłem. - Mogłabyś jej dać stare opony, a ona je zje, jeśli tylko będzie mogła je umoczyć w salsie.

Szturchnęła mnie lekko w ramię.

- Właśnie miałam zamówić coś tajskiego - powiedziała mama. - Dodam do zamówienia kilka dań z chili.

Ange podziękowała jej grzecznie, a mama zaczęła się krzątać po kuchni, podając nam szklanki z sokiem oraz talerz herbatników i pytając nas trzykrotnie, czy nie chcemy herbaty. Trochę się zdrygnąłem.

- Dzięki, mamo - rzuciłem. - Pójdziemy na chwilę na górę.

Mama zmrużyła na moment oczy, a potem ponownie się uśmiechnęła.

- Oczywiście - odparła. - Zjemy za jakąś godzinę, jak wróci tata.

W szafie miałem schowany swój strój wampira. Pozwoliłem, żeby Ange coś z tego wybrała, podczas gdy ja przebierałem swoje ciuchy. Wybierałem się tylko do LA. Przecież mieli tam sklepy i ubrania, których mogłoby mi zabraknąć. Potrzebowałem tylko trzech, czterech ulubionych koszulek i ulubionej pary dżinsów, dezodorantu i nitki dentystycznej.



- Kasa! - krzyknąłem.
- Tak - przytaknęła. - Miałam wyczyścić swoje konto w bankomacie w drodze do domu. Mam na nim ponad stówkę.
- Serio?
- Na co ja to wydam? - zapytała. - Odkąd powstał Xnet, nie musiałam płacić nawet za dostęp do sieci.
- Ja mam jakieś trzy stówki.
- To dobrze. Wypląć je rano w drodze do Civic Center.

Miałem dużą torbę na książki, w której taszczyłem mnóstwo sprzętu po mieście. Nie rzucała się w oczy tak jak mój plecak turystyczny. Ange bezlitośnie przejrzała moje rzeczy i wybrała swoje ulubione.

Gdy już byłem spakowany, a torba leżała pod łóżkiem, oboje usiedliśmy.

- Jutro musimy wstać naprawdę wcześniej - stwierdziła.
- Tak, to będzie wielki dzień.

Plan był taki: jutro mieliśmy rozesłać wiadomość, podając kilka fałszywych lokalizacji, w których mieli zgromadzić się uczestnicy WampMoba, i wysyłając ich tym samym do jakichś ustronnych miejsc w odległości kilku minut od Civic Center. Wycięliśmy szablon z napisem: WAMPMOB CIVIC CENTER -> -> i mieliśmy to wymalować sprejem o piątej rano. Chcieliśmy w ten sposób powstrzymać DBW przed zamknięciem Civic Center przed naszym dotarciem. Zaprogramowałem mailbota, żeby rozesłał wiadomości o siódmej - przed wyjściem z domu miałem po prostu zostawić włączonego Xboksa.

- Jak długo... - zamilkła.
- Też się nad tym zastanawiałem - przyznałem. - Przypuszczam, że to może potrwać długo. Ale kto wie? Może kiedy wyjdzie artykuł Barbary? Jutro rano mailbot też ma do niej wysłać maila. Może za dwa tygodnie będziemy bohaterami.

- Może - powiedziała i westchnęła.

Objąłem ją. Jej ramiona drżały.

- Boję się - przyznałem. - Myślę, że tylko wariat by się nie bał.

- Tak - przytaknęła. - Tak.

Mama zawołała nas na obiad. Tata uściśnął dłoń Ange. Był nieogolony i zmartwiony, wyglądał tak, odkąd poszliśmy do Barbary, ale gdy zobaczył tę dziewczynę, pojawiło się w nim trochę dawnego taty. Pocałowała go w policzek, a on poprosił, żeby nazywała go Drew.

Obiad był właściwie bardzo dobry. Lody zostały przełamane, gdy Ange wyjęła swoją tubkę pikantnego sosu, poląła nim talerz i opowiedziała o skali Scovillea. Tata spróbował kęsa jej przysmaku i zataczając się, poszedł do kuchni, gdzie wlał w siebie cztery litry mleka. Możecie w to wierzyć lub nie, ale po tym numerze mama też tego spróbowała i wszystko wskazywało, że jej to strasznie smakuje. Jak się okazało, miała wrodzony, lecz jak dotąd nieodkryty talent do pałaszowania pikantnych potraw.

Zanim Ange wyszła, wcisnęła mamie swoją tubkę z ostrym sosem.

- W domu mam jeszcze jedną - powiedziała. Widziałem, jak wsadzała ją do swojego plecaka. - Wygląda pani na kobietę, której się to przyda.

## ROZDZIAŁ 19

Oto e-mail, który został wysłany o siódmej rano, podczas gdy ja i Ange w strategicznych punktach miasta malowaliśmy sprejem: WAMPMOB CIVIC CENTER -> ->.

> ZASADY WAMPMOBA

> Należyście do klanu wampirowi które poruszają się w dzień. Odkryliście tajemnicę, dzięki której wiecie, jak przetrwać w dziennych promieniach słońca. Tą tajemnicą jest kanibalizm - krew innych wampirów da wam siłę, żeby żyć tak jak zwykli ludzie.

> Żeby pozostać w grze, musicie ugryźć jak najwięcej wampirów, musicie gryźć co minuta, bo inaczej wylot- Jak już wylecicie, załóżcie koszulkę tyłem do przodu i idźcie do arbitra - obserwujcie dwa lub trzy inne wampiry, czy rzeczywiście gryzą.

> Żeby ugryźć innego wampira, musicie powiedzieć pięć razy „gryzę”, zanim on ugryzie was. Więc podbiegacie do wampira, nawiązujecie z nim kontakt wzrokowy i krzyczycie: »Gryzę gryzę gryzę gryzę gryzę!» i jeśli uda się wam to zrobić wcześniej od niego, żyjecie dalej, a on rozpada się w proch.

> Razem z wampirami, które spotkacie u miejscu zbiórki, stanowicie drużynę. Oni są waszym klanem. Ich krwią nie możecie się żywić.

> Możecie „stać się niewidzialni”, stojąc nieruchomo z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Nie można gryźć niewidocznych wampirowi a one nie mogą ugryźć was.

> To gra honorowa. Gramy dla zabawy, nie dla wygranej.

> O końcu gry dowiecie się od innych, gdy zaczną wyłaniać się zwycięzcy. W odpowiednim czasie mistrzowie gry puszczą szeptem w obieg informację. Powtórzcie ją szeptem innym jak najszybciej i czekajcie na znak.

> M1k3y

> gryzę gryzę gryzę gryzę gryzę!

Mieliśmy nadzieję, że chętnych do WampMoba znajdzie się jakieś sto osób. Każde z nas wysłało około dwustu zaproszeń. Ale gdy o czwartej nad ranem dorwałem swojego Xboksa, znalazłem tam czterysta odpowiedzi. C z t e r y s t a .

Dodałem te adresy do bota i ukradkiem wyszedłem z domu. Zszedłem po schodach, słysząc, jak tata chrapie, a mama przekręca się na drugi bok. Zamknąłem za sobą drzwi.

O czwartej piętnaście w Potrero Hill było cicho jak na wsi. Z oddali dochodziły mnie jakieś odgłosy samochodów, jeden nawet raz obok mnie przejechał. Zatrzymałem się przy bankomacie i wypłaciłem trzysta dwadzieścia dolców w dwudziestkach, zwinąłem je w rolkę, obwiązałem gumką recepturką i wsunąłem do zasuwanej kieszeni w moich wampirzych spodniach.

Znowu miałem na sobie pelerynę, koszulę z żabotem i spodnie od smokingu z dosztukowanymi kieszeniami, w których nosiłem swoje małe gadzety. Założyłem buty z czubami i srebrnymi klamerkami z trupią czachą i nażelowałem sobie włosy, przez co wyglądałem tak, jakby wokół mojej głowy rozkwitł czarny dmuchawiec. Ange zabrała biały make-up i obiecała, że pomaluje mi kredką oczy i lakierem paznokcie na czarno. Czemu nie, do diabła? Kiedy będę miał kolejną szansę, żeby sobie pograć w takim przebraniu?

Z Ange spotkałem się przed jej domem. Miała na sobie kabaretki i gotycką sukienkę z falbanami *à la* Lolita, a do tego plecak, twarz pomalowaną na białą i staranny makijaż w stylu kabuki, a jej palce i szyja ociekały srebrną biżuterią.

- Wyglądasz zarąbiście! - powiedzieliśmy do siebie jednocześnie, po czym roześmialiśmy się cicho i zaczęliśmy skradać się po ulicach z kieszeniami pełnymi puszek ze sprejem.

Lustrując Civic Center, zastanawiałem się, jak będzie wyglądać, gdy zbierze się tam czterysta wampirów. Spodziewałem się ich za dziesięć minut przed wejściem do ratusza. Na wielkim placu roilo się już od ludzi jadących do pracy, którzy starannie omijali zebrzących tam bezdomnych.

Od zawsze nie znośm Civic Center. To zespół ogromnych, przypominających torty weselne budynków: sądów, muzeów oraz obiektów użyteczności publicznej, takich jak ratusz. Chodniki są tam szerokie, a budynki białe. Ich zdjęcia, na których wyglądają tak futurystycznie i surowo jak Epcot Center\*, widnieją w przewodnikach turystycznych po San Francisco.

\* Epcot Center - park tematyczny mieszczący się w Disneylandzie, poświęcony międzynarodowej kulturze i wynalazkom.

Ale w rzeczywistości są brudne i odpychające. Na wszystkich ławkach śpią bezdomni. Po szóstej wieczorem cała dzielnica pustoszeje, zostają wyłącznie pijacy i ćpuny. Wszystkie te budynki mają tylko jedno przeznaczenie, więc ludzie nie czują żadnej wyraźnej potrzeby, żeby się tam kręcić po zmroku. To bardziej centrum handlowe niż dzielnica i są tam tylko lombardy, sklepy monopolowe, firmy cateringowe serwujące posiłki rodzinom oszustów, którzy mają akurat rozprawy sądowe, i menele, którzy zrobili sobie z tego miejsca noclegownię.

Tak naprawdę zacząłem to wszystko rozumieć po przeczytaniu wywiadu z pewną niesamowitą starą urbanistką, kobietą zwaną

Jane Jacobs, która jako pierwsza rozgryzła, dlaczego miast nie powinno się przecinać autostradami, a biedaków upychać na siłę w osiedlach. Nie była też zwolenniczką stosowania praw strefowych, które służyły do ścisłej kontroli poczynań mieszkańców stref.

Jacobs wyjaśniła, że prawdziwe miasta powinny być naturalne i bardzo zróżnicowane - bogaci i biedni, biali i czarni, Angloamerykanie i Meksykanie, sklepiki, mieszkania, a nawet przemysł. Po takiej dzielnicy o każdej porze dnia i nocy przechadzają się wszelkiego rodzaju ludzie, dlatego można tam znaleźć miejsca zaspokajające każdą potrzebę. Wokół zawsze ktoś się kręci, przez co człowiek czuje się bezpieczniej.

Wiecie, jak to jest. Spacerujecie po jakiejś starej części miasta i okazuje się, że jest tam pełno wypasionych sklepów, koleśków w garniturach, ludzi w modnych ciuchach, ekskluzywnych restauracji i stylowych kawiarni, może jakieś małe kino i domy z wyszukаныmi malowidłami. Można też natknąć się na Starbucksa, ale obok znajdziecie schludnie wyglądający warzywniak i trzystuletnią kwaciarnię ze starannie podciętymi kwiatami w oknach. To zupełnie przeciwieństwo zaplanowanej przestrzeni, takiej jak centrum handlowe. Człowiek czuje się jak w dzikim ogrodzie czy nawet w lesie, który nieustannie r o ś n i e .

Czegoś takiego nie można zobaczyć w Civic Center. W tym wywiadzie Jacobs powiedziała, że aby je zbudować, zburzyli świetną starą dzielnicę. Taką, która powstała bez pozwolenia, ni z gruszki, ni z pietruszki.

Jacobs przewidziała, że za kilka lat Civic Center stanie się jedną z najgorszych wymarłych w nocy dzielnic w mieście. Miejscem, gdzie pozostaną tylko rachityczne sklepy z gorzałą i obskurne motele. Opisuując to, nie brzmiała jak ktoś, kto cieszy się z tego, że ma rację, ale jak ktoś, kto opowiada o swoim zmarłym przyjacielu.

To była godzina szczytu i w Civic Center wrzało jak w ulu. Znajduje się tutaj również główna stacja metra i jeśli ktoś musi się przesiąść, robi to właśnie w tym miejscu. O ósmej rano tysiące ludziwchodziło i

schodziło tu po schodach, wsiadało do taksówek i autobusów albo z nich wysiadało. Przeciskali się przez kolejne punkty kontrolne DBW znajdujące się obok poszczególnych budynków i omijali agresywnych zebraków. Wszyscy pachnieli swoimi szamponami i wodami kolońskimi i szli tak wprost spod pryszniców zakuci w zbroje garniturów, machając torbami z laptopami i teczkami. O ósmej rano Civic Center stawało się centrum biznesu.

Nagle wśród wszystkich tych ludzi pojawiły się wampiry. Kilkadziesiąt szło wzdłuż Van Ness, kolejne kilkadziesiąt nadchodziło od strony Market Street. Jeszcze więcej z drugiego końca tej ulicy. I jeszcze więcej z drugiego końca Van Ness. Prześlizgiwali się między budynkami z twarzami wymalowanymi na białą, oczami podkreślonymi czarną kredką, w czarnych ciuchach, skórzanych kurtkach i wielogachnych, głośno tupiących butach. W ażurowych rękawiczkach bez palców.

Zaczęli wypełniać cały plac. Kilku biznesmenów rzuciło na nich przelotne spojrzenia, szybko odwracali wzrok - żeby przypadkiem te dziwolągi nie wniknęły do ich osobistej rzeczywistości - i zastanawiali się nad tym, przez jakie męki będą musieli przechodzić przez kolejne osiem godzin. Wampiry wałęsały się bezładnie, nie mając pewności, kiedy zacznie się gra. Zebrane w dużych grupach wyglądały jak czarna plama ropy. Wielu z nich miało na sobie staromodne kapelusze, meloniki i cylindry. Mnóstwo dziewczyn założyło eleganckie gotyckie i nieco lolitkowane sukienki oraz buty na wielkich koturnach.

Próbowałem oszacować, ile wampirów tam było. Dwieście. A pięć minut później trzysta. Czteryście. Wciąż napływały nowe. Wampiry przyprowadziły ze sobą kumpli.

Ktoś złapał mnie za tyłek. Obróciłem się i zobaczyłem pochyloną Ange, która śmiała się tak mocno, że aż musiała złapać się za uda.

- Spójrz na nich wszystkich, człowieku, spójrz na nich! - wysapała. Jeszcze kilka minut wcześniej na tym placu było o połowę mniej osób. Nie miałem pojęcia, jaką część stanowili Xneterzy, ale jakieś tysiąc z nich z pewnością należy do mojej małej partii. Jezu.

Wokół nas zaczęli kręcić się funkcjonariusze policji i DBW, komunikując się ze sobą przez krótkofalówki i zbierając się w grupy. Z dala dobiegło mnie wycie syren.

- Już dobrze - powiedziałem, potrząsając Ange za ramię. - Dobrze, chodźmy.

Oboje wślizgnęliśmy się w tłum i gdy tylko napotkaliśmy naszego pierwszego wampira, krzyknęliśmy: „Gryzę gryzę gryzę gryzę gryzę!”. Moją ofiarą była zszokowana - ale fajna - dziewczyna z pajęczynami namalowanymi na dłoniach i rozmazanym na policzkach tuszem. Powiedziała tylko: „Cholera”, i odeszła, przyznając się w ten sposób do klęski.

Okrzyk: „Gryzę gryzę gryzę gryzę gryzę!”, zmieszał się z głosami stojących obok wampirów. Niektóre atakowały siebie nawzajem, pozostałe szukały jakiejś kryjówki. Ja znalazłem swoją ofiarę, więc przyczaiłem się, chowając się wśród przyziemnych. Wszędzie dookoła rozbrzmiewały okrzyki: „Gryzę gryzę gryzę gryzę gryzę!”, wrzaski, śmiech i przekleństwa.

Ten dźwięk rozprzestrzenił się w tłumie jak wirus. Teraz już wszystkie wampiry wiedziały, że gra się rozpoczęła, a te, które stały w grupach, zaczęły rozlaźić się jak muchy. Śmiały się, przeklinały i odchodziły, dając do zrozumienia wciąż niezorientowanym wampirom, że gra już trwa. Z każdą sekundą przybywali nowi gracze.

Ósma szesnaście. Nadszedł czas, żeby upolować kolejnego wampira. Przykucnąłem i zacząłem przemieszczać się między nogami normalsów, którzy szli do metra. Odwracali się ze zdziwieniem i skręcali gwałtownie, żeby mnie ominąć. Oczy miałem utkwione w parze czarnych butów na platformach z metalowymi smokami na palcach i zupełnie się tego nie spodziewając, znalazłem się nagle twarzą w twarz z kolejnym wampirem, kolesiem w wieku około piętnastu lub szesnastu lat, z włosami zaczesanymi na żel i w płaszczu *à la* Marilyn Manson pokrytym naszyjnikami ze sztucznych kości słoniowych, na których widniały tajemnicze symbole.



- Gryzę gryzę gryzę... - zaczął, gdy jeden z przyziemnych potknął się o niego i obaj runęli jak dłudzy. Daskoczyłem do niego i zanim zdążył się wyplątać, krzyknąłem: „Gryzę gryzę gryzę gryzę gryzę!”.

Nadchodziły kolejne wampiry. Kolesie w garniturach naprawdę się wkurzali. Gra przeniosła się na chodnik i Van Ness, rozprzestrzeniając się aż po Market Street. Kierowcy trąbili, tramwaje dzwoniły ze złością. Słyszałem syreny, ale teraz ruch w każdym kierunku był już zablokowany.

To było c u d o w n e .

GRYZĘ GRYZĘ GRYZĘ GRYZĘ GRYZĘ!

Ten odgłos rozlegał się ze wszystkich stron. Było tu już tyle wampirów i wszystkie grały tak zaciekle, że ich okrzyki zamieniły się w ryk. Zaryzykowałem i podniosłem się, rozglądając się dookoła, i okazało się, że stoję wśród gigantycznego tłumu wampirów, który rozciągał się jak okiem sięgnąć, w każdym kierunku.

GRYZĘ GRYZĘ GRYZĘ GRYZĘ GRYZĘ!

To było nawet lepsze niż koncert w parku Dolores. Wszyscy byli wściekli i wstrząśnięci, ale to było - no cóż, to było zabawne. Zupełnie jakbyśmy przenieśli się w czasie, na plac zabaw czy na przerwy śniadaniowe, podczas których setki osób ganiało się w berka, a na dworze świeciło słońce. Dorośli i samochody sprawiały, że jeszcze lepiej się bawiliśmy, że było jeszcze zabawniej.

Właśnie tak było: zabawnie. Teraz już wszyscy się śmialiśmy.

Ale gliniarze już na poważnie się mobilizowali. Usłyszałem odgłos helikopterów. Teraz w każdej chwili mogło być po wszystkim. Nadszedł czas, żeby zakończyć zabawę.

Chwyciłem jakiegoś wampira.

- Koniec gry. Jak gliny każą nam się rozejść, udawaj, że dostałeś gazem. Przekaż dalej. Co ja powiedziałem?

Tym wampirem była dziewczyna, drobna i tak niska, że pomyślałem, że jest naprawdę młoda, ale sądząc po twarzy i uśmiechu, musiała mieć jakieś siedemnaście lub osiemnaście lat.

- To podle - stwierdziła.

- Co ja powiedziałem?  
- Koniec gry. Jak gliny każą nam się rozejść, udawaj, że dostałeś gazem. Przekaż dalej. Co ja powiedziałam?

- W porządku - odparłem. - Przekaż dalej.

Wtopiła się w tłum. Dorwałem kolejnego wampira. Przekazałem. On z kolei przekazał to innym.

Wiedziałem, że gdzieś tam w tłumie Ange robi to samo. Gdzieś w tłumie mogli być szpicle, podszywani Xneterzy, ale co mogliby zrobić z tą informacją? Gliny nie miały wyjścia. Musiały kazać nam się rozejść. To było pewne.

Ja natomiast musiałem przedostać się do Ange. Planowaliśmy spotkać się przy pomniku Founders' Statue na placu, ale zapowiadało się, że niełatwo będzie nam tam dotrzeć. Tłum już się nie poruszał, lecz gwałtownie przemieszczał się przed siebie, jak wtedy na stacji metra w dniu eksplozji. Gdy ze wszystkich sił próbowałem utorować sobie drogę, nad moją głową rozległ się dźwięk z głośników umieszczonych pod helikopterem.

- TUTAJ DEPARTAMENT BEZPIECZEŃSTWA WEWNĘTRZNEGO. MACIE NATYCHMIAST SIĘ ROZEJŚĆ.

Wokół mnie setki wampirów legło na ziemię, łapiąc się za gardła, wbijając palce w oczy i z trudem łapiąc powietrze. Nie było problemu z odegraniem tej scenki. Wtedy, na imprezie w parku Dolores, pod kłębam chmur z gazem łzawiącym, mieliśmy mnóstwo czasu, żeby ją przećwiczyć.

- NATYCHMIAST SIĘ ROZEJŚĆ.

Upadłem na ziemię, ochraniając torbę i sięgając po czerwoną bejsbolówkę, którą trzymałem zwiniętą za paskiem spodni. Wcisnąłem ją na głowę i chwyciłem się za gardło, wydając potworne odgłosy wymiotne.

Teraz jedynymi osobami, które stały, byli przyziemni, kolesie żyjący z pensji, którzy po prostu próbowali dotrzeć do pracy. Dusząc się i łapiąc z trudem powietrze, rozejrzałem się dookoła.

- TUTAJ DEPARTAMENT BEZPIECZEŃSTWA WEWNĘTRZNEGO. MACIE NATYCHMIAST SIĘ ROZEJŚĆ. NATYCHMIAST SIĘ

ROZEJŚĆ - od tego głosu rozbolały mnie jelita. Czułem go w swoich zębach trzonowych, kościach udowych i kręgosłupie.

Kolesie w garniturach byli przerażeni. Uciekali ile sił w nogach we wszystkich kierunkach. Helikoptery zdawały się latać tuż nad naszymi głowami, bez względu na to gdzie staliśmy. Policjanci w kaskach na głowach zaczęli atakować tłum. Niektórzy mieli tarcze. Inni maski przeciwgazowe. Mój oddech stał się jeszcze cięższy.

Goście w garniturach biegli. Ja pewnie zrobiłbym to samo. Zobaczyłem, jak jeden facet ściągnął z siebie kurtkę wartą pięćset dolców i obwiązał nią twarz, po czym ruszył na południe, w kierunku Mission, lecz po chwili potknął się i padł na ziemię jak długi. Jego przekleństwa dołączyły do naszego kaszlu.

Tego nie było w planach - nasz kaszel miał tylko wkurzyć i zdeorientować ludzi, a nie wywołać panikę i popłoch.

Wokół rozlegały się krzyki. Te same, które dobrze znałem z tamtej pamiętnej nocy w parku. To były odgłosy sparalizowanych ze strachu ludzi, którzy wpadali na siebie podczas dramatycznej próby ucieczki.

Wtedy rozległy się syreny przeciwlotnicze.

Nie słyszałem ich od dnia eksplozji, ale nie mógłbym ich zapomnieć. Ich dźwięk przeszył mnie i wbił mi się prosto w jaja, po drodze zamieniając moje nogi w galaretę. Wpadłem w panikę i chciałem wiać. Wstałem. Na głowie wciąż miałem czerwoną czapkę. Myślałem tylko o jednym: Ange. Ange i Founders' Statue.

Teraz wszyscy byli już na nogach, biegli w różnych kierunkach. Zepchnąłem kogoś z drogi, trzymałem torbę i czapkę i kierowałem się w stronę pomnika. Masza szukała mnie, a ja szukałem Ange. Ange była gdzieś tam.

Przepychałem się i przeklinałem. Rozpychałem się łokciami. Ktoś stanął mi na stopie tak mocno, że aż zachrzęściły mi kości, więc go popchnąłem, a on upadł. Próbował się podnieść, ale ktoś na niego nadepnął. Popchnąłem go.

Potem wyciągnąłem rękę, żeby pchnąć kolejną osobę, ale czyjeś silne ręce jednym płynnym ruchem chwyciły mnie za nadgarstek i łokieć, i wykręciły mi ramię za plecy. Czulem się tak, jakby ktoś wyrwał mi rękę ze stawu, i momentalnie zgiałem się wpół z wrzaskiem, który jednak w tym zgielku tłumu, dudnieniu helikopterów i wyciu syren był ledwie słyszalny.

Czyjeś silne ręce przywróciły mnie do pionu, czulem się jak marionetka. Uścisk był tak doskonały, że nawet nie zdążyłem pomyśleć o wyrwaniu się z niego. Nie mogłem myśleć ani o hałasie helikopterów, ani o Ange. Wszystkie moje myśli były skupione na tym, żeby poruszać się wedle życzenia osoby, która teraz obróciła mną tak, że stanąłem z nią twarzą w twarz.

To była dziewczyna o ostrych rysach gryzonia, której twarz w połowie ukryta była pod wielkimi przeciwsłonecznymi okularami. Ponad nimi we wszystkie strony sterczała czupryna jasnoróżowych włosów.

- Ty! - powiedziałem. Znałem ją. To ta, która zrobiła mi zdjęcie i straszyla, że mnie zakapuje za wagary. Pięć minut później zawyły syreny. To była ona, bezwzględna i przebiegła. Oboje uciekaliśmy z Tenderloin, gdy za nami rozległo się wycie, i oboje zostaliśmy złapani przez gliny. Byłem nieprzyjaźnie nastawiony i uznali, że jestem ich wrogiem.

Ona - Masza - została ich sojusznikiem.

- Cześć, M1k3y - syknęła mi do ucha tak blisko jak kochanka. Po plecach przeszedł mnie dreszcz. Puściła moje ramię, a ja się od niej odsunąłem.

- Jezu - wydusiłem z siebie. - To ty!

- Tak, to ja - przytaknęła. - Za jakieś dwie minuty zrzucą gaz. Spieprzajmy stąd.

- Ange, moja dziewczyna, jest koło pomnika.

Masza spojrzała na tłum.

- Nie ma szans - powiedziała. - Jeśli tam pójdziemy, będzie po nas. Za dwie minuty uwolnią gaz, to na wypadek gdybyś nie załapał za pierwszym razem.

Zatrzymałem się.

- Nie idę bez Ange - oznajmiłem.

Wzruszyła ramionami.

- Jak chcesz - krzyknęła mi do ucha. - To twój pogrzeb.

Zaczęła przepychać się przez tłum, oddalając się na północ, w stronę centrum. Ja w dalszym ciągu przeciskałem się w kierunku pomnika. Chwilę później moje ramię ponownie znalazło się w potwornym uścisku, ktoś mnie odwrócił i popchnął do przodu.

- Za dużo wiesz, cymbale - powiedziała. - Widziałeś moją twarz. Idziesz ze mną.

Wrzasnąłem na nią, wyrywając rękę z jej uścisku, ale ona wciąż pchała mnie przed siebie. Z każdym krokiem stopa bolała mnie coraz bardziej, a do tego czułem, że dziewczyna zaraz wyłamie mi rękę.

Taranowała mną drogę, więc poruszaliśmy się dość szybko. Nagle łomot helikopterów trochę się zmienił i wtedy popchnęła mnie mocniej.

- BIEGNIJ! - wrzasnęła. - Zrzucają gaz!

Odgłosy tłumy też się zmieniły. Kaszel i wrzaski stały się o wiele, wiele głośniejsze. Słyszałem już kiedyś ten dźwięk. Znowu przenieśliśmy się do parku. Z góry jak deszcz padał na nas gaz. Wstrzymałem oddech i zacząłem biec.

Wydostaliśmy się z tłumy i wtedy puściła moją rękę. Otrząsnąłem się. Utykając, biegłem co sił w nogach, a tłum robił się coraz rzadszy. Zmierzaliśmy w stronę trzymających tarcze funkcjonariuszy DBW, których głowy ukryte były pod kaskami i maskami. Gdy się do nich zbliżyliśmy, zablokowali nam drogę, ale Masza pokazała im odznakę, mówiąc: „To nie są te androidy, których szukacie”, a oni natychmiast się rozsunęli, jakby była jakimś Obi-Wanem Kenobim.

- Ty pieprzona dziwko - powiedziałem, gdy pędziliśmy po Market Street. - Musimy wrócić po Ange.

Zacisnęła wargi i potrząsnęła głową.

- Współczuję ci, kolego. Nie widziałam swojego chłopaka od miesiący. Pewnie myśli, że nie żyję. Uroki wojny. Jeśli wrócimy po twoją Ange, będziemy martwi. Jeśli pójdziemy dalej, będziemy mieli szansę. Dopóki my ją będziemy mieli, ona też będzie ją miała. Nie wsadzą tych wszystkich dzieciaków do Gitmo. Pewnie wezmą kilkaset osób na przesłuchanie, a resztę odeślą do domu.

Szliśmy po Market Street obok lokali ze striptizem, gdzie przesiadywały niewielkie grupki meneli i ćpunów śmierdzące jak miejski szalet. Masza zaprowadziła mnie do małej wnęki z zamkniętymi drzwiami prowadzącymi do jednego z tych lokali. Zdjęła kurtkę i wywinęła ją na lewą stronę - podszewka była pokryta stonowanymi paskami. Ze szwami na wierzchu zwisała jakoś inaczej. Z kieszeni Masza wyjęła wełnianą czapkę i założyła ją na bakier. Potem wyciągnęła chusteczki do zmywania makijażu i zaczęła czyścić sobie twarz i paznokcie. Po chwili była już inną kobietą.

- Garderoba zmieniona - powiedziała. - Teraz ty. Pożegnaj się z butami, kurtką i czapką.

Wiedziałem, co ma na myśli. Gliny będą bardzo starannie sprawdzały każdego o wyglądzie wampira. Wyrzuciłem czapkę - nigdy nie lubiłem czapek z daszkiem. Potem do torby wepchnąłem kurtkę, wyjąłem bluzę z długim rękawem i podobizną Róży Luksemburg i naciągnąłem ją na swoją czarną koszulkę. Pozwoliłem Maszy zmyć mój makijaż i wyczyścić paznokcie i już po chwili byłem czysty.

- Wyłącz telefon - powiedziała. - Masz przy sobie jakieś identyfikatory RFID?

Miałem legitymację szkolną, kartę do bankomatu i sieciówkę. Wszystko znalazło się w posrebrzanej torbie, którą wyjęła i która, jak zauważyłem, była odpornym na fale radiowe workiem Faradaya. Ale gdy włożyła moje rzeczy do kieszeni, uświadomiłem sobie, że właśnie oddałem jej swoje dokumenty. Jeśli była po drugiej stronie...

Zaczęła do mnie docierać cała powaga sytuacji. Marzyłem o tym, żeby mieć przy sobie Ange. Z Ange byłoby dwóch na jednego. Ange

pomogłaby mi zauważyć, czy coś jest nie tak. Czy Masza jest tą, za którą się podaje.

- Włóż te kamyki do butów, zanim je założysz...

- W porządku. Mam nadwerżoną kostkę. Żadna kamera nie rozpozna teraz mojego chodu.

Przytaknęła i zarzuciła plecak. Ja wzięłam swój bagaż i ruszyliśmy dalej. Całe to przebieranie zajęło nam mniej niż minutę. Wyglądaliśmy i szliśmy jak zupełnie inni ludzie.

Spojrzała na zegarek i pokręciła głową.

- Szybko - powiedziała. - Musimy zdążyć na spotkanie. Tylko nie biegnij. Masz dwa wyjścia. Ja albo więzienie. Teraz przez wiele dni będą analizować nagrania tłumu, ale kiedy już skończą, każda twarz znajdzie się w bazie danych. Odnoszą naszą ucieczkę. Jesteśmy poszukiwanymi kryminalistami.

Przy następnej przecznicy skręciła z Market Street w kierunku Tenderloin. Znałem tę dzielnicę. To tutaj polowaliśmy na sieć bezprzewodową podczas gry w Harajuku Fun Madness.

- Dokąd idziemy? - zapytałem.

- Musimy podjechać - odparła. - Zamknij się i pozwól mi się skupić.

Szliśmy szybko, a spod włosów ściekał mi pot, spływał mi po twarzy, plecach, ześlizgiwał się po rowku w tyłku i udach. Potwornie bolała mnie stopa, a przed moimi oczami przesuwały się ulice San Francisco, być może po raz ostatni.

I nie pomógł mi nawet nasz mozolny marsz pod górkę w kierunku miejsca, gdzie obskurne Tenderloin przechodzi w Nob Hill, dzielnicę z zajebicie drogimi nieruchomościami. Ledwo dyszałem. Masza prowadziła nas bocznymi alejkami, przecinając główne ulice tylko po to, żeby przedostać się na drugą stronę.

Właśnie szliśmy po Sabin Place, jednej z takich alejek, kiedy ktoś się za nami pojawił.

- Nie ruszać się - powiedział z perwersyjnym rozbawieniem.

Stanęliśmy i obróciliśmy się.

Na końcu alejki w kiepskim stroju wampira, czarnej koszulce, dżinsach i z twarzą wymalowaną na białą stał Charles.

- Cześć, Marcus - powiedział. - Dokąd się wybierasz?

Na jego twarzy widniał szeroki, wilgotny uśmiech.

- To twoja dziewczyna?

- Czego chcesz, Charles?

- Wiesz, siedzę w tym zdradzieckim Xnecie, odkąd zauważyłem, że rozdajesz DVD w szkole. Jak się dowiedziałem o tym twoim WampMobie, pomyślałem sobie, że wpadnę i pokręcę się z boku, żeby zobaczyć, czy się pojawisz i co porabiasz. Wiesz, co zobaczyłem?

Nic nie odpowiedziałem. W rękę trzymał wycelowany w nas telefon. Nagrywał. W każdej chwili mógł wykręcić dziewięćset jedenaście. Obok mnie nieruchomo jak kłoda stała Masza.

- Zobaczyłem, że dowodzisz tą całą cholerną akcją. Nagrałem to, Marcus. A teraz zawiadomię gliny i sobie tutaj na nich poczekamy. A potem pójdziesz do pierdła, cwelu, na bardzo, bardzo długo.

Masza zrobiła krok do przodu.

- Ani kroku dalej, ciziu - powiedział. - Widziałem, jak go wyprowadziłaś. Wszystko widziałem...

Zrobiła kolejny krok do przodu i wyrwała mu z łapy telefon, chowając go drugą ręką za plecami i wyciągając po chwili ponownie, razem z odznaką.

- DBW, debilu - warknęła. - Jestem z DBW Biegłam z tym frajerem do jego przywódców, żeby zobaczyć, dokąd mnie zaprowadzi. Dobrze mi szło, ale ty to spieprzyłeś. Nawet mamy na to nazwę: „Zakłócanie bezpieczeństwa wewnętrznego”. Teraz będziesz słyszał te słowa o wiele, wiele częściej.

Charles cofnął się o krok, unosząc przed sobą ręce. Pod warstwą makijażu zrobił się jeszcze bledszy.

- Co? Nie! To znaczy... Nie wiedziałem! Próbowałem pomóc!



- Ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy, to szczyłowaci pomocnicy. Takie gadki to ty możesz strzelać w sędzie.

Znowu się cofnął, ale Masza była szybka. Chwyliła go za nadgarstek i wykręciła tym samym chwytem judo, którym potraktowała mnie w Civic Center. Włożyła rękę do kieszeni i wyjęła plastikową taśmę-kajdanki, którą szybko związała mu nadgarstki.

To była ostatnia rzecz, jaką zobaczyłem, zanim zerwałem się do biegu.

Udało mi się dobiec do końca alejki, kiedy mnie dopadła i popchnęła od tyłu, tak że wylądowałem na ziemi. Nie mogłem zbyt szybko się poruszać, nie z moją obolałą nogą i ciężką torbą. Zaryłem mocno twarzą o ziemię i przejechałem nią po brudnym asfalcie.

- Jezu - powiedziała. - Ty cholerny idioto. Chyba w to nie uwierzyłeś, co?

Serce waliło mi w piersiach. Stała nade mną, pozwalając, żebym się powoli podniósł.

- Mam cię zakuć w kajdanki, Marcus?

Podniosłem się. Wszystko mnie bolało. Chciałem umrzeć.

- Chodź - dodała. - To już niedaleko.

Okazało się, że to „niedaleko” to duża ciężarówka zaparkowana na bocznej uliczce Nob Hill, szesnastokółowiec wielkości jednej z tych wszechobecnych, najeżonych antenami ciężarówek DB W, które wciąż pojawiały się na rogach ulic San Francisco.

Jednak na tej widniał napis: „Przeprowadzki”, a trzej kolesie wędrowali tam i z powrotem do wysokiego apartamentowca z zieloną markizą. Przenosili meble w starannie oznakowanych pudełkach, pakowali je po kolei na ciężarówkę, po czym ostrożnie je tam układali.

Widocznie coś jej nie pasowało, bo oprowadziła nas wokół tego bloku, a potem, przy kolejnym okrążeniu nawiązała kontakt wzrokowy z facetem, który obserwował furgonetkę - starszym czarnoskórym mężczyzną w pasie ochronnym i ciężkich rękawicach. Miał miłą twarz i uśmiechał się do nas. Szybkim krokiem zbliżyliśmy się do furgonetki, wspięliśmy się po trzech schodkach i wskoczyliśmy do środka.

- Pod ten duży stół - powiedział. - Zostawiliśmy tam dla was trochę miejsca.

Ponad połowa ciężarówki była wypełniona towarem, ale wokół wielkiego stołu z nogami opatulonymi pęcherzykowym plastikiem i z pikowaną narzutą na blacie znajdowało się wąskie przejście.

Masza wpełzła mnie pod stół. Było tam ciasno i cicho, a w powietrzu unosił się kurz, więc gdy wcisnęliśmy się między pudła, o mało nie kichnąłem. Było tam tak mało miejsca, że właściwie na sobie siedzieliśmy. Nie sądzę, żeby Ange się tam zmieściła.

- Dziwka - powiedziałem, patrząc na Maszę.

- Zamknij się. Powinieneś lizać mi buty z wdzięczności. Za tydzień, góra dwa wylądowałbyś w pierdlu. I to nie w Gitmo na Zatoce, ale na przykład w Syrii. Chyba tam wysyłają tych, których naprawdę chcą się pozbyć.

Oparłem głowę o kolana, starając się głęboko oddychać.

- A przy okazji, dlaczego wypowiedziałeś wojnę DBW, przecież to głupota?

Powiedziałem jej. Powiedziałem jej, jak mnie wsadzili, i o tym, co zrobili z Darrylem.

Poklepała się po kieszeniach i wyjęła telefon. To była komórka Charlesa.

- To nie ten.

Wyjęła drugi. Włączyła go, a światło dochodzące z ekranu wypełniło naszą małą fortyfikację. Coś tam jeszcze ustawiła i po chwili mi go pokazała.

To było zdjęcie, które zrobiła nam tuż przed eksplozją. Byli na nim Jolu, Van, ja i...

Darryl.

W ręku trzymałem dowód, który wskazywał na to, że Darryl był z nami kilka chwil przed wybuchem bomby i że wszystkich nas aresztował DBW. To był dowód na to, że Darryl żył, miał się dobrze i przebywał w naszym towarzystwie.

- Musisz mi dać kopię tego zdjęcia - oznajmiłem. - Muszę to mieć.

- Jak dotrzemy do LA - powiedziała, zabierając telefon. - Gdy już się dowiesz, jak powinien zachowywać się uciekinier, żeby nie wpaść i nie dać się wysłać do Syrii. Nie chcę, żebyś zastanawiał się nad planem odbicia tego gościa. Tam gdzie jest, jest dosyć bezpieczny... na razie.

Myślałem, żeby zabrać jej to siłą, ale zdążyła już zademonstrować swoje fizyczne możliwości. Musiała mieć czarny pas albo coś w tym stylu.

Siedzieliśmy tam w ciemności, nasłuchując, jak ci trzej kolesie ładują kolejne pudła na ciężarówkę, wiążą je i stękają z wysiłku. Próbowalem zasnąć, ale nie mogłem. Masza nie miała z tym problemu. Już chrapała.

Z wąskiego zagraconego przejścia, które wiodło na zewnątrz, na świeże powietrze, prześwitywało światło. Gapilem się na nie w mroku, myśląc o Ange.

Moja Ange. Gdy poruszała głową, śmiejąc się z czegoś, co zrobiłem, jej włosy ocierały się o ramiona. Gdy ją po raz ostatni widziałem, leżała twarzą przy ziemi. Wszyscy ci ludzie, którzy grali w WampMoba, tak jak tamci w parku, leżeli i wili się na ziemi, podczas gdy kolesie z DBW nacierali na nich z pałkami. Wszyscy ci, co zniknęli.

Darryl. Przetrzymany na Treasure Island, ze szwami na boku, zabierany z celi na niekończące się przesłuchania na temat terrorystów.

Ojciec Darryla przybity, pijany, nieogolony. Ojciec Darryla umyty i w mundurze, na wypadek „gdyby chciała robić zdjęcia”. Płaczący jak mały chłopiec.

Mój ojciec i to, jak się zmienił po moim zaginięciu na Treasure Island. Był tak załamany jak ojciec Darryla, ale na swój własny sposób. I ta jego twarz, kiedy mu powiedziałem, gdzie byłem.

Wtedy właśnie uświadomiłem sobie, że nie mogę uciec.

Wtedy właśnie uświadomiłem sobie, że muszę zostać i walczyć.

Masza oddychała głęboko i równo, ale gdy z prędkością lodowca wyciągnąłem rękę w kierunku jej kieszeni z komórką, sapnęła lekko i się przesunęła. Znieruchomiałem i nawet wstrzymałem oddech na dwie minuty, licząc: jeden hipopotam, dwa hipopotamy.

Stopniowo jej oddech znowu stał się głęboki. Wyjmowałem telefon z jej kieszeni milimetr po milimetrze, aż z wysiłku zaczęły trząść mi się palce i ręce.

W końcu go miałem - mały telefon w kształcie batonika.

Kiedy odwróciłem głowę w kierunku światła, nagle coś sobie przypomniałem: Charlesa trzymającego swoją komórkę, poruszającego nią w naszym kierunku, szydzącego. Miał srebrny telefon w kształcie batonika oklejony logo całej masy firm, które po części sponsorowały jego zakup. To był taki telefon, w którym za każdym razem, gdy chciało się do kogoś zadzwonić, najpierw leciały reklamy.

W ciężarówce było zbyt ciemno, żeby dokładnie obejrzeć komórkę, ale wyczuwałem ją dotykiem. Czyżby jej boki były wyklejone firmowymi nalepkami? Tak? Tak. Właśnie ukradłem Maszy telefon Charlesa.

Odwróciłem się bardzo, bardzo powoli i powoli, p o w o l i sięgnąłem ponownie do jej kieszeni. Jej telefon był większy i mniej poręczny, miał lepszy aparat i kto wie, co jeszcze.

Już raz to zrobiłem - dlatego tym razem było trochę łatwiej. Znowu milimetr po milimetrze wydobywałem go z jej kieszeni, zastygając dwukrotnie w bezruchu, gdy sapnęła i drgnęła.

Kiedy z telefonem w dłoni zacząłem się wycofywać, jej ręka wystrzeliła w moim kierunku szybko niczym wąż i chwyciła mnie mocno za nadgarstek, a jej paznokcie wbiły się w małe, delikatne kości powyżej mojej dłoni.

Westchnąłem i spojrzałem w szeroko otwarte, wybaluszone oczy Maszy.

- Ale z ciebie idiota - powiedziała swobodnym tonem, zabierając mi telefon i klepiąc drugą ręką w klawiaturę. - Jak zamierzałeś go odblokować?

Przełknąłem ślinę. Czuję, jak kości w moim nadgarstku zgrzytają o siebie. Przygryzłem usta, żeby się nie rozplakać. Drugą ręką nadal stukala w klawisze.

- O to ci chodzi? Z tym chciałeś zwiać? - pokazała mi zdjęcie naszej czwórki: Darryla, Jolu, Van i mnie. - Z tym zdjęciem?

Milczałem. Czuję się tak, jakby mój nadgarstek był w strzępach.

- Może powinnam je po prostu skasować, żeby cię już więcej nie kusilo.

Wolną ręką nadal przyciskała jakieś klawisze. Na ekranie telefonu pojawiła się prośba o potwierdzenie operacji, więc musiała na niego spojrzeć, żeby znaleźć właściwy przycisk.

I właśnie wtedy postanowiłem zadziałać. Telefonem Charlesa, który nadal trzymałem w drugiej dłoni, z całej siły wałnąłem ją w przygniatającą mnie rękę, uderzając jej palcami o znajdujący się powyżej blat stołu. Wałnąłem ją tak mocno, że komórka rozpadła się na części, a Masza jęknęła, rozluźniając uścisk. Sięgnąłem po jej drugą rękę, po jej odblokowany już telefon i palec wciąż wycelowany w przycisk „OK”. Jej palce wystrzeliły w powietrze, próbując jeszcze chwycić komórkę, którą wyrwałem jej z ręki.

Przeciskałem się przez wąskie przejście na rękach i kolanach,

kierując się w stronę światła. Poczulem, jak dwukrotnie uderzyła mnie w stopy i kostki. Musiałem przesunąć na bok jakieś pudła, które otaczały nas murem jak grób faraona. Kilka upadło tuż za mną i usłyszałem kolejne jęknięcie Maszy.

Drzwi kołyszącej się ciężarówki były lekko uchylone, więc rzuciłem się w ich kierunku i prześlizgnąłem się pod nimi. Nie było już schodów, więc zawisłem nad drogą, by po chwili zsunąć się na asfalt głową do przodu i walnąć o czarną powierzchnię z łomotem, który zadźwięczał mi w uszach jak gong. Zerwałem się na nogi, przytrzymując się zderzaka, i z desperacją pociągnąłem za klamkę u drzwi, zamykając je z trzaskiem. Masza wrzeszczała wewnątrz - musiałem przyciąć jej palce. Czulem, że zaraz zwymiotuję, ale nie zrobiłem tego.

Zamiast tego zamknąłem drzwi ciężarówki na kłódkę.

## ROZDZIAŁ 20

W pobliżu nie było akurat żadnego z tych trzech gości od przeprowadzek, więc zacząłem zwiewać. Głowa bolała mnie niemiłosiernie, więc pomyślałem, że pewnie krwawię, ale ręce po jej dotknięciu były suche. Moja skręcona kostka zastała się w ciężarówce, więc biegłem jak połamana marionetka, zatrzymując się tylko raz, żeby anulować opcję kasowania zdjęcia na telefonie Maszy. Wyłączyłem radio - żeby oszczędzić baterie i żeby nie mogli mnie wyśledzić - i ustawiłem wyłącznik czasowy na dwie godziny, dłużej się nie dało. Próbowałem ustawić go tak, żeby nie trzeba było wprowadzać hasła podczas budzenia telefonu z hibernacji, ale już sama ta operacja wymagała znajomości hasła. Dlatego postanowiłem sprawdzać telefon przynajmniej raz na dwie godziny, dopóki nie rozgryzę, jak wydostać z niego zdjęcie. Potrzebowałem ładowarki.

Nie miałem żadnego planu. Musiałem go opracować. Musiałem gdzieś usiąść i wejść do sieci - żeby rozgryźć, co robić dalej. Mdlilo mnie od tego, że wciąż pozwalałem innym planować za mnie. Nie chciałem działać ze względu na to, co zrobiła Masza, czy ze względu na DBW, albo z powodu mojego taty. A może z powodu Ange? W sumie czemu nie.

Biegłem w dół, w miarę możliwości wybierając boczne alejki, wtapiając się w tłum sunący po Tenderloin. Nie wiedziałem, dokąd pójść. Co kilka minut wkładałem rękę do kieszeni i naciskałem jeden z klawiszy na komórce Maszy, żeby telefon nie popadł w hibernację. Miał otwartą klapykę i tworzył na mojej kurtce niewygodne wybrzuszenie.

Przystanąłem i oparłem się o jakiś budynek. Ból w kostce mnie dobijał. A tak w ogóle to gdzie ja byłem?

O'Farrell, przy Hyde Street. Na wprost podejrzanego salonu masażu azjatyckiego. Moje zdradzieckie stopy zaniosły mnie z powrotem do punktu wyjścia - do miejsca, w którym Masza zrobiła nam kiedyś zdjęcie, parę chwil przed wysadzeniem Bay Bridge, zanim moje życie zmieniło się na zawsze.

Miałem ochotę usiąść na chodniku i zwinąć się w kłębek, ale to nie rozwiązałoby moich problemów. Musiałem zadzwonić do Barbary Stratford i powiedzieć jej, co się stało. Pokazać jej zdjęcie Darryla.

O czym ja właściwie myślałem? Powinienem pokazać jej nagranie, to, które wysłała mi Masza - to, na którym szef sztabu prezydenta triumfował z powodu ataku na San Francisco i przyznał, że wiedział, kiedy i gdzie nastąpią kolejne, ale nie zamierzał ich powstrzymywać, bo dzięki nim jego człowiek zostanie ponownie wybrany.

Plan był taki: skontaktować się z Barbarą, dać jej dokumenty i je opublikować. WampMob niewątpliwie rozwścieczył ludzi, pewnie pomyśleli, że naprawdę jesteśmy bandą terrorystów. Oczywiście gdy to planowałem, myślałem, że to świetny sposób na rozproszenie uwagi DBW, a nie o tym, jakie to zrobi wrażenie na jakimś tatuśku z Nebraski.

Planowałem zadzwonić do Barbary, ale sprytnie, z budki telefonicznej, z kapturem na głowie, tak żeby nie sfilmowała mnie przypadkowa kamera przemysłowa. Wyrzebałem ćwierćdolarówkę z kieszeni i wypolerowałem ją o koszulkę, ścierając odciski palców.

Ruszyłem w dół ulicy w stronę metra, gdzie znajdowały się automaty telefoniczne. Gdy dotarłem do przystanku tramwajowego,



zauważyłem okładkę aktualnego wydania „Bay Guardian” leżącego na stercie gazet obok bezdomnego czarnoskórego chłopaka, który się do mnie uśmiechał.

- Dalej, przeczytaj pierwszą stronę, jest za darmo... ale musisz zapłacić pięćdziesiąt centów, żeby zajrzeć do środka.

Nagłówek został wydrukowany największą czcionką, jaką widziałem od czasów zamachów z 11 września:

### *W Gitmo na Zatoce*

A poniżej, trochę mniejszą czcionką:

„Jak DBW przetrzymywał nasze dzieci i przyjaciół w tajnym więzieniu tuż przed naszymi nosami.

Barbara Stratford, dodatek specjalny”.

Sprzedawca gazet potrząsnął głową.

- Możesz w to uwierzyć? - zapytał. - I to tutaj, w San Francisco. Człowieku, rząd jest d o d u p y .

Teoretycznie „Guardian” był za darmo, ale wydawało się, że ten chłopak zabrał cały nakład z miejscowego sklepu. W dłoni trzymałem ćwierć dolara. Wrzuciłem mu go do kubka i sięgnąłem po kolejną monetę. Tym razem nie trudiłem się, żeby wytrzeć z niej odciski palców.

„Wmawiają nam, że po wysadzeniu Bay Bridge przez niewiadomych sprawców nasz świat zmienił się na zawsze. Tego dnia zginęły tysiące naszych przyjaciół i sąsiadów. Nie wydobyto prawie żadnego ciała, przypuszcza się, że ich szczątki spoczywają na dnie zatoki.

Jednak historia, jaką opowiedział naszej reporterce pewien młody chłopak, którego parę chwil po eksplozji aresztował DBW, sugeruje, że nasz rząd przetrzymuje nielegalnie na Treasure Island wielu z tych, których uznano za zmarłych. Wkrótce po ataku wszystkich z wyspy ewakuowano, a wstęp na nią został zakazany...”

Usiadłem na ławce, na tej samej - aż zjeżyły mi się włosy na karku

- na której po ucieczce ze stacji metra położyliśmy Darryla, i przeczytałem cały artykuł. Musiałem się mocno powstrzymać, żeby nie wybuchnąć płaczem. Barbara znalazła kilka zdjęć, na których wyglądałem się wspólnie z Darrylem, i umieściła je wzdłuż tekstu. To były zdjęcia mniej więcej sprzed roku, ale wyglądałem na nich o wiele młodziej, może na dziesięć lub jedenaście lat. Sporo podrosłem przez te ostatnie kilka miesięcy.

Ten artykuł był pięknie napisany. Czułem wściekłość w imieniu tych biednych dzieciaków, o których pisała, przypominając sobie, że przecież pisała też o mnie. Zamieściła również liścik Zeba, jego drobne pismo zostało powiększone na pół strony. Barbara wydłubała więcej informacji o innych zaginionych dzieciakach, które uznano za zmarłe. To była długa lista. Pytała, ile z nich przetrzymywanych jest na wyspie, zaledwie kilka kilometrów od ich domów.

Wyrzekałem kolejną ćwierćdolarówkę z kieszeni, ale się rozmyśliłem. Jaka jest szansa, że telefon Barbary nie znajduje się na podsłuchu? Nie było mowy, żebym mógł teraz do niej zadzwonić; przynajmniej nie osobiście. Potrzebowałem jakiegoś pośrednika, który by się z nią skontaktował i umówił ją na spotkanie ze mną gdzieś na południe. To tyle, jeśli chodzi o plany.

To, czego naprawdę, naprawdę teraz potrzebowałem, to Xnet.

Jak, do diabła, miałem wejść do sieci? Mój komórkowy wykrywacz Wi-Fi mrugał jak opętany - wokół mnie było pełno bezprzewodówek, ale nie miałem ani Xboksa, ani telewizora, z których mógłbym wystartować DVD ParanoidXboksa. Cholera, a tu tyle bezprzewodówek...

I wtedy ich dostrzegłem. Dwóch chłopaków, mniej więcej w moim wieku, którzy schodzili po zatłoczonych schodach do stacji metra.

Mój wzrok przykuł ich nieco niezdarny sposób poruszania się. Szturchali podróżnych i turystów. Każdy z nich trzymał rękę w kieszeni i za każdym razem gdy napotykali swój wzrok, chichotali. To z pewnością byli zadymiarze, którzy jednak nie zważali na tłum. W tej

dzielnicy zwykle omija się bezdomnych i świrów. Unika się też kontaktu wzrokowego, jeśli można, lepiej w ogóle się nie rozglądać.

Podszedłem do jednego. Wyglądał naprawdę młodo, ale nie mógł być młodszy ode mnie.

- Hej - powiedziałem. - Hej, możesz tu na chwilę podejść?

Udał, że mnie nie słyszy. Potraktował mnie jak powietrze, tak jak zazwyczaj traktuje się bezdomnych.

- No dalej - powiedziałem. - Nie mam zbyt wiele czasu.

Złapałem go za ramię i syknąłem mu do ucha:

- Ściągają mnie gliny. Jestem z Xnetu.

Teraz wyglądał na przerażonego, jakby zaraz miał uciec, a jego kumpel już się do nas zbliżał.

- Serio - dodałem. - Tylko mnie wysłuchaj.

Podszedł do nas jego kumpel. Był wyższy i przypakowany, jak Darryl.

- Hej - powiedział. - Coś nie tak?

Kumpel szepnął mi coś do ucha. Obaj wyglądali tak, jakby zaraz mieli rzucić się do ucieczki.

Wyrwałem „Bay Guardian” spod pachy i potrząsnąłem nim tuż przed ich oczami.

- Otwórzcie na piątej stronie, OK?

Otworzyli. Spojrzeli na nagłówek. Na zdjęcie. Na mnie.

- Ej, facet - powiedział pierwszy. - Nie jesteśmy godni.

Uśmiechnął się do mnie jak błazen, a ten napakowany klepnął mnie po plecach.

- Ale jaja... - wycedził. - Ty jesteś M... Zakryłem mu dłonią usta.

- Chodźcie ze mną, OK?

Zaprowadziłem ich na moją ławkę. Zauważyłem, że na chodniku pod nią widniały jakieś stare brązowe plamy. Krew Darryla? Od tego widoku aż ścierpła mi skóra. Usiedliśmy.

- Jestem Marcus - powiedziałem, przelękając ślinę, bo właśnie ujawniłem moje prawdziwe imię tym dwóm kolesiom, którzy do tej

pory znali mnie jako M1k3ya. Demaskowałem się, chociaż w sumie „Bay Guardian” już to za mnie zrobił.

- Nate - przedstawił się mniejszy.
- Liam - rzucił większy. - Stary, to wielki zaszczyt cię spotkać.

Jesteś naszym bohaterem wszech czasów...

- Nie mów tak - odparłem. - Nie mów tak. Zachowujecie się jak świecąca reklama z napisem: „Robimy akcję, prosimy, wsadźcie nasze tyłki do Gitmo na Zatoce”. Widać was na odległość.

Liam wyglądał tak, jakby zaraz miał się rozplakać.

- Nie przejmujcie się, nie wpadliście. Dam wam kilka rad, ale to później.

Jego twarz znowu poweselała. Zdałem sobie sprawę, że ci dwaj naprawdę traktowali M1k3ya jak idola i że zrobiliby wszystko, o co bym ich poprosił. Uśmiechali się jak idioci. Poczulem się nieswojo, aż mnie mdliło.

- Słuchajcie, muszę dostać się do Xnetu, i to teraz, ale nie mogę iść do domu ani się do niego zbliżyć. Mieszkacie gdzieś niedaleko?

- Ja tak - powiedział Nate. - Na California Street. Musimy trochę podejść, to strome wzgórze.

Właśnie z nich zszedłem po ucieczce z ciężarówki i w dodatku gdzieś tam była Masza. Ale niczego lepszego nie miałem prawa oczekiwać.

- Chodźmy - zdecydowałem.

Nate pożyczył mi swoją czapkę z daszkiem i wymieniliśmy się kurtkami. Nie musiałem się martwić o kamery rozpoznające chód, bo kostka bolała mnie tak potwornie, że utykałem jak statysta w westernie.

Nate mieszkał w ogromnym apartamencie z czterema sypialniami na szczycie Nob Hill. W drzwiach budynku w eleganckim czerwonym płaszczu stał portier, który na nasz widok zsalutował, nazwał Nate a „panem Nateem” i wszystkich nas przywitał. To było nieskazitelnie

czyste miejsce o zapachu pasty do polerowania mebli. Staralem się nie gapić na budynek, który musiał kosztować jakieś kilka milionów dolarów.

- Mój tata - wyjaśnił - pracował w banku inwestycyjnym. Sprzedał mnóstwo ubezpieczeń na życie. Umarł, jak miałem czternaście lat, i wtedy to wszystko dostaliśmy. Rozwiedli się wiele lat wcześniej, ale zapisał to mojej mamie w spadku.

Przez okno sięgające od podłogi do sufitu widać było oszałamiający widok drugiej strony Nob Hill, całe Fishermans Wharf aż po brzydki kikut Bay Bridge i wszystkie te dźwigi i ciężarówki. We mgle rozpoznałem Treasure Island. Gdy tak na to wszystko patrzyłem, poczułem szaloną ochotę, żeby wyskoczyć.

Wszedłem do sieci przez Xboksa Nate'a podłączonego do wielkiego ekranu plazmowego w pokoju gościnnym. Pokazał mi, ile bezprzewodówek było wykrywalnych na tym wzgórzu - dwadzieścia, trzydzieści. To wymarzone miejsce dla Xnetera.

Znalazłem m n ó s t w o maili w skrzynce M1k3ya. Od rana, kiedy razem z Ange ruszyłem sprzed jej domu, dostałem dwadzieścia tysięcy nowych wiadomości. Wiele z nich wysłali dziennikarze z prośbą o dalsze wywiady, ale większość z nich pochodziła od Xneterów, ludzi, którzy widzieli artykuł w „Guardianie” i chcieli zaoferować mi pomoc, wszystko, czego potrzebowałem.

Tego było za wiele. Po moich policzkach zaczęły toczyć się łzy.

Nate i Liam wymienili spojrzenia. Próbowałem się powstrzymać, ale mi nie wychodziło. Łkałem. Nate podszedł do dębowej półki na książki przy ścianie i otworzył barek, odsłaniając błyszczący rząd butelek. Nalał mi kielicha czegoś złotobrazowego i podał.

- Rzadka odmiana irlandzkiej whisky - oznajmił. - Moja mama ją uwielbia.

Smakowało jak ogień, jak złoto. Pociągnąłem łyka, starając się nie zakrztusić. Właściwie nie lubowałem się w wysokoprocentowych alkoholach, ale to było co innego. Wziąłem kilka głębokich haustów powietrza.

- Dzięki, Nate - powiedziałem. Wyglądał tak, jakbym właśnie przypiął mu medal. To był dobry dzieciak. - W porządku - mruknąłem i wziąłem klawiaturę. Ci dwaj chłopcy z fascynacją patrzyli, jak na gigantycznym ekranie przeglądam swoją pocztę.

Przed wszystkim szukałem maila od Ange. Istniała szansa, że udało jej się zwać. Zawsze istniała jakaś szansa.

Musiałem być idiotą, żeby w ogóle na to liczyć. Niczego od niej nie dostałem. Zacząłem jak najszybciej przeglądać maile, wybierając je spośród próśb dziennikarzy, listów od fanów, listów od wrogów i spamu...

I wtedy to znalazłem: list od Zeba.

> To nie było zbyt fajne obudzić się tego ranka i znaleźć w gazecie list, który myślałem, że zniszczysz. Bardzo niemile. Poczułem się... zaszczuty.

> Ale zacząłem rozumieć, dlaczego to zrobiłeś. Nie wiem, czy popieram twoje taktyki, ale z pewnością twoje motywy były logiczne.

> Jeśli to czytasz, to znaczy, że jest duża szansa, że zszedłeś do podziemia. To nie jest prosta sprawa. Wiem coś o tym. Uczę się o wiele więcej.

> Mogę ci pomóc. Powinienem to dla ciebie zrobić. Ty robisz dla mnie, co możesz. (Nawet jeśli robisz to bez mojego pozwolenia).

> Odpisz, jeśli to otrzymasz. Jeśli uciekasz i jesteś sam. Albo jeśli siedzisz w areszcie napastowany przez naszych kumpli z Gitmo i szukasz sposobu na przerwanie tego bólu. Jeśli cię mają, zrobisz, jak ci każą. Wiem coś o tym. Zaryzykuję.

Dla ciebie, M1k3y.

- Łaaaaa! - westchnął Liam. - Faaaacet.

Miałem ochotę go walnąć. Odwróciłem się, żeby powiedzieć mu coś okropnego i kąśliwego, ale on gapił się na mnie oczami wielkimi jak spodki i wyglądał tak, jakby chciał paść na kolana i oddać mi cześć.

- Czy mogę tylko powiedzieć - zaczął Nate - czy mogę tylko powiedzieć, że to największy zaszczyt w całym moim życiu, że mogę ci pomóc? Czy mogę tylko to powiedzieć?

Teraz się zacerwieniłem. Nie miałem wyjścia. Ci dwaj byli mną totalnie zafascynowani, mimo że nie byłem żadnym gwiazdorem, przynajmniej ja tak o sobie nie myślałem.

- Chłopaki, czy możecie... - przełknąłem ślinę. - Czy mogę zostać przez chwilę sam?

Wymknęli się chyłkiem z pokoju jak niegrzeczne psiaki, a ja poczułem się jak krety. Wziąłem się szybko do pisania.

> Udało mi się Zeb. Teraz uciekam. Potrzebuję wszelkiej pomocy. Chcę z tym skończyć.

Przypomniałem sobie, że mam wyjąć telefon Maszy z kieszeni i nacisnąć coś, żeby się nie zahibernował.

Pozwolili mi wejść pod prysznic, dali nowe ubrania, nowy plecak w połowie wypełniony zestawem na wypadek trzęsienia ziemi - były w nim baterie, leki, zimne i gorące kompresy żelowe oraz stary śpiwór. Wsunęli nawet zapasowego Xboksa Universal z zainstalowanym ParanoidXboksem. To był miły gest. Musiałem jeszcze tylko wysłać jakiś „sygnał świetlny”, że to koniec.

Co chwilę sprawdzałem pocztę, żeby zobaczyć, czy Zeb odpisał. Odpowiedziałem na listy od fanów. Odpisałem na listy od dziennikarzy. Usunąłem wiadomości od wrogów. Spodziewałem się trochę, że dostanę maila od Maszy, ale pewnie była teraz w połowie drogi do LA, miała obolałe palce i nie była w stanie pisać. Ponownie dotknąłem jej telefonu.

Namówili mnie na drzemkę i przez krótką wstydliwą chwilę wpadłem w paranoję, że może ci goście będą chcieli mnie wydać, kiedy zasnę. To było idiotyczne - przecież równie dobrze mogliby mnie wydać, gdy nie spałem. Nie mogłem po prostu pojąć faktu, że tak bardzo się mną przejmują. Teoretycznie wiedziałem, że istnieją ludzie, którzy poszliby za M1k3yem na koniec świata. Tego ranka spotkałem takich ludzi, wołali: „GRYZĘ GRYZĘ GRYZĘ...”, i udawali

wampiry w Civic Center. Ale z tymi dwoma wszedłem w bardziej osobiste relacje. Byli po prostu miłymi, głupkowatymi kolesiami. W czasach przed Xnetem mogliby być moimi kumplami, po prostu dwaj goście, którzy trzymali się razem i mieli różne szczeniackie przygody. Zgłosili się na ochotnika do armii, mojej armii. Byłem za nich odpowiedzialny. Gdyby zostali sami, złapano by ich, to tylko kwestia czasu. Byli zbyt ufni.

- Chłopaki, posłuchajcie mnie przez chwilę. Muszę z wami poważnie pogadać.

Omam nie stanęli na bacność. Gdyby to nie było takie straszne, byłoby nawet śmieszne.

- Chodzi o to, że teraz, gdy mi pomogliście, jesteście w niebezpieczeństwie. Jeśli was złapią, złapią też mnie. Wyciągną z was wszystko, co wiecie...

Podniosłem rękę, zanim zaczęli zaprzeczać.

- Przestańcie. Nie przeszliście przez to. Każdy sypie. Łamię wszystkich. Jeśli was kiedykolwiek złapią, wszystko im powiecie, od razu, tak szybko, jak tylko będzie się dało. I tak w końcu wszystko wyciągną. Tak właśnie działają. Ale was nie złapią i powiem wam dlaczego: nie będziecie już robić zadym. Wasza aktywna służba dobiegła końca. Jesteście... - zacząłem szukać w pamięci odpowiednich słów zaczerpniętych ze szpiegowskich thrillerów - jesteście uspioną komórką. Musicie ustąpić. Stać się znowu normalnymi chłopakami. Tak czy inaczej zamierzam to przerwać, skończyć z tym raz na zawsze. Bo inaczej oni skończą ze mną, w końcu wpadnę. Jeśli nie odezwę się do was w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin, będziecie mogli założyć, że mnie dorwali. Wtedy róbcie, co chcecie. Ale na następne trzy dni, a jeśli zrobię to, co planuję, to już na zawsze: musicie się wycofać. Obiecacie mi to?

Obiecali, i to z całą powagą. Dałem się namówić na drzemkę, ale kazałem im przyrzec, że będą mnie budzili co godzinę. Musiałem naciskać telefon Maszy oraz sprawdzać, czy odpisał mi Zeb.



Byłem zdenerwowany, bo spotkanie miało się odbyć w metrze, wisiało tam przecież mnóstwo kamer. Ale Zeb wiedział, co robi. Chciał, żebyśmy spotkali się w ostatnim wagonie pewnego pociągu odjeżdżającego z Powell Street Station, w porze największego szczytu. Prześlizgnął się do mnie przez tłum pasażerów, a dobrzy mieszkańcy San Francisco usunęli mu się z drogi, zostawiając wokół niego puste miejsce, jakie zwykle otacza bezdomnych.

- Miło cię znowu widzieć - mruknął z twarzą skierowaną w stronę drzwi. Gdy zerknąłem w ciemną szybę, zauważyłem, że wokół nas nie stoi nikt, kto mógłby nas podsłuchać, przynajmniej nie bez specjalistycznego mikrofonu. Ale jeśli wiedzieliby aż tyle, żeby się tutaj pojawić, to i tak byłoby po nas.

- Ciebie też, bracie - odparłem. - Ja... przepraszam cię.

- Zamknij się. Nie przepraszaj. Byłeś odważniejszy ode mnie. Jesteś gotowy, żeby teraz zejść do podziemia? Żeby zniknąć?

- Jeśli już o tym mówimy...

- Tak?

- To nie jest wyjście.

- O! - zdziwił się.

- Posłuchaj, OK? Mam zdjęcia, nagranie. To są prawdziwe dowody. - Sięgnąłem do kieszeni i nacisnąłem telefon Maszy. Po drodze kupiłem do niego ładowarkę na placu Union Square, po czym w jakiejś kafejce prawie całkowicie go naładowałem. - Muszę je zanieść Barbarze Stratford, tej kobiecie z „Guardiana”. Ale oni na pewno ją obserwują. Sprawdzają, czy się pojawię.

- A nie sądzisz, że mnie też będą obserwować? Jeśli twój plan zakłada, że mam pojawić się w odległości choćby półtora kilometra od jej domu lub biura...

- Chcę, żebyś przekazał Van, żeby się ze mną spotkała. Czy Darryl opowiadał ci o Van? Tej dziewczynie...

- Jasne, mówił mi o niej. Nie sądzisz, że ją też będą obserwować? Tak jak wszystkich, którzy zostali aresztowani?

- Chyba tak. Ale nie sądzę, żeby robili to aż tak intensywnie. A

Van jest zupełnie czysta. Nigdy nie brała udziału w żadnym z moich... - przełknąłem ślinę - moich projektów. Więc może jej trochę odpuszczą. Jeśli zadzwoni do „Bay Guardian”, żeby umówić się na spotkanie i opowiedzieć, jakim to jestem dupkiem, może pozwolą jej to zatrzymać.

Przez długi czas wpatrywał się w drzwi.

- Wiesz, co się stanie, jeśli nas znowu złapią - to nie było pytanie.

Przytaknąłem.

- Jesteś pewien? Niektóre z tych osób zatrzymanych razem z nami na Treasure Island wywieziono helikopterami. Zabrano je w stronę oceanu. Są kraje, którym Ameryka może zlecić tortury. Kraje, w których możesz gnąć do końca życia. Kraje, w których żałujesz, że z tobą nie skończyli, że nie kazali ci wykopać grobu i nie strzelili ci w tył głowy.

Przełknąłem ślinę i przytaknąłem.

- Warto tak ryzykować? Możemy teraz na jakiś długi, długi czas zejść do podziemia. Być może pewnego dnia odzyskamy nasz kraj. Możemy to przeczekać.

Potrząsnąłem przecząco głową.

- Niczego nie można osiągnąć, nic nie robiąc. To nasz kraj. Oni nam go zabrali. Terroryci, którzy nas zaatakowali, wciąż są na wolności, ale my nie. Nie mogę siedzieć w podziemiu przez rok, dziesięć lat, przez całe życie, czekając, aż ktoś ofiaruje mi wolność. Wolność to coś, co musisz wziąć sobie sam.

Tego popołudnia Van wyszła ze szkoły o zwykłej porze i siedziała z tyłu autobusu w ciasnym gronie swoich przyjaciół, jak zawsze śmiejąc się i żartując. Inni podróżni zwrócili na nią szczególną uwagę, bo zachowywała się głośno, a poza tym miała na sobie głupkowaty, ogromny i oklapły kapelusz, który wyglądał jak rekwizyt z przedstawienia szkolnego o renesansowych rycerzach. W pewnym momencie wszyscy zbliżyli się do siebie i spojrzeli na tył autobusu, wskazując na

coś i chichocząc. Dziewczyna w kapeluszu była tego samego wzrostu co Van i od tyłu całkowicie ją przypominała.

Nikt nie zwrócił uwagi na małą jak myszka Azjatkę, która wysiadła kilka przystanków przed stacją metra. Była ubrana w zwykły szkolny mundur i wysiadła z nieśmiało spuszczoną głową. Poza tym właśnie wtedy głośna Koreanka wydała z siebie okrzyk, a kumple zawtórowali jej, śmiejąc się tak głośno, że nawet kierowca zwolnił, obrócił się na swoim siedzeniu i rzucił im gniewne spojrzenie.

Van gnała ulicą ze spuszczoną głową i spiętymi z tyłu, opadającymi na kołnierzyk niemodnego płaszczyka włosami. Do butów wsunęła wkładki podwyższające, przez co trochę się chwiała i była kilka niewygodnych centymetrów wyższa. Wyjęła też soczewki kontaktowe i założyła najmniej lubiane okulary z wielkimi szklami, które zasłaniały połowę twarzy. Chociaż czekałem na nią na przystanku i wiedziałem, kiedy się jej spodziewać, ledwie ją rozpoznałem. Wstałem, ruszyłem za nią i przeszedłem przez ulicę, śledząc Van do połowy przecznicy.

Mijający mnie ludzie szybko odwracali wzrok. Wyglądałem jak bezdomny dzieciak z brudnym tekturowym kartonem, w wysmarowanym płaszczu i z ogromnym, wypchanym po brzegi plecakiem posklejanym taśmą. Nikt nie ma ochoty patrzeć na dziecko ulicy, bo jeśli napotka jego wzrok, mogłoby poprosić o drobniaki. Chodziłem po Oakland przez całe popołudnie i jedyne osoby, które się do mnie odezwały, to świadek Jehowy i scjentolog próbujący mnie nawrócić. To było równie obrzydliwe jak atak zboczeńca.

Van robiła wszystko zgodnie ze wskazówkami, które starannie jej wypisałem. Zeb przekazał je w taki sam sposób, jak wtedy mnie przed szkołą - wpadając na nią na przystanku autobusowym i przepraszając z całego serca. List, który do niej napisałem, brzmiał jasno i zrozumiale, wyłożyłem jej wszystko prosto z mostu: „Wiem, że tego nie pochwalasz. Rozumiem. Ale to najważniejsza rzecz, o jaką cię kiedykolwiek prosiłem. Proszę. Proszę”.

Przyszła. Wiedziałem, że to zrobi. Wiele razem przeżyliśmy, Van i ja. Też jej się nie podobało, co stało się ze światem. Poza tym jakiś zły chichoczący głos w mojej głowie podpowiadał mi, że po ukazaniu się artykułu Barbary też była podejrzana.

Przeszliśmy tak wzdłuż jakichś sześciu czy siedmiu przecznic, patrząc na mijające nas osoby i samochody. Zeb opowiadał mi o pięcioosobowych patrolach, w których pięciu różnych tajniaków śledziło kogoś na zmianę tak, że właściwie nie można było ich zauważyć. Musieliśmy więc udać się w jakieś totalnie opustoszałe miejsce, gdzie nie rzucalibyśmy się nikomu w oczy.

Estakada dla drogi numer 880 znajdowała się kilka przecznic od stacji Coliseum i mimo że Van tyle krążyła, szybko tam dotarliśmy. Znad naszych głów dobiegał ogłuszający hałas. Oprócz nas nikogo tam nie było, przynajmniej tak mi się wydawało. Znałem już to miejsce i zasugerowałem je Van w liście, wcześniej szukając w okolicy zakamarków, w których ktoś mógłby się ukryć. Nie było żadnego.

Gdy zatrzymała się w umówionym miejscu, przyspieszyłem, żeby do niej dołączyć. Mrugnęła do mnie spod swoich sowich okularów.

- Marcus - wydyszała, a w jej oczach pojawiły się łzy. Uświadomiłem sobie, że ja też płaczę. Byłem kiepskim uciekinierem.

Zbyt sentymentalnym.

Przytuliła mnie tak mocno, że nie mogłem złapać powietrza. Ja uściśnąłem ją jeszcze mocniej.

Potem mnie pocałowała.

Nie w policzek, nie jak siostra. Prosto w usta. To był gorący, wilgotny, namiętny pocałunek, który zdawał się nigdy nie kończyć. Owładnęły mną emocje...

Nie, co za bzdury. Wiedziałem dokładnie, co robię. Oddałem pocałunek.

Nagle przerwałem i cofnąłem się, o mało jej nie odpychając.

- Van - wydyszałem.

- Ups - bąknęła.

- Van - powtórzyłem.
- Przepraszam - powiedziała. - Ja...

Wtedy coś do mnie dotarło, coś, co, jak przypuszczam, powinienem był zauważyć dawno, dawno temu.

- Ty mnie naprawdę l u b i s z .

Spojrzała na mnie żałośnie.

- Od lat - dodała.

O Boże. Darryl przez te wszystkie lata kochał się w niej, a ona cały czas była wpatrzona we mnie, pragnąc mnie skrycie. Aż w końcu zaczęłam spotykać się z Ange. Ange mówiła, że zawsze walczyła z Van. A ja kręciłem się w kółko, pakując się w niezłe kłopoty.

- Van - powiedziałem. - Van, tak mi przykro.

- Zapomnij o tym - rzuciła, odwracając wzrok. - Wiem, że nic z tego nie będzie. Tylko chciałam to chociaż raz zrobić, tak na wypadek gdybym już nigdy... - ugryzła się w język.

- Van, chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła. Coś ważnego. Chcę, żebyś spotkała się z dziennikarką z „Bay Guardian”, z Barbarą Stratford, tą, która napisała ten artykuł. Musisz jej coś przekazać.

Opowiedziałem jej o telefonie Maszy i o nagraniu, które mi przesłała.

- Czy to coś da, Marcus? Jaki to ma sens?

- Van, miałaś rację, przynajmniej częściowo. Nie możemy narządzać świata, narażając innych ludzi na ryzyko. Muszę rozwiązać ten problem, mówiąc to, co wiem. Powinienem był to zrobić na samym początku. Powinienem był pójść prosto z więzienia do ojca Darryla i opowiedzieć mu wszystko, co wiem. Ale teraz mam dowód. Ten materiał, to może zmienić świat. To moja ostatnia nadzieja. Jedyne nadzieje na wydostanie Darryla i na to, że nie spędzę reszty życia w podziemiu, ukrywając się przed glinami. A ty jesteś jedyną osobą, której mogę zaufać.

- Dlaczego ja?

- Żartujesz, tak? Zobacz, jak świetnie sobie poradziłaś z dotarciem w to miejsce. Jesteś zawodowcem. Jesteś w tym najlepsza z

całej naszej czwórki. Jesteś jedyną osobą, której mogę zaufać. Dlatego ty.

- A dlaczego nie twoja przyjaciółka Ange? - wymówiła to imię bez emocji, jakby chodziło o kawałek cementu.

Spuściłem wzrok.

- Myślałem, że wiesz. Aresztowali ją. Jest w Gitmo, na Treasure Island. Siedzi tam już od kilku dni.

Staralem się o tym nie myśleć, nie myśleć o tym, co mogło się tam z nią dziać. Teraz już nie byłem w stanie powstrzymać się od szlochów. Czulem ból w żołądku jak po jakimś kopniaku i objąłem się w pasie rękami. Pochyliłem się i po chwili zorientowałem, że leżę na boku w gruzie pod autostradą, obejmując samego siebie i płacząc.

Van klęczała obok mnie.

- Daj mi ten telefon - syknęła ze złością.

Wyłowilem go z kieszeni i jej podałem.

Poczułem zażenowanie, więc przestałem płakać i usiadłem. Wiedziałem, że po twarzy spływa mi katar. Van patrzyła na mnie z czystą odrazą.

- Musisz uważać, żeby nie zapadł w hibernację - powiedziałem. - Tutaj jest ładowarka.

Wyrzebałem ją ze swojego plecaka. Nie przespałem pełnej nocy od czasu, gdy ją kupiłem. Ustawiłem budzik w telefonie tak, żeby dzwonił co dziesięć minut i budził mnie, żebym mógł powstrzymać komórkę przed hibernacją.

- Nie zamykaj go.

- A nagranie?

- Z tym będzie trudniej - stwierdziłem. - Wysłałem kopię do siebie, ale nie mam już dostępu do Xnetu.

W ostateczności mogłem iść do Nate'a i Liama i ponownie skorzystać z ich Xboksa, ale wolałem nie ryzykować.

- Słuchaj, dam ci swój login i hasło do serwera Partii Piratów. Żeby się tam dostać, będziesz musiała skorzystać z TOR-a, Departament Bezpieczeństwa na pewno sprawdza ludzi logujących się na tym serwerze.

- Twój login i hasło - powtórzyła z lekkim zdziwieniem.
- Ufam ci, Van. Wiem, że mogę ci zaufać. Potrząsnęła głową.
- Ty n i g d y nie ujawniasz swoich haseł, Marcus.
- Myślę, że teraz to już nie ma znaczenia. Albo ci się uda, albo ja... albo koniec z Marcusem Yallowem. Może dostanę nową tożsamość, ale nie sądzę. Myślę, że mnie dorwą. Chyba od samego początku wiedziałem, że pewnego dnia mnie złapią.

Teraz spojrzała na mnie ze wściekłością.

- Co za strata. A tak w ogóle, to po co ci to było?

Chyba nie mogła powiedzieć niczego, co mogłoby mnie bardziej zranić. To było jak kolejny kopniak w brzuch. Co za strata, wszystko na darmo. Darryl i Ange przepadli. Może nigdy nie ujrzę już swojej rodziny. W dodatku Departament Bezpieczeństwa pogrzył moje miasto i kraj w przytłaczającej, irracjonalnej psychozie, w której w imię walki z terroryzmem wszystkie chwytaki są dozwolone.

Van wyglądała tak, jakby czekała, aż coś powiem, ale ja nie miałem już nic do powiedzenia, więc odeszła.

Kiedy dotarłem do „domu” - namiotu rozkładanego nocą pod estakadą w Mission - Zeb czekał na mnie z pizzą. Miał bezpodłogowy namiot z nadwyżek wojskowych, na którym widniał napis: PRO-GRAMOWA RADA BEZDOMNYCH Z SAN FRANCISCO.

To była pizza Domino's, zimna i stwardniała, ale mimo to przepyszna.

- Chcesz trochę ananasa?

Zeb uśmiechnął się do mnie protekcjonalnie.

- Freeganie nie mogą wybrzydzać - powiedział.
- Freeganie?
- Tak jak weganie, ale my jemy tylko darmowe żarcie.
- Darmowe żarcie?

Znowu się uśmiechnął.

- No wiesz, darmowe żarcie, zupełnie za *free*. Z darmowego sklepu.

- Ukradłeś to?

- Nie, baranie. To jest z takiego innego sklepu. Takiego małego za sklepem. Z niebieskiej blachy. O takim ostrym zapachu.

- Wyjąłeś to ze śmietnika?

Odrzucił głowę do tyłu i się roześmiał.

- Dokładnie. Szkoda, że nie widzisz swojej miny. Stary, to jest OK. Nie była zepsuta. Była świeża, popieprzyły im się zamówienia. Wyrzucili ją w pudełku. Przed zamknięciem posypali wszystko trutką na szczury, ale jeśli tam szybko pójdziesz, nic ci nie będzie. Powinieneś zobaczyć, co wyrzucają ze sklepów spożywczych! Zaczekaj do śniadania. Nie uwierzysz, jaką ci zrobię sałatkę owocową. Jak tylko jedna truskawka w opakowaniu zrobi się trochę zielona i zarosnie futerkiem, od razu wszystko wyrzucają...

Wyłączyłem się. Pizza była smaczna. To, że leżała w kontenerze na śmieci, nie znaczy, że była skażona czy coś takiego. Jeśli była wstrętna, to tylko dlatego, że pochodziła z Domino's - najgorszej pizzerii w mieście. Nigdy nie lubiłem ich żarcia i całkowicie z niego zrezygnowałem, gdy odkryłem, że wspierali finansowo grupę megastukniętych polityków, którzy uważali, że globalne ocieplenie i ewolucja to spisek satanistów.

Mimo to ciężko mi było pozbyć się uczucia obrzydzenia.

Ale m o ż n a też było na to spojrzeć z drugiej strony. Zeb wyjawiał mi w tajemnicy coś, czego nie przewidziałem: gdzieś tam istniał cały ukryty świat, w którym można było funkcjonować, nie uczestnicząc w systemie.

- Freeganie, co?

- Jogurty też - powiedział, potakując energicznie. - Do tej sałatki owocowej. Wyrzucają je już dzień po przeterminowaniu, ale przecież one nie psują się o północy. Zacznijmy od tego, że to przecież jogurt, czyli w zasadzie zepsute mleko.



Przelknąłem. Ta pizza smakowała zabawnie. Trutka na szczury. Zepsuty jogurt. Spleśniałe truskawki. Pewnie trochę czasu minie, zanim się do tego przyzwyczaję.

Ugryzłem kolejny kęs. Pizza Domino's nie smakowała właściwie aż tak ohydnie, pod warunkiem że była za darmo.

Po tym długim, emocjonalnie wyczerpującym dniu śpiwór Liama był ciepły i zachęcający. Van zdążyła się już pewnie skontaktować z Barbarą. Przekazała jej nagranie i zdjęcie. Rano miałem do Barbary zadzwonić, żeby się dowiedzieć, co jej zdaniem powinienem dalej robić. Miałem pojawić się jako żywy dowód zaraz po tym, jak to opublikuje.

Zamknąłem oczy i rozmyślałem nad tym wszystkim. Zastanawiałem, jak to będzie, gdy się ujawnię przed jednym z tych wielkich, wspartych na kolumnach budynków Civic Center, przed tymi wszystkimi kamerami szukającymi osławionego M1k3ya.

Zacząłem odpływać, a odgłosy samochodów piszczących ponad naszymi głowami zmieniły się w szum oceanu. Nieopodal rozbite były inne namioty, namioty bezdomnych. Kilku z nich spotkałem tego popołudnia, zanim zapadł zmrok i wszyscy udaliśmy się, aby przycupnąć obok naszych namiotów. Byli starsi ode mnie, wyglądali marnie i szorstko. Nie zachowywali się agresywnie ani nie przypominali szaleńców, lecz raczej ludzi, którym się nie powiodło lub którzy podjęli złe decyzje, albo jedno i drugie.

Musiałem zasnąć, bo pamiętam dopiero moment, w którym ktoś zaświecił mi w twarz oślepiająco jasnym światłem.

- To on - powiedział jakiś głos dobiegający zza wiązki promieni.
- Zarzuć mu worek na głowę - rozkazał drugi głos. Głos, który często słyszałem w moich snach, głos, który do mnie przemawiał, domagając się, żebym ujawnił swoje hasła. Głos Miss Gestapo.

Ktoś szybko zarzucił mi worek na głowę i zacisnął go tak mocno na gardle, że zakrztusiłem się i zwróciłem całą freegańską pizzę. Podczas gdy ja dławilem się i krztusiłem, czyjeś mocne ręce związały mi nadgarstki, a potem kostki. Przeturlali mnie na nosze, podnieśli i wnieśli

po kilku dźwięczących metalowych stopniach do jakiegoś pojazdu. Upuścili mnie na wyściełaną czymś podłogę. Po zamknięciu drzwi z tyłu samochodu nie dochodził mnie żaden odgłos. Obicie wygłuszyło wszystkie dźwięki oprócz mojego kaszlu.

- Witam ponownie - powiedziała. Gdy zaraz za mną wdrapywała się do furgonetki, poczułem, że samochód się zakołysał. Wciąż się krztusiłem, próbując złapać oddech. W ustach miałem pełno wymiocin, które spływały mi do tchawicy.

- Nie pozwolimy ci umrzeć - powiedziała. - Jeśli przestaniesz oddychać, zadbamy o to, żebyś znowu zaczął. Więc się o to nie martw.

Zacząłem mocniej kasłać. Sączyłem powietrze małymi łydkami. Trochę przedostawało się do wewnątrz. Moją klatką piersiową i plecami wstrząsał głęboki, dręczący kaszel, uwalniając kolejne porcje rzygowin. Więcej powietrza.

- Widzisz? - rzuciła. - Nie jest najgorzej. Witaj w domu, M1k3y. Zabierzemy cię w wyjątkowe miejsce.

Położyłem się na plecach, wyczuwając kołysanie furgonetki. Smród przetrawionej pizzy na początku był przytłaczający, ale tak jak w przypadku wszystkich silnych bodźców mój mózg zaczął się stopniowo do niego przyzwyczajać i przefiltrował go tak, że został po nim zaledwie słaby aromat. Kołysanie furgonetki było niemal pocieszające.

I wtedy właśnie to się stało. Ogarnął mnie niesamowity głęboki spokój, jakbym leżał na plaży, jakby podpłynął do mnie ocean, uniósł delikatnie i zaniósł na otwarte ciepłe wody rozgrzane słońcem. Złapali mnie, po tym wszystkim, co się wydarzyło, ale to nie miało znaczenia. Przekazałem informację Barbarze. Zorganizowałem Xnet. Zwy ciężylem. A nawet gdyby tak nie było, zrobiłem wszystko, co mogłem zrobić. Więcej niżbym kiedykolwiek przypuszczał. Gdy tak jechaliśmy, w myślach przeprowadziłem inwentaryzację, rozmyślając nad wszystkim, co osiągnąłem, co m y osiągnęliśmy. W tym mieście, w tym kraju, na tym świecie było pełno ludzi, którzy nie mieli ochoty

żyć tak, jak życzyłby sobie tego DBW. Mogliśmy walczyć do końca. Przecież nie zamkną nas wszystkich w pierdlu.

Westchnąłem i uśmiechnąłem się.

A ona przez cały ten czas mówiła. Odplynałem tak daleko w to swoje szczęśliwe miejsce, że po prostu przestała dla mnie istnieć.

- ...taki bystry chłopak jak ty. Myślałam, że będziesz na tyle mądry, żeby z nami nie zadzierać. Odkąd od nas wyszedłeś, mieliśmy na ciebie oko. Złapałibyśmy cię nawet wtedy, gdybyś nie poszedł się wypłakać tej swojej lesbijskiej dziennikarce i zdrajczyni. Nie rozumiem, myślałam, że się dogadaliśmy, ja i ty...

Przejechaliśmy przez jakąś dudniącą metalową płytę, furgonetka trzęsła się i kołysała, a potem to kołysanie jakoś się zmieniło. Znaleźliśmy się na wodzie. Zmierzaaliśmy w kierunku Treasure Island. Hej, tam była Ange. I Darryl. Być może.

Kaptur zdjęli mi dopiero w celi. Nie przejęli się kajdankami na moich nadgarstkach i kostkach, tylko sturlali mnie z noszy na podłogę. Było ciemno, ale w świetle księżyca, które wpadało przez pojedyncze, maleńkie, wysoko osadzone okno, dostrzegłem, że na łóżku nie było materaca. W pokoju znajdowałem się tylko ja, toaleta, stelaż łóżka, umywalka i nic więcej.

Zamknąłem oczy i dałem się unieść wodom oceanu. Odplynałem. Gdzieś tam, daleko pode mną, znajdowało się moje ciało. Wiedziałem, co stanie się później. Zostawili mnie, żebym się obsikał. Znowu. Wiedziałem, jak to jest. Już raz się obsikałem. To nie pachniało zbyt dobrze. Śwędziało. Było poniżające jak bycie noworodkiem.

Ale przetrwałem to.

Roześmiałem się. Jakiś dziwny dźwięk przyciągnął mnie z powrotem do mojego ciała, do terazniejszości. Śmiałem się bez końca. Rzucali we mnie wszystkim, co najgorsze, a ja to przetrwałem i ich

po konałem, przez te wszystkie miesiące miałem nad nimi przewagę, pokazałem, że są durniami i despotami. Wygrałem.

Rozluźniłem pęcherz. I tak był już obolały i pełny, taka chwila już się nie powtórzy.

Odpląnąłem niesiony przez ocean.

Rano dwaj sprawni, bezduszni strażnicy rozcięli taśmy, uwalniając moje nadgarstki i kostki. Nadal nie mogłem chodzić - kiedy wstałem, nogi ugięły się jak nogi marionetki bez sznurków. Zbyt dużo czasu w jednej pozycji. Strażnicy przerzucili mi ręce przez swoje ramiona i powlekli mnie przez znajomy korytarz. Kody kreskowe na drzwiach zwiły się teraz i dyndały atakowane przez słone powietrze. Wpadłem na pomysł.

- Ange! - krzyknąłem. - Darryl! - zawołałem.

Strażnicy szarpnęli mnie mocniej, byli wyraźnie zaniepokojeni, ale nie wiedzieli, co z tym zrobić.

- Hej, to ja, Marcus! Niech żyje wolność!

Za jakichś drzwi dobiegł mnie czyjś szloch. Ktoś krzyknął coś jakby po arabsku. Potem rozległa się kakofonia, tysiące różnych krzyżących głosów.

Zaprowadzili mnie do kolejnego pokoju. To było stare pomieszczenie z natryskami, w którym z zapleśniałych kafelków wciąż sterczały prysznicze.

- Cześć, M1k3y - mruknęła Miss Gestapo. - Wygląda na to, że przeżyłeś poranek pełen wrażeń.

Zmarszczyła znacząco nos.

- Posikałem się - oznajmiłem radośnie. - Powinnaś tego spróbować.

- To może powinniśmy cię wykąpać? - zasugerowała. Kiwnęła głową, a moi strażnicy przenieśli mnie na nosze, wzdłuż których biegły pasy obezwładniające. Rzucili mnie na nosze, były zimne jak lód

i całkowicie przemoczone. Zanim się zorientowałem, przerzucili mi pasy przez ramiona, biodra i kostki. Po chwili zamocowali jeszcze trzy kolejne. Czyjeś ręce chwyciły umieszczone nad moją głową bariereki, zwalniając uchwyt, i już po chwili zwisiałem głową w dół.

- Zacznijmy od czegoś prostego - powiedziała. Wyciągnąłem szyję, żeby ją zobaczyć. Odwróciła się w stronę biurka, na którym stał laptop podłączony do wypasionego płaskiego ekranu telewizora.

- Czy możesz mi ujawnić swój login i hasło do skrzynki na serwerze Partii Piratów, proszę?

Zamknąłem oczy i pozwoliłem, żeby ocean zabrał mnie z plaży.

- Miłkzy, czy wiesz, co to jest waterboarding? - zapytała hipnotyzującym głosem. - Przypniemy cię tak jak teraz i polejemy ci głowę wodą, wlejemy ci ją do nosa i buzi. Zacznieś się krztusić. Nazywamy to symulowaną egzekucją i z tego, co mogę stwierdzić, stojąc po tej stronie pokoju, to słuszne określenie. Nie będziesz mógł przewyciężyć poczucia, że umierasz.

Próbowałem uciec. Słyszałem o waterboardingu. To były prawdziwe tortury. A to dopiero początek.

Nie mogłem uciec. Tym razem ocean nie nadpłynął i mnie nie unióś. W klatce piersiowej czułem ucisk, moje powieki drgały. Po nogach spływał mi lepki mocz, a po włosach lepki pot. Skóra swędziała mnie od zaschniętych wymiocin.

Moja oprawczyni zaczęła wirować mi przed oczami, tuż nad głową.

- Zacznijmy od loginu - oświadczyła. Zamknąłem oczy, zacisnąłem je.

- Daj mu drinka - powiedziała.

Słyszałem poruszających się ludzi. Zrobiłem głęboki wdech i wstrzymałem powietrze.

Zaczęli od strużki wody o objętości łyżki wazowej, którą polewali mi brodę i usta. I odwrócone do góry nogami nozdrza. Woda wpłynęła mi do gardła i zacząłem się dusić, ale nie mogłem odkasnąć ani

nabrać powietrza, więc wciągnąłem ją do płuc. Wstrzymałem oddech i jeszcze mocniej zacisnąłem powieki.

Na zewnątrz pokoju panował zgiełk, dobiegł mnie dźwięk chaotycznie tupiących butów i wściekle, pełne oburzenia krzyki. Na moją twarz wylano resztę wody z chochli.

Usłyszałem, że mruknęła coś do kogoś stojącego w pokoju, po czym zwróciła się do mnie:

- Tylko login, Marcusie. To prosta prośba. Zresztą, co ja bym mogła zrobić z twoim loginem?

Tym razem to było wiadro wody, całe naraz, niekończąca się powódź, musiało być ogromne. Nie mogłem nic na to poradzić. Z trudem łapałem powietrze i wchłaniałem wodę w płuca, kaszlałem i nabrałem jej jeszcze więcej. Wiedziałem, że mnie nie zabiją, ale nie mogłem przekonać do tego mojego ciała. Każdą cząstką swojego jestestwa przeczuwałem nadchodzącą śmierć. Nawet nie mogłem płakać - woda wciąż się przeze mnie przelewała.

I nagle przestała. Zanosilem się nieustającym kaszlem, ale znajdowałem się pod takim kątem, że woda, którą odkaslnąłem, wciekała mi z powrotem do nosa, wypalając zatoki.

Kaszel był tak głęboki, że aż mnie ranił, ranił moje żebra i biodra, na których się obracałem. Byłem wściekły na swoje ciało, bo mnie zdradzało, i na swój umysł, bo nie potrafił go kontrolować, ale nic nie mogłem na to poradzić.

W końcu kaszel ustąpił na tyle, że mogłem się zorientować, co się dzieje wokół mnie. Ludzie wrzeszczeli i brzmiało to tak, jakby ktoś się przepychał, z kimś szarpał. Otworzyłem oczy i przymknąłem je pod naporem jasnego światła, potem wyciągnąłem szyję, nadal trochę kaszłąc.

W pokoju znajdowało się o wiele więcej ludzi niż na początku. Większość z nich miała na sobie kamizelki kuloodporne i hełmy z przyciemnianą plastikową osłoną na oczy. Krzyczeli na strażników z Treasure Island, którzy z kolei wrzeszczeli na nich, aż powychodziły im żyły na szyi.

- Cofnąć się! - krzyknął jeden z tych nowych. - Cofnąć się, ręce do góry. Jesteście aresztowani!

Miss Gestapo rozmawiała przez komórkę. Jeden z tych nowych zauważył ją, przesunął się szybko w jej kierunku i ręką w rękawiczce wytrącił jej telefon z dłoni. Aparat poszybował w powietrzu wzdłuż niewielkiego pomieszczenia, z brzękiem rozbijając się o podłogę na tysiące kawałków. Wszyscy zamilkli.

Milczenie zostało przerwane, kiedy kilku nowych wtargnęło do pokoju. Dwóch z nich chwyciło moich oprawców. Złapali Miss Gestapo pod pachy, obrócili ją i gwałtownym ruchem obwiązali jej nadgarstki plastikowymi kajdankami. Na widok jej miny prawie zdobyłem się na uśmiech.

Jeden z tych nowych odsunął się od drzwi. Na ramieniu trzymał kamerę, poważny sprzęt rzucający oślepiające białe światło. Sfilmował cały pokój, a mnie okrążył dwukrotnie. Złapałem się na tym, że zawisłem zupełnie bez ruchu, jakbym pozował do zdjęcia.

To było absurdalne.

- Mógłbyś mnie stąd zdjąć? - wydusiłem z siebie, nawet niewiele się krztusząc.

Dwoje kolejnych, bo była wśród nich również kobieta, podeszło do mnie i zaczęło mnie odpinać. Podnieśli swoje plastikowe osłony z oczu i uśmiechnęli się do mnie. Na ich pagonach i hełmach widniały czerwone gwiazdki.

Poniżej czerwonych gwiazdek znajdowały się emblematy: CHP - Kalifornijski Patrol Drogowy. To była policja stanowa.

Już chciałem zapytać, skąd się tutaj wzięli, gdy ujrzałem Barbarę Stratford. Najwyraźniej zatrzymali ją na korytarzu, ale teraz wtargnęła do środka, przepychając się łokciami.

- Tutaj jesteś - powiedziała, klękając obok mnie i obdarowując najdłuższym i najmocniejszym uściskiem, jakiego kiedykolwiek doświadczyłem.

I wtedy to do mnie dotarło - Guantánamo na Zatoce zostało odbite przez policję. Byłem uratowany.

## ROZDZIAŁ 21

Zostawili mnie w pokoju sam na sam z Barbarą, skorzystałem z działającego prysznica, żeby się opłukać - nagle poczułem wstyd z powodu oblepiającego mnie moczu i rzygowin. Kiedy skończyłem, oczy Barbary były mokre od łez.

- Twoi rodzice... - zaczęła.

Czułem, że zaraz znowu wymiotuję. Boże, moi biedni rodzice. Przez co oni musieli przejść.

- Są tutaj?

- Nie - odparła. - To skomplikowane.

- Co?

- Jesteś nadal aresztowany, Marcusie. Jak wszyscy w tym miejscu. Nie mogą po prostu tutaj wpaść i otworzyć szeroko drzwi. Każdy, kto się tutaj znajduje, będzie musiał przejść przez rozprawę sądową. To może trwać, no cóż, to może trwać całymi miesiącami.

- Będę musiał tu siedzieć m i e s i ą c a m i ?

Chwyła moje dłonie.

- Nie, myślę, że dość szybko będziemy mogli postawić cię przed sądem i wypuścić za kaucją. Choć dość szybko to relatywne stwierdzenie. Nie sądzę, żeby dzisiaj miało się cokolwiek wydarzyć. Ale będą cię traktować humanitarnie, nie tak jak tamci. Dostaniesz



prawdziwe jedzenie. Nie będziesz przesłuchiwany. Twoja rodzina będzie mogła cię odwiedzać. To, że pozbyliśmy się DBW - stwierdziła - nie oznacza, że możesz sobie stąd ot tak wyjść. Staramy się oczyścić świat z dziwacznej wersji wymiaru sprawiedliwości, którą oni ustanowili, i zastąpić ją starym systemem. Systemem opartym na sędziach, otwartych sprawach sądowych i prawnikach. Więc możemy się postarać, żeby cię przenieśli do wydziału dla nieletnich na lądzie, ale Marcusię - zaznaczyła - tam może być naprawdę ciężko. Naprawdę, naprawdę ciężko. To jest prawdopodobnie najlepsze dla ciebie miejsce, dopóki cię stąd nie wyciągniemy za kaucją.

Wyciągnąć za kaucją. Oczywiście. Przecież jestem kryminalistą - jeszcze nie postawiono mnie w stan oskarżenia, ale pewnie znajdują mnóstwo zarzutów. Już same nieczyste myśli na temat rządu były praktycznie nielegalne.

Ponownie ścisnęła moje dłonie.

- To jest do dupy, ale tak właśnie musi być - mówiła dalej. - Ważne, że to k o n i e c. Gubernator wykopał ze stanu DBW i zlikwidował wszystkie punkty kontrolne. Prokurator generalny wydał nakaz aresztowania funkcjonariuszy organu ochrony porządku publicznego zamieszanych w „stresujące przesłuchania” i tajne aresztowania. Pójdą do więzienia, Marcusię, i to dzięki tobie.

Popadłem w otępienie. Słyszałem słowa, ale one prawie nie miały sensu. Niby już było po wszystkim, ale nie do końca.

- Posłuchaj - ciągnęła. - Została nam jakaś godzina lub dwie, zanim się to wszystko ułoży, zanim po ciebie wrócą i znowu cię gdzieś wsadzą. Co chcesz robić? Przejść się po plaży? Coś zjeść?

Mają tutaj niesamowitą stołówkę, włamaliśmy się do niej po drodze. Same pyszności.

W końcu padło pytanie, na które mogłem odpowiedzieć.

- Chcę znaleźć Ange. Chcę znaleźć Darryla.

Próbowałem Sprawdzić numery ich celi na jakimś dostrzeżonym właśnie komputerze, ale nie znałem hasła, więc pozostał nam tylko

spacer po korytarzach i nawoływanie ich po imieniu. Więźniowie odpowiadali nam zza drzwi swoich cel, krzyczeli lub błagali nas, żebyśmy ich wypuścili. Nie rozumieli, co się właśnie wydarzyło, nie mogli zobaczyć, jak kalifornijskie jednostki specjalne SWAT zabierają skutych w kajdanki strażników zgromadzonych na nabrzeżu.

- Ange! - wołałem wśród zgiefku - Ange Carvelli! Darryl Glover! To ja, Marcus!

Przeszliśmy przez cały korytarz, ale nam nie odpowiedzieli. Czuję, że zaraz się rozplaczę. Wywieziono ich na statkach za granicę - pewnie byli w Syrii lub w jakimś jeszcze gorszym miejscu. Miałem ich już więcej nie ujrzeć.

Usiadłem, oparłem się o ścianę korytarza i położyłem dłonie na twarzy. Zobaczyłem Miss Gestapo, widziałem, jak uśmiecha się z wyższością, pytając mnie o login. To wszystko przez nią. Pójdzie za to do pierdła, ale to za mało. Pomyślałem, że gdy ją znowu spotkam, chyba ją zabiję. Zaslugiwała na to.

- Chodź - ponagliła mnie Barbara - Chodź, Marcusie. Nie poddawaj się. Tutaj jest więcej takich cel.

Miała rację. Wszystkie mijane przez nas drzwi były stare i zardzewiałe i pochodziły jeszcze z czasów, kiedy wzniesiono tę bazę. Ale na samym końcu korytarza zwiszały nowe pancerne drzwi grubości słownika. Otworzyliśmy je i weszliśmy do ciemnego korytarza znajdującego się po drugiej stronie.

Mieściło się tam czworo kolejnych drzwi do celi, drzwi bez kodów kreskowych. Wszystkie były wyposażone w elektroniczną klawiaturę.

- Darryl? - zawołałem. - Ange?

- Marcus?

To była Ange, jej głos dochodził zza najodleglejszych drzwi. Ange, moja Ange, mój anioł.

- Ange! - zawołałem. - To ja, to ja!

- O Boże, Marcus - wydusiła z siebie, a potem słyhać już było tylko łkanie.

Zacząłem walić w pozostałe drzwi.

- Darryl! Darryl, jesteś tu?

- Tutaj - rozległ się słaby, zachrypnięty głos. - Jestem tutaj. Ja naprawdę bardzo, bardzo przepraszam. Proszę. Strasznie mi przykro.

Jego głos brzmiał jak głos człowieka... złamanego. Wykończonego.

- D, to ja - powiedziałem, opierając się o drzwi. - To ja, Marcus. Już po wszystkim, aresztowali strażników. Wykopali Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Staniemy przed sądem, ale to będzie otwarta rozprawa. Będziemy przeciwko ni i m zeznawać.

- Przepraszam - powiedział. - Przepraszam.

Wtedy do drzwi podszedł patrol policji. Nadal wszystko filmowali.

- Pani Stratford? - powiedział jeden z nich. Z podniesioną osłoną wyglądał jak zwykły gliniarz, a nie jak mój wybawca. Jak ktoś, kto przyszedł, żeby mnie zamknąć.

- Kapitanie Sanchez - powiedziała. - Tutaj przebywa dwóch interesujących nas więźniów. Cieszyłabym się, gdyby ich zwolniono i gdybym mogła sama zbadać ich sprawę.

- Proszę pani, jeszcze nie mamy kodów dostępu do tych drzwi - powiedział.

Podniosła rękę.

- Nie tak się umawialiśmy. Mielście mi całkowicie udostępnić te pomieszczenia. To zarządzenie wydane bezpośrednio przez gubernatora. Nie ruszymy się stąd, dopóki nie otworzycie tych cel.

Jej twarz była całkowicie spokojna, bez ani jednej oznaki napięcia czy zniechęcenia. Była całkowicie wiarygodna.

Kapitan wyglądał tak, jakby potrzebował snu. Skrzywił się.

- Zobaczę, co da się zrobić - odparł.

W końcu, po półgodzinie, udało się otworzyć cele. Próbowali trzy razy, aż wreszcie znaleźli właściwe kody, dopasowując je do

RFID umieszczonych na identyfikatorach aresztowanych strażników.

Najpierw weszli do celi Ange. Miała na sobie szpitalną, związaną z tyłu koszulę, a jej cela była jeszcze bardziej pusta niż moja - tylko obite ściany, żadnego zlewu ani łóżka, żadnego światła. Wynurzyła się na korytarz, mrużąc oczy, a policjanci skierowali na nią kamerę, świecąc jej jasnym światłem prosto w twarz. Barbara stanęła tak, żeby ją przed nim osłonić. Ange wyszła niepewnie z celi, lekko powłócząc nogami. Z jej oczami, z jej twarzą było coś nie tak. Płakała, ale chodziło o coś jeszcze.

- Dali mi środek usypiający - bąknęła. - Bo cały czas krzyczałam, że chcę się zobaczyć z adwokatem.

Wtedy ją przytuliłem. Opadła na mnie, mocno mnie obejmując. Pachniała stęchlizną i potem, ale ja wcale nie pachniałem lepiej. Nie chciałem jej już nigdy wypuścić.

Wtedy właśnie otworzyli drzwi do celi Darryla.

Ubrany był jedynie w podartą szpitalną koszulę. Leżał na końcu celi zwinięty w kłębek, zasłaniając się przed kamerą i naszym wzrokiem. Podbiegłem do niego.

- D - szepnąłem mu do ucha. - D, to ja, Marcus. Już po wszystkim. Aresztowali strażników. Wychodzimy za kaucją, idziemy do domu.

Trzął się i zaciskał powieki.

- Przepraszam - szepnął i odwrócił twarz.

Wtedy uzbrojony gliniarz i Barbara zabrali mnie stamtąd, zaprowadzili do mojej celi i zamknęli drzwi. Tam właśnie spędziłem kolejną noc.

Nie pamiętam zbyt dobrze podróży do sądu. Przykuli mnie do pięciu innych więźniów, z których wszyscy siedzieli dłużej ode mnie. Tylko jeden mówił po arabsku - to był starszy człowiek, cały się trzął. Pozostali byli młodzi. Ja jako jedyny byłem biały. Gdy już nas wsadzili na pokład promu, zauważyłem, że wszyscy ludzie

przetrzymywani na Treasure Island byli mniej lub bardziej ciemnoskórzy.

Spędziłem tam tylko jedną noc, ale to i tak za długo. Z nieba kapiała lekka mżawka i normalnie pewnie skuliłbym ramiona i opuścił wzrok, ale dzisiaj dołączyłem do innych i wyciągając szyję w stronę bezkresnego szarego nieba, upajałem się kłującą wilgocią podczas rejsu w kierunku nabrzeża.

Wsadzili nas do autobusów. Przez te kajdany niełatwo nam się było do nich wdrapać i zanim wszyscy znaleźli się w środku, minęło sporo czasu. Nikt się tym nie przejmował. W chwilach gdy nie próbowaliśmy rozwiązywać geometrycznego problemu sześciu ludzi, jednego łańcucha i wąskiego przejścia w autobusie, przyglądaliśmy się rozciągającemu się wokół nas miastu, wzgórzom i budynkom.

Myślałem tylko o tym, żeby odnaleźć Darryla i Ange, ale nigdzie ich nie widziałem. Był duży tłok i trudno było się przemieszczać. Policjanci, którzy nas prowadzili, zachowywali się dosyć delikatnie, ale mimo to byli od nas więksi i uzbrojeni. Cały czas wydawało mi się, że w tłumie widzę Darryla, jednak za każdym razem okazywało się, że to ktoś inny, tak samo pobity i przygarbiony jak mój kumpel. Nie tylko jego złamali.

W sądzie grupy skutych ze sobą więźniów zaprowadzili do pokoiw przesłuchań. Adwokatka z ACLU zapoznała się z danymi na nasz temat i zadała nam kilka pytań - kiedy doszła do mnie, uśmiechnęła się i przywitała po imieniu - a potem zaprowadziła nas do sali rozpraw, gdzie siedział sędzia. Miał na sobie togę i wyglądało na to, że jest w dobrym nastroju.

Zdaje się, że układ był taki, że ci, których rodziny wpłaciły kaucję, mogli wyjść na wolność, a pozostali wracali do więzienia. Adwokatka z ACLU długo rozmawiała z sędzią, zadając pytania przez kilka kolejnych godzin. W tym czasie zgromadzono już w sądzie rodziny więźniów. Sędzia był wyrozumiały, ale gdy zdałem sobie sprawę, że niektórych z tych ludzi przetrzymywali tam od dnia eksplozji, bez rozprawy sądowej, poddawali przesłuchaniom, izolacji, torturom, a ich

rodziny uznały ich za zmarłych - miałem ochotę zerwać kajdanki i wszystkich uwolnić.

Kiedy stanąłem przed sędzią, ten spojrzął na mnie z góry i zdjął okulary. Wyglądał na zmęczonego. Adwokatka wyglądała na zmęczoną. Urzędnicy sądowi też wyglądali na zmęczonych. Gdy jeden z nich wywołał moje nazwisko, usłyszałem odgłosy rozmowy dochodzące zza moich pleców. Sędzia uderzył raz młotkiem, nie spuszczać ze mnie wzroku. Przetarł oczy.

- Panie Yallow - zaczął - oskarżyciele uznali, że powinniśmy pana zatrzymać ze względu na ryzyko ucieczki. Myślę, że mają ku temu podstawy. Z pewnością ma pan na swoim koncie bardziej b u j n ą h i s t o r i ę niż pozostali zgromadzeni tu ludzie. Kusi mnie, żeby pana zatrzymać do czasu rozprawy, bez względu na wysokość kaucji, którą pańscy rodzice są gotowi wpłacić.

Moja adwokatka zaczęła coś mówić, ale sędzia uciszył ją spojrzeniem. Znowu przetarł oczy.

- Czy ma pan coś do powiedzenia?

- Miałem szansę uciec - odparłem. - W zeszłym tygodniu. Ktoś zaproponował mi pomoc w ucieczce z miasta i stworzenie nowej tożsamości. Ale ja ukradłem temu komuś telefon, wydostałem się z ciężarówki i uciekłem. Przekazałem telefon dziennikarce. Był na nim dowód dotyczący mojego przyjaciela Darryla Glovera. A potem ukryłem się tutaj, w mieście.

- Ukradłeś telefon?

- Uznałem, że nie wolno mi uciec. Że muszę stanąć przed wymiarem sprawiedliwości, że moja wolność nie byłaby nic warta, gdybym był poszukiwany lub gdyby miasto było nadal pod kontrolą Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a moi przyjaciele nadal siedzieliby w więzieniu. Moja wolność nie była dla mnie tak ważna jak wolność tego kraju.

- Ale ukradłeś telefon.

Przytaknąłem.

- Ukradłem. Planuję go oddać, jeśli kiedykolwiek uda mi się odnaleźć jego właścicielkę.

- No cóż, dziękuję panu za tę wypowiedź, panie Yallow. Jest pan bardzo wygadany.

Spojrzał na oskarżyciela.

- Niektórzy powiedzieliby, że jest pan również bardzo odważny. W dzisiejszych porannych wiadomościach pokazano pewne nagranie. Wskazuje ono na to, że miał pan kilka uzasadnionych powodów, żeby unikać władz. W świetle tego faktu oraz pańskiego krótkiego przemówienia przyznam panu kaucję, ale poproszę też oskarżyciela, żeby dopisał panu do listy zarzutów drobną kradzież, chodzi tu o kradzież telefonu. W tej sprawie przewiduję kolejne pięćdziesiąt tysięcy dolarów kaucji.

Ponownie uderzył młotkiem, a moja adwokatka uściśnęła mi rękę.

Raz jeszcze spojrzał na mnie z góry i założył okulary. Na ramionach jego togi leżał łupież. Gdy jego okulary dotknęły szorstkich kręconych włosów, spadły kolejne płatki.

- Możesz odejść, młody człowieku. Trzymaj się z dala od kłopotów.

Odwróciłem się, żeby odejść, lecz ktoś zagroził mi drogę. To był mój tata. Dosłownie podniósł mnie do góry, tuląc mnie tak mocno, że aż zaskrzypiały mi żebra. Przytulił mnie tak, jak zwykł to robić, gdy byłem małym chłopcem, a on bawił się ze mną w te fajne, przypominające o młodości samoloty, które kończyły się na tym, że podrzucał mnie do góry i łapał, ściskając mnie tak mocno, że prawie bolało.

Z jego ramion delikatnie wyrwała mnie teraz para miękkich dłoni. Mama. Trzymała mnie na wyciągnięcie rąk, szukając w milczeniu czegoś na mojej twarzy. Po jej policzkach płynęły łzy. Uśmiechnęła się, potem zaczęła szlochać i w końcu też mnie uściśnęła, a tata objął nas oboje ramionami.

Kiedy mnie puścili, udało mi się wreszcie coś wydukać.

- Darryl?

- Ojciec spotkał się z nim gdzie indziej. Jest w szpitalu.
- Kiedy będę mógł się z nim zobaczyć?
- Za chwilę pójdziemy go odwiedzić - odparł tata. Był przygnębiony. - On nie... - przerwał. - Mówią, że dojdzie do siebie - wykrztusił zdławionym głosem.
- A co z Ange?
- Jej mama zabrała ją do domu. Ange chciała tu na ciebie zaczekać, ale...

Zrozumiałem. Chyba już w pełni pojąłem, co czują rodziny tych wszystkich ludzi, których tam zamknęli. Salę rozpraw wypełniły łzy i uściski i nawet urzędnicy nie mogli nic na to poradzić.

- Chodźmy zobaczyć się z Darrylem - zaproponowałem. - Pożyczycie mi komórkę?

W drodze do szpitala, w którym leżał Darryl - a był to położony na drugim końcu ulicy szpital San Francisco General - zadzwoniłem do Ange i umówiłem się z nią na spotkanie po obiedzie. Mówiła szeptem i szybko. Jej mama nie była pewna, czy ją ukarać czy też nie, ale Ange wolała nie kusić losu.

Na korytarzu prowadzącym do sali, gdzie leżał Darryl, stało dwóch policjantów. Zatrzymywali tabuny reporterów, którzy stojąc na palcach, rozglądali się dookoła i pstrykali zdjęcia. Flesze aparatów były oślepiające jak światło stroboskopów, więc potrząsałem głową, mrużąc oczy, żeby się go pozbyć. Rodzice przynieśli mi czyste ubranie, w które przebrałem się na tylnym siedzeniu, i mimo że wyszorowałem się w sądowej łazience, nadal czułem się okropnie.

Niektórzy dziennikarze wołali mnie po imieniu. No tak, jasna sprawa, teraz jestem sławny. Policjanci stanowią też na mnie spoglądali - albo rozpoznali moją twarz, albo imię wywoływane przez dziennikarzy.

Z ojcem Darryla spotkaliśmy się przed salą, rozmawialiśmy ze sobą szeptem, żeby żaden z reporterów nie mógł nas dosłyszeć. Pan Glover był ubrany po cywilnemu, w dżinsy i sweter, w których go zazwyczaj widywałem, ale na piersi miał wpięte odznaczenia za zasługi.



- Śpi - oznajmił. - Niedawno się przebudził i zaczął płakać. Nie mógł przestać. Dali mu coś na sen.

Wprowadził nas do sali, w której leżał Darryl. Mój przyjaciel miał czyste i uczesane włosy, spał z otwartymi ustami. W kącikach jego ust było coś białego. W tym samym pokoju leżał jeszcze tylko jakiś człowiek około czterdziestki o arabskim wyglądzie. Zdałem sobie sprawę, że był to ten sam facet, z którym mnie skuli w drodze z Treasure Island. Pomachaliśmy do siebie z zakłopotaniem.

Potem odwróciłem się do Darryla. Wziąłem go za rękę. Jego paznokcie były obgryzione do krwi. Jako dziecko ciągle je obgryzał, ale w szkole średniej pozbył się tego nawyku. Myślę, że to Van go do tego namówiła, uświadamiając mu, jak ohydnie wygląda, trzymając cały czas ręce w buzi.

Usłyszałem, że moi rodzice i tata Darryla cofnęli się i zasunęli wokół nas parawan. Położyłem głowę na poduszce obok twarzy przyjaciela. Miał krzaczastą nierówną brodę, która przypomniała mi Zeba.

- Hej, D - powiedziałem. - Udało ci się. Wyjdiesz z tego.

Trochę chrapał. O mało nie powiedziałem: kocham cię, a były to słowa, których użyłem tylko w stosunku do jednej osoby spoza mojej rodziny, słowa, których ponoć nie wypadało mówić koledze. W końcu po prostu jeszcze raz uścisnąłem mu dłoń. Biedny Darryl.

## EPILOG

Barbara wezwała mnie do swojego biura w świąteczny weekend czwartego lipca. Nie byłem jedyną osobą, która przyszła do pracy w święto, ale jako jedyny mogłem to uzasadnić tym, że na wyjazd z miasta nie pozwalał mi program codziennych przepustek w poprawczaku.

W końcu oskarżyli mnie o kradzież telefonu Maszy. Możecie w to uwierzyć? Oskarżyciel dogadał się z moją adwokatką i wycofał wszystkie oskarżenia związane z „elektronicznym terroryzmem” oraz ze „wszczynganiem zamieszek”, ale w zamian musiałem przyznać się do drobnej kradzieży. Dostałem trzy miesiące odsiadki w domu poprawczym dla młodocianych przestępców w Mission z prawem do codziennych przepustek. Spałem w poprawczaku, dzieląc pokój z bandą prawdziwych kryminalistów, dzieciaków z gangów i nieletnich ćpunów. Przebywało tam kilku totalnych świrów. W ciągu dnia byłem „wolny”, mogłem wyjść i zająć się swoją „pracą”.

- Marcus, wypuszczają ją - powiedziała.
- Kogo?
- Johnstone, Carrie Johnstone - odparła. - Sąd wojskowy na zamkniętej rozprawie oczyścił ją ze wszystkich zarzutów. Akta są zapieczętowane. Przywrócili ją do czynnej służby. Wysyłają ją do Iraku.

Carrie Johnstone to Miss Gestapo. Jej imię wyszło na jaw podczas wstępnych przesłuchań w sądzie okręgowym w Kalifornii, ale to było wszystko, co ujawnili. Nie pisnęła ani słowa o tym, kto wydawał rozkazy, co zrobiła, kto i dlaczego został uwięziony. Przesiedziała po prostu te kilka dni w sądzie w całkowitej ciszy.

Tymczasem federalni krzyczeli i wrzeszczeli o „jednostronnym i nielegalnym” zamknięciu ośrodka na Treasure Island przez gubernatora oraz o nakazie eksmisji policji federalnej z San Francisco wydanym przez burmistrza miasta. Wielu z tych gliniarzy, jak i strażników z Gitmo na Zatoce skończyło w stanowych więzieniach.

Biały Dom nie wydał żadnego oświadczenia, stolica milczała. Następnego dnia po tej nieoczekiwanej ciszy na schodach rezydencji gubernatora odbyła się sucha, sztywna konferencja prasowa, podczas której szef DBW ogłosił wspólnie z gubernatorem ich wzajemne „porozumienie”.

DBW miał zadbać o to, aby sąd wojskowy na tajnych rozprawach zbadał „możliwe błędy w wyrokach” popełnione po ataku na Bay Bridge. Sąd miał wykorzystać wszelkie dostępne mu środki, aby upewnić się, że wszyscy, którzy dopuścili się czynów przestępczych, zostali odpowiednio ukarani. W zamian za to kontrolę nad działaniami DBW w Kalifornii miał przejąć senat stanowy, który w razie potrzeby miał prawo zamknąć wszystkie komórki bezpieczeństwa wewnętrznego na terenie stanu, przeprowadzić w nich inspekcję lub zmienić ich priorytety.

Krzyk reporterów był ogłuszający, ale Barbarze udało się zadać pierwsze pytanie.

- Panie gubernatorze, z całym szacunkiem, mamy niepodważalny dowód w postaci nagrania, że Marcus Yallow, obywatel tego stanu, rodowity Amerykanin, został poddany symulowanej egzekucji przez funkcjonariuszy DBW, którzy najwidoczniej wykonywali rozkazy Białego Domu. Czy obywatele, którzy zostali poddani tym nielegalnym, bestialskim t o r t u r o m , mogą liczyć na sprawiedliwe

rozprawy sądowe? - Jej głos drżał, ale się nie załamał.

Gubernator rozłożył ręce.

- Sądy wojskowe dopilnują, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Jeśli pan Yallow lub ktokolwiek inny, kto ma powody, aby winić Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego, czuje się pokrzywdzony, ma oczywiście prawo dochodzić odszkodowań od rządu federalnego.

Tym właśnie się zajmowałem. W ciągu tygodnia od momentu, kiedy gubernator ogłosił ten komunikat, do sądu wpłynęło ponad dwadzieścia tysięcy pozwów przeciwko DBW. Moją sprawę prowadziła ACLU, która złożyła wniosek o ujawnienie wyników zamkniętych obrad sądów wojskowych. Jak dotąd sądy odnosiły się do tego dość przychylnie.

Ale tego się nie spodziewałem.

- Całkowicie ją uniewinnili? Wymigła się od kary?

- Prasa niewiele pisze na ten temat. „Po dokładnej analizie wypadków, które miały miejsce w San Francisco oraz w specjalnej bazie na Treasure Island, sąd orzeka, że nie ma podstaw do dalszych działań w sprawie pani Johnstone”. Chodzi właśnie o to słowo: „dalszych”, brzmi tak, jakby już ją ukarali.

Parsknąłem. Odkąd wypuszczono mnie z Gitmo na Zatoce, Carrie Johnstone śniła mi się prawie co noc. Widziałem, jak jej twarz wznosi się nad moją i jak z małym krzywym uśmiechem prosi tego faceta, żeby przyniósł mi „drinka”.

- Marcusie... - zaczęła Barbara, ale jej przerwałem.

- W porządku. W porządku. Nakręcę o tym film. Wypuszczę go w ten weekend. Poniedziałek to świetny dzień na wirala. Każdy wraca po weekendzie do pracy i szuka czegoś śmiesznego, żeby puścić to znajomym ze szkoły czy biura.

Częścią układu z poprawczakiem były wizyty u psychoanalityka dwa razy w tygodniu. Gdy już doszedłem do tego, że w sumie to nie jest kara, zacząłem czerpać z nich przyjemność. Psychoanalityk

pomógł mi zrozumieć, że w chwilach zdenerwowania powinienem skupić się na konstruktywnym działaniu i nie pozwolić, żeby zjadały mnie negatywne uczucia. Nagrania pomogły.

- Muszę już iść - rzuciłem, z całych sił dusząc w sobie emocje.
- Uważaj na siebie, Marcusie - powiedziała Barbara.

Wisiałem akurat na telefonie, kiedy Ange objęła mnie od tyłu.

- Właśnie przeczytałam o tym w sieci - powiedziała. Czytała miliony kanałów RSS, ściągając je czytnikiem nagłówek, który zasysał tekst tak szybko, że praktycznie ściągał go z kabla nadawcy. Była naszym oficjalnym blogerem, i to całkiem niezłym, wycinała najciekawsze artykuły i wrzucała je do sieci tak szybko, jak wytrawny kucharz przygotowuje śniadania.

Obróciłem się w jej ramionach, żeby objąć ją z przodu. Prawdę mówiąc, tego dnia nie zrobiliśmy zbyt dużo. Po kolacji nie wolno mi było przebywać poza poprawczakiem, a ona nie mogła mnie odwiedzać. Widywaliśmy się w biurze, ale tam kręciło się zwykle sporo ludzi, więc nie wypadało się przytulać. Przebywanie sam na sam w biurze przez cały dzień to zbyt duża pokusa. Było gorąco i duszno, co oznaczało, że oboje mieliśmy na sobie podkoszulki i krótkie spodenki, i gdy tak pracowaliśmy obok siebie, nasze ciała często się o siebie ocierały.

- Chcę nakręcić filmik - powiedziałem. - Chcę go dzisiaj puścić w obieg.

- Dobra - odparła. - To do roboty.

Ange przeczytała wycinek prasowy. Ja strzeliłem krótki monolog jako podkład do słynnego już materiału filmowego, na którym bawili się ze mną w waterboarding. W ostrym świetle kamery widać było mój dziki wzrok, łzy spływające po twarzy, potargane i upstrzone wymiocinami włosy.

- To ja. Właśnie przechodzę przez waterboarding. Torturują mnie podczas symulowanej egzekucji. Tortury nadzoruje kobieta o nazwisku Carrie Johnstone. Pracuje dla rządu. Być może pamiętacie ją z tego nagrania.

Tutaj wstawiłem film z Johnstone i Kurtem Rooneyem.

- To Johnstone i sekretarz stanu Kurt Rooney, główny strateg prezydenta.

- „Nasz naród nie kocha tego miasta. Ich zdaniem to sodoma i gomora pedałów i ateistów, którzy zasługują na to, żeby zgnić w piekle. Ten kraj przejmuje się tym, co myślą mieszkańcy San Francisco, tylko dlatego że szczęśliwym trafem wysadzili ich jacyś islamscy terroryści”.

- On mówi o mieście, w którym mieszkam. W ostatecznym rozrachunku, w dniu, o którym mówi, zginęło cztery tysiące dwustu piętnastu moich sąsiadów, a część z nich zniknęła w tym samym więzieniu, gdzie mnie torturowano. Matki i ojcowie, dzieci i kochankowie, bracia i siostry już nigdy nie ujrzą swoich najbliższych, ponieważ zostali oni potajemnie zamknięci w nielegalnym więzieniu, tutaj, na Zatoce San Francisco. Wywieziono ich statkami za granicę. Istnieją dokładne dane, ale Carrie Johnstone posiada klucze szyfrujące - tutaj wróciłem do nagrania, na którym Carrie Johnstone siedziała przy stole z Rooneyem i oboje zanosili się śmiechem.

Potem wstawiłem ujęcie aresztowania Johnstone.

- Kiedy ją aresztowali, myślałem, że sprawiedliwości stało się zadość. Ci wszyscy ludzie, których złamała i którzy przez nią zniknęli. Ale prezydent... - przeszedłem do zdjęcia, na którym prezydent śmieje się, grając w golfa podczas jednych ze swoich licznych wakacji - ... i sekretarz stanu... - teraz pojawiła się fotka Rooneya ściskającego rękę osławionego przywódcy terrorystów, kiedyś stojącego po „naszej stronie” - ...interweniowali. Oddali ją pod tajny sąd wojskowy, który ją ze wszystkiego oczyścił. Jakoś nie dostrzegł w tym wszystkim niczego złego.

Wstawiłem fotomontaż z setkami ujęć więźniów osadzonych w celach, które to zdjęcia Barbara opublikowała na stronie „Bay Guardian” w dniu, kiedy nas uwolnili.

- Przecież to my wybraliśmy tych ludzi. To my składamy się na ich pensje. Powinni stać po naszej stronie. Powinni bronić naszej wolności. Ale ci ludzie... - teraz nastąpiła seria ujęć z Johnstone

i innymi, których wysłano pod sąd - ...nas zdradzili. Wybory odbędą się za cztery miesiące. To sporo czasu. Wystarczająco dużo, żebyście wyszli z domu i znaleźli pięciu sąsiadów, pięciu ludzi, którzy nie poszli na wybory, bo nie chcieli głosować na „żadną z powyższych osób”.

- Pogadajcie z sąsiadami. Każcie im obiecać, że pójdą na wybory. Każcie im obiecać, że wyrwą ten kraj z rąk oprawców i bandytów. Z rąk ludzi, którzy śmiali się nad świeżymi grobami moich przyjaciół spoczywających na dnie oceanu. Każcie im obiecać, że porozmawiają ze swoimi sąsiadami. Większość z nas nie wybierze żadnej z powyższych osób - kontynuowałem. - Ale to nic nie da. Musicie wybierać, wybierać wolność. Nazywam się Marcus Yallow. Byłem torturowany we własnym kraju, ale nadal go kocham. Mam siedemnaście lat. Chcę dorastać w wolnym kraju. Chcę mieszkać w wolnym kraju.

Teraz na czarnym ekranie pojawiło się logo strony internetowej. Zrobiła ją Ange, z pomocą Jolu, który załatwił nam wszystkim dożywotni darmowy hosting na serwerze Pigspleena.

Biuro okazało się ciekawym miejscem. Formalnie nazywaliśmy się Koalicją Głosujących na Wolną Amerykę, ale i tak wszyscy mówili na nas Xneterzy. Jedną z założycielek tej charytatywnej organizacji *non profit* była Barbara i kilkoro jej przyjaciół prawników. Założyli ją zaraz po wyzwoleniu Treasure Island. Finansowali ją jacyś milionerzy z branży IT, którzy nie mogli uwierzyć, że banda młodocianych hakerów skopała tyłki DBW Czasami prosili nas, żebyśmy pojawili się na Sand Hill Road, gdzie zbierali się wszyscy inwestorzy, i zrobili małą prezentację na temat właściwości Xnetu. Tysiące młodocianych biznesmenów próbowało zbić na Xnecie fortunę.

Wszystko jedno - nie musiałem mieć z tym nic wspólnego. Dostałem swoje biurko w lokalu zaraz przy Valencia Street, gdzie rozdawaliśmy płytki z ParanoidXboksem i gdzie organizowaliśmy warsztaty dotyczące budowania lepszych anten Wi-Fi. Wpadało do nas zaskakująco dużo zwykłych ludzi, którzy chcieli nas osobiście wesprzeć.

Podrzucali nam kasę albo swój sprzęt komputerowy (ParanoidLinux chodzi prawie na wszystkim, nie tylko na Xboksie Universal). Uwielbiali nas.

Nasz wielki plan był taki: we wrześniu, w czasie wyborów, mieliśmy rozpocząć naszą własną ARG, podczas której chcieliśmy zbierać podpisy wyborców i namawiać ich, żeby poszli do urn. Tylko czterdzieści dwa procent Amerykanów brało udział w ostatnich wyborach - osoby niegłosujące stanowiły ogromną większość. Próbowałem namówić Darryla i Van, żeby wpadli na jedną z naszych sesji planistycznych, ale wciąż odmawiali. Spędzali razem sporo czasu, ale według Van było to totalnie pozbawione romantyzmu. Darryl nie rozmawiał ze mną zbyt dużo, ale wysyłał mi długie maile, które dotyczyły wszystkiego z wyjątkiem Van, terroryzmu i więzienia.

Ange ścisnęła mnie za rękę.

- O Boże, nienawidzę tej kobiety - powiedziała.

Przytaknąłem.

- To kolejne świństwo, które ten kraj wyrządził Irakowi - dodała.

- Gdyby ją wysłali do mojego miasta, pewnie też zostałabym terrorystką.

- Wysłali ją do twojego miasta, a ty zostałam terrorystką.

- Właściwie tak - skwitowała.

- Idziesz na przesłuchanie pani Galvez w poniedziałek?

- Pewnie.

Przedstawiłem Ange swoją dawną nauczycielkę przed kilkoma tygodniami, kiedy pani Galvez zaprosiła mnie na obiad. Związek zawodowy nauczycieli załatwił jej przesłuchanie przed radą kuratorium, żeby przywrócić ją do starej pracy. Mówili, że zeznawać przeciwko niej miał Fred Benson, który przeszedł już na (wcześniejszą) emeryturę. Nie mogłem się doczekać, aż ją znowu spotkam.

- Masz ochotę na burrito?

- I to zajebistą.

- Wezmę tylko swój pikantny sos - rzuciła.



Jeszcze raz przejrzałem maile - na serwerze Partii Piratów, gdzie nadal ściekały wiadomości od starych Xneterów, tych, którzy jeszcze nie znaleźli mojego nowego adresu Koalicji Głosujących.

Ostatni list wysłano z jakiegoś jednorazowego adresu pochodzącego z któregoś z tych nowych brazylijskich anonimizerów.

> Znalazłem ją, dzięki. Nie mówię, że jest taka s3XY.

- Od kogo to jest?

Roześmiałem się.

- Od Zeba - powiedziałem. - Pamiętasz Zeba? Dałem mu adres mailowy Maszy. Pomyślałem, że jeśli oboje są w podziemiu, mogą ich ze sobą zapoznać.

- Jego zdaniem Masza jest słodka?

- Daj mu szansę, najwidoczniej okoliczności wypaczyły mu umysł.

- A tobie?

- Mnie?

- Tak, czy tobie również okoliczności wypaczyły umysł?

Chwyliłem Ange na wyciągnięcie ramion i kilka razy zmierzyłem ją wzrokiem. Wziąłem w dłonie jej twarz i spojrzałem w te wielkie szelmowskie oczy ukryte pod okularami w grubych oprawkach. Przejechałem palcami po jej włosach.

- Ange, jeszcze nigdy w życiu nie widziałem tak wyraźnie.

Pocałowała mnie. Potem ja ją. A na to burrito poszliśmy dopiero jakiś czas później.

# POSŁOWIE

Bruce Schneier

Specjalizują się, w technologiach bezpieczeństwa. Moja praca polega na sprawianiu, by ludzie czuli się bezpiecznie.

Zastanawiam się nad sposobem działania systemów bezpieczeństwa i nad tym, jak je złamać. A potem jak uczynić je bardziej bezpiecznymi. Systemy bezpieczeństwa. Systemy nadzoru. Systemy bezpieczeństwa lotów oraz maszyny do głosowania. Układy scalone RFID i tak dalej.

Cory zaprosił mnie na ostatnie strony tej książki, bo chciał, żebym wam powiedział, że tworzenie systemów bezpieczeństwa to zabawa. Niesamowita zabawa. To zabawa w kotka i myszkę, kto kogo przechytrzy, łowca kontra ofiara. Myślę, że to najzabawniejsza praca, jaką można sobie wymyślić. Jeśli bawiło was czytanie o tym, jak Marcus za pomocą kamieni w butach przechytrzył kamery rozpoznające chód, pomyślcie, jaką mielibyście satysfakcję, gdybyście wpadli na ten pomysł jako pierwsi na świecie.

W pracy nad systemami bezpieczeństwa trzeba sporo wiedzieć o technologii. A czasem również o komputerach, sieciach lub kamerach i sposobie ich działania albo o właściwościach chemicznych wykrywaczy bomb. Ale tak naprawdę bezpieczeństwo to nastawienie. To sposób myślenia. Marcus to świetny przykład takiego sposobu myślenia.

Zawsze szuka błędów w systemach bezpieczeństwa. Założę się, że nie wszedłby do sklepu, nie rozgryzając najpierw, jak można by coś ukraść. Nie po to żeby to zrobić - istnieje różnica między wiedzą, jak pokonać system bezpieczeństwa, i jego pokonaniem - ale żeby się dowiedzieć, czy jest to możliwe.

W taki właśnie sposób rozumują ludzie zajmujący się systemami bezpieczeństwa. Wciąż szukamy takich systemów i zastanawiamy się, jak je obejść; nie możemy nic na to poradzić.

Taki sposób myślenia jest ważny bez względu na to, po której stronie jesteście. Jeśli zatrudniono was, żebyście stworzyli sklep odporny na kradzieże, lepiej najpierw zastanówcie się, jak można by z niego coś ukraść. Jeśli konstruujecie system kamer monitorujących sposób chodzenia poszczególnych ludzi, lepiej zróbcie go z myślą o tych, którzy wkładają do butów kamienie. Bo inaczej nic dobrego z tego nie wyjdzie.

Któregoś dnia, gdy będziecie się włóczyć po okolicy, poobserwujcie przez chwilę otaczające was systemy bezpieczeństwa. Przyjrzyjcie się kamerom w sklepach, w których robicie zakupy. (Czy zapobiegają przestępstwom, czy tylko powodują, że złodzieje przenoszą się do sąsiedniego sklepu?) Popatrzcie, jak funkcjonuje restauracja. (Jeśli płaci się po posiłku, dlaczego więcej ludzi nie wychodzi, nie regulując rachunku?) Zwróćcie uwagę na systemy bezpieczeństwa na lotniskach. (Jak można by wnieść broń na pokład samolotu?) Zaobserwujcie, co robi kasjer w banku. (Systemy zabezpieczeń bankowych mają być po to, żeby zarówno kasjer, jak i klient nie mogli niczego ukraść). Popatrzcie na mrowisko. (Owady bardzo dbają o bezpieczeństwo). Przeczytajcie konstytucję i zauważcie, w jaki sposób próbuje chronić ludzi przed rządem. Spójrzcie na światła drogowe i zamki w drzwiach, i wszystkie te systemy bezpieczeństwa w telewizji i w filmach. Zastanówcie się, jak działają, przed jakimi zagrożeniami chronią, a przed jakimi nie, jakie mają wady i jak można by je wykorzystać.

Poświęćcie temu trochę czasu, a zobaczycie, że zaczniecie inaczej postrzegać świat. Zaczniecie zauważać, że wiele z tych systemów

bezpieczeństwa nie działa tak, jak powinno, i że większość działań na rzecz bezpieczeństwa narodowego to strata pieniędzy. Zaczniecie rozumieć, że prywatność to podstawa bezpieczeństwa, a nie jej przeciwieństwo. Przestaniecie się martwić o rzeczy, którymi zamartwiają się inni, i zaczniecie martwić się o to, o czym inni nawet nie myślą.

Czasem zauważycie w systemie bezpieczeństwa coś, nad czym nikt wcześniej się nie zastanawiał. I może znajdziecie nowy sposób na złamanie tego systemu.

Przecież phishing wynaleziono zaledwie kilka lat temu.

Często zdumiewa mnie, jak łatwo można złamać znane systemy bezpieczeństwa. Dzieje się tak z wielu powodów, ale najważniejszy to ten, że nie da się udowodnić, że coś jest bezpieczne. Możecie jedynie spróbować dany system złamać. Jeśli się wam to nie uda, wiecie, że to coś jest na tyle bezpieczne, że wy nie możecie się tam dostać. Ale co będzie, jeśli znajdzie się ktoś sprytniejszy od was? Każdy może stworzyć system bezpieczeństwa, który będzie na tyle mocny, że sam nie będzie w stanie go złamać.

Zastanówcie się nad tym przez chwilę, bo to wcale nie jest takie oczywiste. Nikt nie jest na tyle kompetentny, żeby sprawdzić własne programy zabezpieczające, bo wtedy jedna osoba o tych samych możliwościach musiałaby być jednocześnie programistą, jak i osobą sprawdzającą. Kontrolą bezpieczeństwa musi zająć się ktoś inny, bo system musi chronić nas przed rzeczami, na które nie wpadł jego twórca.

Oznacza to, że każdy z nas musi sprawdzać systemy zaprojektowane przez innych. Zaskakująco często ktoś jakiś łamie. Wyczyny Marcusa nie są naciągane; takie rzeczy dzieją się cały czas. Wejdźcie do sieci i poczytajcie o kluczach uderzeniowych lub o blokadach rowerowych Kryptonite otwieranych przy użyciu długopisu Bic; znajdziecie tam kilka naprawdę ciekawych historii o pozornie mocnych systemach bezpieczeństwa, które złamano za pomocą podstawowych technologii.

A jeśli już jakiś złamiecie, pamiętajcie, żeby opublikować to gdzieś w internecie.

Tajemnica i bezpieczeństwo to nie to samo, mimo że tak się wam może wydawać. Tylko kiepskie systemy bezpieczeństwa opierają się na tajemnicy; dobre systemy działają nawet wtedy, gdy wszelkie szczegóły są jawne.

A pisanie o słabych punktach tych systemów zmusza ich twórców do projektowania jeszcze lepszych rozwiązań, a z nas wszystkich czyni lepszych użytkowników tych systemów. Gdy kupujecie zapieczętowanego rowerowego Kryptonite, które można otworzyć za pomocą długopisu Bic, to płacicie za kiepskie zabezpieczenie. Podobnie gdy grupka bystrych dzieciaków potrafi przechrzyć antyterrorystyczne technologie DBW, to znaczy, że nie pomogą one w walce z prawdziwymi terrorystami.

Sprzedawanie prywatności w zamian za bezpieczeństwo jest dość głupie; wydawanie pieniędzy na niezbyt dobre zabezpieczenia jest jeszcze głupsze.

Lepiej więc zamknijcie książkę i idźcie na spacer. Świat jest pełen systemów bezpieczeństwa. Złamcie jakiś.

Bruce Schneier  
[www.schneier.com](http://www.schneier.com)

## POSŁOWIE

Andrew „bunnie” Huang, haker Xboksa

Hakerzy to odkrywcy, cyfrowi pionierzy. Łamią konwencje, kusi ich rozwiązywanie zawyłych problemów - to leży w ich naturze. Każdy skomplikowany system traktują jak zabawę. Ubocznym efektem takiego stanu rzeczy jest ich naturalne zainteresowanie problemami związanymi z bezpieczeństwem. Społeczeństwo to wielki i skomplikowany system, któremu hacking z pewnością nie jest obcy. W rezultacie hakerzy są często postrzegani jako obrazoburcy i odmieńcy, ludzie, którzy odrzucają społeczne normy w imię nieposłuszeństwa. Gdy w 2002 roku w Massachusetts Institute of Technology (MIT) zhackowałem Xboksa, nie zrobiłem tego ani w geście buntu, ani po to żeby komuś zaszkodzić. Poszedłem po prostu za naturalnym impulsem - tym samym, który popycha mnie, żeby naprawić uszkodzonego iPoda lub hackować dachy i tunele w MIT\*.

\* Hacking dachów i tuneli (ang. *roof and tunnel hacking*) - forma tak zwanej eksploracji miejskiej, czyli badania niewidocznych lub niedostępnych części ludzkiej cywilizacji, na przykład opuszczonych budynków, tuneli czy dachów, popularna również na uniwersytetach.

Niestety, to połączenie sprzeciwu wobec norm społecznych oraz „groźnej” wiedzy na temat tego, jak odczytać zawartość czipa z karty

kredytowej lub jak otworzyć zamek wytrychem, sprawia, że niektórzy ludzie boją się hakerów. Motywacje hakerów są jednak zazwyczaj bardzo proste: „Jestem inżynierem, bo lubię projektować różne rzeczy”. Ludzie pytają mnie często: „Dlaczego zhackowałeś system bezpieczeństwa Xboksa?”. Odpowiedź nie jest skomplikowana: po pierwsze, kupiłem go, więc należy do mnie. Jeśli ktoś mówi mi, co mogę, a czego nie mogę uruchomić na moim sprzęcie, to znaczy, że nie jestem jego właścicielem. Po drugie, dlatego że ten system tam istnieje i jest na tyle złożony, że jego hackowanie traktuję jak niezłą zabawę. To była dla mnie świetna odskocznia od doktoratu, nad którym siedziałem do późna w nocy.

Miałem szczęście. Zhackowałem Xboksa, będąc doktorantem w MIT, więc moja działalność znalazła usprawiedliwienie w oczach właściwych ludzi. Prawo do hackowania nie powinno jednak przysługiwać tylko nauczycielom akademickim. Moja przygoda z hackingiem zaczęła się jeszcze w szkole podstawowej, kiedy to, ku rozgoryczeniu rodziców, rozbierałem na części wszelkie urządzenia elektroniczne, jakie wpadły mi w ręce. Czytałem książki o modelarstwie kosmicznym, artylerii, broni jądrowej oraz produkcji materiałów wybuchowych - wypożyczałem je ze szkolnej biblioteki (myślę, że na czytelnice gusta uczniów miała wtedy wpływ zimna wojna). Okazjonalnie bawiłem się także sztucznymi ogniami i włączyłem po otwartych placach budowy w mojej dzielnicy. Nie były to być może najmądrzejsze zajęcia, ale stanowiły dla mnie ważne doświadczenie wieku dojrzewania. Wyrosłem na wolnomyśliciela dzięki społecznej tolerancji i zaufaniu lokalnej społeczności.

W ostatnich latach ambitni hakerzy nie mieli łatwego życia. *Mały Brat* pokazuje, w jaki sposób możemy przekształcić się w tolerancyjne społeczeństwo otwarte na nowe i odmienne poglądy. Jednak niektóre wydarzenia uświadamiają nam, jak niewiele brakuje, abyśmy przekroczyli granicę świata opisanego w tej książce. W listopadzie 2006 roku miałem szczęście czytać pierwszą wersję powieści.

Natomiast dwa miesiące później, pod koniec stycznia 2007 roku, policja w Bostonie znalazła podejrzane ładunki wybuchowe i zablokowała miasto na cały dzień. Okazało się, że te ładunki to nic innego jak połączone ze sobą obwody drukowane z migającymi diodami LED, promujące nowy serial animowany na Cartoon Network. Artyści, którzy umieścili tam to miejskie graffiti, zostali aresztowani jako podejrzani terroryści i ostatecznie oskarżeni o poważne przestępstwo. Producenci Cartoon Network musieli zapłacić dwa miliony dolarów odszkodowania, a szef kanału w rezultacie zrezygnował ze stanowiska.

Czy terroryści już wygrali? Czy strach o władnę nami do tego stopnia, że uznajemy artystów, hobbystów, hakerów, obrazoburców, a być może nawet skromną grupkę dzieciaków grających w Harajuku Fun Madness za terrorystów?

Takie zaburzenie ma nawet swoją nazwę - to choroba autoimmunologiczna. Układ obronny organizmu rozpedza się tak bardzo, że nie rozpoznaje samego siebie i atakuje własne komórki, prowadząc do ostatecznej autodestrukcji. Jeśli chodzi o kwestię wolności, w chwili obecnej USA grozi wstrząs anafilaktyczny, więc musimy się przeciwko niemu zaszczepić. Tej paranoi nie może uleczyć technologia; w rzeczywistości może ją nawet powiększyć, zamieniając nas w więźniów własnych urzędzeń. Codzienne zmuszanie milionów ludzi, aby zdjęli wierzchnie ubranie i przeszli na bosaka przez detektory metalu, również nie jest rozwiązaniem. Takie działanie jedynie przypomina ludziom, że mają powody, by się bać, i w rzeczywistości kiepsko chroni nas przed zdesperowanymi wrogami.

Prawda jest taka, że nie możemy liczyć na to, że to inni dadzą nam poczucie wolności i że w dniu, kiedy w imię paranoi utracimy naszą wolność, uratuje nas M1k3y. A to dlatego, że M1k3y tkwi w każdym z nas - *Mały Brat* przypomina nam, że bez względu na to, jak bardzo nieprzewidywalna jest przyszłość, jedno jest pewne: ani systemy



bezpieczeństwa, ani kryptografia, ani przesłuchania czy rewizje osobiste nie dadzą nam wolności. Wolność można zdobyć jedynie dzięki odwadze i przekonaniu, że bez względu na to, jak wielkie zagrożenia czają się na horyzoncie, każdy dzień naszego życia możemy przeżyć jako wolni ludzie będący częścią wolnego społeczeństwa.

Bądźcie jak M1k3y. Wyjdźcie z domu i nie bójcie się żyć jak wolni ludzie.

## BIBLIOGRAFIA

Żaden pisarz nie czerpie pomysłów z powietrza - wszyscy jesteśmy zaangażowani w coś, co Isaac Newton nazwał staniem na ramionach olbrzymów. Pożyczamy, kradniemy i remiksujemy sztukę i kulturę stworzoną przez otaczających nas ludzi oraz naszych literackich przodków.

Jeśli spodobała się wam ta książka i chcielibyście dowiedzieć się więcej na ten temat, istnieje wiele źródeł, z których możecie skorzystać zarówno *online*, jak i w lokalnych bibliotekach czy księgarniach.

Hacking to fascynujący temat. Cała nauka polega na opowiadaniu innym o swoich osiągnięciach, które mogliby zweryfikować, nauczyć się z nich czegoś i które mogliby ulepszyć, a w hackingu chodzi właśnie o taki proces, dlatego opublikowano tak wiele materiałów na ten temat.

Zacznijmy od Andrew „bunnie” Huanga i jego książki *Hacking the Xbox* (No Starch Press, 2003). To wspanała historia o bunnie'em, wtedy studencie MIT, który za pomocą programowania zwrotnego rozgryzł mechanizmy zapobiegania fałszerstwom rejestrowanych klatek w Xboksie, otwierając tym samym drogę do znalezienia kolejnych fajnych hacków do tej platformy. Opowiadając tę historię,

bunnie stworzył przy okazji pewien rodzaj biblii programowania zwrotnego oraz hardware hackingu.

*Secrets and Lies* (Wiley, 2000) oraz *Beyond Fear* (Copernicus, 2003) Bruce'a Schneiera to niezrównane teksty, które pomogą laikom zrozumieć zagadnienie bezpieczeństwa i wyrobić w nich krytyczne podejście do tego tematu. Natomiast jego *Applied Cryptography* (Wiley, 1995) to nadal najlepszy przewodnik po kryptografii. Bruce prowadzi świetnego bloga i listę mailingową: schneier.com/blog. Kryptografia i bezpieczeństwo to strefa dla utalentowanych amatorów. W ruchu cyberpunkowym uczestniczy mnóstwo dzieciaków, gospodyń domowych, rodziców, prawników i ludzi wszelkiego pokroju, którzy atakują protokoły bezpieczeństwa i szyfry.

Istnieje kilka świetnych czasopism poświęconych temu tematowi, ale dwa najlepsze to „2600. The Hacker Quarterly”, w którym anonimowi hakerzy przechwalają się swoimi osiągnięciami w tej dziedzinie, oraz czasopismo wydawnictwa O'Reilly „MAKE” typu „zrób to sam”, poświęcone projektowaniu sprzętu komputerowego za pomocą domowych sposobów.

Naturalnie w internetowym świecie jest mnóstwo materiałów na ten temat. Blog Eda Feltena i Aleksa J. Haldermana „Freedom to Tinker” ([www.freedom.to-tinker.com](http://www.freedom.to-tinker.com)) jest prowadzony przez dwóch fantastycznych profesorów inżynierii, którzy w przejrzysty sposób piszą o bezpieczeństwie, podsłuchach, antypirackich technologiach oraz kryptografii.

Nie pomińcie także „Feral Robotics” Natalie Jeremijenko z Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Diego ([xdesign.ucsd.edu/feralrobots/](http://xdesign.ucsd.edu/feralrobots/)). Natalie i jej studenci wymienili instalację elektryczną w dziecięcych piaskach-robotach z sieci sklepów Toys 'R Us i zamienili je w niesamowite detektory odpadów toksycznych. Spuścili je ze smyczy w parkach, gdzie duże korporacje wyrzucały swoje odpady, i pokazali w mediach, jak zanieczyszczona jest nasza ziemia.

Jak wiele rzeczy w tej książce, tak i tunelowanie przez DNS jest faktem. Szczegóły tego zjawiska opublikował w 2004 roku Dan

Kaminsky, czołowy ekspert w dziedzinie tunelowania ([www.doxpara.com/b02004.ppt](http://www.doxpara.com/b02004.ppt)).

Guru „dziennikarstwa obywatelskiego” to Dan Gillmor, który obecnie kieruje Center for Citizen Media na Uniwersytecie Harvarda oraz na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley - napisał też niesamowitą książkę na ten temat pod tytułem *We, the Media* (O'Reilly, 2004).

Jeśli chcecie dowiedzieć się więcej o hackowaniu RFID, zacznijcie od artykułu Annalee Newitz pod tytułem *The RFID Hacking Underground* w „Wired Magazine” ([www.wirednews.com/wired/archive/14.05/rfid.html](http://www.wirednews.com/wired/archive/14.05/rfid.html)). Z kolei Adam Greenfield w swoim *Everyware* (New Riders Press, 2006) przedstawia mrozące krew w żyłach spojrzenie na niebezpieczeństwa czające się w świecie RFID.

W swoim laboratorium Fab Lab Neal Gershenfeld z MIT ([fab.cba.mit.edu](http://fab.cba.mit.edu)) zajmuje się hackowaniem pierwszych na świecie prawdziwych tanich „drukarek 3D”, które potrafią skopiować każdy przedmiot, jaki sobie tylko wymyślicie. Zostało to udokumentowane w świetnej książce Gershenfelda pod tytułem *Fab* (Basic Books, 2005).

Z kolei Bruce Sterling w swojej pracy *Shaping Things* (MIT Press, 2005) pokazuje, w jaki sposób za pomocą RFID i fab labów można by było zmusić firmy do tworzenia produktów, które nie zatruwałyby świata.

Bruce Sterling, jeśli już o nim mowa, napisał też pierwszą świetną książkę o hakerach i prawie pod tytułem *The Hacker Crackdown* (Bantam, 1993), która jest również pierwszą książką opublikowaną przez poważnego wydawcę i wypuszczoną jednocześnie w internecie (wydano wiele egzemplarzy, jeden z nich można znaleźć na stronie [stuff.mit.edu/hacker/hacker.html](http://stuff.mit.edu/hacker/hacker.html)). To właśnie podczas czytania tej książki natknąłem się na Fundację Elektronicznego Pogranicza (EFF), w której miałem zaszczyt pracować przez cztery lata.

Fundacja Elektronicznego Pogranicza ([www.eff.org](http://www.eff.org)) jest organizacją charytatywną z niskimi składkami członkowskimi. Pieniądze przekazane przez indywidualnych darczyńców wydaje na to, aby uczynić z internetu miejsce bezpieczne pod względem wolności

osobistej, wolności słowa, właściwej procedury prawnej i pozostałych punktów Karty Praw. To najskuteczniejsi bojownicy o wolność internetu. Możecie dołączyć do tej walki, wpisując się na listę mailingową i pisząc do lokalnych, demokratycznie wybranych urzędników, w razie gdyby chcieli was sprzedać w imię walki z terroryzmem, piractwem, mafią lub jakimkolwiek innym chłamem, który przykuł ich uwagę. EFF pomaga też w rozwoju routera cebulowego (The Onion Router), który już teraz umożliwia wam obejście rządowego, szkolnego czy bibliotecznego cenzurującego firewalla ([tor.eff.org](http://tor.eff.org)).

EFF posiada ogromną, rozbudowaną stronę internetową zawierającą niesamowite informacje skierowane do szerokiego grona odbiorców, podobnie zresztą jak American Civil Liberties Union ([aclu.org](http://aclu.org)), Public Knowledge ([publicknowledge.org](http://publicknowledge.org)), FreeCulture ([freeculture.org](http://freeculture.org)), Creative Commons ([creativecommons.org](http://creativecommons.org)) - z których wszystkie zasługują na wasze wsparcie. FreeCulture to międzynarodowy ruch studencki aktywnie rekrutujący nowych członków, którzy otwierają własne oddziały w swoich szkołach lub na uczelniach. To świetny sposób, żeby się zaangażować i coś zmienić.

Przebieg walki o cyberwolność rejestrowany jest na wielu stronach internetowych, ale tylko nieliczni robią to z taką werwą jak twórcy strony Slashdot: „News for Nerds, Stuff That Matters” ([slashdot.org](http://slashdot.org)).

No i naturalnie musicie odwiedzić Wikipedię, tworzoną wspólnymi siłami encyklopedię internetową, którą każdy może redagować. W samym języku angielskim znajduje się w niej już ponad milion haseł. Wikipedia stanowi świetną przykrywkę dla hackingu oraz kontrkultury i jest aktualizowana co nanosekundę. Jedno ostrzeżenie: nie możecie patrzeć tylko na hasła w Wikipedii. Powinniście też patrzeć na linki „Historia” i „Dyskusja” znajdujące się na górze każdej strony w Wikipedii, żeby sprawdzić, jak doszło do powstania danego wpisu, zapoznać się z konkurencyjnymi punktami widzenia i zdecydować samemu, komu warto zaufać.

Jeśli chcecie dotrzeć do n a p r a w d ę zakazanej wiedzy, przejrzycie Cryptome (cryptome.org), najbardziej niesamowite archiwum tajemnic na świecie zawierające zatajone i odtajnione informacje. Odważni wydawcy Cryptome zbierają i publikują materiały, które zostały wydobyte od państwa dzięki żądaniom wysuwanych na mocy Ustawy o wolności informacji (Freedom of Information Act) lub dzięki przeciekom zdobytym przez informatorów.

Najlepszym literackim opisem historii kryptografii jest bez wątpienia *Cryptonomicon* Neala Stephensona (Avon, 2002). Stephenson opowiada historię Alana Turinga i maszyny szyfrującej Enigma używanej przez nazistów. To porywająca powieść wojenna, od której nie będziecie mogli się oderwać.

Partia Piratów wspomniana w *Małym Bracie* to prawdziwa i dobrze prosperująca partia (www.piratpartiet.se) z siedzibą w Szwecji, Danii, USA i Francji, przynajmniej w momencie pisania tej książki (lipiec 2006). Są trochę szaleni, ale zajmują się szeroko zakrojoną działalnością.

Jeśli już mówimy o szalonych pomysłach, Abbie Hoffman i Yippisi rzeczywiście próbowali wprawić Pentagon w lewitację, grali na giełdzie i pracowali z grupą o nazwie Up Against the Wall Motherfuckers. Klasyczne dzieło Abbiego Hoffmana o rozwalaniu systemu *Steal This Book* doczekało się wznowienia (Four Walls Eight Windows, 2002). Jest również dostępne *online* na wiki, gdzie grupa ludzi stara się je aktualizować (stealthiswiki.ninepages.com).

Autobiografia Hoffmana *Soon to Be a Major Motion Picture* (również wydana przez Four Walls Eight Windows) mimo swojej bardzo zbeletryzowanej formy jest jednym z moich ulubionych pamiętników. Hoffman był niesamowitym gawędziarzem i miał świetny instynkt aktywisty. Jeśli chcecie dowiedzieć się, jak naprawdę żył, zajrzyjcie do książki Larry'ego Slomana *Steal This Dream* (Doubleday, 1998).

Do kontrkulturowej klasyki należy też *W drodze* Jacka Kerouaca,

którą można dostać praktycznie w każdym antykwariacie za niewielkie pieniądze. *Skowyt* Allena Ginsberga dostępny jest w wielu miejscach *online*. Na *archive.org* możecie też posłuchać MP3 z nagraniem samego autora recytującego ten utwór. Jeśli chcecie zdobyć dodatkowe punkty, przesłuchajcie album *Tenderness function* zespołu The Fugs, na którym znajduje się nagranie Allena Ginsberga, a także uroczysta lewitacja Abbiego Hoffmana przed Pentagonem.

Ta książka nie powstałaby bez wspaniałej powieści Georgea Orwella pod tytułem *Rok 1984*, dzieła, które zmieniło świat. Jest to najlepsza kiedykolwiek wydana książka ukazująca degradację społeczeństwa. Przeczytałem ją w wieku lat dwunastu. Potem wracałem do niej ze trzydzieści-czterdzieści razy i zawsze znajdowałem w niej coś nowego. Orwell miał nieprzeciętny dar opowiadania i nie znosił systemu totalitarnego, który pojawił się w Związku Radzieckim. W dzisiejszych czasach książka *Rok 1984* jest nadal aktualna jako autentycznie przerażający utwór *science fiction* i jest jedną z powieści, które dosłownie zmieniły świat. Słowo „Orwellowski” to synonim państwa, w którym panują wszechobecny nadzór, dwójmyślenie i tortury.

Wielu powieściopisarzy przyczyniło się do powstania kilku fragmentów *Małego Brata*. Nadzwyczajna, mistrzowska i zabawna powieść Daniela Pinkwatera pod tytułem *Alan Mendelsohn: The Boy from Mars* (opublikowana ostatnio w antologii *5 Novels*, Farrar, Straus and Giroux, 1997) to książka, którą powinien przeczytać każdy maniak komputerowy. Jeśli kiedykolwiek czuliście się jak wyrzutki społeczeństwa, bo byliście zbyt dziwaczni lub zbyt bystrzy, **PRZECZYTAJCIE TĘ KSIĄŻKĘ**. Zmieniła moje życie.

Jeśli chodzi o bardziej współczesną literaturę, polecam *So Yesterday* Scotta Westerfelda (Razorbill, 2004), która opowiada o przygodach cool hunterów i aktywistów ruchu kontrkulturowego. Scott i jego żona Justine Larbalestier w pewnym stopniu zainspirowali mnie do napisania książki dla młodych dorosłych, takich jak Kathe Koja. Dziękuję.

## PODZIĘKOWANIA

Książka ta nie powstałaby bez ogromnego wsparcia wielu pisarzy, przyjaciół, mentorów i bohaterów. Do grona osób, którym chcę szczególnie podziękować, należą:

hakerzy i cyberpunkci: Andrew „bunnie” Huang, Seth Schoen, Ed Feiten, Alex Halderman, Gweeds, Natalie Jeremijenko, Emmanuel Goldstein, Aaron Swartz;

bohaterowie: Mitch Kapor, John Gilmore, John Perry Barlow, Larry Lessig, Shari Steele, Cindy Cohn, Fred von Lohmann, Jamie Boyle, George Orwell, Abbie Hoffman, Joe Trippi, Bruce Schneier, Ross Dowson, Harry Kopyto, Tim O'Reilly;

autorzy: Bruce Sterling, Kathe Koja, Scott Westerfeld, Justine Lar-balestier, Pat York, Annalee Newitz, Dan Gillmor, Daniel Pinkwater, Kevin Pouslen, Wendy Grossman, Jay Lake, Ben Rosenbaum;

przyjaciele: Fiona Romeo, Quinn Norton, Danny O'Brien, Jon Gilbert, danah boyd, Zak Hanna, Emily Hurson, Grad Conn, John Henson, Amanda Foubister, Xeni Jardin, Mark Frauenfelder, David Pescovitz, John Battelle, Karl Levesque, Kate Miles, Neil i Tara-Lee Doctorow, Rael Dornfest, Ken Snider;

mentorzy: Judy Merril, Roz i Gord Doctorow, Harriet Wolff, Jim Kelly, Damon Knight, Scott Edelman.

Dziękuję wam wszystkim za narzędzia, dzięki którym mogłem przemyśleć i opisać powyższe idee.